

Charles Ryan

Oddech śmierci

Donowi Hedgesowi,
z którym wspólnie przeżyliśmy młodość,
wypiliśmy z milion zimnych budweiserów
i wiecznie szukaliśmy idealnej karmy

W przypadku kiedy zostaną uruchomione wszystkie środki awaryjne i według obowiązujących standardów liczba pacjentów przyjętych na zabiegi chirurgiczne osiągnie limit, dyrektor szpitala powinien ogłosić stan C-1. Zgodnie z procedurą C-1 komunikowanie się z personelem ostrego

dyżuru, policją i wszelkimi innymi instytucjami związanymi z zaistniałym stanem kryzysowym odbywa się wyłącznie z zastosowaniem „kodu czarnego”.

Regulamin przeprowadzania zabiegów chirurgicznych, punkt XXI szpital Harborview, oddział chirurgii urazowej

Prolog

2 marca

W porośniętych dżunglą górach lało od trzech dni. Na północnym zachodzie Laosu rzeka Daying wpada do wielkiego Mekongu, odcinając region kraju graniczący z Birma i Chinami. Teraz wezbrany Mekong był zamulony. Potężny, wartki nurt niósł porwane przez wodę gałęzie i drzewa.

Piętnaście kilometrów od zbiegu rzek, w miasteczku Muang Sing, Jack Stone czekał w obskurnym hotelu, aż przestanie padać. Niecierpliwił się coraz bardziej. Jednostajna ulewa przeszkodziła mu w zaplanowanym spotkaniu z pośrednikiem. Jack próbował przetrwać nieznośne parne dni, upijając się birmańskim piwem.

W końcu deszcz dał za wygraną. W południe przyjechał poobijanym land roverem pośrednik - wysoki Kambodżanin Bań Phu Keun. Był sklepikarzem z Pakxeng i za odpowiednią opłatą organizował przemyt przez wskazaną granicę. Robił to za przyzwoleniem byłego generała armii

Kuomintangu Ho, który kontrolował ogromne przygraniczne imperium narkotykowe.

Nie ociągając się, dwaj mężczyźni wyruszyli w stronę granicy. Przed zmrokiem dotarli do Muang Nam, gdzie znajdowała się przeprawa. W poprzek rzeki wisiała stalowa lina, a na niej kołysało się zardzewiałe metalowe pudło, służące do przewozu ludzi. Na brzegu stał opuszczony bunkier celny.

Kambodżanin zaparkował w dżungli, na niewielkim wzniesieniu, skąd można było obserwować bunkier. Czekali. Nagle znowu zaczęło lać. Strugi deszczu szybko zmieniły polną drogę w rwący strumień.

Półmrok szybko ustąpił miejsca ciemności. Na drodze pojawiło się nagle światełko. Nadjechał stary wieśniak na rowerze, pedałowując z wysiłkiem pośród potoków wody. Miał na sobie ciemne ubranie i stożkowaty kapelusz ze słomy ryżowej. Minął samochód, nawet się nie oglądając.

Bań Phu dotknął ramienia Stone'a.

- Wsiadaj - powiedział.

-Co?

- Wsiadaj i idź do bunkra.

- Pójdziemy razem? - upewnił się Jack.

- Nie. Masz przy sobie broń?

- Mam. Pistolet.

- To zostaw tutaj. A nóż?

- W cholewie.

- Też zostaw.

Stone rzucił broń na siedzenie i wysiadł. Deszcz niemal przycisnął go do ziemi. Amerykanin skulił się, i ruszył przed siebie, brodząc w wodzie

prawie po kostki.

Wokół niego rozlegał się łoskot wielkich, chłodnych kropli uderzających mocno o liście. Jack zobaczył wokół bunkra kilka mdłych światełek.

Lampy naftowe.

Dotarł do budynku - betonowego klocka o drzwiach zwieńczonych zardzewiałymi stalowymi belkami. W oknach nie pozostała ani jedna szyba.

Z pobliskich krzaków wyszedł człowiek w tropikalnym hełmie.

- Jesteś tym Amerykaninem? - zapytał po chińsku.

-Tak.

Jack czekał. Ani on, ani ten drugi nie poruszali się. W końcu wewnątrz bunkra pojawiła się delikatna poświata. Chwilę później do wejścia podszedł mężczyzna z lampą naftową w ręku i machnął na Stone'a, żeby wchodził.

Podłoga bunkra była zaśmiecona porozbijanymi butelkami, na ścianach widniały graffiti po laotańsku. Czuć było moczem, omszałym betonem. W kącie leżał kawałek opony samochodowej z białym napisem: U.S. ARMY, a obok zeschnięty na kamień kał.

W bunkrze znajdowali się trzej Chińczycy. Wszyscy byli uzbrojeni w rosyjskie kałasznikowy, ubrani w dzinsy „dzwony” i wojskowe bluzy.

Dwóch miało na głowach ryżowe kapelusze, trzeci - czerwoną bandanę.

- Masz pieniądze? - zapytał w swoim ojczystym języku ten w chustce.

-Tak.

-To dawaj.

Stone wyjął małą płócienną sakiewkę. Chińczyk w bandanie podniósł latarnię i wyjął z woreczka cztery grube pliki spiętych amerykańskich

banknotów. Dwieście tysięcy dolarów. Przeliczył je szybko i włożył z powrotem do sakiewki.

Wydał krótki rozkaz. Jeden z pozostałych dwóch skośnookich mężczyzn sięgnął za siebie po skórzaną walizeczkę i położył ją na podłodze przed Amerykaninem. Stone natychmiast przyklęknął i otworzył ją.

8

Wypełniona była słomą. Jack zanurzył w niej ręce i wyjął spośród źdźbeł wypolerowaną kulę rozmiarów grejpfruta. Po jej przeciwległych stronach znajdowały się dwa identyczne, płytkie wgłębienia. Amerykanin obrócił w dłoni błyszczący w świetle latarni przedmiot.

Mężczyzna w chustce patrzył na niego zmrużonymi oczami.

- Jak się nazywasz? - sapnął.

- Stone.

Chińczyk parsknął ze złością i rzucił do swoich ludzi w dialekcie mandaryńskim:

- Sey-ching ya.

Przez plecy Jacka przeszedł dreszcz. Rozmówca w bandanie użył złowieszczonego w tych okolicznościach idiomu: „Ten człowiek ma złe zęby”.

- Dlaczego tak o mnie mówisz? - zapytał nieco teatralnie Stone, próbując ukryć strach. Wiedział, że jest w niekorzystnej sytuacji. Chińczycy dostali już pieniądze i mogli go teraz bez trudności zabić.

Mężczyzna w chustce uniósł ze zdziwieniem brwi.

- Rozumiesz po mandaryńsku...?

- Tak - skwitował Jack. - Dlaczego tak o mnie powiedziałaś? Mężczyzna skinął głową w stronę kuli i odparł:

- Bo masz w ręku bardzo niebezpieczną rzecz.

- Nie bardziej niebezpieczną niż te — Stone wskazał trzymane przez Chińczyków karabiny.

- Nie, to nie to samo — skomentował człowiek w chustce.

Jack szybko schował kulę z powrotem w słomie, zamknął walizkę i wstał. Trzej uzbrojeni mężczyźni patrzyli na niego zimno. W końcu herszt warknął, wskazując drzwi.

-Wyjdź stąd, gok-yan.

Stone skłonił się nieznacznie, odwrócił i wyszedł z bunkra. Deszcz zelżał, lecz wciąż dawało się niemal fizycznie odczuć bliskość przesuwających się tuż nad drzewami chmur.

Amerykanin uśmiechnął się od ucha do ucha. Dwukrotnie uniósł odrobinę walizkę, żeby poczuć niewielką, ale znaczącą masę niesionej kuli.

Mężczyzna w bandanie nazwał go złym. Do diabła z nim! - myślał Jack z poczuciem triumfu. Całe miesiące negocjował potajemnie z generałem Ho, żeby zdobyć tę małą kulę. Teraz, kiedy już ją miał, mógł przystąpić do realizacji zasadniczej części planu.

15 marca

Dokładnie o osiemnastej trzydzieści masowiec „Mars Luden” wpłynął w obręb zewnętrznej strefy obsługiwanej przez Puget Sound Yessel Trafie, na południowy wschód od wejścia do cieśniny Juan de Fuca. Posuwał się w stronę portu w Yłctorii w kanadyjskim stanie British Columbia z umiarkowaną prędkością dziewiętnastu węzłów. Pojemne ładownie statku wypełnione były malezyjskim boksytem. Główny zewnętrzny pokład zastawiono skrzyniami z częściami maszyn z Singapuru.

Morze falowało - szarpał marcowy, mroźny jeszcze wiatr, przypominając o

kończącej się surowej kanadyjskiej zimie. Na pomocnym zachodzie odległe strugi deszczu odcinały się szarymi smugami od głębokiej purpury rozświetlonego przez zachodzące słońce nieba.

Statek zwolnił do siedemnastu węzłów i skręcił prosto pod wiatr.

Znalazłszy się w cieśninie, napotkał silne wiry, powstające tu w czasie odpływu. Gdyby wpłynął w nie ze zbyt dużym impetem, mógłby zostać zniesiony na część kanału żeglugowego przeznaczoną dla jednostek płynących w przeciwnym kierunku.

Kiedy statek zakończył manewr, po pogrążonym w półmroku pokładzie łodziowym przebiegła jakaś postać. Trzeci oficer, Australijczyk Tommy Hook przystanął pomiędzy dziobem szalupy numer cztery a podtrzymującym jązu-rawikiem. Sięgnął pod przykrywający ją brezent i wyciągnął małą, skórzaną walizkę. Ukrył ją wcześniej, kiedy została mu przekazana w pewnym domu publicznym w Singapurze.

Szybko ruszył w stronę dziobu statku. Starał się nie potknąć o liny, którymi umocowano stalowe skrzynie z częściami maszyn. W końcu dotarł do trapu prowadzącego na pokład dziobowy. Za jego plecami wysoko w górze świeciły jaskrawo światelka na zewnętrznych skrzydłach kapitańskiego mostku i na podstawie radaru.

Oficer wspiął się po drabince i podbiegł do kluzy kotwicznej, gdzie przechodził przez kadłub łańcuch prawej kotwicy. Olbrzymie, osłonięte od wiatru ogniwa pachniały smarem i starym żelazem.

Hook odsunął suwaki walizki i wyjął kieszonkowy odbiornik systemu nawigacji satelitarnej GPS. Wyciągnął małą antenkę i włączył urządzenie.

Na zielonym ekraniku natychmiast wyświetliły się współrzędne statku.

Mężczyzna wyjął z walizki kulę. Dwoma krzyżującymi się metalowymi

opaskami był do niej teraz doczepiony maleńki radionadajnik. Tommy jeszcze raz sprawdził wskazania odbiornika GPS, przykucnął i czekał. Zaczęło padać. Dziesięć minut później odbiornik pokazał pozycję: sto dwadzieścia cztery stopnie i jedna minuta długości geograficznej zachodniej oraz czterdzieści trzy stopnie i dwadzieścia trzy minuty długości geograficznej pomocnej. Hook obrócił kulę w dłoni i postukał lekko nadajnikiem w stoper łańcucha kotwicznego. Przystawił kulę uruchomioną właśnie radiolatar-nią do ucha i usłyszał cichutkie piski. Nachylił się nad łańcuchem i cisnął kulę w otwór kluzy. Za nią wyrzucił także odbiornik GPS. Nie przyglądając się, jak spadają do wody, zawrócił

10

w stronę barierki, chichocząc z zadowolenia. Zarobił przed chwilą dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Samica rekina krążyła wokół wybrzeży półwyspu Olympic już od trzech dni. Należała do dużego gatunku mako; miała więcej niż cztery metry długości i ważyła dobrze ponad trzysta kilogramów. Od niedawna była w ciąży.

Nie najadała się w tych ubogich w ryby wodach - ostatni raz żerowała dwa dni temu, kiedy napotkała małą ławicę makreli, które wpłynęły tu z otwartego oceanu. Teraz wzmożony ciężar metabolizm wielkiej ryby powodował, że kurczył jej się z głodu żołądek.

Powęszyła koło pary kutrów rybackich, posuwających się powoli na północ. Nie pachniały krwią, więc zwierzę odwróciło się i popłynęło na głębszą wodę.

Wkrótce usłyszało odległy gulgot silnika i szum wody omywającej kadłub „Marsa Ludena”. Doświadczenie nauczyło samicę rekina, że te olbrzymie

ruchome obiekty często zostawiają za sobą przedmioty nadające się do jedzenia. Skręciła więc gwałtownie, nabrała prędkości i skierowała się ku narastającym wibracjom.

Dotarła do statku i przez moment płynęła równoległe do niego. Potem szarpnęła się w tył i dwukrotnie przepląnęła za rufą, szukając żeru.

Masowiec płynął jednak zbyt szybko, żeby mogła dotrzymać mu tempa.

Wtem odgłos silników nieco się zmniejszył i statek zwolnił. Rekin dogonił jeszcze raz jego fale dziobowe. Pomimo tak silnego bodźca słuchowego odebrał także serię cichutkich odgłosów, dobiegających od strony niejadalnego kolosa. Były szybkie, przypominały krzyki rannej ryby.

Samica rekina zawróciła gwałtownie i podpływając coraz bliżej powierzchni, ruszyła zygzakiem ku źródłu dźwięku. Nawet w panującej pod wodą ciemności nie miała kłopotów z jego bezbłędną lokalizacją.

Przedmiot pływał, podskakując energicznie na wzburzonym kilwaterze statku; był niewielki i kulisty, jak ryba-balon, która nabrała powietrza.

Samica śmignęła ostrożnie koło nieznanego celu. Przepląnęła drugi raz. W końcu zaatakowała, połykając zagadkowy kąsek. Rozpędziła się tak, że wynurzyła się na kilka sekund ponad powierzchnię wody.

Krążyła dalej, szukając następnego posiłku. Ale nie wyczuła nic poza oleistym zapachem paliwa okrętowego i gasnącym łoskotem wielkiego silnika.

W końcu rekin przewrócił się na bok i dał nura. Czuł, że w jego żołądku coś pulsuje.

1

Samica rekina runęła na przynętę jak tornado.

Wabik składał się z dwóch dwustulitrowych beczek po paliwie,

pływających w odległości dwudziestu metrów od siebie, połączonych liną. Zakotwiczone były pięćdziesięciokilogramową kotwicą. Z liny zwisały w równych odstępach trzy inne, pionowe. Na końcu każdej z nich znajdował się trzydziesto-cenrymetrowy hak, na który nadziane były pachnące makrele. Rekin rzucił się na te w środku, wynurzając się prosto z głębin. Niecały kilometr dalej Matt Marquette skoncentrował błyskawicznie wzrok na świetle małej boi, pływającej ponad liną. Mimo że padający deszcz utrudniał widoczność, światło szarpało się wyraźnie. Znajdowało się na oceanie, dwadzieścia pięć kilometrów od należącego do amerykańskiego stanu Waszyngton półwyspu Olympic, w pobliżu granicy kanadyjskiej.

Światelko zniknęło na moment, a potem pojawiło się znowu, podskakując w tę i z powrotem.

Marquette wyszedł właśnie z pełnej lodu ładowni numer dwa swojego dwunastometrowego kutra „Big Blue”. Razem z Rickiem Hammilem, członkiem załogi kutra, ustawili przynętę tuż przed zachodem słońca. Hammil studiował zaocznie na uniwersytecie w Seattle i pracował z Mattem, pomagając mu w łowieniu. Teraz z wystawionymi wędziskami od dwóch godzin przeczesywali okolicę w poszukiwaniu dorszy.

Marquette uderzył łopata do lodu w krawędź nadburcia, żeby zwrócić uwagę Ricka. Wskazał palcem poruszającą się boję. Hammil skinął głową i zakręcił kołem sterowym. Kuter zawahał się przez moment, wszedł w zakręt, przechylając się na burzę, i ustawił się wprost pod pomocny wiatr. Rick przesunął dźwignie przepustnic i dwa silniki General Motors typu 6-71, zagrały pchając energicznie kuter naprzeciw kołyszącym go falom. Marquette, kuląc się w lodowatym deszczu, zdemontował dwa potężne

wędziska. Wciągał ich stalowe liny, aż przynęty znalazły się na pokładzie. Odczepił szybko linę od prawej wyciągarki, złożył borny i umocował ją. Potem uczepił do wyciągarki inną, zakończoną hakiem linę, przełożoną przez bloczek na topie masztu.

Boje zbliżały się szybko; środkowe światło wciąż szarpało się gwałtownie. Kiedy odległość zmalała do sześćdziesięciu metrów, Rick zmniejszył obroty silników i skierował kuter nieco na południe. Wykonał ostry skręt w lewo, ustawiając się z wiatrem, równoległe do linii boi.

Marquette chwycił bosak i ustawił się przed wyciągarką, nachylając się nad prawym nadburciem. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był potężnie zbudowany. Pomimo wiatru usłyszał zgrzyt lin ocierających się o metalowe powierzchnie pustych beczek.

Kuter wytracał prędkość. Mart wychylił się i złapał bosakiem łączącą beczki linę, która natychmiast się napięła. Pod wodą musiało się znajdować coś wyjątkowo dużego. Poczul tak silne szarpnięcie, że ledwie zdołał ustać na nogach. Całym ciałem uwiesił się na bosaku. Hammil z ościeniem w rękę natychmiast pospieszył na pomoc.

Dwie minuty później rekin wypłynął na powierzchnię; najpierw pojawił się jego szarobrązowy, przedni garb, a później straszliwy pysk. Przez sekundę w padającym ze sterówki świetle błysnęły czarne, okrągłe oczy, z pozoru martwe jak monety. Deszcz odbijał się od ogromnej głowy zwierzęcia chmurą kropelek przypominającą dym.

— Jasny gwint! — zawołał z radością Rick. - Ale wielki skurczybyk!

Rekin zawinął się w zwisającą pionowo linę; nierdzewne stalowe włókna otaczały jego cielsko niczym błyszcząca pajęczyna. Szarpał się wściekle, bijąc płetwami w wodę, podczas gdy Marquette przyciągał go do burty.

- Uderz drania! - krzyknął. - Teraz!

Hammil zamachnął się i nie trafił; cofnął oścień i spróbował znowu.

Długie ostrze wbiło się za zuchwą rekina. Ryba runęła bokiem pod wodę, rozbryzgując topiel.

Kiedy wypłynęła znowu, przez moment pozostawała nieruchoma, a potem znowu zaczęła się rzucać. Obaj mężczyźni ciągnęli, dyszeli, sapali z wysiłku, próbując kontrolować furję ogromnego zwierzęcia. Mięśnie ich ramion i pleców zaczęły już sztywnieć.

Nagle rekin znów znieruchomiał. Mart, korzystając z okazji, wsadził drzewce bosaka pod pachę, zaczepił za unoszącą się na wodzie linę hak wyciągarki i wybrał parę metrów.

Dziób kutra obrócił się przez ten czas bokiem do wiatru. Po zawietrznej słychać było ślizgającą się i obijającą o rufę beczkę. Ryba szarpnęła po raz kolejny, unosząc się na wodzie i skręcając na boki. Marquette zdołał zaczepić hak liny wyciągarki za szczękę potwora, tuż obok sterczącego oszczepu.

14

Przez sekundę lina opadała na pokład, ale zaraz potem automatyczna wyciągarka skróciła ją i napięła z szarpnięciem; stalowe włókna wydarły drzazgi z nadburcia. Kiedy lina wsuwała się dalej, „Big Blue” pochylił się tak mocno, że obaj mężczyźni polecieeli na nadburcie. Lina drżała napięta do granic możliwości.

Hammil zerknął na maszt. Wyginał się.

- Uważaj! - zawołał. - Ten sukinsyn złamie maszt!

- Wytrzyma, jest mocny! - odkrzyknął Marquette. - Stań przy wyciągarce; jak usłyszysz, że trzeszczy, popuść linę!

Mart rzucił się do drzwi sterówki. Po chwili wyskoczył z powrotem, trzymając w ręku winczester, śrutówkę kaliber dwanaście.

Rekin nie ustawał w walce, jednak powoli, nieubłaganie zbliżał się do krawędzi nadburcia, która obniżyła się teraz tak, że przelewała się przez nią woda. Ogon wielkiej ryby walił na wszystkie strony, wzbijając lodowate fontanny.

Marquette załadował i podniósł broń do oka. Oparł się o nadburcie i wycelował w podbrzusze rekina, błyszczące bielą jak białko gotowanego jajka.

Pierwszy ładunek śrutu wyrwał dziurę tuż za płetwą grzbietową zwierzęcia, rozbryzgując krwawe mięso i strzaskane kawałki ości. Drugi omal nie chybił; rozdarł grubą warstwę skóry na głowie ryby. Rana wyglądała jak talerz, który natychmiast nappełnił się krwią.

Rekin opadł bezwładnie i tak został. Wisiał, przekręcając się powoli na wietrze, kiedy wyciągarka podnosiła go coraz wyżej i wyżej; jej niewielki silnik wył z wysiłku. Matt odczepił bosak i pociągnął za linę nieco dalej. Po minucie rekin leżał już na pokładzie między wyciągarką a prawą burzą. W tylnej części pokładu chlupotała woda wysoka na trzydzieści centymetrów, pociemniała od krwi.

Marquette wyjął z pochwy nóż marines, nachylił się nad martwym rekinem i przejechał końcówką klingi przez ogromną ranę w jego głowie, aż odnalazł częściowo odsłonięty mózg. Był maleńki; przypominał kształtem widełki kamertonu. Matt jednym ruchem rozciął go na pół. Następnie mężczyźni przecięli linę, w którą zawinał się rekin. Kuter odsunął się od beczek. Hammil i Marquette owinęli linę wyciągarki wokół ogona ryby i przesunęli jej cielsko w stronę ładowni z lodem.

Tymczasem niecały kilometr od nich, pośród strug deszczu, pojawiło się światło ostrzegawcze helikoptera. Nadlatywał od północnego zachodu, sunąc tuż ponad powierzchnią wody.

Światelko szybko urosło i dał się słyszeć terkot wirujących łopat. Po chwili niewielka maszyna przeleciała tuż nad kutrem; światła na topie masztu oświetliły czarne spody jej pontonów.

Śmigłowiec wykonał szeroki zakręt i po raz drugi przeleciał tuż nad wierzchołkiem masztu „Big Blue”. Nadleciał trzeci raz, ale teraz wolniej, i zawisł w powietrzu tuż za rufą.

15

Marquette dostrzegł w pękatej szklanej kabinie sylwetki dwóch mężczyzn. Kadłub maszyny był biały z namalowanym logo w kształcie trzech połączonych S. Podmuchał wirnika dał w Marta i zniekształcał powierzchnię wody, tworząc na niej pierścienie małych, poszarpanych fal.

Zabłysnął szperacz, zalewając jasnym światłem pokład kutra. Szyper zmrużył oczy i wykonał lewym ramieniem szeroki gest, oznaczający pytanie: „Czego chcecie?”.

Helikopter wisiał jeszcze nieruchomo przez kilka sekund, a później położył się gwałtownie na bok i odleciał; widać było oddalający się i wznoszący szybko reflektor. Maszyna skierowała się na północny wschód w głąb cieśniny.

Hammil patrzył za malejącym coraz bardziej światłem.

- Co to były za palanty? - zapytał. Marquette wzruszył ramionami.

- Po prostu dwóch facetów, których zaciekał rekin.

Znowu przykleknął przy rybie. Jego wzrok spoczął na rozplątanej głowie zwierzęcia i jego wywróconym w górę oku.

Było szkliste i pozbawione wyrazu, lecz ciągle groźne. Nagle Mattowi wydało się, że w tym oku został skumulowany cały obraz śmierci -jej pusta głębia. Wyobraził sobie, jak śrut roznosi ciało rekina w kawałeczki. Wzdrygnął się tak jak wtedy, kiedy pociągnął pierwszy raz za spust. Inaczej niż kiedyś, Matt nie znosił teraz zabijać. Od czasu tego gorącego, pijanego winem momentu w Barcelonie śmierć stała się dla niego złożoną i poważną sprawą.

Na ekranie komputera Kelli Pickett pojawił się model mostu Golden Gate, przedstawiony w postaci skomplikowanej siatki białych linii, odcinającej się od niebieskiego tła. Kelli przeprowadzała właśnie test naprężeń struktury mostu pod wpływem wiatru o wzrastającej sile.

Siedziała w laboratorium komputerowym słynnego Guggenheim Hali, należącego do uniwersytetu. Rozproszeni przy stojących w dużej, klimatyzowanej sali stolikach pozostali członkowie grupy pracowali nad uczelnianym projektem numer AI-F/B-3, ochrzczonego „Kryształowa kula”.

Kelli obracała powoli most za pomocą myszy, ustawiając wirtualną kamerę w coraz to innych miejscach. Wzdłuż krawędzi ekranu biegły pionowo dwa szeregi liczb obrazujących zmieniające się wartości przemieszczeń i naprężeń.

Kierujący projektem Troy Gilhammer przystanął przy Pickett i zmrużył oczy, żeby odczytać wyniki testu. Ten czterdziestoletni blondyn o gęstej czuprynie uwielbiał wspinaczkę wysokogórską i wiśniowe żelki, którymi nieustannie pachniał.

-I co, wartości ciągle nie przekraczają niebezpiecznych - zagadnął. -Dodaj jeszcze trochę wiatru.

Sprawne palce Kelli zastukały w klawiaturę, i wyświetlane wartości liczbowe natychmiast zaczęły się zmieniać.

Gilhammer zerknął na wykres na sąsiednim ekranie. Czarna linia przedstawiała przewidywaną zależność odkształceń mostu od siły wiatru, obliczoną na podstawie reguł prawdopodobieństwa bayesowskiego. Druga, niedokończona jeszcze, czerwona, oznaczała zależność szczytywaną z modelu w miarę obciążania go.

Jak dotąd pokrywały się niemal idealnie.

- Jaka jest teraz prędkość wiatru? - zapytał Gilhammer.

- Dwieście trzydzieści kilometrów na godzinę - odparł ktoś. Troy zaczął chodzić w tę i z powrotem ze spuszczoną głową, intensywnie myśląc.

- Dobrze, to wystarczy - powiedział. - Zaczniemy poddawać go falom poprzecznym i podłużnym; okres - dwie sekundy, natężenie cztery.

W ten sposób do obciążenia modelu mostu huraganowym wiatrem dodano oddziaływanie trzęsienia ziemi. Szybko wprowadzono zmiany.

Projekt „Kryształowa kula” prowadzono w ramach dużego grantu Narodowej Fundacji Nauki przydzielonego na szeroko zakrojone badania nad sztuczną inteligencją. Celem projektu było opracowanie ogólnych koncepcji wybranych programów komputerowych i narzędzi wspomagających. Służyłyby one do analizy, przewidywania i całościowego ujmowania łagodnych przejść ze stanów chaotycznej dywergencji źle funkcjonujących systemów.

Testom poddawano najróżniejsze rodzaje systemów, począwszy od struktur stalowych, na poddawanych obróbce genetycznej patologicznych komórkach kończąc. Zajmowano się zarówno przekąźnikami chemicznymi

i enzymatycznych reakcji na bodźce, jak i pompami do dawkowania insuliny pacjentom chorym na cukrzycę. Test mostu Golden Gate był sześćdziesiątym trzecim z kolei na dwieście, jakie zamierzano przeprowadzić.

Grupa badaczy wykorzystywała najnowsze technologie komputerowe -programy MIRROR-t, ultraszybkie Tera-FLOP-y i procesory z wbudowaną pamięcią. Podstawą teoretyczną badań były nowoczesne koncepcje prawdopodobieństwa bayesowskiego oraz logika rozmyta, pozwalająca na zadawanie parametrów wykraczających daleko poza zwykłe systemy binarne.

- Jak wygląda dywergencja fal poziomych L i R? - spytał Gilhammer.
- Osiem procent; dziewięć dziesiątych metra.
- To dajmy natężenie sześć.

Wprowadzono kolejną korektę obciążenia. Czerwona linia na wykresie posunęła się dalej, wciąż podążając za wyliczoną.

- No dobra, czas dać mu naprawdę porządnego kopa. Wpisz dziewięć stopni w skali Richtera.

Po wstukaniu nowej danej odczyty wzrastały stabilnie przez jedenaście sekund. Nagle Kelli powiedziała podekscytowana:

2 - Oddech śmierci

17

- O kurczę, teraz zaczyna się migotanie cząsteczkowe. Gilhammer przyskoczył do jej ekranu i zaklął.
- Troy, widzę prechaotyczne skoki częstotliwości! - zawołał inny pracownik.
- Fala P opada! - dodała Kelli. Równoległe przetwarzanie przez sieć

komputerową danych, normalnie pozwalające na obliczenie wszystkich możliwych rozwiązań z wyprzedzeniem, tak aby przewidzieć z góry rozpoczynającą się chaotyczną dywergencję, nie nadażało teraz za zbyt szybko zmieniającymi się przebiegami fal.

Gilhammer nachylił się znowu.

- Cholera! -jęknął. - Już po naszym moście! - Na monitorze czerwona linia szarpała się gwałtownie z dala od wyliczonej czarnej. W ciągu paru sekund wykres przybrał kształt podobny do sejsmometrycznego.

Model mostu na ekranie komputera Kelli rozpadł się.

Wszyscy na sali opadli na swoje krzesła, przeklinając.

Przez następne pół godziny prowadzili ożywioną dyskusję podsumowującą wyniki testu. Rzucali coraz to nowe pomysły i przypuszczenia, próbując odnaleźć błąd w sporządzonym przez siebie programie, który pozwolił na wymknięcie się przebiegu zmiennych spod kontroli.

Jednak widać było, że wszyscy są zmęczeni. Zaczęli przecież pracę o ósmej rano. W końcu Troy oznajmił, że na dzisiaj dosyć. Rozległ się zgiełk - wszyscy wyłączali komputery, zbierali notatki i wstawali.

Po trzech minutach w sali pozostała tylko Pickett. Nalała sobie kolejny kubek kawy, oparła się wygodnie na swoim biurowym krześle i popatrzyła w sufit.

Była piękną, trzydziestoletnią kobietą; długonogą, o jędrnych piersiach i błyszczących, kruczoczarnych włosach. Jednak tym, co najbardziej przykuwało wzrok, były jej oczy - szmaragdowozielone, pełne blasku, zdolne zmieniać się błyskawicznie z figlarnych w gniewne. Ukończyła inżynierię strukturalną w Stanfordzie, a teraz była asystentką w katedrze

logiki komputerowej i zastępcą dyrektora projektu „Kryształowa kula”. Po chwili oparła koniuszek adidasa o krawędź biurka i odepchnęła się z wyposażonym w kółka krzesłem w stronę telefonu. Wystukała numer kawiarni „Seine” w Dungeness, małej wiosce rybackiej leżącej na wybrzeżu cieśniny Puget, trzydzieści kilometrów od Seattle.

Odebrano już po pierwszym sygnale i kobiecy głos odezwał się:

- „Seine”.

- Cześć Bev, Kelli.

- O, cześć, kochanie. Jak tam wasza burza mózgów?

- Ee, zakończyliśmy sfrustrowani.

- Jak wszyscy.

W tle rozległ się brzęk talerzy i zdenerwowany męski głos. Pickett zapytała:

- Był dzisiaj Matt?

18

- Jeszcze nie, kochanie. Jacyś rybacy mówili, że widzieli go po południu w pobliżu Flattery.

- Jeżeli przyjdzie przed północą, powiedz mu, że jestem w domu,

- Dobrze.

- Dzięki.

Kelli odłożyła słuchawkę. Przez moment wyobraziła sobie Matta Marquette'a takiego, jakim widziała go przed tygodniem. Przyjechał wtedy do miasta, żeby kupić nową echosondę do kutra. Wybrała się razem z nim do sklepu, a wiedząc, jak bardzo Mattowi brakuje pieniędzy, zaofiarowała się, że sfinansuje urządzenie. Wy tłumaczyła, że to będzie po prostu prezent.

Matt jednak nie skomentował nawet propozycji, tylko popatrzył na Kelli, a

potem zapłacił sam.

Zdołała jednak przekonać go, żeby przyjął zaproszenie na lunch. Padał wtedy deszcz, było zimno. Ruszyli w stronę centrum miasta i wybrali położoną na szczycie wieży Space Needle „Emerald Suite”, skąd rozciągał się rozległy widok na szare, chłodne z wyglądu miasto.

Następnie pojechali do łodzi mieszkalnej Kelli, cumującej na jeziorze Union. Leżeli nago w łóżku i upijali się powoli piwem domowej produkcji, które sprezentował jej ktoś z uczelni. Patrzyli, jak na wzburzoną wiatrem wodę wypływa samotna łódź wiosłowa z ośrodka szkoleniowego żeglugi.

Pickett spotykała się z Mattem od blisko roku. Poznali się, kiedy Gilhammer wynajął jego kuter, żeby połowić sobie na morzu z grupą kolegów i koleżanek z uniwersytetu. Kelli szybko się zorientowała, że zaczyna się zakochiwać w tym wyjątkowym mężczyźnie.

Przypominając sobie teraz owo szare popołudnie sprzed tygodnia, Kelli poczuła w dole ciała erotyczne ciepło. Jednak to przyjemne odczucie niosło ze sobą także posmak smutku.

Westchnęła i dokończyła kawę, zgasiła światło i poszła do domu.

Droga pomiędzy Port Angeles i Dungeness wiodła wzdłuż wybrzeża cieśniny. Asfalt przed maską wypożyczonej toyoty połyskiwał od padającej mżawki. Niedaleko miasteczka Agnew droga skręcała w głąb lądu, a potem wracała ku brzegowi i wchodziła w ciągnący się wzdłuż niego las cedrów i sosen. Pomiedzy drzewami deszcz przypominał mgłę.

Jack Stone czuł pulsujący ból głowy. Był podekscytowany i sfrustrowany zarazem. Z napięcia miał naprężone mięśnie karku. Jay Basset, pilot

śmigłowca firmy, pogwizdywał pod nosem. Jego krótko ostrzyżona głowa podskakiwała w rytm jazdy.

Zostawili helikopter na lotnisku imienia Williama Fairchilda w Port Angeles. Przed odjazdem ściągnęli trochę wysokooktanowej benzyny ze śmigłowca do skradzionej dwudziestolitrowej beczki, która spoczywała teraz pomiędzy nogami Basseta; zawartość chlupała na zakrętach.

19

Stone przyjrzał się badawczo swojemu towarzyszowi. Jay był podniecony tym, co miało nastąpić. Powtarzał cały czas te same dwa takty jakiejś piosenki country. Jego twarz wyglądała z profilu tak, jak gdyby została spłaszczona na miękko, a potem dopiero utwardzona.

To dopiero prawdziwy zabójca, pomyślał sobie Jack.

Basset był kiedyś policjantem, szeregowym zastępcą szeryfa w małym miasteczku w Idaho, a później w Montanie. Okazał się jednak zbyt brutalny nawet jak na te odludne stany i wyrzucono go. Spędził również trochę czasu w marines. Nauczyli go tam pilotować śmigłowiec. Był w tym dobry.

Stone poznał go w Boise w stanie Idaho w czasach, kiedy jego firma sprzedająca systemy zabezpieczające, Stone Security Systems, dopiero raczkowała. Jack i jego wspólnik GUS Fettis byli wtedy zupełnie bez pieniędzy. Obaj służyli kiedyś w wywiadzie armii, a później w Agencji do Walki z Narkotykami. Nie było im więc trudno zacząć handlować narkotykami, żeby pomóc sobie związać koniec z końcem. Nie były to operacje na wielką skalę - dokonali kilku hurtowych przerzutów do miejscowości w rodzaju Boise, Missoula czy Idaho Falls. Basset został ich zbrojnym ramieniem, interweniując w przypadku zagrożenia ze strony

tego czy innego upartego kowboja. Do dziś nosił na plecach w odwróconej do góry nogami pochwie nóż marines.

Stone parsknął, dając upust zniecierpliwieniu. Poprawił swoje chude, kościste ciało na fotelu i przejechał nerwowo dłonią po kręconych szpakowatych włosach. Miał czterdzieści osiem lat i na jego końskiej twarzy pojawiły się już głębokie podłużne zmarszczki, z którymi wyglądał, jak gdyby był wiecznie pogrążony w żałobie.

- Czy ty nie znasz innej melodii?! - wypalił w końcu.

- Co jest? - zdziwił się Basset, zwracając na niego swoje lodowate, niebieskie oczy. Mówił trochę niewyraźnie, bełkotliwie.

-Nic, cholera, zapomnij! - warknął Stone.

- Ej, człowieku, cały jesteś nakręcony - uspokoił go Jay. - Mówiłem ci, żeby zdjąć tych klientów na kutrze. Nie musielibyśmy tak teraz kombinować.

-No pewnie! Rozwalić ich przy całej flocie rybackiej dookoła!

- Co ty, walnęlibyśmy gości i szpula, już nas nie ma! - Basset uderzył otwartą dłonią w kolano.

- Chrzanisz.

W przeciwieństwie do Jaya Stone myślał o tym, co miało nastąpić, ze złością. Nie dlatego, żeby miał jakieś moralne opory, lecz że musiał to uczynić z powodu pecha. Nienawidził pecha, tych wszystkich nieprzewidzianych przypadków, które wydawały się niemal nieodłącznie związane z wszystkimi prowadzonymi przez niego operacjami.

Zrzucenie kuli z frachtowca powinno było się odbyć bez żadnych kłopotów. W Wietnamie, kiedy Jack służył w wywiadzie, wykonywał setki podobnych zadań przy kontrolowanych przez nieprzyjaciela wybrzeżach.

Później,

20

kiedy pracował w Malezji i dla Agencji do Walki z Narkotykami, zbierali z Fettisem pokaźne kieszonkowe, przemycając tą samą metodą biały proszek i kupione na czarnym rynku diamenty do Tajlandii.

Jednak tu, na jego rodzinnym, amerykańskim wybrzeżu, wszystko poszło nie tak, i to nie z powodu jakiegoś patrolu Straży Przybrzeżnej, ale dwóch zwykłych rybaków! Jakie było prawdopodobieństwo, że wyłowią z wielkiego oceanu tak małą silikonową kulę?!

A jednak stało się i teraz Stone musiał się z nimi rozprawić. W dodatku czuł, że się wpakował. Wiedział, że tego rodzaju sprawy mogą pociągnąć za sobą dalsze, poważniejsze kłopoty.

Dwaj mężczyźni dotarli do przedmieść Dungeness. Miasto leżało w kotlinie, otwartej od południa i otoczonej rozległymi polami pszenicy i kukurydzy. Rejon ten, osłonięty od oceanu potężnym masywem Olympic, nazywano „Pasem bananowym” ze względu na to, że zawsze było tam wyjątkowo ciepło i sucho.

Samochód przejechał przez most i znalazł się w centrum miasta. Było tam trochę pograżonych w ciemności sklepów, bank, parę knajp i bar dla zmotoryzowanych. Grupa młodych mężczyzn w skórach, dosiadających błyszczących harleyów, odprowadziła toyotę wzrokiem.

Stone i jego kompan przecięli dwie jednakowe ulice i dotarli do ujścia rzeki Dungeness. Było wydłużone i zakreślało, tworząc mały, naturalny port. Do wnętrza zatoczki niczym zęby grzebienia wystawało molo cumownicze. Oprócz łodzi mieszkalnych stało tam trochę kutrów rybackich.

Dotarłszy do nabrzeża, Jack zwolnił. Minał małą stocznię, gdzie budowano kutry, i zatrzymał samochód. Na palach siedziało parę mew i burzyków. Zwóciły głowy w stronę pojazdu. W świetle reflektorów błyszczały ich ciemne oczy. Chwilę później przejechała półciężarówka. Posuwała się nadbrzeżną ulicą, aż stanęła przed małą kawiarnią, znajdującą się obok wielkiej, opuszczonej pakowni.

Stone wyłączył reflektory, a potem silnik. Opuścił szybę i do wnętrza samochodu wdarł się cierpki zapach oleistej wody, cedru i błota. Powietrze było chłodne i wilgotne.

Basset rozejrzył się i zagadnął:

- Jesteś pewien, że go zobaczymy?

- Musi tu skręcić, żeby dopłynąć do któregoś moła. Będzie na tyle blisko, że odbierzemy sygnał - wyjaśnił Jack.

Miał przy sobie kieszonkowy skaner częstotliwości. Wprawdzie nie był tak czuły jak egzemplarz zainstalowany w helikopterze, z łatwością jednak mógł wskazać właściwy kuter. Kiedy właściciele kuli znajdą się na pokładzie, odbiornik umożliwi jej znalezienie, gdyż siła sygnału będzie się zmieniać w zależności od odległości od nadajnika.

- A jak w ogóle nie przyplynie? - nie dawał spokoju Jay. - Może źle przeczytaliśmy nazwę portu na rufie? Poza tym te kutry chyba czasami tkwią na morzu po parę dni, nie?

21

- Dobrze odczytaliśmy - zapewnił Stone. - To był mały kuter, który nie nadaje się do dłuższych rejsów. Wróci najpóźniej w nocy.

Basset westchnął. Kopnął w baryłkę z benzyną, aż zadudniła głucho, i oznajmił:

- Muszę się odlać.

- To lej.

Jay otworzył drzwi i wytoczył się na dwór. Kiedy się pochylał, jego wyblakła kurtka lotnicza uniosła się, pociągając ze sobą koszulkę i odsłaniając nóż w pochwie. Basset odszedł w ciemność.

Stone popatrzył na port. Po drugiej stronie zatoczki znajdowały się porośnięte sosnami wzgórza, schodzące aż do samej wody. Tu i tam przez drzewa przeświecały światła domostw. W dali, wzdłuż ciemnego grzbietu masywu Olympic, błysnął piorun niczym nowoczesna lampa fotograficzna.

Jack zapalił papierosa i popatrzył na ręce. Nie trzęsły się ani odrobinę.

Basset wrócił do samochodu. Siedział przez chwilę w milczeniu, a potem znowu zaczął gwizdać swoje dwa takty.

- Cholera jasna! - zaklął Stone, rozgniewany. - Przystaniesz wreszcie gwizdać tę piosenkę?

Na twarzy Jaya zagościł mały uśmiezek. Było w nim coś okrutnego.

- Dobra, Jack - odpowiedział leniwie. - Ale, człowieku, powinieneś trochę się wyluzować.

Przez następne kilka minut panowała cisza. W końcu Jay odezwał się:

- Napiłbym się kawy. Może przespaceruję się do tej kawiarni i przyniosę nam obu?

- Głupi jesteś? - spytał teatralnym tonem Stone.

Basset nic już nie mówił. Jego palce zaczęły bębnić w kolano, a potem w denko beczułki.

Jack zamknął oczy. Słuchał głuchego bębnienia i czuł, że nabiera sił do wykonania czekającego go zadania. Adrenalina popłynęła przez jego ciało

i dotarła do koniuszków palców. Czuł się tak samo jak przed bitwą albo przed niebezpiecznym przerzutem narkotyków - miał wrażenie, że wszystko wokół jakby znieruchomiało, a jego wyobcowane z otoczenia ciało coraz mocniej pulsuje.

Zawsze tak samo się czuł przed zabijaniem.

U trzymując niskie obroty silników, Marquette prowadził kuter wzdłuż Dun-geness Spit - długiej na sześć kilometrów piaszczystej łąchy, wchodzącej

22

w głąb cieśniny. Matt i Rick kierowali się ku macierzystemu portowi w Dun-geness.

Wydawało się, że brzeg płaskiego półwyspu błyszczący - zupełnie jakby pochłoniął część słabego światła dnia i teraz wypromieniowywał je powolutku.

Dotarłszy do doku wytwórni konserw Del Maro, szyper zwolnił jeszcze bardziej i przybił do wysokich pali. Dał sygnał syreną, żeby powiadomić o swoim przybyciu Tytoniowego Willie. Willie, gruby Indianin z plemienia Tulali-pów, pracował w fabryczce zawsze na nocnej zmianie, przyjmując przywieziony z morza surowiec.

Dwaj mężczyźni wyładowali mniejsze ryby, napęlniając nimi jedną z przeznaczonych do tego skrzyń przypominających trumny. Połów był skąpy, zaledwie sto kilogramów dorsza i innych ryb. W tylnej ładowni pozostał jednak rekin. Matt znał właściciela pewnej japońskiej restauracji w Port Angeles, który natychmiast zapłaci przyzwoitą cenę za każdy kilogram żarłacza.

Po zważeniu ryb i odebraniu czeku mężczyźni zeszli z powrotem na kuter.

Marquette klepnął Hammila w ramię.

- Chodź, dzieciaku, pójdziemy coś zjeść - powiedział.

- Nie, idź już sobie - odparł Rick. Wydawał się trochę niespokojny i zerkał w głąb portu. - Ja go przycumuję, a potem od razu pojedę do Seattle. Mam jutro wczesnie rano zajęcia.

Matt zachichotał. Chłopaka najwyraźniej ciągnęło do kobiety. Hammil miał dziewczynę Julie. Kiedy tylko zostawał sam na pokładzie, dawał jej sygnał syreną, a ona wbiegała po kryjomu na molo. Potem kochali się w jednej z przednich ładowni kutra.

- Jesteś pewien? — odgrywał swoją rolę Marquette. — Bo chętnie już sobie pójdę.

- Poważnie mówię: nie jestem głodny.

- Dobrze. - Szyper uśmiechnął się. - Uważaj.

- Jasne, jasne - zgodził się ochoczo Rick.

Podczas gdy odpływał ku molo, gdzie zwykle cumowali, Matt ruszył w stronę kawiarni „Seine”. Nie padało już, wiatr także ustał. Było cicho jak makiem zasiał, jeśli nie liczyć odległego gulgotu silników „Big Blue”.

Kawiarnia wciśnięta była pomiędzy odrapany sklep metalowy, prowadzony przez Koreańczyka, a maleńki gabinet lekarski. Przed „Seine” stało kilka półciężarówek. Wewnątrz lokalu przypominającego kawiarnię tylko z nazwy było ciepło i duszno; w powietrzu wisiał niemiły zapach smażonego mięsa i nieświeżego piwa.

Przy barze siedziało kilku mężczyzn, pochylonych nad kawą lub sączących piwo z butelek o długich szyjkach. Byli to sami rybacy, ubrani w żółte, gumowe kombinezony albo grube kanadyjskie swetry; mieli ręce zgrubiałe od lin i czerwone od zimnego wiatru.

W ostatnich latach ocean nie był dla nich łaskawy. Ławice ryb w cieśninie pojawiały się coraz rzadziej i nie były tak liczne jak kiedyś.

Dziesięciolecia zbyt intensywnych połowów i zanieczyszczenia środowiska naturalnego zrobiły swoje. Te ryby, które pozostały, były dodatkowo dziesiątkowane przez duże, japońskie trawlerzy, łowiące tuż poza obrębem amerykańskich wód terytorialnych.

W rezultacie miejscowa flota rybacka topniała z roku na rok. Tysiące szyprów albo sprzedały swoje kutry, albo straciły je na rzecz banków, w których się pozadłużały. Ci, którzy pozostali, ledwie wiąźali koniec z końcem, wciąż czekając na cudowny letni sezon, dzięki któremu mogliby znowu stanąć na nogach.

Do tego jednak czasu byli zmuszeni dorabiać sobie, imając się różnych innych zajęć i dojeżdżając do Seattle albo Tacoma. Próbowali też szczęścia z rekinami i wynajmowali siebie i swoje kutry turystom - szczerom lądowym, których łowienie dla zabawy kończyło się zwykle na popijawie i zarzyganiu całej jednostki.

- Hej, Matt! - zawołał jeden z mężczyzn, podchmielony brodaczy w marynarskim płaszczu. - Jak ci dzisiaj poszło?

- Złowiłem prawie czterystukilowego rekina, samice.

- Chrzaniszy?

- Poważnie mówię. Mało nie złamała mi masztu, cholera jedna.

Rybacy zarechotali głośno.

Matt ściałnął kurtkę i czapkę i przejechał dłonią po krótkich, kasztanowych włosach. Miał czterdzieści cztery lata, był dość przystojny, miał ciemne oczy, okrągłą twarz i wyraziste usta, zawsze skłonne do

figlarnego uśmieszku.

Żona właściciela kawiarni, Bev Boudeen, wystawiła głowę zza drzwi kuchni i odezwała się przeciągle:

- Cześć, Matthew. — Nalała filiżankę kawy i popchnęła ją w stronę zamawiającego. - Mówisz, że złapałeś dzisiaj wielką sztukę? Marquette przytaknął.

- Ogromną jak nie wiem co.

- Miejmy nadzieję, że dostaniesz za nią trochę brzęczących monet. - Bev miała sześćdziesiąt lat; była chuda, właściwie wysuszona niczym stara kolba kukurydzy. - Co ci podać, kochanie?

Matt zamówił dwa hamburgery i butelkę budweisera. Bev powtórzyła donośnie zamówienie, zwracając głowę w stronę kuchni, a potem nachyliła się nad ladą.

- Z godzinkę temu dzwoniła Kelli - poinformowała. - Zbierała się właśnie do domu. Powiedziała, żebyś zadzwonił do niej, jeśli będziesz tu przed północą.

- Dobra.

Bev uniosła brwi.

24

- Lubię tę dziewczynę, wiesz? Będzie kiedyś dla kogoś świetną żoną.

Marquette udał zdziwienie.

- Tak uważasz? Parsknęła.

- Sam dobrze wiesz, kuzynku, i ja to wiem. Lepiej zastanów się szybko, zanim ktoś inny na to wpadnie. - Ruszyła do kuchni.

Matt spojrział na zegarek. Było dziesięć po dwunastej. Nie chciał rozmawiać z Kelli przez telefon z kawiarni. Wyszedł i popatrzył w

kierunku budki telefonicznej stojącej przy warsztacie samochodowym Albin's Car Repair. Była jednak zajęta. Wrócił na miejsce.

Bev przyniosła mu jedzenie i piwo. Napój był bardzo zimny; w środku pływały drobne igiełki lodu. Bev rozmawiała z Marquette'em jeszcze przez parę minut. Później weszło dwóch kolejnych mężczyzn i kobieta odeszła, żeby ich obsłużyć.

Matt skończył hamburgery i zamówił drugie piwo. Popatrzył na zaparowaną szybę kawiarni, podświetloną od tyłu przez pobliski neon. Dawało to efekt czerwonej, świecącej mgiełki. Bardzo oryginalny widok. Nagle Marquette wyobraził sobie na tym tle twarz Kelli Pickett. Zastanawiał się, co też dziewczyna może robić w tej chwili. Pewnie pije ostatni przed snem kieliszek wina albo siedzi w wannie ze spiętymi wysoko włosami i nuci pod nosem, namydając swoje smukłe ramiona i jędrne piersi.

Przypomniał mu się teraz dzień sprzed kilku tygodni spędzony wspólnie w Dungeness. Gilhammer dał jej wtedy - jej i całej grupie pracującej nad projektem „Kryształowa kula” - wolne. Kelli przyjechała do Dungeness, robiąc tym Mattowi miłą niespodziankę.

Bev spakowała im wtedy do starego piknikowego koszyka lunch i piwo. Powędrowali na sam koniec łąchy. Ostatnie sto metrów przebiegli - on przyciskał do siebie koszyk, a Kelli wysunęła się naprzód; jej długie nogi w obcisłych spodniach treningowych pracowały szybko, a włosy podskakiwały na chłodnym wietrze. Daleko, po drugiej stronie cieśniny, widać było nadchodzącą mgłę, która zakrywała powoli płynący majestatycznie w stronę Yancou-veru tankowiec.

Zakończyli popołudnie w jego starym, wiktoriańskim domu, stojącym na

wzgórzu. Wzniesienie górowało nad doliną, w której rozciągało się ogromne pole ozimej pszenicy. Marquette wynajmował dom od starszego małżeństwa z Kalifornii, które rzadko odwiedzało te pomocne strony. Kochali się w głównej sypialni radośnie, wesoło. Dom trzeszczał od morskiego wiatru, jak gdyby w jego ścianach mieszkały duchy. Potem Kelli i Matt leżeli objęci, przytuleni do siebie, czując w powietrzu tajemnicze ciepło.

Nagle Kelli usiadła i spojrzała Mattowi prosto w oczy. Patrzyła tak przez dłuższy czas, milcząc zagadkowo. Później wstała, nadal się nie odzywając, poszła na bosaka do kuchni i zrobiła kawę.

25

Przypominając sobie tę chwilę, Matt poczuł w sercu ukłucie bólu. Wiedział, o co dziewczyna pytała wtedy wzrokiem i oczami, swoim niepokojącym milczeniem. O to, czy jest między nimi coś głębszego, coś, co wykracza daleko poza seks. Marquette podejrzewał, że Pickett zakochała się w nim, a przynajmniej była na najlepszej drodze do tego. A on wiedział, że także ją kocha, przynajmniej w jakiś sposób.

A jednak...

Od dawna już w życiu Matta brakowało czegoś, czym kiedyś bez wątpienia się cieszył. Czegoś, co mężczyzna musi mieć, żeby czuć się dobrze: świadomości, że jego życie jest poukładane. Potrzebował pewności siebie, sprawowania kontroli nad sobą, nad otaczającym światem, nad własnym życiem.

Czasem trudno mu było nawet przypomnieć sobie dawne dni, kiedy miał tę... umiejętność? Na przykład w college'u, kiedy był tak zawzięty i pracowity, że omal nie zdobył nagrody dla najlepszego studenta Stanów

Zjednoczonych. Albo później w Wietnamie, gdzie służył w Pierwszej Drużynie słynnych Navy SEAL's; był wówczas prawdziwym macho; potrafił zaglądać śmierci w oczy i rozdzielać ją pomiędzy innych bez szczególnego strachu czy też wyrzutów sumienia.

I w końcu na torach Formuły 1, jako prawdziwy buntownik, rzucający wyzwanie wszystkim innym. Mart-the-Cat Marquette, który nieustannie szarżował i zwyciężał, niszcząc wszystkich, którzy weszli mu w drogę. Ale wszystko to znikło pewnego słonecznego dnia podczas wielkiego zderzenia na Grand Prix Hiszpanii w Barcelonie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku. Zamiast owej nieposkromionej pewności siebie duszę Matta Marquette'a wypełniło przytłaczające poczucie winy i strachu. Tak jakby śmierć wszystkich ludzi, którą oglądał, i śmierć ludzi, którym sam ją zadał, czaiła się, stłumiona, aby dopaść go nagle w tym momencie; w chwili, kiedy samochód Andre de Neauve leciał w nienaturalnie zwolnionym tempie, przesuając się w stronę band; a ludzie uciekali w panice; i gdy nastąpiła niebiesko-biała eksplozja, i Andre, wciąż przypięty do wyrwanego fotela, poleciał w powietrze już jako czarna, połamana mumia...

A to wszystko dlatego, że on, Marquette, za często szedł na całość, stwarzając zbyt wiele niebezpiecznych sytuacji.

Szef agentów Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej Albert Kizzier zapalił latarkę i poświecił nią na zegarek. Były dwie minuty po pierwszej. Nacisnął guzik nadajnika i spytał:

- Jesteś gotowy, Jo-Jo?

- Tak - odezwał się natychmiast drugi agent. - Ktoś jest w środku. W jednym z pokojów gra radio.

Kizzier siedział w brązowej furgonetce zaparkowanej przed małym, białym, drewnianym domem przy alei Deeder, w położonej na uboczu dzielnicy Boise w stanie Idaho. Dzielnica o nazwie Garden City była obszarem zabudowanym przez tanie motele, tandetne speluny urządzone w stylu country-and-western oraz rozpadające się domy, powstałe w latach trzydziestych.

Dziesięć domów dalej stały dwa radiowozy policji okręgu Ada, ukryte częściowo za zniszczonym płotem. Obok czekało czterech funkcjonariuszy w żółtych kurtkach. Jeden z nich trzymał grubą tarczę, opierając ją na bucie.

Albert wysiadł z furgonetki, sięgnął do wnętrza auta przez okno i dwukrotnie błysnął reflektorami. Policjanci wybiegli zza płotu i popędzili przez porośnięte chwastami podwórko.

Kizzier ruszył za nimi. Miał na sobie stalowoniebieską kurtkę z wypisanym na biało na prawej piersi skrótem nazwy swojego Biura.

Albert i jego partner Jo-Jo Azevedo służyli w Grupie Szybkiego Reagowania w Boise. Wcześniej tego samego wieczora zadzwonił jakiś anonimowy rozmówca i poinformował, że w domu, którego adres podał, ukrywa się niejaki EJ. Goodell, mający przy sobie nielegalną broń.

Drużyna poszukiwała Goodella już od dłuższego czasu. Był to znany członek organizacji Narody Aryjskie i paramilitarnej formacji Prawdziwi Ludzie. W górach Sawtooth i Salmon River w środkowym Idaho gnieździło się wiele podobnych wywrotowych grup, głoszących wyższość białej rasy nad innymi.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku, po masakrach,

do jakich doszło w Waco i Ruby Ridge, odizolowane od siebie „obozy” pseu-dowojskowych organizacji zaczęły współpracować. Chodziły plotki, że chcą nawet wzniecić zbrojne powstanie. Demagogiczni przywódcy zaczęli nawoływać do podjęcia wojny partyzanckiej z rządem Stanów Zjednoczonych. Potajemnie gromadzono duże składy ciężkiej broni i amunicji.

Goodell bywał już aresztowany za nielegalne posiadanie broni oraz wytwarzanie i sprzedaż zestawów do przeróbki pistoletów na maszynowe. Jak dotąd jednak Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej oraz FBI nie były w stanie poważnie dobrać mu się do skóry.

Czterej policjanci dotarli do samotnego domu i wpadli na werandę. Zeskoczył z niej wystraszony stukotem butów wychudzony, żółtawy kot. Jeden z funkcjonariuszy zastukał głośno w drzwi.

- Policja, otwierać! - zawołał.

Cofnął się, a wtedy mężczyzna z taranem uderzył nim z całych sił.

Drewniane drzwi rozpadły się i czterej policjanci z wyciągniętą bronią wpadli do środka.

Wewnątrz domu śmierdziało zepsutą kanalizacją i marihuaną. Na prawo od wejścia w dużym pokoju paliło się światło. Wszędzie walały się brudne

27

ubrania i puste puszkę po piwie. Meble były nieliczne i zniszczone, tylko w jednym z rogów pomieszczenia stał duży, najpewniej drogi telewizor, a na nim stos kaset wideo. Odbiornik był wyłączony.

Kizzier wsunął się do mieszkania za policjantami i ruszył wąskim korytarzem. Z tyłu domu rozległ się trzask. Chwilę później z kuchni wypadł Aze-vedo i dwaj kolejni policjanci.

Albert dotknął klamki zamkniętych drzwi. Zatrzymał się na moment, kopnął w nie z całej siły i wpadł do środka. Na mosiężnym łóżku leżała naga para. Brodaty mężczyzna wyskoczył z łóżka i rzucił się w stronę ściennej szaty.

Kizzier złapał go za ramię i przystawił mu do pleców lufę beretty.

- Spokojnie, E.J.... - powiedział. - Bo inaczej rozwalę ci kręgosłup.

Goodell rozluźnił się i zerknął na Alberta małymi, ciemnymi oczkami. Był młodym człowiekiem, ale jego krzaczasta broda, a także włosy na głowie były już poznaczone pasemkami siwizny. Na ramionach miał jednakowe tatuaże, przedstawiające skrzyżowane miecze otoczone kręgiem liter POSSE COMITATUS.

- O co chodzi, do cholery?! - zawołał.

Kizzier założył mu kajdanki i popchnął z powrotem na łóżko. Nachylił się i wyłączył grające na parapecie radio. Goodell wściekły usiadł powoli. Był mocno zbudowanym mężczyzną, a na jego potężnej klatce piersiowej kłębiły się gęste, kręcone włosy.

Zdegustowana kobieta założyła nogę na nogę i przyglądała się policjantom. Miała ostry, wulgarny makijaż. Jej ciemne owłosienie łonowe ostro kontrastowało z niezwykle białą skórą.

- A niech cię, Koster - odezwała się do jednego z policjantów. - Znowu? Funkcjonariusz zachichotał.

- Ile razy mam ci powtarzać, Angel? - odparł. - Zostaw tych palantów w spokoju.

Kizzier zerknął na niego z ukosa i zapytał:

- Zna ją pan?

- Owszem. Nazywa się Angel Eberhard. To stała pracownica miejscowego

alfonsa, niejakiego T-Bucksa Scoota.

Prostytutka wstała i zaczęła się ubierać. Miała kościste biodra; z bliska wyglądała na jakieś trzydzieści osiem lat.

- Co za gówniany dzień... - burknęła.

Do pokoju wszedł Jo-Jo. Był krępy mężczyzną o oliwkowej cerze. Spod jego odwróconej tyłem do przodu baseballowej czapeczki z emblematem Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej wymykały się kręcone, kruczoczarne włosy. Razem z Kizzierem zaczęli przeszukiwać pomieszczenie. W szafie znaleźli schowaną pod stosem ubrań zniszczoną, brązową walizkę. Jo-Jo wyciągnął ją i zaczął otwierać.

- Gdzie macie nakaz rewizji, co? - warknął Goodell.

28

Agenci zignorowali go. W walizce leżały części czterech pistoletów maszynowych MP-5 i kilka pudełek amunicji do nich, a pod spodem dwa chromowane colty peacemakery kaliber 45 i mała, plastikowa sakiewka z kilkoma woreczkami marihuany i czegoś, co wyglądało na crack.

Albert uśmiechnął się zimno do Goodella i powiedział:

- Gratuluję, sukinsynu. Jeśli te P-5 są kradzione, jak przypuszczam, to właśnie zarobiłeś piętnaście lat w mamrze.

- To gówno nie jest moje! - zaprotestował mężczyzna. - Nigdy nie widziałem tej broni. To nie jest nawet mój dom!

Angel patrzyła na walizkę, nagle zaniepokojona.

- Słuchajcie, panowie - zawołała - ja nic nie wiem o żadnej broni. Ja tu tylko przyszłam na zwykłe rypanie; spytajcie T-Bucksa, to wam powie!

- Kto jest właścicielem domu? - zapytał Azevedo.

- A skąd mam wiedzieć? - odciął się brodac. - Pożyczyłem go tylko na

spotkanie z tą kurewką.

- Od kogo?

- Od gościa, którego poznałem w barze.

Z innych części domu dochodziły głośne stuki, świadczące o tym, że pozostali policjanci nadal sumiennie go przeszukują. Azevedo wyszedł, żeby im pomóc.

- Chcę założyć spodnie - zażądał Goodell. - Nie będę tu siedział z fiutem na wierzchu.

Kizzier zwrócił się do Angel i spytał:

- Czy pracowałaś już kiedyś w tym domu, kochanie?

- Nie. Ten chłoptaş mnie tu sprowadził — padła odpowiedź. Po paru chwilach do pokoju wsadził głowę Jo-Jo i zagadnął:

- Al, możesz pozwolić na chwilę?

Zaprowadził Kizziera do dużego pokoju. Telewizor był teraz włączony.

Azevedo pokazał na leżące na nim kasety.

- To typowe kasety instruktażowe organizacji wywrotowych - powiedział.

- Szkoła przetrwania, taktyka partyzancka, technika snajperska i tak dalej.

Znaleźliśmy też trochę pornografii. Ale na tej, którą teraz oglądamy, jest coś, co musisz zobaczyć.

Nachylił się, zatrzymał nagranie, cofnął i puścił je od początku.

Na ekranie ukazała się ulica typowego małego amerykańskiego miasteczka ze sklepem wielobranżowym sieci Rexall na rogu i małym lokalikiem o nazwie „Fran's” po drugiej stronie. W głębi widać było stację benzynową Exxon i pojedynczy semafor zawieszony nad skrzyżowaniem. Tu i tam parkowały półciężarówki; w ich tylnych oknach widać było uczipione myśliwskie dubeltówki, a na platformach duże skrzynki na narzędzia.

Kamerzysta zrobił nagle zbliżenie, pokazując dwóch mężczyzn rozmawiających koło zaparkowanej na stacji benzynowej zielonej półciężarówki.

29

Jeden z nich miał na sobie kraciastą kurtkę, jaką noszą drwale, i wysokie, podkute buty. Drugi miał lotniczą kurtkę i ciemne, obcisłe dżinsy eksponujące wydatne mięśnie jego nóg. Był ogolony na zero. Kizzier skrzywił się i nachylił bliżej ekranu.

- Chryste! - zawołał. - Czy to ten, o kim myślę?

- Wygląda zupełnie jak on, co? - odparł Jo-Jo.

Azevedo włączył stop-klatkę i obaj agenci przykucnęli przy telewizorze, wpatrując się uważnie w młodego mężczyznę. W końcu Albert wyprostował się i pokręcił głową zdumiony.

- Jeśli to nie jest Hans Halberstadt, to musi być jego bratem bliźniakiem - mruknął.

Hans Heinrich Halberstadt miał dwadzieścia dziewięć lat i był neofaszystowskim niemieckim terrorystą. Znany z notorycznego przekraczania dozwolonej prędkości samochodem, był przede wszystkim wysokim rangą członkiem organizacji zrzeszającej skinheadów o nazwie Die letzten Stunden, czyli Ostatnie Godziny. Był zamieszany w przemyt broni i zamachy bombowe w dzielnicach tureckich i muzułmańskich w całej Europie. Poszukiwany zarówno przez policję niemiecką, jak i Interpol, był podejrzany o zamordowanie szwajcarskiego dyplomaty w Pradze w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku.

- Sprowadź no tu Goodella — sapnął Kizzier.

Brodacz stanął na środku pokoju z posepną miną. Ciągle był nagi, jeśli nie

liczyć wysokich butów, które policjant pozwolił mu założyć.

- Jakie znowu nagranie? - powiedział. - To jakieś filmy. Należą do właściciela domu, nie do mnie.

-A to tutaj?

- Nie mam pojęcia, co to jest.

Kiedy zabrano Goodella i Angel, dwaj agenci przetrzasnęli dom jeszcze raz, poszukując czegoś, co mogłoby mieć związek z Halberstadtem.

Odnaleźli więcej narkotyków oraz starą jednołufową strzelbę kaliber 0,22.

Nie było jednak nic związanego z Niemcem.

Jeszcze raz obejrzel nagranie wideo.

- Poznajesz to miasteczko? - zapytał Kizzier.

- Tak, to jest Salmon - odparł Jo-Jo. - Człowieku, Waszyngton podniesie alarm. Hitler-Hans współpracujący z Prawdziwymi Ludźmi i Narodami Aryjskimi?

- Waszyngton olewamy - prychnął Albert. - Pominie tę kasetę w raporcie. Jeśli tylko pozwolimy zwęszyć sprawę facetom z FBI i innym palantom w garniturach, to za chwilę obleci nas zgraja reporterów.

Kizzier i jego ludzie słynęli wśród Grup Szybkiego Reagowania jako niepokorni. Zależało im na skuteczności do tego stopnia, że uciekali się do niekonwencjonalnych metod, a czasem i do nieuzasadnionego użycia siły.

Na-

30

zywano ich „Załoga Z” od numeru ich Grupy, Z-131. Wciągu minionych dwóch lat dwukrotnie prowadzono w ich sprawie wewnętrzne śledztwo.

Jednak dokonali tylu aresztowań, że oba incydenty puszczone w niepamięć.

- Co zrobimy z Goodellem? - spytał Azevedo. - Może puści parę z ust, jak pogada ze swoim adwokatem... Kizzier zastanowił się chwilę.

- Wypuścimy sukinsyna - powiedział. - Nie oskarżymy go w ogóle o tą broń, tylko o posiadanie małej ilości narkotyków. Kiedy zapłaci kaucję i wyjdzie, zaczniemy go śledzić.

- A jak wytłumaczymy to, że nie skarżymy go w związku z MP-5? - zauważył Jo-Jo. - W sprawę wmieszała się przecież lokalna policja.

- Po prostu zgubimy te pistolety w drodze na posterunek.

- Człowieku - odparł Azevedo - Williams nieźle się wkurzy, jak wykręcimy taki numer. - George Williams był asystentem prokuratora okręgowego Federalnego Okręgu Kryminalnego Środkowego Idaho.

- Nie przejmuj się - uspokajał Kizzier. - Będzie po naszej stronie. Zrobimy dużą rzecz, jeśli capniemy takiego zbrojaka jak Halberstadt - a może jeszcze paru jego nowych koleśków z Narodów Aryjskich na dokładkę.

Wyjął kasetę z magnetowidu i wyłączył telewizor. Rozejrzał się z obrzydzeniem po brudnym pokoju i mruknął:

- Spadajmy z tej nory.

Julie, której głowa poruszała się rytmicznie w tę i z powrotem po poduszce, wykrzyknęła zadyszana:

- Nie przestawaj! Nie przestawaj, bo się wścieknę!

Nad nią wyginały się i prostowały plecy Ricka Hammila. Kochali się.

Mężczyzna czuł na plecach i pośladkach ostre paznokcie dziewczyny.

Jęknął i zatopił twarz pomiędzy jej szyją i ramieniem.

Na dziobie „Big Blue”, w ciasnej przestrzeni, gdzie znajdowały się podczas rejsów liny cumownicze, było zimno; pachniało odrobinę nagimi ciałami, ale mocniej - sieciami, kombinezonami do nurkowania i starymi

kocami. Kuter reagował na ruchy Hammila, odpowiadając mu wolniutkim kołysaniem się z burty na burtę, jak gdyby odmierzał spokojnie czas. Nagle z górnego pokładu dobiegł jakiś tajemniczy łoskot. Później drugi. Rick uniósł na chwilę głowę i popatrzył w górę na pogrążony w półmroku pokład. Czy ktoś wszedł na „Big Blue”? Może Matt? Szarpiące się ciało Julie szybko jednak przyciągnęło z powrotem uwagę Hammila. Był bliski orgazmu, czuł narastające gorąco... Starął się jeszcze przez chwilę powstrzymać eksplozję rozkoszy.

Poczuł, że Julie nagle sztywnieje. Naraz dziewczyna krzyknęła z przerażenia i szarpnęła się w panice, żeby wydostać się spod Ricka.

31

Otworzył oczy i zobaczył, że twarz Julie wykrzywia strach. Wydała kolejny stłumiony krzyk, po czym coś nasunęło mu się przez głowę na szyję. Sekundę później został gwałtownie pociągnięty w tył.

Zaskoczony i przyduszony, usiłował się uwolnić. Miał na szyi linę.

Pociągnięty mocno spadł z koi i wylądował nagimi pośladkami na pokładzie. Szarpiąc się, widział jakieś poruszające się cienie.

Julie zaczęła znowu krzyczeć, ale nagle coś uderzyło ją w twarz i zamilkła.

Rick poczuł, że czyjeś kolano wbija mu się w żołądek i zobaczył nachylającą się nad nim twarz obcego mężczyzny.

- Gdzie jest kula z radiolatarnią, synku...? - odezwał się ostro chrapliwy głos.

Hammil szarpał się, ale ktoś inny złapał go za ramiona, przyciskając do ziemi.

- Kim... jesteście...? - zdołał wydusić.

- Gdzie kula, do cholery?! - warknął ponownie mężczyzna. Uderzył Ricka

otwartą dłonią w twarz. - Nie udawaj głupka, palancie. Chcesz umrzeć?

- Ale... ja nic nie wiem... o żadnej kuli...!

Mężczyzna powiedział coś do tego drugiego. Wstał, a lina ściskająca gardło Hammila rozluźniła się. Zaczął się podnosić, ale coś uderzyło go straszliwie w podstawę szyi. Zobaczył biały błysk, jakby wybuch, i stracił przytomność.

Przez długi, jak mu się wydawało, czas unosił się po jakichś przestronnych, ciemnych korytarzach, czując wokół siebie tajemnicze ruchy, kroki, które zdawały się pozostawiać trwałe ślady w substancji tworzącej mrok; widział mężczyznę o fosforyzujących palcach u nóg i piętach, który chodzi dookoła.

Rick próbował się poruszyć, ale nie mógł. Jakiś silny zapach wdzierał się przemocą w jego nozdrza. Przypominał eter. Boże święty, to wysokooktanowa benzyna! - pomyślał Hammil z przerażeniem - ci faceci będą nas podpalać!

Zmuszając ciało do posłuszeństwa, poruszył dłonią, później drugą. Kłuło go w piersiach i był cały mokry od benzyny. Podniósł się z trudem na nogi; kręciło mu się w głowie.

Cały dziób kutra - pokład, burty, koce na koi - wszystko było oblane benzyną. Julie leżała częściowo na koi, częściowo na pokładzie, z twarzą na deskach. Jej krągłe pośladki wydawały się w słabym świetle bardzo białe; lekko odcinał się na nich nieopalony ślad po kostiumie bikini.

Rick, czując pulsujące w głowie i gardle serce, wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej ramienia.

- Julie? - szepnął. - Julie, o Boże...! - Jej ciało było sztywne i ciężkie, jak gdyby stanowiło część pokładu.

Hammil szarpnął się w tył i stał tam, nie mogąc się ruszyć.

Usłyszał z tylnego pokładu kilka ciężkich uderzeń. Ktoś otworzył pokrywę ładowni z lodem. Zdesperowany Rick usiłował odnaleźć jakąkolwiek broń.

32

Jego wzrok spoczął w końcu na metrowej długości stalowym pręcie.

Złapał go i zajrzał do kambuza.

W środku wszystko było porozrzucane - po pokładzie walały się przybory kuchenne, mapy, książki nawigacyjne. Wszystkie szuflady zostały pootwierane i opróżnione. Koło kuchenki leżała na boku dwudziestolitrowa baryłka na benzynę; ciągle wypływał z niej na deski mały strumyczek niebieskawego paliwa.

Nagle z góry, ze sterówki, zjechał, opierając się dłońmi na stromych poręczach, mężczyzna. To nie był ten, który mówił do Ricka. Miał na sobie skórzaną kurtkę, a z twarzy przypominał mopsa.

Zobaczył Hammila i stanął jak wryty. Natychmiast jednak zmrużył oczy, schował rękę za plecy i wyciągnął ją z powrotem, trzymając wielki nóż.

Runął na Ricka.

Hammil zamachnął się w desperacji prętem, ale zrobił to zbyt wcześnie i końcówka pręta uderzyła w kuchenkę, zrzucając żeliwny ruszt. Napastnik zrobił unik w lewo i zbliżał się dalej, przykucnięty, z ręką z nożem wysuniętą do przodu.

Rick widział to wszystko jak gdyby w zwolnionym tempie; tak wyraźnie, jak gdyby patrzył przez jakiś perfekcyjnie wykonany obiektyw.

Przerażenie zmroziło go.

Cofnął rękę z prętem, który nagle wydał mu się wyjątkowo ciężki.

Zamachnął się jeszcze raz; mężczyzna uniósł oczy i wydał z siebie głuchy

zwierzęcy ryk. Pręt uderzył w mały gazowy grzejnik, stojący koło stołu z mapami, rozrywając siatkową osłonę. Błysnął płomyk.

Hammil poczuł, że nóż zagłębia się w jego klatce piersiowej. Zapieкло straszliwie. Potworne gorąco przeszło jego ciało, gdy morderca przekreślił nóż, a potem go wyciągnął. Z piersi Ricka buchał strumień jasnej, tętniczej krwi.

Cofnął się. Otworzył usta i spróbował wciągnąć trochę przesyconego benzyną powietrza, ale wydawało się zbyt gęste, by mogło przejść przez jego gardło.

Umarł.

Kelli podniosła słuchawkę po czwartym sygnale.

- Cześć - powiedział Matt.

- Och, cześć! - Głos Pickett był chrapliwy, lekko zaspany. Odchrząknęła. - Jak się masz?

- Dobrze. Obudziłem cię, co?

- W porządku, cieszę się, że dzwonicz. Która godzina?

- Około pierwszej.

- Dopiero przyszedłeś?

' - Oddech śmierci

33

- Właśnie. - Marquette oparł się o ścianę warsztatu „Albin"s". Pachniało starymi olejami i smarami. Obok budynku znajdowało się małe, porośnięte trawą podwórko, na którym leżały różne części samochodowe, a zaraz obok był magazyn drewna.

- No i jak wam poszło? - zagadnęła Pickett.

- Złowiliśmy dużego rekina. Powinniśmy zarobić ze cztery stowy.

- To świetnie!

Mart wyobraził sobie Kelli ubraną w starą, flanelową koszulę nocną, którą zawsze zakładała do spania. Na pewno miała zmierzwiłone włosy i twarz bladą, bez makijażu; pokój przesycony był jej zapachem; ciepłym aromatem, przypominającym świeżo uprasowaną bawełnę.

- Tęskniłam za tobą- powiedziała.

- A ja za tobą - przyznał. Popatrzył w górę, na niebo. Powłoka chmur zrzędnęła i odsunęła się ku wschodowi. Przebiła się przez nią kilka gwiazd. Wyglądały trochę jak pojedyncze kryształki soli przesłonięte cieniutką warstwą waty.

Wcześniej Marquette postanowił, że nie będzie już dzwonił. Siedział chwilę w kawiarni, a potem ruszył powoli bocznica kolejową w stronę portu.

Rower Hammila ciągle stał przymocowany łańcuchem do słupka na molo. Mart stanął koło niego i popatrzył na kuter, próbując wyobrazić sobie tam, w ciemności, Ricka i jego dziewczynę. Wtedy poczuł przytłaczającą samotność. Wrócił do automatu telefonicznego przy warsztacie samochodowym.

Nabrał teraz w płuca czystego powietrza i zapytał:

- Jak posuwa się wasz projekt?

Kelli parsknęła niemal z obrzydzeniem.

- Jak zwykle mamy same problemy. - Opowiedziała o fatalnych wynikach wirtualnego testu konstrukcji mostu. Marquette chrząkał od czasu do czasu, udając zainteresowanie tematem i usiłując nadażyć za tym, co mówi Pickett. Jednak niewiele rozumiał, jak zwykle, kiedy Kelli opowiadała o swojej pracy.

Zakończywszy, zrobiła małą pauzę i zapytała:

- Kiedy cię teraz zobaczę?

- Czy jesteś wolna jutro wieczorem? - spytał w odpowiedzi Mart. -

Pomyślałem, że przyjdę do ciebie i sprawdzę, czy lubisz pizzę.

Zobaczymy, ile będę miał pieniędzy za rekina.

- Bardzo miły pomysł - odparła Pickett, zniżając zmysłowo głos.

Marquette poczuł, że tęsknota ściska go za gardło.

Na podwórku jednego z domów przy ulicy Cooper, rozpoczynającej się przy parkingu fabryki konserw, zaszczekał pies. Odgłos ten wydawał się tak odległy, jak gdyby zwierzę znajdowało się gdzieś w sąsiedniej dolinie.

Matt zaczął odpowiadać, ale w tym momencie zobaczył jaskrawy, niebiesko-biały błysk od strony portu. Ułamek sekundy później rozległa się głucha eksplozja. Na asfalcie parkingu zaczęły igrać żółtawe odbłaski.

- Co się dzieje...?! - mruknął pod nosem Marquette.

34

- Co się stało? - zapytała Kelli. *

— Zdaje się, że coś wybuchło. Poczekaj chwilę... — Matt odsunął się w prawo na długość sznura od słuchawki; róg budynku fabryki nie zasłaniał mu teraz widoku.

Otworzył szeroko oczy.

Przy ostatnim moło płonął kuter. Płomienie strzelały z niego wysoko, a dym przeplatał się z mniejszymi eksplozjami. Od ognia odcinały się czernią maszty i sterówki sąsiednich kutrów. Na całej powierzchni rzecznej zakola tańczyły pomarańczowe odbłaski.

Nagle zeszywniał. To był jego „Big Blue”! Rzucił się biegiem w stronę portu, wypuszczając słuchawkę, która odbiła się od ściany warsztatu.

Za nim zaczęły zapalać się światła w oknach domów. Ludzie wychodzili zaspani i patrzyli osłupiali na pomoc, w kierunku miejsca katastrofy.

Porucznik John Dwa Łosie, Indianin z plemienia Nez Perce, pełniący funkcję detektywa okręgu Clallam, miał metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i ważył sto trzydzieści kilogramów. Przysiadł w tej chwili zmęczony koło Marquette'a na jednym z pachołków molo:

- Czy ten chłopak, Hammil, miał w okolicy jakichś krewnych? - Zapytał, poprawiając swój kowbojski kapelusz. Musiał podnosić nieco głos, żeby przekrzyczeć jednostajny terkot przenośnego generatora, napędzającego dwa silne reflektory, jakie tu sprowadzono.

Matt pokręcił głową.

-Nie. Pochodził z Iowa. Jego rodzice tam mieszkają. Zdaje się, w Marshalltown. Mam zapisany ich numer telefonu.

Popatrzył ku przyczółkowi molo. Stał tam mały samochód ochotniczej straży pożarnej i dwa zielono-białe radiowozy lokalnej policji. Od czasu do czasu odzywały się trzaski z ich głośników.

Było już po trzeciej w nocy. Okręgowy lekarz sądowy zabrał już ciała Ricka i Julie do kostnicy. Skóra ofiar się nadtopiła i ponabrzmiwała, a miejscami spaliła, znacząc czarnymi plamami napuchnięte głębsze tkanki. Przed żółtą policyjną taśmą zamykającą wstęp na molo stała grupa skulonych mieszkańców Dungeness, którzy rozmawiali cicho między sobą. Od oceanu zaczęła napływać mgła. Wokół latarni pojawiły się białawe aureole.

- Chciałbym sam powiadomić jego rodziców - odezwał się Matt. - Rozmawiałem parę razy z ojcem Ricka. Może łatwiej to zniosą, kiedy ja im to powiem.

Dwa Łosie pokręcił głową.

- Taka wiadomość jest straszna niezależnie od tego, kto ją przekazuje - powiedział z westchnieniem. - Zlecimy to oficerowi z Marshalltown. A co z bliskimi dziewczyny?

- Nazywała się Julie Polk. Pochodziła z Tacoma, ale mieszkała ostatnio tutaj ze swoją starszą siostrą. Siostra pracuje na nocnej zmianie, gdzieś w Seattle. Jest pakowaczką, nie pamiętam, niestety, nazwy firmy.

Marquette pierwszy dotarł do płonącego kutra - wbiegł na molo, a potem wskoczył na rufę „Big Blue”. Jednak jego przednia część była całkowicie ogarnięta płomieniem. Sterówka już zdażyła się zapaść i teraz paliły się pojedyncze fragmenty jej ścian. Płomienie huczały głośno.

Mart natychmiast zakręcił zawór bezpieczeństwa na zapasowym zbiorniku z butanem, żeby nie było dalszych eksplozji, i spróbował dostać się do kuchni. Gorąco jednak zmusiło go do zawrócenia. Wtedy zaczęli przybiegać ludzie z gaśnicami; wszyscy krzyczeli. Strumienie piany były jednak za małe w obliczu szalejącego pożaru i okazały się zupełnie bezużyteczne.

Przednia część kutra nabierała już wody. Po trapie i spod nadbudówki zaczęła się wydobywać para.

Ktoś wpadł na pomysł, żeby do rufy „Big Blue” uczepić linę z małej ładowarki stojącej koło przyczółka molo i zapobiec w ten sposób zatonięciu kutra. Rozwinięto linę, a Marquette szybko owinał ją wokół jednego z tylnych otworów cumowniczych. Wyciągarka, wyjąc silnikiem, przycisnęła mocno rufę do pali molo.

Wtedy pojawiła się ochotnicza straż pożarna z pianą, dwoma węzami i

pompą. Strażacy rozwinęli węże na molo i zaatakowali płomienie. Z dysz wystrzeliły dwa potężne strumienie wody. Woda, oświetlona ogniem, wydawała się żółtopomarańczowa, niczym ciekłe złoto.

Porucznik wyjął cygaro, zapalił je małą, srebrną zapalniczką i wypuścił kilka kłębow dymu. Potem pochylił się i splunął do wody.

- Jak to się stało, że byli sami na pokładzie? - zapytał. - Czy to się często zdarzało?

- Czasem - stwierdził Mart. - Nie mieli gdzie pobyć razem, więc korzystali z kutra, kiedy tylko nie było mnie w pobliżu.

Dwa Łosie przytaknął, obracając w zamyśleniu cygaro w ustach. Mimo że był bardzo ciężki, poruszał się z kocią gracją. W latach osiemdziesiątych grał przez siedem sezonów w drużynie futbolowej Seattle Seahawks jako obrońca. Czterokrotnie wybierano go do turnieju o Puchar Zawodowców. Pochylił teraz głowę i przyjrzał się uważnie Mattowi.

- A pan gdzie był, kiedy to się zdarzyło? - zagadnął.

- Jadłem późną kolację w kawiarni.

- W której kawiarni?

- „Seine”.

36

-I pan pierwszy dobiegł do kutra, tak?

-Tak.

- Dlaczego?

- Rozmawiałem z automatu z dziewczyną- o, tam, przy wytwórni konserw. I usłyszałem wybuch.

- Jak się nazywa pańska dziewczyna?

Marquette podał detektywowi nazwisko Kelli i jej numer telefonu.

- Czy nie słyszał pan niczego więcej?
- Tylko to, że chwilę przed eksplozją zaczął szczekać pies. Nadszedł jeden z policjantów.
- Panie poruczniku, musimy się pomału zbierać - powiedział. - Czy chce pan, żeby ktoś został?
- Tak, zostawcie Jensena.

Policjant odszedł w stronę samochodów. Matt popatrzył za nim. Zatrzymał wzrok na rowerze Ricka, wciąż przypiętym łańcuchem do pachołka. Gapił się na niego przez dłuższą chwilę, a potem odwrócił i spojrzał na swój kuter. Z jego przedniej części ciągle sączyły się strużki dymu. Ponieważ rufa uniesiona była na linie, a dziób nabrał wody, widać było częściowo obitą miedzianą blachą stępkę. „Big Blue” wyglądał żałośnie, a zarazem w jakiś okropny sposób nieprzyzwoicie.

Jezu Chryste! - myślał z przerażeniem Marquette. Jezu Chryste...!

- Czy jest pan pełnoprawnym właścicielem kutra? — zapytał nagle detektyw.
- Słucham?
- Pytam o kuter. Czy nie jest pan w związku z nim zadłużony?
- Jestem.
- Kto jest właścicielem skryptów dłużnych? Matt podał dane właściciela.
- Na jakie paliwo ma pan na nim silniki?
- Same diesle.

Dwa Łosie wstał, stękając trochę, a potem splunął znów do wody i popatrzył w stronę miasta.

- Czy są na pokładzie jakieś rzeczy, których pan potrzebuje?
- Nie.

- W takim razie proszę, żeby wszyscy trzymali się od tego kutra z daleka. Pan także. No i doceniałbym, gdyby został pan w okolicy przez parę dni.

- Jasne, bez obaw.

- Ma pan telefon?

- Tak. - Marquette podał numer, ale detektyw nawet go nie zapisał. Skinął tylko głową, odwrócił się i poszedł bez słowa.

37

Nadszedł blady świt, nieśmiało przebijając się przez mgłę. Było bardzo zimno. Na deskach molo widać było pasemka lodu. Matt siedział ciągle w tym samym miejscu, gdzie zostawił go Dwa Łosie.

Przyszło kilku rybaków, żeby złożyć kondolencje. Powiedzieli parę słów krótkich, stłumionych, niezdarnych i odeszli. Poszli. Kiedy słońce zaświeciło na dobre, z sąsiednich molo wypłynęły dwa kutry. Ich syreny, wyjące ostrzegawczo ze względu na mgłę, zabrzmiały jak jęki rannych ludzi.

Policjant nazwiskiem Jensen siedział z postawionym futrzanym kołnierzem przez cały czas w swoim radiowozie. Po pewnym czasie z pobliskiej łodzi mieszkalnej przyszła stara kobieta, Norma Jean, i przyniosła Marquet-te'owi parującą kawę. Nic nie mówiła; podała mu tylko kubek, poklepała po ramieniu i wróciła do siebie.

Na ten widok policjant chyba również nabrał ochoty na kawę, gdyż wysiadł z samochodu i z termosem w dłoni podążył w stronę „Seine”. Matt odstawił kubek na deski, podniósł się i podszedł do swojego zniszczonego kutra. Kiedy wchodził na pokład, stalowa lina zatrzeszczała na nad-burciu. Marquette przeskoczył ją i kryjąc się, wsunął pomiędzy szczątki sterówki. Przedniej szyby nie było; na szerniałym pokładzie

połyskiwały wielkie krople stopionego szkła. Prawa ściana także nie istniała, zniknęło koło sterowe, pulpit z wyłącznikami i konsola dźwigni przepustnic. Ze schodów do kambuza prowadziło coś w rodzaju zwęglonego szkieletu. Pod radarowym wskaźnikiem kierunku, którego szybka przybrała wygląd bursztynu, leżał luzem wskaźnik poziomemu oleju. Matt przykucnął przy zejściu do kambuza i zajrzał tam. Pomieszczenie zostało do połowy zatopione. Z wody wystawała poczerniała nadstępka i belki ścian. Na powierzchni pływała cieniutka błyszcząca warstewka paliwa.

Wszystko przepełnione było ostrym zapachem mokrego, spalonego drewna, paliwa, a także delikatnym, słodkawym smrodem przypalonych ciał. Ta woń natychmiast sprawiła, że Matt przypomniał sobie obrazy z przeszłości, jak gdyby ktoś wypuścił duchy z omszałej butelki.

Wietnam. Nocne wypadki. Mijane wioski, gdzie nie pozostało nic poza wypalonymi chatami, dymiącym jeszcze drewnem i słomą; ciałami starych mężczyzn, kobiet i dzieci, porzucanymi tu i tam. I szczurami, które się nimi karmiły...

Matt potrząsnął głową, odganiając okropne wspomnienia. Podniósł się. Przez chwilę chodził bez wyraźnego celu po spalonej sterówce, dotykając tego i owego, przyglądając się różnym drobiazgom. Machinalnie włączył zasilany z baterii głębokościomierz, model RC-D120. Zadziałał- na małym ekraniku pojawiły się cyfry. Pod stępką kutra było prawie trzynaście metrów wody.

Na ekranie zabłysnęła seria białych linii.

38

Po chwili zjawisko powtórzyło się.

Marquette patrzył na ekranik zdumiony. Linie pojawiły się po raz trzeci. Najwyraźniej urządzenie musiało odbierać jakieś źródło fal interferujących z jego własnymi. Ale co to mogło być za źródło, w dodatku nadające pulsacyjnie w regularnych odstępach?

Mart przeszedł się jeszcze raz po zniszczonej kabinie. Wszystko, co jeszcze pozostawało na miejscu, było wyłączone. Zaintrygowany wyszedł na tylny pokład i rozejrzał się po molo. Czy to możliwe, żeby radiotelefon z policyjnego wozu nadawał takie sygnały? Nie. Marquette zdał sobie sprawę, że źródło musi znajdować się poniżej linii wodnej.

Przez następne dziesięć minut przeszukiwał dokładnie tylną część kutra. W końcu pootwierał ładownie. Większa część lodu się stopiła. W ładowni numer dwa leżał wciąż na wzdłużnikach wielki rekin, częściowo zanurzony w zakrwawionej wodzie z resztkami lodu.

Marquette zsunął się do ładowni. Cielsko potwora zeszywniało już trochę, a jego oko zamglilo się mleczną bielą. Z otwartych ran po śrucie ciągle sączyła się krew.

Matt przesunął palcem po skórze martwego zwierzęcia. Łuski były twarde i ostre. Nagle ręka Marquette'a zatrzymała się. Poczował delikatne pulsowanie, słabiutkie jak bicie skrzydełek motyla. Przycisnął dłoń do skóry rekina. Pulsowanie pojawiło się znowu.

Bez wątpienia dochodziło ze środka ryby.

Nagle z góry zsunął się czyjś cień.

- Hej, Marquette, co pan tu robi, do cholery?! - odezwał się ostry, męski głos.

Matt podniósł oczy i zobaczył ciemne okulary posterunkowego Jensena.

- Sprawdzam swoją zdobycz - odparł po prostu.

- Czy porucznik panu pozwolił?

- Tak - skłamał Marquette.

Jensel burknął coś, a potem popatrzył na rekina.

- Duży jest, prawda? - zagadnął z podziwem.

- Tak - zgodził się Matt.

Policjant odszedł. Marquette usłyszał, że Jensen schodzi na molo. Szybko wyjął z pochwy wojskowy nóż. Wbił go na całą głębokość ostrza tuż powyżej płetwy odbytowej wielkiej ryby, a potem pociągnął mocno ku przodowi, otwierając cały brzuch zwierzęcia. Na deski wylały się jelita rekina, śliskie od niebieskawego śluzu i ciemnej krwi.

Matt otworzył żołądek ryby. Sięgnął po jego zawartość, a w nozdrza uderzył go odór zgnilizny. W środku były częściowo strawione szczątki ryb, przedziurawiona zębami puszka po pepsi, a nawet połowa gumowego płaszcza przeciwdeszczowego. Marquette sięgnął po raz kolejny i wyczuł w końcu coś twardego.

39

Była to nieduża kula, błyszcząca, jakby metalowa. Przyczepione było do niej paskami blachy jakieś maleńkie urządzenie; do tego miała po przeciwległych stronach jednakowe wgłębienia. Błyszczała w śliskiej otoczce niczym wielka ozdoba choinkowa. Matt trzymał ją w ręku i patrzył.

Kula pulsowała.

Dokładnie w tym samym momencie w Krzemowej Dolinie, niedaleko San Francisco, jeden z wysokich rangą pracowników firmy InTronic Corporation przyjechał do pracy. Zjawił się tego dnia przed czasem.

Nazywał się Phil Holbrooke i był naczelnym inżynierem działu badawczo-

rozwojowego firmy. Cieszył się ogólnokrajową estymą jako wybitny specjalista od tworzenia oprogramowania sterującego systemami produkcyjnymi.

Przyszedłszy pierwszy do swojego biura, zdjął płaszcz, powiesił go na krześle i zasiadł za biurkiem. Zaplanował krótko pracę na bieżący dzień, po czym przeszedł do czytania listów i faksów, jakie nadeszły wieczorem i nad ranem.

Wśród listów i standardowych paczek dostarczonych przez firmę wysyłkową Federal Express znalazł także zawinięty w zwykły, szary papier pakie-cik, mniej więcej wielkości powieści w wydaniu kieszonkowym. Nie było adresu nadawcy, więc spojrzał na pieczętkę. Przesyłkę wysłano z Twin Falls w stanie Idaho. Zdziwiony rozdarł papier. W środku było pudełeczko zrobione z surowego, nierównego drewna. Otworzył je, posługując się końcówką noża do listów.

Rozległa się krótka, ostra eksplozja. Wybuch urwał Holbrooke'owi prawą dłoń.

Pół godziny później na biurku naczelnego redaktora działu sportowego „San Francisco Chronicle” zadzwonił telefon. Dziennikarz usłyszał zniekształcony elektronicznie męski głos, najwyraźniej odtwarzany z taśmy. Mężczyzna przedstawił się jako „Jeździec” i przyznał do zamachu w InTronic.

Dalej nastąpiła istna litania wulgarnych przekleństw skierowanych pod adresem Żydów, Murzynów, wyznawców New Age i homoseksualistów. Najwięcej jednak jadu nadawca przesyłał naukowcom takim jak Holbrooke. Według dzwoniącego, wszyscy oni współpracowali z rządem. Ich celem było ponoć całkowite unicestwienie białych amerykańskich

mężczyzn za pomocą zaawansowanej technologii oraz tajnego systemu szpiegowskiego, działającego poprzez telefony i telewizory w całym kraju. Nagranie kończyło się złowieszczą obietnicą, że przeprowadzone zostaną kolejne ataki do czasu, aż Ameryka zostanie całkowicie oczyszczona z szumowin w rodzaju Holbrooke'a.

Był to już drugi atak „Jeźdźca”. Cztery miesiące wcześniej ciężkie rany odniósł pewien znany profesor elektroniki uniwersytetu stanu Kolorado.

Jemu

40

także przysłało pocztą podobną bombę. Jednak FBI nie dysponowało niczym poza zapisanymi w skrócie przez odbiorców wypowiedziami „Jeźdźca” oraz nieprzydatnymi szczątkami bomby.

- Boże, Mart, tak strasznie się o ciebie martwiłam! - zawołała, płacząc, Kelli. - Nic ci się nie stało...?

- Przepraszam, że puściłem słuchawkę i pobiegłem, ale zdarzyło się coś strasznego...

- Wiem, zadzwoniłam do Bev. Mart, tak bardzo mi przykro z powodu Ricka i jego dziewczyny...! Boże, to okropne...! Czy wiesz, skąd wziął się pożar?

Marquette przycisnął mocniej trzymaną pod gumowym płaszczem kulę. Drugą ręką sięgnął po kubek z kawą, którą dostał od Normy Jean. Była już zimna.

- Myślę, że zostali zamordowani - odpowiedział.

-Co...? Powtórzył.

- O Boże, co ty mówisz...?! - Nastąpiła chwila ciszy; Kelli była w oczywisty sposób oszołomiona. - Kto by to zrobił? - zapytała jednak

spokojnie po chwili. - Dlaczego? Jesteś pewien?

- Nie wiem kto, ale być może wiem, dlaczego...

Mart zawahał się. Odkąd odnalazł kulę, jego umysł pracował bez przerwy nad związkiem tego przedmiotu z tym, co się wydarzyło, i rekonstrukcją prawdopodobnego przebiegu wydarzeń. Doszedł do tego i owego.

Po pierwsze fakt, że do kuli ucepiona była radiolatarnia, świadczył o tym, że ktoś zamierzał wyłowić ją z morza. Któż by taki? Po krótkiej chwili przyszedł Marquette'owi na myśl śmigłowiec, który widzieli z Rickiem minionego wieczora, i dwóch tajemniczych mężczyzn, patrzących na nich z góry. Przypomnił sobie logo na białym kadłubie maszyny, składające się z trzech powiązanych ze sobą liter S.

Czy to ci ludzie odbierali sygnał radiolatarni, dochodzący już wtedy z brzucha rekina? Czy też byli to tylko przypadkowi miłośnicy nocnego latania, którzy zawiśli nad kutrem i wielką rybą ze zwykłej ciekawości? Tak czy owak, jeśli to byli oni, to z pewnością mogli odczytać na rufie „Big Blue” nazwę jego macierzystego portu i wiedzieć, że należy go szukać w Dungeness.

Pasowało do tego coś jeszcze: silny zapach benzyny, który uderzył Marta w nozdrza, kiedy wszedł na spalony kuter. To nie był zapach zwykłej benzyny, a raczej ostra, cierpka woń, charakterystyczna dla wysokooktanowej benzyny lotniczej. A zatem, najpewniej mężczyźni z helikoptera celowo podpalili „Big Blue”. Może po to, żeby zatrzeć ślady morderstwa? Oczywiście!

41

Marquette zdał sobie sprawę, że detektyw Dwa Łosie też musiał coś podejrzewać, ale głównym podejrzanym w jego oczach był niewątpliwie

Matt Marquette.

- Na litość boską, Matt, powiedz coś...! - odezwała się Kelli.

Marquette wyjął kulę spod płaszcza i popatrzył na nią. Ciągłe pulsowała, choć wyraźnie coraz słabiej. Bateria musiała się wyczerpywać.

Co też, u licha, może siedzieć w środku tej kuli? - zastanawiał się. Nagle przyszło mu na myśl, że w owym leciutkim pulsowaniu czai się coś straszego. Jak gdyby z niewielkiej kulki miał wylegnać się jakiś niewyobrażalny potwór.

- Matt, błagam cię!

Czy powinien jej powiedzieć? Wprowadzić ją we wszystko? Narazić jej życie na niebezpieczeństwo? Nie, nie powinna wiedzieć, o co chodzi. A jednak mogła mu pomóc, nie zdając sobie sprawy z całości sytuacji.

- Kelli, czy ty masz na uniwersytecie dostęp do aparatury rentgenowskiej?

- zapytał.

- O czym ty mówisz?

- Czy masz dostęp do aparatury rentgenowskiej?

- Mają rentgeny na wydziale medycyny; ale nie mogę powiedzieć, żebym tam miała specjalny dostęp. A po co ci to?

- Muszę dowiedzieć się, co znajduje się w środku pewnej rzeczy.

- Jakiej rzeczy?

- To nieduża kula z metalu czy jakiegoś dziwnego kompozytu; mniej więcej wielkości grejpfruta. - Marquette usłyszał nagle chrzęst opon nadjeżdżającego powoli samochodu i schował szybko kulę pod płaszcz. Zza rogu fabryczki wyjechał radiowóz posterunkowego Jensena; minął parking i zniknął za składem drewna.

- Skąd masz tę kulę? - zapytała Kelli.

- Będzie lepiej, jeżeli ci nie powiem.

- Matt, co tam się dzieje? Czy ty... w coś się wmieszałeś...?

- Nie. Zastanów się chwilę. Czy możesz jakoś dotrzeć do rentgena? Kelli zamilkła na moment, po czym odpowiedziała:

- Na wydziale inżynierii mają maszynę InYision CTX-5000; przeprowadzają na niej testy dla Federalnego Urzędu do spraw Lotnictwa. To urządzenie podobne do tych, którymi prześwietlają bagaże na lotniskach.

-I jesteś w stanie go użyć?

- Znam kilka pracujących tam osób. Myślę, że chyba dałoby się prześwietlić twoją kulę.

Wrócił Jensen. Przystanął koło parkingu, a potem skręcił i powoli wjechał do środka, zbliżając się do warsztatu.

- Muszę już kończyć - powiedział Marquette. Spojrzał na zegarek. Była za dwadzieścia siódma. - Spotkajmy się na uniwersytecie około południa.

Gdzie jest budynek wydziału inżynierii?

42

- Dokładnie naprzeciw naszego, po drugiej stronie Steven's Way. Nazywa się Loew Hali.

- Dobra.

-Matt?

-Tak?

- Kocham cię.

Kelli pierwszy raz wypowiedziała te słowa zwyczajnie, w biały dzień.

Wcześniej to Marquette powtarzał je już niejednokrotnie; jednak tylko w chwilach seksualnej ekstazy, jako element stosunku.

Teraz nie był w stanie ich wymówić. Zobaczył, że radiowóz zatrzymuje się tuż obok niego.

- Naprawdę muszę kończyć - powtórzył i odwiesił słuchawkę.

Zostawił kubek Normy Jean na telefonie i podszedł do samochodu. Jensen uśmiechnął się; w jego ciemnych okularach odbijał się dwukrotnie miniaturowy obraz Marta.

- Jak pan sobie radzi? - zagadnął posterunkowy.

- W porządku.

- Zjeżdżam z dyżuru. Może podwieźć pana do domu? Marquette zastanowił się chwilę.

- Czemu nie? Dziękuję.

Wsiadł do radiowozu. W środku pachniało skórą i nadajnikami radiowymi. Teraz dołączył do tego lekki odór martwego rekina.

Dwie godziny później Matt szedł przez teren przystani promowej Port Town-send, trzymając w ręku małą, niebieską torbę sportową z logo University of Washington. Wspiął się po trapie na pokład samochodowy promu „Kitsap”.

Mgła nad wodą szybko opadła. Teraz od cieśniny Haro wiał zimny wiatr, szumiąc cicho wśród zapelniających otwarty pokład samochodów.

Marquette kupił w barze kawę i słodki rogalik. Znalazł pusty boks koło prawej burty i usiadł. We wpadającym przez duże iluminatory zimnym świetle słońca widać było unoszące się drobiny kurzu.

Odezwała się przeciągle syrena promu. Brzeg się oddalał. Matt jadł, wyglądając bezwiednie przez okno. Owładnęło nim poczucie straty.

Minionej nocy wszystko obróciło się w perzynę. Zdawał sobie w dodatku sprawę, że w najbliższej przyszłości czekają go poważne

niebezpieczeństwa. Był prawdziwie przygnębiony.

Wstydział się tej reakcji. Dawniej zawsze świetnie dawał sobie radę w obliczu trudności i śmierci bliskich osób. Poczynając od chwili, kiedy zginął jego ojciec, gdy młody Marquette miał zaledwie dwanaście lat, poprzez utratę kolejnych kolegów w Wietnamie, którzy odchodzili tak nagle. Zawsze jednak zadziwiająco szybko przyzwyczajał się do nowej sytuacji.

43

Lecz śmierć Ricka i Julie przygnębiła go. Nie miał teraz wątpliwości, że zabito ich rozmyślnie. Przypadkowość tego faktu zdawała się szokująca i Matt nie mógł się otrząsnąć.

Jego ojciec zginął na platformie wiertniczej, ponieważ wykonywał bardzo niebezpieczną pracę. Żołnierz także zdaje sobie sprawę, że ryzykuje życie. Jednak nagła śmierć, jaka nadeszła minionej nocy, wydawała się niepotrzebna, za bardzo nieoczekiwana.

Czy mógł jej zapobiec? Gdyby odmówił Rickowi wykorzystania kutra do zamierzonych celów lub też szybciej wrócił na „Big Blue”? Pojawilo się na nowo poczucie winy, wypływające z głębi świadomości Matta, gdzie pozostawało ukryte od dłuższego czasu.

Otrząsnął się ze smutnych myśli i zaczął zastanawiać nad zachowaniem posterunkowego Jensena. Było oczywiste, że policjant otrzymał rozkaz śledzenia go. Odwiozłszy Matta do domu, kręcił się przed wejściem przez kilka minut, a potem udał, że odjeżdża - w rzeczywistości odsunął się jedynie kawałek i zaparkował radiowóz za kępą klonów.

Marquette obserwował go chwilę, a potem poszedł się ogolić. Wziął szybki prysznic i ubrał się. Założył dzinsy, tenisówki i kurtkę, w jakiej

chodzą w stanie Waszyngton listonosze. Atletycznie zbudowany, wyglądał teraz jak zawodnik pierwszoligowej drużyny futbolowej z Seattle.

Wezwał telefonicznie taksówkę, zawinął kulę w ręcznik i wrzucił do sportowej torby. Po chwili wahania wyjął z szafki pistolet firmy Browning, kaliber dziewięć milimetrów, model Hi-Power. Była to jego broń osobista, kiedy służył w Navy SEAUs.

Sprawdził magazynek i schował pistolet, zawinawszy go w drugi ręcznik. Nie chciał, żeby na ścianie torby był widoczny zarys browninga.

Taksówkarzem okazał się młody Kambodżanin, zwany przez wszystkich Won Ton. Zatrzymał się przed domem Marquette'a i zatrąbił dwukrotnie. Matt wsiadł do auta i ruszyli. Kiedy mijali radiowóz Jensena, Marquette zamachał do niego. Posterunkowy ledwie skinął głową.

Skierowali się ku Port Townsend. Won Ton jechał spokojnym, jednostajnym tempem, a Matt wyglądał przez tylną szybę. Radiowóz podążał za nimi przez kilka minut, trzymając się daleko z tyłu, a następnie zawrócił na skrzyżowaniu z drogą stanową i pojechał z powrotem do Port Angeles.

- Urwał się wreszcie? - zagadnął Kambodżanin.

-Tak.

- Ten Jensen to wścibski typ - skomentował Won Ton, nabierając prędkości.

Matt poczuł wibracje starego chevroleta i nagle owładnął nim zadawniony strach. Zaczął się pocić.

Od czasu wypadku w Hiszpanii Marquette nie był w stanie znieść dużej prędkości.

- Cholera jasna! - warknął w stronę kierowcy. - Zwolnij, człowieku!

Won Ton zaskoczony spojrział na niego kątem oka i zdjął nogę z gazu.

Matt odetchnął teraz głęboko i oparł głowę o fotel promu. Jego serce powoli się uspokajało. Zamknął oczy i dotknął ukrytej w torbie kuli.

Uderzyła go nagła myśl. A jeśli to była bomba? Chryste Panie, przecież zabierał ją właśnie do wielkiego miasta. I do Kelli!

Przesunął raz jeszcze palcami po wybrzuszeniu torby. Przypomniawszy sobie dokładnie jej masę. Nie, to nie może być bomba - pomyślał z ulgą. Za lekka. A poza tym, cokolwiek to było, nie stanowiło całości. Wgłębienia świadczyły o tym, że należy kulę do czegoś zamontować, prawdopodobnie dopiero wtedy zacznie działać.

Natychmiast wyłapał to spojrzenie.

Po lewej stronie, odrobinę za nim, w boksie baru siedzieli dwaj mężczyźni. Jeden był wysoki; miał pociągłą, jakby wykutą z kamienia twarz i ponure szare oczy; ubrany był we wzorzystą ciepłą bluzę, jakich używają w Montanie. Drugi, młodszy, miał oblicze zawodowego boksera. Nosił wytartą skórzaną lotniczą kurtkę i okulary typu „lustrzanki”.

Marquette zorientował się, że starszy patrzy prosto na niego. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, mężczyzna szybko odwrócił wzrok. Zbyt szybko.

A po chwili jego szare oczy znowu przyglądały się Mattowi.

Serce Marquette'a zaczęło walić niespokojnie.

Przez resztę krótkiego rejsu nie patrzył już na dwóch nieznajomych.

Dziesięć minut przed wylądowaniem do przystani w Seattle wstał i wyszedł na zewnętrzny pokład. Koło drzwi siedziała po turecku młodziutka dziewczyna w wełnianej opończy i grała na skrzypcach. Miała nieobecny minę, jakby była pogrążona w transie.

Marquette minął ją i oparł się o prawy reling promu. Wiatr zaczął szarpać jego włosy; powietrze było zimne i pachnące solą. Kątem oka Matt dostrzegł, że tuż za drzwiami baru stał mężczyzna w indiańskiej bluzie i obserwował go.

Przed promem rozciągała się panorama odległego o jakieś półtora kilometra miasta. Szklane ściany wieżowców kontrastowały z wrzecionowatą, stuosiemdziesięciometrową wieżą Space Needle. Po prawej stała przysadzista, odwrócona do góry nogami „miska” hali widowiskowo-sportowej King Dome. Dalej, pod powłoką chmur, rysował się grzbiet wielkiego pasma Gór Kaskadowych z ośnieżonym stożkiem masywu Rainier.

Prom zwolnił i dał ostrzegawczy sygnał syreną- dwa długie i dwa krótkie dźwięki. Matt, starając się zachowywać obojętnie, ruszył wzdłuż nadbudówki w stronę dziobu. Mężczyzna o końskiej twarzy natychmiast podążył za nim, po chwili dołączył do niego kompan.

Przy zewnętrznym trapie na pokład samochodowy Marquette przystanął. W tym miejscu nie było go widać z okien baru, gdyż zasłaniał go przedni
45

prawy róg nadbudówki. Matt wyjrzał w kierunku drzwi, którymi mogli wyjść dwaj mężczyźni, a potem odepchnął się od relingu i popędził na niższy pokład, przeskakując po trzy stopnie naraz.

Pomimo burczenia silników statku usłyszał nad sobą trzask drzwi kabiny pasażerskiej, a następnie łomot butów na metalowych schodkach. Pobiegł skulony pomiędzy parkującymi pojazdami.

Ludzie siedzieli w samochodach, czytali, popijali kawę. Marquette przystanął i wyciągnął pistolet. Przeładował go i wcisnął broń za pasek.

Wybrał czerwonego terenowego chevroleta blazera, stojącego w drugim rzędzie. Otworzył gwałtownie drzwi po stronie pasażera. Kierowca drzemał z odchyłoną do tyłu głową opartą o zagłówek. Był młodym Murzynem; miał dredy i jasnoniebieski pulower.

Zbudził się i popatrzył na Marquette'a ze zdumieniem i złością.

- Ej, co pan sobie myślisz, do jasnej cholery?! - zawołał. Matt wyjął z kieszeni dwadzieścia dolarów.

- To dla pana, jeśli zwiezie mnie pan z tego statku - powiedział.

- Co? Do czego ty pijesz, głupku?

- Próbuję uciec przed moją byłą żoną, stary - wytłumaczył Marquette.

Zamachał banknotem przed nosem rozmówcy.

Młody człowiek skrzywił się i przyjrzał Mattowi uważnie. Parsknął i zabrał mu z ręki pieniądze,

- Ale z pana numer! - skomentował z niesmakiem.

Prom zakołysał się, przybijając do nabrzeża. Silniki zawarczały na wysokich obrotach i zamilkły. Szlaban na końcu pokładu uniósł się chwiejnie. Matt zobaczył dwóch mężczyzn, szukających go pomiędzy samochodami; skakali od jednego do drugiego i zaglądali pod podwozia. W końcu zauważyli Marquette'a.

Samochody z pierwszego szeregu zaczęły podjeżdżać do rampy, ustawiając się w dwa równoległe rzędy. Marynarz dawał im po kolei sygnały odjazdu. Kierowca blazera uruchomił silnik i ruszył naprzód.

Dwaj mężczyźni stanęli naprzeciw terenowego wozu, trzymając prawe ręce pod kurtkami. Starszy klepnął w maskę samochodu otwartą dłonią i pokazał palcem na Matta.

Kierowca zdenerwował się, wystawił głowę przez okno i zawołał ostro:

- Z drogi, gamonie, bo was rozjadę!

W tym momencie nadszedł marynarz, wymachując energicznie ręką.

- Odsunąć się, nie tamować ruchu! - ponaglił.

Mężczyźni popatrzyli po sobie, rozstąpili się i zaczęli biec po obu stronach ruszającego samochodu. Chudy w indiańskiej bluzie, zbliżywszy się do drzwi Marquette'a, krzyknął coś w jego stronę.

Chevrolet znalazł się tymczasem na rampie zjazdowej. Minał przycumowany obok stateczek strażacki i restaurację „Ivers” i zjechał na nabrzeże. Kierowca zmrużył oczy, przyjrzał się jeszcze raz Mattowi i powiedział:

46

- Wiesz co, stary? Zdaje mi się, że ta uparta suka, której próbujesz uciec, ma dwie pary jaj...

Po minucie czerwony chevrolet zniknął w tłumie innych samochodów, wypełniających rano Pierwszą Aleję.

Kizzier przyszedł do pracy z lekkim kacem. Po aresztowaniu Goodella spędzili z Azevedo godzinę w jednej ze spelun Garden City, pijąc piwo.

Jo-Jo wyszedł na korytarz i poinformował kolegę:

- Właśnie dzwonił Williams. - Uśmiechał się zagadkowo.

- Co jest? - spytał Albert.

- Dzisiaj rano zginął nasz EJ. Ukatrupili go. Al otworzył szeroko usta.

-Nie gadaj!

Jo-Jo pokiwał poważnie głową.

- W areszcie przy Madder Avenue w toalecie ktoś wsadził mi w wątrobę kawałek szyby okiennej. Błyskawicznie, cicho, zupełnie jakby to był żołnierz Sił Specjalnych.

- Dostanę niezły ochrzan - skomentował Kizzier. Był szatynem o bladej karnacji, nosił krótko przystrzyżone włosy oraz okulary bez oprawek, które nadawały mu inteligentny wygląd. Mógłby udawać dyrektora jakiegoś niewielkiego, lokalnego college'u. Jednak w chwilach zdenerwowania czy wściekłości potrafił patrzeć tępo i zimno. Czasami mawiano za jego plecami, że ma spojrzenie kobry.

Podniósł wzrok.

- Są podejrzenia, kto to zrobił? - zapytał.

- Nic bardziej konkretnego niż zwykle - odparł Azevedo. - Williams chce się z tobą natychmiast rozmówić.

Zastępca prokuratora okręgowego był wściekły.

- Co to za sprawa z tym zamordowaniem Goodella? - warknął przez telefon. - Cholera jasna, Al, oberwie się za to nam wszystkim. Chcę wiedzieć, co jest grane.

- Historia jest o wiele bardziej złożona, niż się wydaje, George - odpowiedział Albert.

- Wiem, Azevedo wspominał mi coś o jakimś niemieckim skinheadzie. O co chodzi?

Kizzier mu wytłumaczył.

47

- Chryste! - zawołał Williams, oszołomiony. - Jest w to zamieszany „Hitler”-Hans Halberstadt? Jesteś pewien?

- Bez dwóch zdań. Widziałem na nagraniu wideo.

- To jego sfilmowali w Salmon, tak?

- Owszem.

- Co on, u diaska, może robić w Idaho?

- To oczywiste. Narody Aryjskie importowały go do nas. Myślę, że szykują coś dużego.

- Jezus Maria - jęknął zastępca prokuratora. - Co to może być?

- Bo ja wiem? Jakiś wielki przerzut narkotyków lub broni, może nawet Halberstadt ma dokonać zamachu na kogoś ważnego.

Williams wypuścił ze świstem nagromadzone w płucach powietrze.

- Teraz, kiedy zabito Goodella - ciągnął Kizzier - nie mamy jak do tego dojść. Możemy oczywiście zacząć intensywniej śledzić Narody Aryjskie i uruchomić kilku informatorów, ale to potrwa. Przypuszczam, że nie mamy zbyt wiele czasu.

- Czekaj no, może ja coś mam - odpowiedział Williams. - Dzisiaj rano rozmawiałem z przydzielonym Goodellowi obrońcą z urzędu. To kobieta. Nie wiedziała wiele; zamieniła z nim tylko parę słów, zanim zabrali go na Mad-der. Ale powiedziała coś ciekawego.

-Co?

- Goodell był podobno śmiertelnie przerażony, że będzie musiał odsiadywać wyrok. Bał się, że Murzyni go wykończą. Dlatego oznajmił, że będzie negocjował sprzedaż pewnych bardzo ważnych informacji. Kizzier wyprostował się.

- Jakich informacji?

- Wszystkiego się nie dowiedziała - ciągnął Williams - ale wyjaśniła mi, że to ma mieć coś wspólnego z jakimś heine i że się stanie albo w Seattle, albo w Vancouverze w Kanadzie. Nie miała pojęcia, co to znaczy heine, ja też nie mam.

- Tak nazywano u nas w czasie wojny Niemców. To to samo co szwab. Zastępca prokuratora stęknął.

- Kółko nam się zamyka, co? - skomentował.
- Zadzwoń jeszcze do ciebie, dobrze? - zaproponował Albert.
- Za pół godziny mam być w sądzie.
- Daj mi pięć minut - odparł Kizzier. Odłożył słuchawkę i skinął na Jo-Jo.
- Słuchaj, kiedy upolowałeś tych handlarzy narkotykami, którzy rozprawdzali towar po stanie?

Azevedo wzruszył ramionami.

- Ze trzy lata temu.
- W kontekście tamtej sprawy co sądzisz o tym, co mamy?

48

- Nie dziwię się, że rzecz ma się odbyć w Seattle. Zawsze gnieździły się tam grupy paramilitarne czy antyrządowe. Jeśli mają sprowadzić broń czy narkotyki, to raczej tu niż do Kanady. Od czasu kiedy chińska mafia przejęła kontrolę w Vancouverze, Kanadyjczycy bardzo poważnie zaostrzyli kontrolę celną.

Kizzier zastanowił się.

- Jaka jest szansa, że uda ci się odnowić któryś z tamtych kontaktów?
- spytał. - Nakłonić do odpowiedzi ludzi, którzy wiedzieliby, czy taki niemiecki zbój jak Halberstadt pojawił się w mieście?

Jo-Jo zmrużył oczy i odparł:

- Trudno mi powiedzieć. Musiałbym najpierw zbadać grunt.
- Dobrze, i nie zapominaj, kto teraz przyszedł ci na myśl. Albert wykrecił znów numer do Williamsa.
- Chciałbym natychmiast wysłać Jo-Jo do Seattle - oświadczył.
- Liczysz na ślepy traf? - spytał zastępca prokuratora.
- Słuchaj, wiesz, że rejon cieśniny Puget to wylęgarnia skinowskiego

podziemia - argumentował Kizzier - Poza tym to jedyny ślad w sprawie Hansa „Hitlera”, jaki mamy.

- No doobra... - burknął Williams zniechęconym tonem.

- Chciałbym także, żebyś milczał o tej sprawie jak grób - ciągnął Albert. - Uspokajaj dziennikarzy, gdyby mieli jakieś konkretne pytania. Powiedz, że Goodella zabił zazdrosny współwięzień czy coś w tym rodzaju. I niech faceci w garniturach trzymają się od tego z daleka.

- Jak to, chcesz, żebym nie informował Waszyngtonu? - spytał zastępca prokuratora.

- Zastanów się, George. Jeśli wokół zaczną węszyć dziennikarze, a te dupki z Waszyngtonu będą maczać w tym palce, spłoszymy sukinsynów. Nie mam racji?

- Masz, rzeczywiście, ale...

- Słuchaj. To my dostaliśmy do rozbrojenia tę bombę. Trafiła się nam, bez udziału agentów FBI czy celników. No to dopilnujmy, żeby nam jej nikt nie wysadził.

Zastępca prokuratora okręgowego zamilkł. W końcu zapytał:

- Co będzie z pozwoleniem dla ciebie na działanie poza granicami stanu?

- Cundiff chyba je wyda, co? - upewnił się Albert. James Cundiff był okręgowym dyrektorem Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej na obszar stanów Idaho, Nevada i Wyoming.

- Pewnie, tylko że wtedy cały Waszyngton się dowie, o co chodzi - wyjaśnił Williams. - Ale może się uda to załatwić z którymś z jego zastępców, Lawrence'em albo Copelandem.

- Czy mogę na to liczyć?

4 - Oddech śmierci

- Myślę, że spokojnie.

- To dobrze. A kogo poruszymy, żeby wydał międzynarodowy nakaz aresztowania? — Departament stanu musiał wydać taki nakaz na prośbę federalnego sędziego okręgowego, ilekroć chodzi o obcokrajowca.

- Jasne, że Faulka - odparł Williams. - Kiedy tylko usłyszy o Halberstadzie, natychmiast się zapieni i wystąpi o nakaz, a departament stanu nigdy nie podaje w wątpliwość jego próśb.

- Co trzeba będzie uściślić? - wypytywał Kizzier.

- Jestem pewien, że dostaniesz od niego otwarty nakaz.

- Jak szybko możemy otrzymać te dokumenty? Chciałbym, żeby Azevedo jak najprędzej działał oficjalnie.

- Przykro mi, Al, ale do wydania międzynarodowego nakazu aresztowania musi upłynąć przepisowe trzydzieści sześć godzin.

- Rozumiem, będzie musiało wystarczyć.

- Słuchaj, Kizzier- powiedział Williams - chcę wiedzieć o wszystkim, co w tej sprawie robisz, jasne? Kontroluj także swojego człowieka, nie wypuszczaj go luzem, zrozumiałeś? - Zastanowił się chwilę. - A tak poza tym: gdzie są te P-5, które znalazłeś u Goodella? W okręgu mówią mi, że nie pojawiły się nawet w inwentarzu...

- Mam je u siebie - przyznał Albert i zachichotał. - George, przecież wiesz, że zawsze co do joty wypełniam regulamin.

- To byłby dopiero wielki dzień...! - sapnął zastępca prokuratora i odłożył słuchawkę.

Po daremnych poszukiwaniach Marquette'a w okolicach portu Stone wysłał Basseta z powrotem do Dungeness, a sam pojechał taksówką do

hotelu Hilton, w samym centrum miasta.

W nocy przyleciał z Boise jego wspólnik Fettis. Spał teraz na kanapie.

Telewizor był cały czas włączony, tylko ściśniony niemal do zera.

GUS zrzucił z siebie płaszcz wprost na podłogę. Mimo że był niski, miał potężne mięśnie dzięki codziennym ćwiczeniom w siłowni. Jego barczyste ramiona i pierś rysowały się wyraźnie pod swetrem. Był szatynem, strzygł się krótko; miał krzaczaste brwi, rozrośnięte od branych przez lata sterydów.

Stone nie budził go. Znalazł szklaneczkę i opróżnioną do połowy butelkę Jacka Danielsa. Nalał sobie drinka, potem drugiego. Alkohol zapiekł go, ale poza tym nic się nie zmieniło. Jack był ciągle napięty, podekscytowany od nadmiaru adrenaliny; krew pulsowała mu w skroniach.

Bez kuli cały jego plan w mgnieniu oka szedł w rozsypkę. Wszystko co sobie misternie obmyślił. Stone wypił kolejną szklaneczkę i zaczął chodzić po pokoju, patrząc bezwiednie po złotozółtych ścianach, to znów wyglądając przez wielkie okno.

50

W końcu zwrócił uwagę na otwartą walizkę Fettisa. Podeszedł do niej i zaczął grzebać pomiędzy rzeczami. Pod złożonymi koszulami odnalazł dwa owinięte w aksamitne szmatki przedmioty. Wyjął je i ostrożnie położył na stole.

Rozwinął pierwszy. Zobaczył plastikowe pudełeczko, w jego wnętrzu znajdował się czarny zbiorniczek wielkości małej puszki piwa. Zrobiony był z żywicy epoksydowej. Jack wiedział, że w środku znajduje się zegar i mechanizm uruchamiający oraz kapsuła z piorunianem rtęci. Mimo wszystko urządzenie było niezwykle lekkie.

Drugie było cięższe. Ono również miało kształt cylindra; było szare; na jednym końcu znajdował się osłonięty w zagłębieniu przycisk włączający, z białą i zieloną diodą na drugim - cylinder o mniejszej średnicy, kryjący grafitową igłę.

Oba urządzenia zostały po kryjomu wyprodukowane według dostarczonej przez niego dokumentacji przez firmę elektroniczną Soi de Rojo, znajdującą się w mieście Huatambampo w Meksyku, a będącą własnością Niemców. Przemyciono je do Boise w ciężarówce wiozącej drukowane płytki dla Stone Security.

Stone przyjrzał się uważnie obydwu przedmiotom, potem zawinął je z powrotem i włożył do walizki. Ponownie zaczął chodzić po apartamencie. Zatrzymał się przy oknie, przez które wpadało blade światło słońca, odbijając się delikatnym połyskiem na złoceniach w rogach pokoju. Po prawej widać było rozciągającą się cieśninę, upstrzoną w oddali pograżonymi we mgle, lesistymi wysepkami.

Dokładnie naprzeciwko okna Jacka stał wysoki Century Plaża Building. Poranne słońce odbijało się w szeregach jego szyb niczym w płytach lodu. Za północno-wschodnim rogiem drapacza chmur widać było Space Needle. Obracająca się restauracja na wierzchołku wieży wyglądała jak wielkie UFO, które ktoś na chwilę przycumował do ziemi.

Stone gapił się na nią. Na platformie obserwacyjnej przemieszczały się powoli kolorowe, małe figurki ludzi. Błysnęło coś mikroskopijnego - zegarek czy bransoletka turysty odbiły światło słońca prosto w twarz Jacka.

Stone zastanawiał się nad tym błyskiem. Wydawało się, że coś symbolizuje. Jakby budzenie się do życia po chwilowym wypaleniu się.

Tak - pomyślał - cholera jasna, właśnie. Poczul, że zaczyna wzbierać w nim nowa złość, rodzi się znów gotowość do działania...

Jack Stone nie należał do ludzi, którzy dobrze znoszą przegraną. Kiedy już raz upatrzył sobie jakiś cel, zmierzał do niego nieubłaganie niczym rakietą typu Cruise, pokonując wszelkie przeszkody. Osiągał to, co sobie zamierzył, nie zważając ani na użyte środki, ani na przewidywalne konsekwencje.

Kiedyś, gdy miał dziewięć lat i mieszkał na jasnoszarej równinie Red Lun w Dakocie Południowej, pożądał jak niczego na świecie pewnego konia> wielkiego ogiera, wysokiego kasztana o smukłych, prężnych jak postronki

51
mięśniach. Wierzchowiec ów należał do farmera nazwiskiem Eckman, Szweda z pochodzenia. Jack często chodził piechotą pięć kilometrów na farmę Eck-mana, żeby karmić zwierzę kostkami brunatnego cukru i głaskać jego piękną, dziką głowę.

Aż odchodził od zmysłów, tak bardzo pragnął dosiąść wspaniałego rumaka. Pewnego ranka, nie będąc już w stanie opanować tęsknoty za nim, wykradł go i jeździł cały dzień po kamienistej równinie. O konsekwencjach nie pomyślał ani razu.

Gdy nadszedł wieczór, wrócił do domu i ukrył kasztana w małej szopie, koło błotnistej stawu. Dwie godziny później starym fordem platformą przyjechał Eckman. Miał ze sobą dubeltówkę.

„Stone!” - zawołał w ciemności. „Przyjechałem po mojego konia! Wiem, że go masz! Moja żona widziała, jak kradł go twój cholerny syn!”

Ojciec wypytał małego Jacka, o co chodzi, a chłopiec przyznał się bez namysłu. Ojciec, przeklinając, wyszedł przed dom, żeby porozmawiać ze

Szwedem. Jako zadośćuczynienie zaproponował mu, żeby wybrał sobie konia spośród jego zwierząt. Eckman odpowiedział, żeby dał spokój, zabrał swojego ogiera i odjechał.

Ojciec zbił wtedy Jacka lassem aż do krwi. Chłopiec nie płakał, chociaż pośladki paliły go, jakby ktoś przypiekał go ogniem, a potem bolały jeszcze przez tydzień. Później oczy błyszczały mu jednak triumfem. Piękny ogier był jego przez cały dzień i połowę wieczoru...

W tym momencie Fettis zakaszlał i uniósł się na kanapie, napinając ramiona.

- Jak tam, masz kulę? Stone powoli pokręcił głową.

-Nie.

- No coś ty, chyba żartujesz...?

Jack opowiedział mu o poszukiwaniach na oceanie i o tym, że kula została wyłowiona przez rybaków, zanim zdążyli dotrzeć do niej z Bassetem.

Mówił o tym, co zrobili później z kutrem. Rzucił przekleństwo.

- Już ją prawie mieliśmy - mówił. - Była gdzieś na rufie. Ale zanim ją dokładnie zlokalizowaliśmy, ten gówniarz wywołał przedwcześnie pożar.

- Jaki gówniarz?

Stone opowiedział o młodziutkim rybaku i jego dziewczynie, kochających się na dolnym pokładzie, a potem o tym, jak podczas nieudanej walki z Bassetem chłopak uderzył stalowym prętem w butanowy grzejnik, wywołując błyskawiczny pożar. Jay i Jack musieli natychmiast uciekać, pozostawiając kulę. Stone zakończył opowiadanie krótką relacją z próby dopadnięcia na promie starszego z rybaków.

Fettis słuchał go, zerkając spod gęstych brwi. Kiedy Jack skończył, GUS pokręcił głową i zachichotał ironicznie.

- Jezu, chłopie; zupełnie jakbyś opowiadał mi film o Flipie i Flapie!

-skomentował. - Obawiam się, że na tym koniec...

- Jeszcze nie. Musimy zatem odnaleźć tego rybaka. Widziałem, że wyniósł coś z łodzi pod płaszczem.

-Ale jak go odnajdziesz, na litość boską? — odparł Fettis. — Nawet nie wiesz, jak się nazywa.

- Pewnie napiszą w gazetach. A poza tym, prędzej czy później, skurwysyn wróci do Dungeness.

- Mamy tylko dwa dni, pamiętasz? - przypominał Stone'owi wspólnik.

- Mówię ci, że go znajdziemy. - Jack nie dawał za wygraną. Wrócił do butelki i nalał sobie kolejną szklaneczkę.

GUS zaczął gmerać w kieszeniach płaszcza w poszukiwaniu papierosów.

Zapalił i zamyślił się. Po chwili parsknął ze złością.

- Nie wiedziałeś, że ten przygłup Basset wsadzi w faceta nóż? Nie ma przez to mowy, żeby uznali to za przypadkową eksplozję.

- Może tak źle nie jest? - oponował Jack. - Ta wysokooktanowa benzyna paliła się naprawdę gwałtownie. Być może ciało zostało tak spalone, że nie widać rany.

- Nie licz na to za bardzo.

Stone skinął głową w stronę otwartej walizki.

- Oba elementy działają dobrze? - zapytał.

- Niemal idealnie - odparł Fettis. - Zegar spóźnił się jedną dziesiątą sekundy, ale to bez znaczenia. - Nagle opuścił brwi. Patrzył machinalnie w ściszony telewizor, nagle podniósł pilota i podgłośnił.

- Zobacz! - powiedział.

Lokalna stacja nadawała dziennik. Hoża blondynka opowiadała: „... .nazwisko nie zostało podane. Wiemy tylko, że był to jeden z czołowych specjalistów firmy InTronic. Nie ujawniono również szczegółów dotyczących bomby; za to wiarygodne źródła donoszą, że do redakcji »San Francisco Chronicle« zadzwonił anonimowy rozmówca, który przyznał się do zamachu. Nazwał siebie »Jeźdźcem« - tak samo jak sprawca wcześniejszego zamachu na...”

GUS zerknął na Stone'a, uśmiechając się szeroko.

- No popatrz.

Jack także się uśmiechnął.

- Jeden zero dla nas - skomentował.

- Dwa zero - poprawił Fettis. - Nie powiedziałem ci jeszcze. Aresztowanie Goodella przebiegło zgodnie z planem.

- Czy agenci Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej znaleźli nagranie wideo?

- T-Bucks potwierdził, że znaleźli.

- A co z zamachem na Goodella?

- Jeszcze nie wiem.

53

Zadzwonił telefon. Jack złapał słuchawkę.

-Tak?

- Stone? - odezwał się dźwięczny męski głos. - Tu Grady.

- Spóźnił się pan.

- Przepraszam, kolego. Musiałem wydobyć dzisiaj rano z ciupy jednego gościa. Jak tam, wszyscy gotowi?

- Tak, po tej stronie na pewno.

John Wayne Grady był znanym prawnikiem z Seattle. Wysławiał się gładko i miło, wzięty w krzyżowy ogień pytań potrafił być jednak ostry. Urodził się w okręgu Lincoln w stanie Nowy Meksyk czterdzieści dziewięć lat temu. Zawsze chodził w niebieskich dżinsach, w kurtce i w czarnym kowbojskim kapeluszu ze srebrno-turkusową opaską. Był to jego nieodłączny atrybut; czasem miał go nawet na sali sądowej.

Klienci Grady'ego pochodzili zwykle ze społecznych szumowin. Byli nimi dużego kalibru przestępcy - chińscy mafiosi z dzielnicy Vancouveru zwanej Saltwater City, płatni mordercy przysyłani z Kalifornii, a zwłaszcza członkowie różnych paramilitarnych organizacji antyrządowych, które rozpleniły się na północnym zachodzie Stanów Zjednoczonych. Dla tych ostatnich żywił skrywane sympatie.

Tym razem miał odegrać kluczową rolę w realizacji planów Jacka Stone, chociaż nie wiedział, jaki był cel całego zamierzenia.

- Wspaniale - odpowiedział na ostatnią kwestię Stone'a.

- Czy rozmawiał pan już z Keckiem? - zapytał Jack. Dieder Keck był sześćdziesięcioletnim Niemcem z Frankfurtu. Wprawdzie zajmował niskie stanowisko w administracji rządowej Niemiec, był jednak jedną z czołowych postaci europejskich ruchów neofaszystowskich. Grady pełnił w tej chwili rolę łącznika pomiędzy nim a Narodami Aryjskimi z Seattle w celu zorganizowania zakupu broni.

Adwokat nie wiedział jednak, że ma jedynie odwracać uwagę od rzeczywistego planu Stone'a i Fettisa, który był o wiele bardziej złożony. To samo zadanie miały spełnić także bomby tak zwanego „Jeźdźca” - postaci wymyślonej przez współników. Chodziło wyłącznie o zmylenie śledztwa. Podobnie było z podaniem agentom Biura do spraw Alkoholu,

Tytoniu i Broni Palnej miejsca przebywania Goodella i podłożeniem kasety wideo z rozmową młodego Niemca z przedstawicielem jednej z amerykańskich paramilitarnych organizacji antyrządowych.

Dwa miesiące zajęło Stone'owi i Fettisowi stopniowe uruchamianie, zgodnie z założonym terminarzem, wszystkich elementów wielokierunkowego planu. Założono także, kiedy i gdzie zostanie aresztowany Halberstadt, gdy już przybędzie do Seattle. Zostanie kozłem ofiarnym, a jego powiązania zajmą stróżów prawa i przesłonią winę dwóch współników, którzy w końcu przeprowadzą swój prawdziwy atak.

54

- Tak, dzisiaj rano - odpowiedział na pytanie Jacka Grady. - Stary Keck przybędzie do Yictorii pojutrze.

-A co z planem podróży Halberstadta? - wypytywał Stone. - Czy jest pan absolutnie pewny, że będą się dokładnie trzymać moich ustaleń?

- Co do joty, kolego.

- Kto będzie pańskim łącznikiem?

- Pewna moja przyjaciółka. Słodka dziewczyna; ostra jak brzytwa za dziesięć dolarów.

-A jeśli zaczniesz zadawać pytania o facetów, którymi się zajmuje?

-Nie zacznie. Ona wie tylko, że wkrótce dwóch przyjaciół przyjaciela będzie szukało dobrej zabawy.

- To ten Grady „Dwa Pistolety”? - spytał Stone'a GUS.

-Tak

- Powiedz mu, że jego Prawdziwi Ludzie strasznie się podjarali przyjazdem tego faszystowskiego debila. Jack odezwał się do adwokata:

- W Idaho aż zacierają ręce na myśl o tym, że jest wśród nas ten gość z

Niemiec.

Grady zachichotał gardłowo niczym gracz w pokera, który wyciągnął właśnie trzy asy.

- Mogę sobie wyobrazić...! - przyznał.

- Dobrze, zadzwonię do pana, kiedy będzie ustalony dokładny czas ich przybycia - zakończył Stone.

- Do miłego usłyszenia - pożegnał go Grady i odłożył słuchawkę.

-Hej, słuchaj! - zawołał nagle Fetti, nachylił się i postukał palcem w ekran telewizora.

Spiker „Seattle Today” zaczynał właśnie przeprowadzać wywiad. Jego gościem był atrakcyjny mężczyzna o młodzieńczym wyglądzie. Miał ciemnobrązową sportową skórzaną kurtkę, duże ciemne okulary i dość długie włosy, spięte w mały koński ogon. Nazywał się Jeny Cornell i był prezesem PrimeData Corporation - wielkiej firmy produkującej oprogramowanie, z siedzibą w Seattle.

Firma została założona przez komputerowego geniusza Williama Ballarda, który był podówczas jeszcze studentem Uniwersytetu Stanowego Orego-nu w Corvallis. Obecnie udział PrimeData w całej ogólnoswiatowej sprzedaży oprogramowania wynosił niemal trzy czwarte. Ballard i wszyscy jego wspólnicy zostali wielokrotnymi miliarderni.

Dwaj mężczyźni wymienili uprzejmości, po czym dziennikarz zapytał:

- Proszę pana, co to jest STAMINA-2000, którą wkrótce wprowadzi pan na amerykański rynek?

Cornell założył nogę na nogę, oparł się wygodnie i odpowiedział:

-Mówiąc najprościej, jest to absolutnie pewny system zabezpieczający; dosłownie nie do złamania. Stwarza absolutnie bezpieczne środowisko

ochronne

55

dla każdego komputera; w szczególności dla tych, które są podłączone do Internetu, a także do innych sieci.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że będę teraz mógł podróżować po Internecie bez najmniejszej obawy, że ściągnę niechcący wirusa lub że ktoś dostanie się do moich danych?

- Tak. Poza tym to system niezwykle przyjazny dla użytkownika. Nie trzeba pamiętać żadnych kodów czy specjalnych poleceń.

Dziennikarz pochylił głowę w wyrazie niedowierzania i ciągnął:

- Niech mi pan szczerze powie, czy naprawdę jest możliwe uzyskanie absolutnego bezpieczeństwa? Czy nie jest tak, że każdy system może w końcu ulec jakimś specjalnym programom?

Cornell uśmiechnął się spokojnie i odparł:

- Wierzmy, że nasza technologia programowania jest w stanie sprostać i sprosta wszelkim próbom złamania systemu przynajmniej przez najbliższe dziesięć lat.

- Czym różni się STAMENA-2000 od wcześniejszych systemów zabezpieczających?

- Podstawową architekturą. Czy zna pan „Pomarańczową książeczkę”?

- To biblia dla każdego, kto chce przetestować komputerowy system zabezpieczający, prawda? - upewnił się prowadzący program. Cornell przytaknął.

- Rzeczywiście. Otóż nasza S-2000 to skok na zupełnie inny poziom, przekraczający znacznie najwyższe standardy z „Pomarańczowej książeczki”.

- To doprawdy godne podziwu...

Rzeczywiście, wraz z istną eksplozją ogólnoświatowej sieci komputerowej ochrona danych przed atakiem z zewnątrz stała się niesłychanie ważną potrzebą. Wiele firm natychmiast utworzyło własne systemy zabezpieczające.

Były to jednak programy poziomu B-2 oraz B-3 i niemal natychmiast przełamywali je nawet amatorzy. PrimeData, posiadając olbrzymie fundusze i możliwości badawczo-rozwojowe, wydawała się jak dotąd jedyną firmą software'ową, która będzie w stanie opracować system zabezpieczający nowego typu, bardziej odporny niż dotychczasowe.

Jednak firma Stone'a i Fettisa, Stone Security Systems, także stworzyła bardzo zaawansowany system. Mieli ogłosić wprowadzenie go na rynek zaledwie miesiąc-dwa po PrimeData.

Służąc wiele lat w organach wywiadowczych Stanów Zjednoczonych, dwaj wspólnicy poznali zasady działania supertajnych systemów A-1, takich jak TEMPEST czy ROUGE, a nawet SPYGLASS, używanych przez NASA.

Na tych właśnie zaawansowanych programach wojskowych oparli swój komputerowy system zabezpieczający, który powstał po ponad dwóch latach intensywnej pracy twórczej i testów. Nazwali go BODYGUARD-t.

Niestety,

56

jego utworzenie pożarło wszelkie rezerwy gotówkowe Stone Security Systems i teraz była ona mocno zadłużona.

W siedzibie SSS w Boise inżynierowie starali się za wszelką cenę zakończyć jak naj szybciej testy i usunąć ostatnie błędy. Wszyscy zdawali

sobie sprawę, że pierwsza firma, która wprowadzi do sprzedaży nowy system zabezpieczający, natychmiast opanuje rynek.

- Czy wasz program będzie bardzo drogi? - zapytał tymczasem dziennikarz.

- Nie - zaprzeczył Cornell. - Każdego użytkownika komputera osobistego będzie stać na zakup pełnego systemu.

- Jak rozumiem, właściciel i twórca PrimeData pan Bili Ballard osobiście ogłosi wprowadzenie STAMENY-2000 na rynek, tu, w Seattle?

- Tak, i stanie się to pojutrze.

- Sądząc po wynikach analiz, STAMINA prawdopodobnie pobije wszelkie rekordy sprzedaży, leasingu, zamówień rządowych i tak dalej. Z pewnością spowoduje to także ogromny wzrost cen akcji PrimeData Corporation. Jak realistyczne są te wszystkie marzenia?

Cornell wzruszył ramionami.

- Cóż, kto pierwszy ten lepszy oraz, jak to mówią: lepiej być bogatym i zdrowym niż biednym i chorym.

Stone zaklął szpetnie i rzucił szklaneczką o ścianę. Roztrzaskała się, pozostawiając na sztukaterii pokoju szczerbę oraz kilka kropel alkoholu.

- Nie licz pieniędzy, których nie masz jeszcze w kieszeni, dupku! — syknął Jack.

W Port Angeles porucznik Dwa Łosie wjechał na parking przed szpitalem Olympic Memoriał, stojącym przy alei Caroline. Minał wjazd dla karetek i zaparkował za terenowym dżipem cherokee doktora Bynera przed małą przybudówką z pustaków, gdzie mieściła się policyjna kostnica okręgu Clal-lam.

Lekarz sądowy siedział w swoim maleńkim gabinecie, opierając nogi na

biurku. Miał na sobie poplamiony krwią zielony fartuch i plastikowe kapcie założone na tenisówki. Jadł właśnie roladę z galaretką.

Uśmiechnął się na widok wchodzącego detektywa.

- Witaj, Wielki Johnie - zawołał. Nachylił się i podsunął gościowi różowe pudełko z ciastem pomiędzy zaśmiecającymi biurko stosami dokumentów.

- Niech pan siada i poczęstuje się roladą.

- Dzień dobry, doktorze - odpowiedział poważnie porucznik. Usadził swoje zwaliste ciało na krześle, rozpiął kurtkę i wziął do ręki potężny kawał ciasta.

Doktor przyjrzał mu się uważniej z wesołym błyskiem w oku. Był to pogodny trzydziestolatek; nosił blond wąsy, jakie mieli kiedyś grenadierzy.

57

- Wygląda na to, że miał pan rację co do tej pary dzieciaków z Dunge-ness

- powiedział. - Jeszcze nie zrobiłem pełnej sekcji, ale wstępne badanie zdecydowanie wskazuje na morderstwo.

Detektyw burknął tylko, przeżuwając powoli ciasto. Byner zlizął z kciuka resztkę galaretki i szperał w dokumentach.

- O, cholera - powiedział. - Zostawiłem protokół w kostnicy.

- Niech pan zrelacjonuje mi najważniejsze punkty - polecił porucznik.

Doktor przełknął i zastanowił się, wciągając głośno powietrze przez zęby.

- Oczywiście trzeba zacząć od tego, że mają oparzenia trzeciego stopnia na ponad osiemdziesięciu procentach powierzchni ciała, a także rozdarcia charakterystyczne dla wybuchu: głównie na pośladkach kobiety i twarzy, tułowiu i górnej części nóg mężczyzny.

- Ma pan podejrzenia, co mogło wybuchnąć? Byner przytaknął.

- To było raczej szybkie zapalenie się gazu, a nie detonacja

skoncentrowanego ładunku. Na pewno nie bomba.

- Jaki mógł to być gaz? - wypytywał Dwa Łosie.

- Przychodzi na myśl butan albo propan, jednak sądząc po zapachu, który utrzymywał się w nocy na łodzi, uważam, że były to opary benzyny lotniczej. Pożar z udziałem benzyny lotniczej tłumaczy także lepiej stopień oraz typ oparzeń ciał.

- Rzeczywiście znaleźliśmy szczątki baryłki po benzynie - przyznał detektyw. - Czy denaci zostali nią oblani?

- Tak sędzę. Porucznik przytaknął.

- Kolejny wniosek zasadniczej wagi to ten, że oboje byli już martwi, zanim nastąpiła eksplozja. Kobieta ma uraz lewej okolicy policzkowej i skroniowej czaszki zadany tępym narzędziem. Tu i tu. - Doktor pokazał odpowiednie miejsca na własnej głowie.

Przerwał i ugryzł roladę.

- Mężczyzna został pchnięty nożem - kontynuował. - Rana zaczyna się tuż pod trzecim lewym zębem i biegnie nieco do góry. Sądząc ze śladów krwi na pokładzie, ofiara wykrwawiła się gwałtownie. Wskazuje to na przebicie lewej komory serca.

- Czy jest pan pewien, że w momencie wybuchu pożaru oboje nie żyli?

- Tak. Krew pozostała w ciałach wskazuje na śmiertelnie niski poziom hemoglobiny.

Porucznik podrapał się brodą w zewnętrzną stronę dłoni i skwitował:

- Rana była po lewej, czyli zabójca był praworęczny.

-Tak.

- Czym zabito dziewczynę? Byner wzruszył ramionami.

- Trudno mi powiedzieć - łyżką do zdejmowania opon, łomem - czymś twardym i ciężkim. Będę wiedział lepiej, kiedy ją rozkraję.

- Zastanawia mnie, dlaczego nie posłużono się tą samą bronią do zabicia obu ofiar - stwierdził Dwa Łosie.

- Przypuszczam, choć w zasadzie tylko zgaduję, że chłopak zginął najpierw. Nóż mógł się w nim przez chwilę zakleszczyć, tak silnie został pchnięty. Są ślady siniaka po rękojęści.

- Jaki to był nóż?

- Rana wejściowa jest z jednej strony ostra, a z drugiej tępą. I szeroka. Oznacza to nóż o pojedynczym ostrzu, szerokiej klindze, a także z głębokim kanałem do odpływu krwi. Sekcja poprzeczna prawdopodobnie wykaże przekrój wydłużonego pięciokąta. Nie jestem także jeszcze pewny, ale spodziewam się znaleźć na żebrze ślady karbowania górnej krawędzi klingi. Długość prawdopodobnie piętnaście-siedemnaście centymetrów. Dwa Łosie patrzył ponuro.

- Nóż do filetowania? - spytał.

- Nie, miałyby węższą klingę.

- W takim razie może nóż myśliwski? Byner pokręcił głową.

- Nie taki zwykły, jaki można kupić w myśliwskim sklepie. Mogę się założyć, że to był jeden z tych wielkich noży wojskowych. Może Ka-Bar marines albo K-9; coś w tym rodzaju.

Porucznik pokiwał głową i sięgnął po kolejną pokąsną porcję rolady.

Doktor pokręcił swoją ze smutkiem.

- W momencie ataku para była akurat w środku stosunku - powiedział.

- Wymaz z pochwy i badanie fluorescencyjne wskazują na obecność płynu, który wydostaje się przed wytryskiem; chłopak nie doszedł jeszcze do

końca.

Dwa Łosie zmrużył oczy.

- Czy to nie odlotowy sposób na śmierć? - zapytał. - Czy oni nie zażyli jakichś narkotyków?

- Nie wiem; czekam na raport z toksykologu - odpowiedział Byner.

- Czy mógł być to jakiś szczególnie pikantny rodzaj seksu, który wymknął się spod kontroli? - wypytywał detektyw. - To znaczy, czy na przykład chłopak mógł zabić w szale dziewczynę, a potem siebie?

- To nie pasuje - zaprzeczył koroner. - Tkanka pochwy wskazuje na intensywny stosunek, ale nie ma oznak charakterystycznych dla działania typu sadomasochistycznego. Nie było stosunku analnego; nie ma żadnych śladów tortur czy zadawania bólu. A poza tym chłopak nie mógł sam wbić sobie tego noża. Nie zrobiłby tego pod takim kątem. To był zwykły potężny cios zadany przez kogoś, kto znajdował się naprzeciw niego.

Dwa Łosie westchnął, wstał i wytarł dłonie w chusteczkę.

- Kiedy będzie pan miał gotowy raport z sekcji zwłok? - zapytał.

59

- Dzisiaj pod koniec dnia.

- Dobrze. Dziękuję za poczęstunek. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia, John.

Porucznik wrócił do samochodu. Świeża bryza wiejąca od strony cieśniny poruszała liśćmi klonów, rosnących koło wjazdu dla karetek. Detektyw obejrzał się za dwiema blondynkami, które przebiegły przed nim; miały spięte włosy i obcisłe, błyszczące sportowe szorty, opinające ich pośladki niczym niebieski metal.

Wcisnął guzik nadawania i odezwał się.

-KT-1,tu D-6.

- Tak, panie poruczniku? - odezwał się dyspozytor.

- Kto jest w sektorze DE?

- Collins i Lomelli.

- Skieruj ich do Dungeness. Chcę, żeby wzięli niejakiego Matthew Marquette'a na przesłuchanie. - Detektyw podał adres. - Jeśli go nie znajdą, powiadom policje z Seattle i Tacoma oraz stanową, żeby go szukały.

- Tak jest, panie poruczniku.

Dwa Łosie uruchomił silnik, poprawił kowbojski kapelusz i pojechał. Kierowca czerwonego chevroleta blazera wysadził Matta przy południowo--wschodnim rogu budynku Seattle Center. Marquette przeszedł stamtąd do parku Denny, gdzie złapał taksówkę, którą pojechał na uniwersytet.

Dzień był jasny i zimny. Siedząc w ciepłej taksówce, Matt rozmyślał o mężczyznach, którzy gonili go na promie. Niewiele brakowało, a dopadliby go. Zastanawiał się, czy zamordowaliby go na oczach wszystkich.

I czy walczyliby z nimi? Czy byłby w stanie znowu zabijać? Nawet w obronie własnej? Sam fakt, że przydarzyło mu się coś podobnego, napęłniał go przygnębieniem i dziwnym niepokojem.

Przybył do Loewe Hali kilka minut przed dwunastą. Budynek wydziału inżynieryjnego był stary, jednopiętrowy, zbudowany z czerwonej cegły, zwieńczony kopułą. Na dziedzińcu wśród zmarniałych od surowych zim leszczyn stały wysokie latarnie w wiktoriańskim stylu.

Koło jednej z latarń czekała Kelli. W niebieskich džinsach i złotobłękitnym narciarskim swetrze wyglądała ponętnie. Poczekwała, aż Matt

zapłaci taksówkarzowi, a potem przeszła przez podwórze i przytuliła się do niego.

Odsunęła się trochę i przyjrzała mu się uważnie.

60

- Z tobą wszystko w porządku? - spytała.

-Tak.

- Nie mogę uwierzyć w to, co się stało.

- Ja też nie.

- Matt, co się dzieje? - Pickett była zaniepokojona. - Powiedziałeś coś przez telefon...

- Uczciwie mówię, jeszcze nie wiem, o co chodzi.

- Przyznaj się, czy w coś się wmieszałeś?

- W tej chwili już tak.

- Powiedz. Chcę wiedzieć.

Marquette uniósł trzymaną w ręku torbę i zaproponował:

- Zobaczmy najpierw, co znajduje się w środku tej kuli, którą przyniosłem.

To może częściowo wyjaśnić sprawę.

Weszli do budynku. Zaraz za drzwiami siedziało przy biurku dwóch studentów. Grali w szachy na komputerze. Kelli spytała, gdzie jest pokój Petera Dvikasa.

- Na piętrze - wyjaśnił młody człowiek o blond grzywce i okazałych krostach na twarzy. - Trzeci pokój.

Piętro wyglądało, jak gdyby stanowiło kiedyś ogromny strych, który następnie poprzedzielano drewnianymi ściankami. Były stare, pociemniałe; pachniało starymi gazetami i urządzeniami elektrycznymi.

Kelli wyjaśniła, że Dvikas jest doktorantem w instytucie inżynierii

elektrycznej. Odnaleźli go pracującego przy małym laserze w maleńkim gabinecie zastawionym książkami i elementami różnych mechanizmów. Z wieży stereo dobiegała cicho łagodna muzyka hinduska.

Gospodarz podniósł wzrok i uśmiechnął się do Pickett.

- Cześć, Kel - powiedział. - Czekałem na ciebie, śliczności.

Wyprostował się. Był wysokim i wyjątkowo chudym człowiekiem o bladej skórze. Miał blond włosy splecione w dredy sięgające mu do ramion. Nosił czarną koszulkę z portretem Karmy Moffetta.

Kelli przedstawiła Martę. Peter skinął głową, nie zwracając na niego większej uwagi, i z powrotem skupił całą uwagę na Pickett.

- No i gdzie masz tę bardzo tajemniczą rzecz, którą chcesz przeświecić? - spytał.

Marquette wyjął z torby kulę i odwinął ją z ręcznika. Podał ją Dvikasowi.

Peter przyjrzał jej się uważnie, obracając przedmiot w rękę.

Pochylił głowę i uśmiechnął się podejrzliwie, marszcząc brwi.

- Czemu to ma doczepiony radiolokator? - spytał. - Co to jest, moja piękna? Zasobnik z narkotykami przygotowany do odbioru?

- To nie narkotyki - burknął Matt. Uśmiechnął się nerwowo i dodał: - Tak naprawdę to kradzione diamenty.

Dvikas zmierzył Marquette'a wzrokiem i odparł chłodno:

61

- Zabawne.

Kelli rzuciła Mattowi ostrzegawcze spojrzenie.

Peter zaprowadził ich korytarzem do małego pomieszczenia, w którym po całej podłodze wily się przewody, a większą część miejsca zajmowała biała maszyna rentgenowska CTX-5000, przypominająca kształtem

czterooosobowy namiot zimowy, podłączona do stojącego przy ścianie komputera.

Dvikas uruchomił urządzenie, tłumacząc Pickett zasady jego działania i kompletnie ignorując Marquerte'a.

- To ulepszona wersja standardowego modelu używanego przez Federalny Urząd do spraw Lotnictwa - powiedział. - Wykorzystuje twarde promienie X o długości powyżej dziewięciu nanometrów. Daje fantastyczną rozdzielczość obrazu.

- Ile to zajmie czasu? - spytała Kelli.

- Badane przedmioty można prześwietlić natychmiast. Maszyna daje nieprzerwany strumień nanosekundowych impulsów.

- Czy można zrobić powiększenie? Doktorant skinął głową.

- Wystarczające do zwykłych badań, jakie robimy - odparł.

Mart zaczął chodzić po pokoju i przyglądać się urządzeniom. Otwarte drzwi prowadziły do większego pomieszczenia. Widniała nad nimi tabliczka z napisem „Sekcja kondensatorów - wstęp tylko dla upoważnionego personelu”. Wewnątrz stały ogromne baterie w stalowych ramach, połączone siecią kabli. Podłoga brązowego koloru była wypastowana na wysoki połysk.

Dalej znajdowały się kolejne drzwi, na których ktoś wypisał starannie flamastrem: „Wielka Sally”. Marquette podszedł i zajrzał do środka. Zobaczył dużą, wysoką salę oświetloną na niebiesko. Pełno w niej było długich, dużych laserów i połączonych przewodami komputerów. Na samym środku sali stała ogromna komora przypominająca z wyglądu batyskaf. Wykonana była z błyszczącej, nierdzewnej stali, z przykręconymi za pomocą śrub grubymi iluminatorami. Niebieskie

oświetlenie powodowało, że komora połyskiwała delikatnie, jak gdyby odbijała światło księżyca.

- Hej! - zawołał ostro Dvikas. - Nie wolno tam wchodzić!

Kelli popatrzyła na Matta z wyrzutem, wrócił więc szybko.

CTX-5000 szumiała tymczasem - mężczyzna obsługiwał maszynę, a bęben rentgenowski wirował z kłopotem, robiąc serię zdjęć cienkich przekrojów kuli. Na monitorze komputera pojawiło się natychmiast wnętrze tajemniczego przedmiotu. Obraz był bardzo wyraźny i jasny. Trójka zebranych nachyliła się nad ekranem.

Pod paskami z radiolatarnią i pod powłoką kuli znajdowały się trzy oddzielne elementy. Po lewej widniał pięciocentymetrowej długości cylinderek, cienki jak ołówek. Koniuszkiem niemal dotykał drugiego obiektu - kulki

62

rozmiarów piłeczki golfowej. Po jej drugiej stronie znajdował się trzeci element - mniej więcej trzycentymetrowy stożek, rozszerzający się w stronę środka urządzenia, zakończony jakby maleńkim talerzykiem.

Peter zastukał w klawiaturę i przedmiot na monitorze zaczął się obracać.

Elementy powierzchni rdzenia kuli reagowały na promienie rentgenowskie, błyszcząc na ekranie niczym pod strumieniem światła.

Dvikas stęknął i podrapał się w szczękę.

- Jak pan powiedział, skąd pan to ma? - zapytał.

- Nie powiedziałem - odparł Matt.

Młody naukowiec zaczął odwracać się w jego stronę, ale Kelli szybko zapytała:

-I jak sądzisz, Peter, co to jest? Czy to może być bomba? Dvikas pokręcił

głową.

- Nie, to nie jest bomba. - Pokazał na rdzeń. - Ale to z pewnością skupisko kryształów. I wydaje mi się, że ta rurka może być wyrzutnikiem jakiejś wiązki.

Znowu zastukał w klawiaturę i na ekranie ukazało się powiększenie cylinderka. Widać było teraz w jego wnętrzu niewyraźny, czarny paseczek. Peter strzelił kilkakrotnie językiem, po czym stwierdził:

- Promienie X nie penetrują całkowicie tego obiektu. Musi być niezwykle gęsty, prawdopodobnie jest zrobiony z kompozytu grafitowego albo czegoś podobnego. Założę się jednak, że ten cień to światłowód.

- Czy możesz wydrukować zdjęcia? - spytała Pickett.

- Pewnie. - Po minucie mieli już w ręku sześć fotografii; kartki były jeszcze ciepłe. Trójka zainteresowanych przyjrzała się im jeszcze raz. Dvikas nachylił się, wyłączył maszynę i wyciągnął kulę. Podał ją Kelli.

-I co to? - zagadnęła.

- Cóż, z pewnością jest to jakiś typ komory krystalicznej - powiedział.

-Jednak do jej funkcjonowania potrzebne są jeszcze inne elementy. -

Wzruszył ramionami. - Mogłaby to na przykład być część promiennika epitaksjalnego. A może nawet wykrywacz zakrzywienia cząsteczkowego.

Opadł na oparcie krzesła i przyjrzał się Pickett podejrzliwie.

- To jest precyzyjne urządzenie na najwyższym poziomie technologii

-powiedział. Spojrzał koleżance prosto w oczy i zapytał: - Kelli, zdajesz sobie sprawę, że ktoś musiał je skądś wykraść?

Wyszędłszy na dwór, Pickett i Marquette przeszli przez Steven's Way i wrócili do budynku imienia Guggenheima. Słońce grzało teraz odrobinę, choć w cieniu za Kirsten Hali było jeszcze zimno.

- Przynajmniej wiemy teraz, czego to jest część - powiedziała Kelli.
- Ale nie wiemy, do czego jest komuś potrzebna - zauważył Mart.

63

Pickett zamyśliła się i powiedziała:

- Wiesz, strasznie wysuwać takie podejrzenia, ale czy Rick mógł być w coś zamieszany? Na przykład w przemyt kosztownego sprzętu elektronicznego? Pamiętaj, co mówił Peter: to jest warte bardzo, bardzo dużo pieniędzy. I nie ma wątpliwości, że zostało skradzione.

Marquette pokręcił głową.

- Wykluczone. To był uczciwy dzieciak...
- W takim razie przekaż ten przedmiot policji. I to natychmiast. Jest oczywiste, że to z jego powodu Rick i jego dziewczyna zostali zabici. Matt uśmiechnął się smutno.
- Nie, myślę, że lepiej będzie, jeśli na razie tego nie zrobię.
- Dlaczego? - Pickett była zdziwiona.
- Policja sądzi, że to ja zrobiłem.
- Co?
- Że to ja zamordowałem Ricka.
- Mówisz poważnie? Przecież to byłoby absurdalne!
- Z ich punktu widzenia nie. W oczach policji jestem jedyną osobą, która mogła mieć motyw dokonania tej zbrodni.
- Jaki motyw?
- Chyba myślą, że podpaliłem kuter, żeby dostać za niego ubezpieczenie i przypadkowo albo rozmyślnie zabiłem przy tym Ricka i Julie.
- Skąd wiesz, że tak uważają? - wypytywała Kelli.
- To jasno wynika z pytań, jakie mi zadali.

Na twarzy Pickett pojawiło się jednocześnie przerażenie i czułość.

Marquette nie przypominał sobie, żeby przez wszystkie miesiące ich znajomości kiedykolwiek spojrzała na niego w podobny sposób. Ta niezwykła chwila zyskała przez to jeszcze jeden wymiar.

- Musisz oddać kulę policji - powtórzyła Kelli. - To dowiedzie, że nie jesteś odpowiedzialny za zbrodnię.

- Przemycanie kradzionego sprzętu laboratoryjnego najwyższej technologii to mógłby być jeszcze lepszy motyw.

- Nie wierzę w to! - zachnęła się Pickett. Złożyła ręce jak do modlitwy i w zamyśleniu dotknęła ust czubkami palców. - Czekał. Przecież kiedy nastąpił wybuch na kuterze, rozmawiałeś ze mną przez telefon. To dowód, że to nie ty zrobiłeś.

- Niekoniecznie. Powiedzą, że podpaliłem kuter, a potem szybko zadzwoniłem do ciebie, żeby mieć alibi.

Kelli pokręciła głową. Sytuacja wydawała się jej idiotyczna, co nie znaczyło jednak, że łatwo było z niej wyjść.

- To co robimy? - zapytała.

- Nie my, Kelli. Tylko ja.

- Nie gadaj głupstw - skarciła go Pickett.

64

- Mówię poważnie - upierał się Marquette. - Ty nie masz z całą sprawą nic wspólnego.

Kelli chciała coś powiedzieć, ale wstrzymała się, przyjrzawszy się uważnie Mattowi.

- Nie powiedziałeś mi jeszcze wszystkiego, prawda? - zapytała. Nie odpowiedział. Przeszły koło nich dwie dziewczyny z plecakami na książki.

Uśmiechnęły się do Pickett. Zignorowała je i ciągnęła:

- Widzę to po twojej minie.

- To nie ma znaczenia.

- Nie powiesz mi?

-Nie.

Kelli rzuciła Marquette'owi ostre spojrzenie, odwróciła się i poszła. Po kilku krokach zatrzymała się jednak i wróciła.

- Chyba jeszcze nie zrozumiałeś - powiedziała. - Jeśli ty jesteś w coś zamieszany, to ja też.

-Nie zdajesz sobie sprawy...

- Zamknij się i słuchaj. Matt, wpadłeś w poważne kłopoty. Potrzebujesz pomocy, mojej pomocy. Nie powstrzymuj mnie.

Marquette popatrzył na kobietę, która go kochała, i jego oczy powoli wypełnił ciepły uśmiech.

- Należysz do tych osób, które potrafią postawić na swoim, prawda?

-zapytał.

- Zgadza się.

Opowiedział więc o śmigłowcu i o pogoni na promie. Minęli Guggenheim Hali i usiedli na betonowej ławce koło fontanny Drumheller.

Dwunastometrowy strumień wody wydawał się w ostrym świetle słońca zupełnie biały.

- Widzisz teraz, dlaczego chcę, żebyś się w to nie mieszała? - odezwał się Matt. - Ci faceci chcą odebrać tę rzecz. Już raz dla niej zabili i nie zawahają się zrobić tego po raz drugi.

- Więc jednak powinieneś iść z tym na policję - stwierdziła Pickett.

- Aresztowaliby mnie, a przynajmniej uważnie śledzili - odpowiedział

Marquette. - Jeśli mam dotrzeć do sedna sprawy, muszę pozostać na wolności.

- Zupełnie sam?

Kelli odchyliła głowę i westchnęła głęboko. Wydawało się, że drży.

Z budynku imienia Guggenheima wyszedł młody człowiek w białym kitlu i ruszył prosto ku Kelli i Mattowi. Marquette rozpoznał w nim jednego z członków zespołu pracującego nad projektem „kryształowa kula”.

Mężczyzna zawołał:

- Kel, masz pilny telefon. Dzwoni niejaka Bev Bodeen. Mówi, że koniecznie musi z tobą natychmiast porozmawiać.

- Dobrze, dziękuję, Dań. Mężczyzna zawrócił.

5 — Oddech śmierci

65

- Coś się dzieje - skwitowała Pickett.

- Czy jest tu gdzieś telefon?

- W holu. Lepiej będzie, jak zaraz zadzwonią.

- Nie, ja to zrobię - oznajmił Matt.

- Gdzie ty się, u licha, podziewasz?! - zawołała Bev natychmiast, kiedy usłyszała głos Marquette'a. - Czekaj, nie, nie mów mi. Jak nie będę wiedziała, to nie będę mogła powiedzieć.

-A co się dzieje?

- Zaczyna się robić wokół ciebie gorąco, kuzynku. Była tu policja i wypytywała o ciebie; ale tak, że pytali o wszystko.

- Kiedy?

- Ze dwie godziny temu. Rozmawiali nawet z kilkoma klientami. Ten wielki porucznik Dwa Łosie i jego ludzie.

- Co mówił? - zainteresował się Matt.

- Chciał tylko się dowiedzieć, gdzie byłeś, kiedy zabito chłopaka i jego dziewczynę, i pytał, jakim jesteś facetem. Boże, chłopie, nie musisz zaglądać w kryształową kulę, żeby domyśleć się, o co mu chodzi.

Marquette nic nie odpowiedział, zdumiewając się jednocześnie pojawiającym się w kolejnych okolicznościach wyrażeniem „kryształowa kula”.

-I jeszcze coś - ciągnęła kobieta. - Wydali nakaz zatrzymania cię. Tak mi powiedział po cichu jeden z policjantów. Szykują się też do rewizji u ciebie w domu. Powiedział, że szukają noża mordercy. - Nastąpiła dłuższa pauza, po czym Beverly poradziła: - Lepiej znajdź sobie adwokata, kochany.

Matt omówił z Kelli to, co usłyszał od Bev. Nie był zaskoczony. Skoro jednak stanowisko policji zostało ponad wszelką wątpliwość wyjaśnione, Pickett poparła stanowisko Bev: Marquette powinien znaleźć sobie adwokata.

Niestety, ani on, ani Kelli nie znali żadnego prawnika. Matt zauważył także, że jest zbyt biedny, żeby pozwolić sobie na kogoś naprawdę dobrego. Pickett zbiła ten argument stwierdzeniem, że za niego zapłaci. Odmówił. Przekonała go jednak, żeby przynajmniej porozmawiał z jakimś adwokatem. Zasugerowała, że mogą zapytać Gilhammera, czy nie zna odpowiedniego człowieka. Szef projektu miał szerokie znajomości. Odnaleźli go na korytarzu przed laboratorium - rozmawiał ze studentem. Poczekali, aż student odejdzie, po czym podeszli i Kelli zapytała Gilhammera, czy zna jakiegoś dobrego prawnika.

- Prawnika? - Troy uniósł brew, zdziwiony. - Jest ci potrzebny prawnik?

-Nie- uspokoiła go Pickett. - Słuchaj, znasz tylu różnych ludzi. Czy mógłbyś polecić kogoś?

66

- A od czego to ma być prawnik?

- Od spraw kryminalnych.

Gilhammer przyjrzał się stojącej przed nim parze i przybrał skupiony wyraz twarzy.

- Widzę, że to poważna sprawa... - powiedział.

-Tak.

- Masz jakieś kłopoty?

- Proszę cię, Troy, to bardzo ważne - ponagliła Kelli. Jej szef zastanowił się, wykrzywając z wysiłku twarz. W końcu pokręcił głową.

- Wszyscy prawnicy, jakich znam, zajmują się wyłącznie podatkami albo procesami pomiędzy firmami.

- To spytaj, proszę cię, jednego z nich. Oni będą wiedzieli, do kogo się zwrócić.

Gilhammer zgodził się. Poszli z nim do jego gabinetu, który znajdował się w obrębie laboratorium. Pokój był pełen książek. O jedną ze ścian stały oparte narty, obok leżał sprzęt do wspinaczki. Naukowiec szperał na biurku i odnalazł wizytownik. Wybrał jeden z numerów i zadzwonił.

- Ann? Tu Troy Gilhammer - powiedział. - Słuchaj, czy jest Vern? -

Odczekał. - Vern, cześć; potrzebna mi porada prawna. Tak. Czy mógłbyś polecić mi dobrego adwokata od spraw kryminalnych? Nie, nie mnie.

Znajomej. - Zerknął na Kelli, potem na Matta. Patrzył na niego chwilę, po czym odwrócił wzrok.

- Tak, dobrze - powiedział. Opuścił słuchawkę. - Ile pieniędzy jesteście w stanie - wy, czy ktokolwiek inny - na to przeznaczyć? - zapytał.

- To nie ma znaczenia - odparła Pickett.

- Ma - zaprzeczył Marquette. - Niech będzie jak najtaniej.

- W rozsądnych granicach - odparł Troy na pytanie rozmówcy. Posłuchał znowu, podziękował Yernowi i rozłączył się. - Mój znajomy mówi, że jest kilku w miarę tanich adwokatów; niektórzy są dobrzy, inni kiepscy.

Słyszał jednak, że jeden z nich jest szczególnie skuteczny. Nazywa się Grady.

- Grady? - powtórzyła Kelli.

- Tak. Używa dwóch imion: John Wayne, tak jak ten aktor. To człowiek, który wykorzystuje wszelkie kruczki prawne wynikające z naszych swobód obywatelskich. Lubuje się w pokazywaniu wszelkim oficjelom, że ich pokonał. A jednocześnie, według Verna, jest niebywale inteligentny. Do tej pory nie przegrał w sądzie jeszcze ani jednej sprawy. Zdarza mu się pracować pro bono - za darmo.

Pickett pokiwała głową.

- Dzięki, Troy. Słuchaj, czy mogę dostać teraz wolne na parę godzin?

Gilhammer skrzywił się.

- Jesteśmy już prawie gotowi, żeby powtórzyć test mostu... - przypomniał.

67

- Wrócę, kiedy tylko będę mogła. Naukowiec westchnął.

-No dobrze - zgodził się. - Ale pospiesz się, jeśli się da. - Popatrzył w zamyśleniu za parą wychodzących z jego gabinetu ludzi.

- Chryste! - odezwał się Bobby Winterowd, chichocząc. - Patrz, co za dupka nam przyniosło!

Siedzący po przeciwnej stronie stołu Samuel Catching poderwał głowę i krzyknął ostro:

- Hej! Mówiłem ci, żebyś nie wzywał imienia Pana nadaremno! - Catching był roslym mężczyzną o wyrazistej, kwadratowej twarzy i jakby zamysłonych, ciemnych oczach. Właśnie rozkładał do czyszczenia pistolet maszynowy Cobray M-11.

- Przepraszam - rzucił od niechcienia Bobby. - Ale, stary, musisz zobaczyć tego porąbanego Halberstadta.

- Wiemy, co robi.

Zachichotał także trzeci z siedzących mężczyzn, Leroy James.

- On chyba lubi siedzieć na śniegu - skomentował.

- Ale facet, ten idiota jest cały goły!

- Nie czuje zimna.

-Co?

-Nie czuje- powtórzył James. Siedział na starej wojskowej pryczy obok kilku metalowych skrzynek z amunicją. Na pudłach leżały dwie strzelby-obrżyny firmy Winczester, kaliber dwanaście. - Medytuje - wyjaśnił. - To jakieś japońskie gówno, które nazywa „zeń”. Twierdzi, że nic nie czuje, kiedy jest w transie.

- Zeń? - zdziwił się Bobby. - Myślałem, że to świr. Ma taką minę, że aż dziw, że nie lata pomiędzy drzewami.

- To też umie - zapewnił Leroy.

Po drugiej stronie pryczy Jamesa na zniszczonym biurku stał komputer z drukarką i przenośne radio krótkofalowe Sony typu ICF-2010. James przerzuczał przed chwilą stacje, słuchając pełnych zakłóceń urywków nadawanych po francusku audycji z Kanady.

Winterowd wciąż przyglądał się Niemcowi. Halberstadt siedział ze skrzyżowanymi nogami w zaspie, około dwudziestu metrów od chaty. W nocy przeszła dość krótka, ale bardzo intensywna marcowa burza i stary śnieg został przykryty przez świeży.

„Hitler” Hans opuścił głowę na pierś i zamknął oczy. Zupełnie nagi i wspaniale umięśniony. Wyglądał jak grecka rzeźba. Jednak wrażenie to zakłócały ostro odcinające się od jego białej skóry czarne tatuaże - swastyki, sztylet, wokół którego owijał się wąż, i pajęcza sieć. Ten ostatni symbol oznaczał, że przynajmniej raz w życiu zabił człowieka.

68

Bobby westchnął i odszedł w końcu od okna. Opadł na składane turystyczne krzeselko. Ciągle miał na sobie gruby filcowy płaszcz i żółty kask, w którym przyjechał z Lowland z zapasami.

Chata była jednoizbowa, zbudowana z grubo ciosanych sosnowych pni. Stała na polance w górach, na skraju rezerwatu Sawtooth Wilderness, sto kilometrów na północny wschód od Boise. Należała do Catchinga.

Pracował w kopalni węgla - był górnikiem, a także gorliwym wyznawcą chrześcijaństwa. Należał do tych nielicznych, którzy znaczną część czasu przeznaczają na modlitwę. Łączyło się to u niego z radykalnymi przekonaniami. Chatę wykorzystywał do polowań. Obecnie mieściła się w niej tajna siedziba komórki „J” organizacji Prawdziwi Ludzie.

- Wiesz, dziwię się, że faszysta może mieć coś wspólnego z bzdurami tych cholernych żółtków - skomentował Bobby.

- Dlaczego? Hitler i Japonia byli sojusznikami w czasie wojny, no nie?

-zauważył James.

- Chyba masz rację.

Prawdziwi Ludzie powstałi jako luźna organizacja niezadowolonych z ogólnego stanu rzeczy religijnych radykałów oraz innych przeciwników ustroju, rozproszonych po górach północnego Idaho. Po zajściach w Ruby Ridge różne luźne dotąd grupki zaczęły się łączyć. Najważniejszym ich zgromadzeniem był zjazd przywódców ruchów paramilitarnych, jaki odbył się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku w Estes Park w stanie Colorado, na którym nawoływano do zbrojenia się.

Wtedy Prawdziwi Ludzie byli organizacją o ścisłej strukturze, podzielonej na teoretycznie niezależne komórki po pięć-siedem osób. Każda miała dowódcę i Catching był dowódcą komórki J. Nadzorował szkolenie, które obejmowało prowadzenie wojny partyzanckiej, obchodzenie się z bronią i taktykę walki w małych oddziałach.

Posługując się Internetem oraz nadajnikami krótkofalowymi, organizacja pozostawała w ścisłych kontaktach z innymi podobnego typu grupami w całych Stanach Zjednoczonych. Uzyskiwała w ten sposób coraz to nową wiedzę dotyczącą sabotażu, pierwszej pomocy na polu walki, logistyki, wytwarzania czy kradzieży broni. Wszystko to miało przydać się w nadchodzącym nieuchronnie dniu rozpoczęcia rewolucji...

Bobby zdjął kask i przejechał palcami po swoich jasnych, przystrzyżonych po wojskowemu włosach. Miał dwadzieścia siedem lat, atletyczną budowę ciała i przystojną twarz.

- Wiecie, co mi powiedział ten Szwab? - odezwał się. - Raz we wschodnim Berlinie wdał się w bójkę. Z Etiopczykiem czy jak im tam. Wsadził mu nóż w podbrzusze i przeciął aż do żeber. Jakby zarzynał świnię. A wiecie, co potem zrobił? Wsadził palec do środka, wyjął i zlizął krew, jakby to były lody. Cholera jasna...!

- Nie podoba mi się ten człowiek - powiedział poważnie Catching. - -
Zmontował już pistolet maszynowy. Teraz ładował jego , podłużny
magazynek kulami Black Talon, zdolnymi przebić kamizelki kuloodporne.

- Może i ma - przyznał James. - Ale jeśli chce się dostać w ręce szatańską
broń, to trzeba się zadawać z uczniami diabła, no nie?

- Im dłużej on tu jest, tym bardziej prawdopodobne, że ściągnie na nas
gniew boży - ciągnął Catching.

- Nie znam się na jego duszy - wtrącił Winterowd - ale rzeczywiście ma
spojrzenie węża. Jak się powie coś, co mu się nie spodoba, to świdruje
człowieka tymi ciemnymi oczami, aż ciary przechodzą.

- To swój chłop - uspokoił James. - Tylko nie trzeba go wkurzać.

- Może, ale cieszę się, „Psie”, że to ty lecisz z nim do Seattle, a nie ja.

- Nic mi nie robi - zakończył James. Był drobnym, choć muskularnym
człowiekiem. Łysawy, nosił grube okulary i wiecznie miał dwudniowy
zarost. Pseudonim zyskał sobie tym, że hodował pitbullterriery do
nielegalnych walk. Kiedyś pracował w tartaku, ale pewnego razu pień
drzewa wypadł z przenośnika i zmiążdżył mu biodro. Obecnie miał arenę
do psich walk w pewnej stodole w Swan Falls. Był to po prostu ogrodzony
krąg o średnicy sześciu metrów, wyłożony czerwoną wykładziną, żeby nie
było widać krwi.

Catching popatrzył na zegarek.

- Już prawie trzecia — powiedział. — Najlepiej włącz program
Stackmana. Miejmy nadzieję, że dzisiaj go nadadzą.

James uruchomił krótkofalowy odbiornik i włączył jedną z
zaprogramowanych stacji. Nazywała się WWCR i nadawała z Colorado

Springs. Mężczyźni zamilkli i słuchali. Po jednej z tradycyjnych piosenek bluegrass rozpoczął się program Johna Stackmana pod tytułem „Godzina wolności”. Autor rozpoczął od płomiennej pięciominutowej tyrady, przekonując, że to amerykański rząd rekrutuje członków murzyńskich gangów Bloods i Crips z Los Angeles w celu utworzenia z nich przyszłych oddziałów do rozbicia amerykańskiej społeczności. Ostrzegł, że wkrótce wyruszą do akcji wzdłuż granicy kanadyjskiej, razem z sikhijskimi żołnierzami, szkolonymi już w tajnych obozach w Hongkongu. Następnie zaczął odbierać telefony. Pierwszy odezwał się przemawiający z patosem członek Ku-Klux-Klanu z Duane w stanie Arkansas; następnie członek organizacji Chryścijańscy Patrioci z Noxon w Montanie. Trzeci dzwoniący zaczął do słów:

- Witaj, John. Tu Ka-Bar z Seattle.

Trzej mężczyźni siedzący w chacie aż podskoczyli. Ka-Bar był to pseudonim pilota śmigłowca Jacka Stone'a, Jaya Basseta - członka Prawdziwych Ludzi z komórki F w Boise.

- Cieszę się, że cię słyszę, Ka-Bar - powitał go Stackman. - Powiedz, czym chciałbyś się z nami podzielić.

70

» - Już czas przestać gadać i wziąć się do roboty - oznajmił Ka-Bar. - Rozumiesz, o czym mówię? " - Tak, słyszę cię bardzo wyraźnie, bracie.

- To dobrze. Te sukinsyny w Waszyngtonie posłuchają tylko jednej rzeczy, stary. Huku ciężkiej broni i gwizdu pocisków.

- Huku i gwizdu, to mi się podoba. Brzmi jak melodia.

- Żebyś wiedział, człowieku - zgodził się Basset. - Jest jeszcze jedna rzecz, która dobrze brzmi. Przeczytałem jakiegdyś; to powiedział Patrick Henry.

„Jeśli to zdrada, to bierzmy się do niej”.

-Alleluja, bracie.

- Ma rację- powiedział Catching. Wsadził magazynek do cobraya i wstał. -
Idźcie po Niemca. Czas ruszać.

6

Łódź mieszkalna Pickett cumowała wśród setek innych na zachodnim brzegu jeziora Union, trzy kilometry od uniwersytetu. Pływające mieszkania były prawdziwymi domami, zbudowanymi na tratwach z potężnych cedrowych pni. Wiele z nich było pięknie wykończonych i bardzo drogich.

Kelli zaparkowała swojego chevroleta blazera koło sosny. Wysiedli z Mattem z samochodu i przeszli wąskim, pontonowym trapem na werandę łodzi. Dom był kryty gontem. Brunatne, wysmagane wiatrem deszczułki nadawały mu rustykalny wygląd. Na werandzie stały skrzynki z cynamonem i paprocią. Wiatr wiejący znad jeziora niósł ze sobą zapach smoły i palonego drewna.

Z werandy wchodziło się do pojedynczej, przestronnej izby, którą wypełniało w tej chwili popołudniowe światło słońca, wpadające przez dwa wielkie okna z małych szybek. Po jednej stronie izby znajdowała się kuchnia z olbrzymim piecem na drewno, po przeciwnej stał stół i inne meble, wykonane z drewna wiśniowego. Na półkach i kredensie wyeksponowano biało-niebieskie wyroby słynnej angielskiej wytwórni porcelany Wedgewood.

Stanowisko pracy Kelli zajmowało niemal całą rybią ścianę. Stało tam duże biurko, wypełnione dokumentami, a na nim dwa komputery z systemem Unix. Jeden z nich był podłączony na stałe do serwera Cray C-

90, zwanego Orion, znajdującego się w laboratorium, gdzie realizowano projekt „Kryształowa kula”. Drugi miał dostęp do Internetu za pośrednictwem łącza T-1, umożliwiającego stukrotnie szybszą transmisję danych niż zwykły modem.

Obok biurka był regał na książki i wieżę stereo, wypełniony wydrukami komputerowymi, specjalistycznymi czasopismami oraz paroma klasycznymi

71

dzielami literatury, oprawionymi w skórę. Na regale stały cztery puchary za osiągnięcia sportowe - Kelli pływała, kiedy chodziła do szkoły średniej i col-lege'u. Była tak dobra, że rozważano nawet jej kandydaturę do amerykańskiej reprezentacji olimpijskiej w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku. Startowała na dwieście i czterysta metrów, czyli na dystansach wymagających wytrwałości przy jednoczesnym utrzymywaniu tempa. Owych cech oraz uporu nauczyła się od ojca, inżyniera zakładów Lockheeda.

Wyjęła teraz z lodówki butelkę budweisera i patrzyła, jak Matt otwierają i pociąga długi łyk.

- Wyglądasz na wyczerpanego - powiedziała.

- Jestem trochę zmęczony - przyznał.

- Zjesz lunch? Mam szynkę.

-Nie, dziękuję.

Marquette pociągnął kolejny długi łyk piwa. Opuścił butelkę i popatrzył Kelli w oczy. Następnie włożył dłoń w jej włosy i delikatnie przyciągnął dziewczynę do siebie. Objęła go w pasie. Matt poczuł zapach jej skóry, rozkoszował się dotykiem jej ciała. Poczuł nagły przypływ pożądania.

Pocałował ją.

Nie doszli jeszcze do porozumienia w sprawie tego, czy Grady zostanie jego adwokatem. Omawiali to podczas jazdy z uniwersytetu.

- Nie podoba mi się, co Gilhammer powiedział o tym człowieku - powiedział wówczas Marquette. - To pewnie jakiś fanatyk, zainteresowany tylko wygrywaniem spraw politycznych.

- A niech tam - odparła Pickett. - Kto nie prowadzi swojej polityki?

Przynajmniej, jak słyszałeś, nie przegrywa.

- Faceci, którzy nie przegrywają, drogo kosztują.

- Mówiłam ci już, że to żaden problem. Matt pokręcił głową.

- Nie pozwolę, żebyś zrujnowała się na jakiegoś tam adwokata dla mnie - oświadczył.

- Ale broni także pro bono.

- Dlaczego miałyby bronić za darmo mnie? Przecież sprawa nie ma żadnego aspektu politycznego, który mógłby chcieć wykorzystać - zauważył Marquette.

Kelli, zirytowana, zjechała z autostrady numer pięć na aleję West Mercer.

- Słuchaj, możesz przynajmniej zadzwonić do tego człowieka - poradziła. - Zobaczysz, co ma do powiedzenia.

- Nie wiem, czy zadzwonię.

Tak wyglądała ich rozmowa. Teraz Pickett przerwała pierwsza pocałunek, dotknęła policzka Matta i przeszła przez izbę do biurka. Migąło światelko na automatycznej sekretarce. Włączyła guzik odtwarzania. Rozległ się męski głos:

72

- Panno Pickett, mówi porucznik John Dwa Łosie z policji okręgu Cal-

lam. Chciałbym z panią pomówić najszybciej, jak to tylko możliwe. - Kelli podniosła na Marquette'a zbolące spojrzenie. - W tej chwili jest dziewiąta rano; podaję mój numer telefonu: 360-555-8856. Byłbym wdzięczny za od-dzwonienie. Dziękuję. - Sekretarka wyłączyła się.

Pickett westchnęła i zapytała:

- To co? Kto dzwoni do Grady'ego? Ty czyja?

Mart pociągnął powoli kolejny łyk piwa i patrzył na nią. Pokiwał głową.

- Tak, chyba będzie lepiej, jak zadzwonię.

Poszedł do łazienki. Była wykończona na biało, tylko na środku stała wspaniała miedziana wanna. Oddając mocz, Marquette poczuł bicie swojego serca. Wydawało mu się to nienaturalne.

Zerknął w lustro. Przyjrzał się swojej twarzy. Poza widocznym w oczach zmęczeniem wydawała się twarda, zdecydowana. Wyglądał na pełnego sił sportowca o wytrzymałym ciele i duchu.

W środku jednak, gdzieś w sobie, czuł strach. I świadomość tego była dla niego upokarzająca.

Kiedy wyszedł z łazienki, Kelli podała mu telefon komórkowy.

- Dzwoni Grady - poinformowała.

Parę minut wcześniej John Wayne Grady rozparł się wygodnie w swoim fotelu ozdobionym pledem wykonanym przez Indiankę z plemienia Navajo i uśmiechnął się do sufitu. Podtrzymywały go surowe sosnowe belki. Ściany wyłożone były terakotą o fakturze i kolorze pustynnego piasku. Pokój pachniał chłodem i miał atmosferę kaplicy misyjnej z Nowego Meksyku.

- Nazwałbym to pytanie podchwytliwym, moja droga - powiedział i opuścił spojrzenie. Jego schowane za okularami o żółtawych szklach piwne oczy

błyszczały energią i humorem.

- Przepraszam - odparła szybko reporterka z „Seattle Beat”, blondynka w błękitnym kostiumie. - Nie sądzi pan jednak, że większość ludzi chciałaby znać na nie odpowiedź? - ciągnęła. - Czy adwokat o pana... eee....

specjalności, który bronił tylu członków nielegalnych organizacji paramilitarnych, nie sympatyzuje z tego typu ruchami? Nie uważa pan, że opinia publiczna byłaby zainteresowana?

- Słoneczko, staram się nie zakładać z góry, co chcą wiedzieć inni ludzie.

- A zatem, nie sympatyzuje pan?

- Wręcz przeciwnie. Zawsze sympatyzuję z klientem, który jest w potrzebie i ma prawo do uczciwego procesu.

- Oczywiście — rzuciła reporterka.

Grady przyjrzał się jej nogom, zwracając uwagę na ich gładkość i opaleniznę. Zorientował się, że ma ona na sobie po prostu rajstopy miedzianego

73

koloru. Przyszło mu do głowy pytanie, czy dziennikarka nosi majtki. Wyobraził sobie siebie, jak zagląda jej pod spódnicę i ściąga dwoma palcami gumkę rajstop. Czy jest naturalną blondynką?

- Proszę pana — kontynuowała — chciałabym...

- Nie, nie; mów do mnie Johnny Wayne - polecił Grady. - Wiesz, wymawiane z tym małym akcentem na „Wayne”.

- Dobrze. Johnny Wayne, czy jest... Zadzwoił jednak telefon. Adwokat uniósł palec:

- Zaczekasz z tym pytaniem?

Wcisnął migające światełko i podniósł słuchawkę. Posłuchał chwilę i

odpowiedział:

- Odezwę się do niego za dwie minuty. - Rozłączył się.

Popatrzył na reporterkę. Przejechał dłonią po włosach z boku głowy, docierając aż do gęstego, długiego kosmyka, sięgającego mu za kołnierz. Grady miał pociągłą twarz, wąskie usta i wysokie czoło.

- Kochana - powiedział - strasznie żałuję, ale obawiam się, że będę musiał zakończyć naszą pogawędkę.

- Ale nawet nie zaczęłam jeszcze...

- Obowiązki mnie wzywają- przerwał. Wstał, wyszedł zza biurka i uśmiechnął się z góry. Kobieta westchnęła, wzięła torebkę i podniosła się. Dotknąwszy delikatnie jej łokcia, adwokat odprowadził ją do drzwi.

- Cóż, przykro mi bardzo, że nie mógł mi pan poświęcić odrobiny więcej czasu - oznajmiła na pożegnanie.

- Mnie też. Ale powiedz mi, czy i ja mógłbym zadać ci jedno pytanie?

- Jakie?

- Czy masz na sobie majteczki?

Dziennikarka zaniemówiła, po czym spojrzała groźnie i odparła:

- Ty chyba lubisz szokować, co?

- Jak najbardziej - zgodził się Grady. - Lubię też się kochać.

Kobieta wypadła z trzaskiem z biura.

Adwokat wrócił na swoje miejsce. Biurko i fotel ozdobione było misternymi, ręcznie wykonanymi indiańskimi wzorami, wyrzeźbionymi ponad sto lat temu w cedrowym drewnie. Grady podniósł słuchawkę i wcisnął podświetlony guzik.

- Co się stało, chłopie? - rzucił.

- Czy pan Grady? - upewnił się Marquette.

- Zgadłeś.

- Potrzebna mi porada.

-A o co cię oskarżyli? Nastąpiła mała pauza.

- Jeszcze nie ma oskarżenia - wyjaśnił Matt. - Ale w grę wchodzi podwójne morderstwo.

74

- Ho, ho - mruknął John Wayne, drapiąc się w powiekę. - Najpierw musimy poznać kilka nazwisk - rzucił. Wysławiał się teraz szybko i konkretnie. Pozostał lekki, nosowy akcent z Teksasu, ale znikła wiejska rubaszność i powolność.

- Podamy je, kiedy wysłucha mnie pan do końca - powiedział Marquette.

- Uczciwy układ - stwierdził Grady. Wcisnął odpowiedni przycisk, aby móc rozmawiać bez słuchawki, wyciągnął ze srebrnej, inkrustowanej turkusami cygarniczki cygaretkę marki Andalusian Ducados, zapalił i zaczął chodzić po pokoju. - Gdzie zdarzyły się morderstwa? - zapytał.

- W Dungeness.

- Kiedy? - Poprawił stojącą przy tylnej ścianie trzydziestocentymetrową statuetkę ubranego w pełny wojenny rynsztunek wodza Dakotów z plemienia Hunkpapa, wykonaną z brązu.

- Ostatniej nocy - wyjaśnił Mart.

Grady podszedł do stojącego z boku małego biurka z komputerem.

Przywołał kartotekę biura prokuratora okręgowego stanu Waszyngton, do której wpisywano wszystkie przestępstwa z użyciem przemocy, jakie zdarzyły się na terenie stanu.

Wstukał słowa kluczowe: Dungeness, okręg Clallam, 03/15.

- Jaki jest pana związek z tymi morderstwami? - spytał.

- Jedna z ofiar była moim pracownikiem. Jestem szyprem kutra. Na ekranie komputera pojawił się blok informacji:

CC/TfIC//OOH5//PT:0103 DR: 1H5-516-OOĆ3

POŻARR KUTRA

USTEPNy PORT CC:PT:0!! ,?

DWIE OFIARy SMiERTELNE

ZWŁOKI ZIDENTyFIKOWAME PRZEZ

MAuROUETTE-- WŁAŚCICIELA KUTRA

POR JULIE. K. 19 LRT

PRZyDZIAŁ 5PRRUy: CC DET POR DWA ŁOSIE JOHfi RRP DED [DR

CC ByNERh TRUR

- Halo, jest pan tam? - spytał Marquette.

- Czemu nie mówi pan dalej?

- Dobrze, ale to zabrzmia trochę dziwnie.

- Żyję z dziwnych spraw.

Mart zaczął opowiadać, najpierw powoli, potem rozluźnił się nieco i przyspieszył. Mówił o złowieniu rekina, o śmigłowcu, o eksplozji i pożarze.

75

Grady chodził po pokoju, pozwalając rozmówcy podawać kolejne informacje. Nie przerywał aż do momentu, kiedy Marquette doszedł do znalezienia kuli w brzuchu rekina.

- Jaka to kula? - zapytał adwokat.

- Jest zrobiona z jakiegoś specjalnego plastiku; ma wielkość mniej więcej grejpfruta.

-I mówi pan, że była do niej przymocowana mała radiolatarnia?

-Tak.

Ciekawe, pomyślał Grady. Mogło to oznaczać wiele różnych rzeczy.

- Czy wie pan, co jest w środku? - spytał.

-Tak.

-A skąd?

- Prześwietliłem ją rentgenem.

-Oo...! Gdzie?

- Po prostu, prześwietliłem ją.

-No i?

- To jakiś typ komory krystalicznej, urządzenie najwyższej technologii.

Być może jest to element maszyny do produkcji warstewek, z których robi się mikroprocesory.

Coś podobnego... Grady zatrzymał się przed oknem. Ciekawa sprawa... Z pokoju adwokata rozciągał się widok ponad terminalem kontenerowym zatoki Salmon na zielone sosnowe ostępy Discovery Park oraz na rezerwat znajdujący się na wojskowym terenie fortu Lawton. Przemyt? - myślał prawnik. Sprzeczka pomiędzy złodziejami? Wciągał dym z cygaretki, rozkoszując się delikatnym zapachem o aromacie brandy.

- A czy przyjrzał się pan dobrze temu helikopterowi? - zapytał.

-Tak.

- Było w nim coś charakterystycznego?

- Zwykła dwumiejscowa maszyna. Biała. Nie rozpoznałem marki. Ale zauważyłem coś, co przypominało logo jakiejś firmy.

- Jak wyglądało?

- Trzy czerwone S, połączone w jeden symbol.

Grady zatrzymał się. Odwrócił się powoli i popatrzył z niedowierzaniem na głośnik telefonu.

- Co...? Jest pan pewien? - rzucił.

-Tak.

Adwokat podszedł do swojego fotela i usiadł. O co chodzi?! - myślał. Trzy S??? Przecież to logo firmy Jacka Stone'a! Czy to możliwe, żeby ktoś inny też miał trzy czerwone...? Nie, przecież symbole firm są rejestrowanymi znakami handlowymi.

- Wie pan co, Marquette, pańska sprawa jest po prostu fascynująca...!

-powiedział.

76

- Skąd pan zna moje nazwisko? - spytał Matt. O, cholera!

- Mam je na ekranie - przyznał Grady. — Pożar został wpisany do komputerowej kartoteki biura prokuratora okręgowego.

Marquette zamilkł. Adwokat miał wrażenie, że rozmówca chce się rozłączyć, a pod żadnym pozorem nie mógł do tego dopuścić. Powiedział więc pośpiesznie:

- Będę pana bronił. - Myślał intensywnie. Musiał jakoś powstrzymać tego człowieka przed rezygnacją z jego usług i dowiedzieć się, o co chodzi.

- Tak po prostu, już pan zdecydował? - Matt był zdziwiony. Grady zmusił się do śmiechu i odparł:

- Wie pan, do licha, zaintrygowała mnie ta sprawa.

- No a co z zapłatą?

- Rozwiążemy to jakoś. - Wymyśl coś, żeby go zatrzymać, ponaglał się prawnik. I wymyślił. - Niech pan posłucha - powiedział - znajduje się pan w bardzo niebezpiecznej sytuacji.

- Wiem o tym.

- Nie, jest gorzej, niż pan myśli. Wydali już nakaz aresztowania pana -skłamał Grady. Usłyszał, jak rozmówca wypuszcza powoli powietrze. - Musi pan opuścić Seattle. I to szybko. Niech mi pan da czas na sprawdzenie, jakimi dokładnie danymi dysponuje policja.

Po drugiej stronie panowało milczenie.

- Słyszysz pan, co mówię?

-Tak.

- Czy ma pan jakąś kryjówkę poza miastem, gdzie może pan przeczekać kilka dni?

-Nie.

Adwokat zastanowił się.

- Znam odpowiednie miejsce - powiedział. - To moja letnia chata w Moses Lake. Wie pan, gdzie to jest?

- Zaraz, zaraz - odparł Marquette. - Czy pan nie zostanie oskarżony o ukrywanie mnie albo współudział...?

- Nie wysunięto jeszcze przeciw panu formalnych oskarżeń - skwitował Grady. Usłyszał, że jego potencjalny klient przykrywa mikrofon dłonią i rozmawia z kimś na boku. Po chwili Matt odezwał się znowu:

- Dobrze, pojedę tam. Gdzie jest pańska chata? Adwokat wytłumaczył mu drogę, a potem spytał:

- Czy może pan skorzystać z cudzego samochodu? Pański będą śledzić.

- Nie mam samochodu. I nie prowadzę.

- To niech pan pojedzie autobusem Greyhounda. Ale szybko, zanim gliniarze zaczną patrolować dworce. Znow zapadła cisza.

- No i co pan na to? - zagadnął John Wayne.

- Dobrze.

- Czy ma pan numer, pod który mogę zadzwonić, jeśli spóźni się pan na autobus?

- Ja do pana zadzwonię. Marquette rozłączył się.

Dwa Łosie jadł banana, przeglądając uważnie zdjęcia ze spalonego „Big Blue”. Banany były ulubionym pożywieniem detektywa. Zjadał osiemdziesiąt sztuk dziennie. Duże, hawajskie odmiany Bluefield kupował w koreańskim samie na ulicy Beverly.

Kolorowe zdjęcia były jaskrawe i bardzo wyraźne. W fotografiach miejsc zbrodni zawsze uderzała go jedna rzecz - oglądając je, miał poczucie, że nastąpiło nagłe zderzenie, kolizja ofiar i otaczającej je przestrzeni ze ścianą czasu, niespodziewaną i nieprzeniknącą przegrodą, która niszczyła je, odzierała z fizycznej integralności oraz wszelkiej godności. Kojarzyło mu się to z rozwiewanymi przez wiatry szczątkami ciał zmarłych Indian Dakota, pozostawianymi niegdyś wysoko na platformach pogrzebowych. Jeszcze zanim wziął do ręki zdjęcie, Dwa Łosie skończył wstępny raport ze zbrodni dokonanej w Dungeness. Sporządzenie raportu było mozolne - trzeba było opisać wszystkie dowody, dołączyć protokoły z sekcji zwłok, spisać wnioski wynikające wstępnie z zebranych dowodów i wyniki przesłuchań. Wśród streszczeń przesłuchań świadków były między innymi opisane rozmowy z rodzicami Ricka Hammila i starszą siostrą Julie Polk. Przesłuchiwanie najbliższych rodzin ofiar przestępstw zawsze było dla porucznika trudne. Siostra Polk załamała się kompletnie podczas rozmowy i łkała przez kilka minut, zanim zdołała się opanować. Rozmawiał z nią w jej trypokojowym mieszkanku na piętrze, nad chińską restauracją w

Dungeness. Ojciec Hammila przez telefon sprawiał wrażenie starszego człowieka o słabych nerwach, choć mówił powoli i spokojnie, bez żadnych oznak hysterii.

Teraz Dwa Łosie podniósł kolejne zdjęcie. Ukazywało otwartą ładownię kutra z martwym rekinem. Fotograf był zbyt skrupulatny, pomyślał detektyw. Przyjrzał się zdjęciu. Wydawało się, że coś jest na nim nie tak. Po chwili John przypomniał sobie, że chodzi o rekina. Na fotografii rekin był cały. Tymczasem rano Dwa Łosie nadzorował pracę dwóch nurków, którzy umocowywali do spalonego kutra pływaki, żeby można było wyciągnąć go na brzeg. Kręcąc się po „Big Blue”, zauważył, że rekin miał rozkrajany brzuch, a jego śmierdzące wnętrzności wylały się na deski pokładu.

Po co Marquette rozpruły brzuch rekinowi...?

- Hej, George! — zawołał porucznik.

78

- Słucham? - odezwał się młody policjant, wsadzając głowę przez drzwi.

- Pływałeś na kutrze i łowiłeś łososie, prawda?

- Owszem.

- Kiedy w normalnych warunkach patroszy się rybę? - spytał John.

- Na kutrze? Nie patroszy się. Wsadza się je tylko do lodu i zawozi do przetwórci. Z wnętrznościami, głową, ogonem i tak dalej.

-A po co ktoś mógłby rozciąć rekinowi brzuch, stojąc w porcie? Policjant wzruszył ramionami.

- Może był głodny i chciał sobie wziąć do domu trochę rekiniego mięsa? - rzucił.

Dwa Łosie stęknął tylko i odwrócił się z powrotem ku zdjęciom. Wyciął

sobie kawałek rekina na obiad? - myślał. Mało prawdopodobne. Oto zagadka...

Tymczasem zamrugało światelko na telefonie. Odebrał.

- Wydział kryminalny, detektyw Dwa Łosie - przedstawił się. Dzwonił szeryf Milt Lindsey.

- Słuchaj, sędzia Cherry wydał właśnie nakaz rewizji domu Marquet-te'a - zagrział do słuchawki. Lindsey miał wyjątkowo donośny głos i mówił w wybuchowy sposób. - Kiedy ją przeprowadzisz?

- Dzisiaj po południu.

- Dobrze.

- Czy wysłałeś już formularz do analizy profilu osobowości? - spytał detektyw. Przed południem wystosował prośbę do Ośrodka Nauk Behawio-ralnych FBI, mieszczącego się w Quantico w stanie Yirginia, o sporządzenie profilu osobowości nieznanego mordercy. Koło południa dostał faksem z lokalnego oddziału FBI dwunastostronicowy formularz z pytaniami. Wypełnił go starannie i posłał piętro wyżej, żeby Lindsey go podpisał.

- Tak, przefaksowałem go jakieś pół godziny temu - odpowiedział szeryf. - Ale to potrwa co najmniej dziesięć dni.

- Wiem.

- Rozmawiałem też z Parellim - poinformował Lindsey. Steve Parelli był agentem FBI odpowiedzialnym za rejon Seattle. - Z ich kartotek wynika, że Marquette był dotychczas czysty. Co ciekawe, okazuje się, że służył w Navy SEAL's. Był tam specjalistą od zaopatrzenia. Dwukrotnie wysyłano go do Wietnamu. Został parokrotnie odznaczony.

Dwa Łosie stęknął.

- To znaczy, że potrafi zabijać, jeśli tylko zechce.

- Nie ma żadnych wątpliwości - zgodził się Lindsey i odłożył słuchawkę bez słowa pożegnania.

John Dwa Łosie w swojej dotychczasowej karierze zawodowej prowadził dziesięć spraw o morderstwo. Wszystkie oprócz jednej były jednak rutynowe - bójki ze skutkiem śmiertelnym w barach dla motocyklistów, postrzały w domu i tym podobne. Jedna tylko nie była jasna ani prosta.

Przed

79

dwoma laty zabito w Port Angeles nielegalnego emigranta z Meksyku.

Rozwikłanie zagadki wymagało długiej, intensywnej pracy prowadzonej do spółki z FBI i urzędem celnym. W efekcie odkryto północną odnogę sieci handlarzy narkotyków, od której ślady wiodły aż do jednego z wielkich kolumbijskich karteli.

Zabójcą okazał się płatny morderca z San Francisco. Miał zaledwie metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, ciało miniaturowego Herkulesa i okrutne instynkty terrorysty z Bejrutu. Zezwolono Johnowi na udział w zasadzce na niego w pewnym hotelu w Tacoma, policji lokalnej okręgu Clallam odmówiono jednak zaszczytu wniesienia oskarżenia, który przypadł FBI.

Porucznik był zmęczony. Ściągnął kowbojski kapelusz i przejechał dłonią po gęstych, prostych, długich kruczoczarnych włosach. Cesał je z przedziałkiem na środku i spinał z tyłu w krótki koński ogon. Twarz detektywa miała kolor skóry jelenia, jeśli nie liczyć pięciocentymetrowej blizny po kasku zawodowej drużyny futbolowej San Francisco 49ers.

Minęło już prawie trzydzieści sześć godzin, odkąd Dwa Łosie miał okazję spać. Spojrzał na zegarek. Było wpół do trzeciej. Postanowił, że zdrzemnie

się trochę, a potem pokieruje rewizją w domu Marquette'a. Oparł się wygodnie, założył kapelusz tak, żeby rondo osłaniało mu oczy, i spróbował zapaść w sen.

Wyobraził sobie biegnącego w zwolnionym tempie białego bizona. Wielka głowa zwierzęcia unosiła się, oczy płonęły, a silne nogi uderzały w prerię, wzbijając tumany kurzu. Wszystko odbywało się w absolutnej ciszy. Był to jego wypróbowany sposób na sprowadzenie snu. Nauczył go tego jego pradziadek, który walczył kiedyś z wojowniczym szamanem Smohallanad brzegiem Blue Columbia.

Dwa Łosie zasnął po niecałej minucie.

- Spytam pana o jedną rzecz - powiedział Grady. - Czy jest tu śmigłowiec pana firmy?

-A po kiego czorta panu ta informacja? - odparł Stone.

- Niech mi pan po prostu powie.

-No, jest tu.

- Cholera jasna...!

Stone i Fettis przez całe przedpołudnie niemal w panice próbowali odnaleźć właściciela „Big Blue”. Z porannej gazety dowiedzieli się, że nazywa się Marquette i zdobyli nawet jego adres.

O wpół do dziesiątej rano Jack zadzwonił do Basseta. Musiał próbować aż trzy razy, zanim Jay w końcu odebrał. Stone podał mu adres właściciela kutra i przykazał mu obserwować dom, a może nawet się włamać, jeśli nadarzy się okazja, i przeszukać mieszkanie.

80

Pilot oddzwonił godzinę, później.

- W pewnej odległości od domu Marquette'a stoi radiowóz lokalnej policji

- poinformował.
- O cholera. To znaczy, że on jest podejrzanym - skomentował Jack.
- Kto jest podejrzanym? - Fettis był zdziwiony. - Szyper?
- Tak.
- Oj, to kiepsko, Jack. - GUS zmartwił się. - Kiedy go aresztują, kula dostanie się w ręce policji.
- Co mam teraz robić? - chciał się dowiedzieć Basset. Stone się zastanowił.
- Kręć się wokół tego miasteczka i miej oczy otwarte - polecił. - I nie zapominaj, że masz wykonać telefon do „Magazyniera”.
- Jasne.
- Zrób to o ustalonej porze.
- Powiedziałem, że dobrze.
- W porządku; pozostań w kontakcie. I, do jasnej cholery, trzymaj się z daleka od barów.

Po tej rozmowie Jack kontynuował poszukiwania Marquette'a. Zadzwoił do stanowego Urzędu Żeglugi, który rejestrował kutry, mając nadzieję, że może szyper wymienił w podaniu o rejestrację nazwisko jakiegoś współnika czy członka rodziny. Ale nie wymienił. Przy okazji jednak Stone dowiedział się, że faktycznym właścicielem kutra jest bank Pine State Bank, który przechowywał skrypt dłużny Marquette'a.

Jack zadzwonił więc i do banku, przedstawiając się jako dawny kolega Marquette'a z wojska. Poprosił o nazwiska poręczycieli pożyczki szypra, tłumacząc, że usiłuje go odnaleźć i nie jest w stanie tego zrobić.

Urzędniczka odpowiedziała mu jednak stanowczo, że tego rodzaju informacje nie mogą być udzielane, chyba żeby Marquette wydał wyraźną pisemną dyspozycję.

O pierwszej po południu Jack był już całutki spocony.

Tymczasem teraz Grady oznajmił:

- Musi mi pan tylko jeszcze powiedzieć, co ten helikopter tu robi?

- O co panu, do cholery, chodzi? - Stone zirytował się.

- Jak to się stało, że właściciel pewnego kutra widział pana śmigłowiec, a zaraz potem kuter się spalił i zginęło dwoje ludzi? Jack aż podskoczył.

- Skąd pan o tym wie?! - spytał gwałtownie.

Fettis zerknął na niego. Ubrany w dżokejskie spodnie, robił właśnie przysiady, podnosząc jednocześnie meble. Opuścił trzymany na ramionach stół i nadstawił uszu.

- Właśnie skończyłem rozmawiać przez telefon z facetem, który pana widział. Przed chwilą zatrudnił mnie jako swojego adwokata. Stone wybałuszył oczy na Fettisa i zapytał oszołomiony:

6 - Oddech śmierci

81

- Kto? Marquette???

- Właśnie on.

- Nie wierzę...!

- To niech pan uwierzy - poradził prawnik. - Niech mnie pan posłucha. Pan i ja robimy razem ważny interes. Nie chcę, żeby coś nam go sknociło.

- Gdzie jest Marquette? - rzucił tymczasem Jack.

- Słyszysz pan, co mówię? Cholera jasna, w tej chwili mamy do czynienia z dwoma typami! Czy to wy zrobiliście, na litość boską?

- Gdzie jest Marquette, do diabła?! - krzyknął ponownie Stone.

- Ukryłem go - wyjaśnił Grady.

- Pan go ukrył? To znaczy, jest u pana...?

- Tak, ale nie tu; wysłałem go do mojej chaty w Moses Lake.

- Gdzie?

- Moses Lake. To w Kotlinie - tłumaczył adwokat. - Powie mi pan wreszcie, o co chodzi, czy nie?

Jack pociągnął się bezwiednie za brodę.

- O nic - odpowiedział po prostu. - Niech się pan tym nie martwi. To tylko mała, uboczna robótka. Marquette ma coś naszego.

- Czy spaliliście jego kuter?

- Nie - sapnął.

- Mogę brać to na poważnie? - upewnił się Grady.

- Wszystko mi jedno, co pan zrobi z tą informacją- odciął się Stone.

-proszę mi powiedzieć, czy Marquette mówił coś o kuli?

- A mówił, mówił. -Czy ma ją ze sobą? - Tak. Powiedział, że to jakaś komora krystaliczna, - Tego szukacie? Jack zacisnął triumfalnie pięść.

- Czy w tej chwili Marquette jest w chacie? - zapytał.

- Nie. Dopiero tam jedzie. Autobusem Greyhounda. Stone rzucił Fettisowi:

- Wyciągnij atlas drogowy. - Zapytał Grady'ego: - Jak się można dostać do tej chaty?

Adwokat wytłumaczył mu i powiedział:

- Niech pan słucha, Stone. Ja nie mam z tym bagnem nic wspólnego, słyszy pan? Załatwcie sobie waszą sprawę z Marquette'em, mnie nic do tego. Ale, do cholery, dopilnujcie, żeby wszystko rozegrało się z dala od mojej chaty, dobra? Zrozumiał pan? Nie dopuście, żeby zobaczono któregoś z was razem z Marquette'em!

- Dobrze, dobrze - mruknął Jack i odłożył słuchawkę.

- O co chodzi z tą jakąś cholerną chatą? - zdumiał się GUS. Stone wyjaśnił

mu wszystko. Fettis wybuchnął śmiechem.

82

-No nie, chyba sobie ze mnie żarty stroisz...! - wyrzucił z siebie. - Ze wszystkich adwokatów w Seattle nasz rybak wybiera akurat „Dwa Pistolety”? Pomyśl, jakie jest prawdopodobieństwo takiego zdarzenia?!
- Wygląda na to, że po prostu zostaliśmy wynagrodzeni za dobre życie
-skwitował Jack.

Rozłożyli na stole mapę. Po chwili Stone dźgnął w nią palcem.

- Jest! Moses Lake — odczytał.

Umysł

Marquette'a był zupełnie nie przyzwyczajony do realizacji takich zadań jak ucieczka, krycie się. Jego instynkty domagały się czegoś zupełnie przeciwnego. Wyglądał bezwiednie przez boczne okno terenowego chevroleta.

Kelli zatrzymała się przy krawężniku. Znajdowali się na Ósmej Ulicy, zasłonięci przez stojącą przed nimi ciężarówkę. Jej kierowca, pogwizdując, ścigał z platformy kartonowe pudła na mały ręczny wózek. Przednimi znajdował się główny dworzec linii autobusowych Greyhound. Był to stary ceglany budynek z przełomu poprzedniego i obecnego stulecia, o szerokich gzymsach: wiszących na linach żelaznych daszkach nad dwoma symetrycznie rozmieszczonymi głównymi wejściami.

Pickett wyłączyła silnik. Patrzyła przez chwilę przez przednią szybę na widoczne na horyzoncie góry. Tuż nad ich wysokimi grzbietami unosiły się ciemne chmury, które zbierały się od dwóch godzin.

- Wygląda na to, że przejeżdżając przez góry, możesz natrafić na padający śnieg - odezwała się. Matt nic nie odpowiedział.

Wyglądał dalej przez okno. Z drzwi magazynu najbliższego budynku wyszedł mężczyzna w zielonym kitlu. Zapalił papierosa i zaczął się przyglądać pracującemu kierowcy. U jego stóp ze znajdującej się w chodniku kraty ściekowej dobywały się pasemka białej pary.

Jedną z głównych prawd, jakich życie nauczyło Marquette'a, była ta, że kiedy ma się do czynienia z jakimś przeciwnikiem, należy najpierw ocenić jego możliwości. Tak było zawsze niezależnie od tego, czy chodziło o szkolną bójkę na pięści, czy o nocną misję taktyczną w Wietnamie.

Należało poznać silne i słabe strony oponenta, które później trzeba było wykorzystać. Jak jednak można to zrobić, uciekając przed nim? - myślał Matt. Chowając się jak mysz do dziury?

- Wiem, że nie podoba ci się to, co teraz robisz, Matt - odezwała się znowu Pickett.

83

Popatrzył na nią.

- Rozumiem to - ciągnęła. - Ale nie masz wielkiego wyboru. W Kotlinie będziesz bezpieczny. Teraz, kiedy wydali nakaz twojego aresztowania, policja z pewnością by cię znalazła.

Nagle ktoś zapukał w okno. Odwróciła się i podskoczyła z przerażenia.

Koło samochodu stał policjant. Opuściła szybę.

Uśmiechnął się. Miał świeżą błękitną bluzę i wyprasowane w ostry kancik spodnie.

- Panienko, tu nie wolno parkować - powiedział.

- Bardzo przepraszam, panie władzo - odparła. - Odwiozłam tylko pasażera na dworzec.

- To dobrze, ale nie stójcie tu. - Funkcjonariusz ruszył z powrotem do

swojego biało-błękitnego radiowozu. Kelli popatrzyła za nim w lusterko.

- Boże, ale mnie przestraszył!

Mart nachylił się, ścisnął ją za ramię i otworzył drzwi. Wysiadł, nachylił się jeszcze i rzucił:

- Uważaj na siebie.

- To ty lepiej uważaj na siebie. I zadzwoń do mnie, kiedy tylko dojedziesz. Będę w pracy.

- Dobrze. - Marquette zatrzasnął drzwi i ruszył na dworzec. Kiedy radiowóz mijał go na rogu ulicy, policjant nawet się nie obejrzał.

Mart odnalazł kasę i kupił bilet w jedną stronę do Moses Lake. Na końcu hali dworcowej grupa robotników rozbierała starą klatkę schodową- cięli zmatowiałe mosiężne barierki i zrywali wytarte marmurowe pokrycie schodów. W powietrzu unosił się biały pył.

Marquette poszedł do długiego rękawa, wzdłuż którego stało w jednym rzędzie kilka autobusów. Korytarz był przestronny, a na jego obu końcach znajdowały się ogromne drzwi. Ciągnął przez niego lekki chłodny wiatr, przynoszący ze sobą zapach autobusowych spalin, hot-dogów i rdzewiejącej stali.

Matt stanął koło grubej, żelaznej podpory i po raz pierwszy od momentu eksplozji w Dungeness poczuł w głębi żołądka, jak zaczyna go powoli ogarniać lodowaty gniew.

Stone zdołał dotrzeć do podnóża gór za North Bend, pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Seattle, i dopiero wtedy pogoda załamała się na dobre. Najpierw zaczął się deszcz, do którego szybko dołączył śnieg, w miarę jak samochód zaczął zagłębiać się w góry. Wzdłuż krawędzi jezdni autostrady 1-90 utworzyła się błotnista chlapa.

Po rozmowie z Grady Jack zadzwonił do Basseta i kazał mu zabrać śmigłowiec z Port Angeles, a następnie polecieć nim po Gusa na lotnisko 84

międzynarodowe King County. Stamtąd mieli udać się razem na pokładzie helikoptera do Ellensburg - miasteczka, gdzie znajdował się pierwszy przystanek dalekobieżnych linii Greyhound po przekroczeniu gór. Mieli tam czekać na autobus Marquette'a. W tym czasie Stone wsiadł do sportowego pon-tiaca i ruszył w kierunku Moses Lake.

W okolicach przełęczy Snoqualmie zaczął na dobre padać śnieg. Ogromne płatki unosiły się i dopiero potem uderzały w przednią szybę samochodu. Na piórkach wycieraczek potworzyły się maleńkie sople. Wzdłuż drogi rósł gęsty, ciemny las, wypełniony teraz szarą śnieżną mgiełką.

Dotychczas Jack był przez cały czas podniecony niezwykle wiadomościami o Marquette przekazywanymi przez Grady'ego. Jednak w miarę jak zadymka gęstniała, znowu zaczęły ogarniać go wątpliwości.

Czas umykał, a rzucone w powietrze słowa nie dawały się wycofać.

Spojrzał na zegarek. Było dziesięć po czwartej po południu.

Przed nim zabłysły nagle czerwone światła hamowania. Wcisnął więc pedał i zwolnił. Po chwili zatrzymał się za dwoma szeregami wypełniających jezdnię samochodów. Daleko z przodu widać było skupisko migających świateł czerwonych i niebieskich. Wypadek.

- Cholera! - zaklął Jack na głos.

Czekał. Minęło kilka minut i nic się nie działo. Tylko poboczem drogi przejechała półciężarówka policji stanowej, z napędem na cztery koła. Śnieg odbijał szkarłatne błyski jej lamp.

Stone sięgnął do tyłu i podniósł swój neseser. Obok leżała teczka Fetti-sa,

w której znajdowały się dwa przywiezione podzespoły. Jack otworzył walizeczkę i położył ją na fotelu obok. W środku znajdowały się dokumenty, notatniki, telefon komórkowy i pistolet maszynowy Ingram P-11 w kaburze.

- Szybciej, do cholery! - warknął zirytowany i zaczął stukać nerwowo palcami w kierownicę. — Ruszcie się!

Sześć minut później odezwał się telefon. Dzwonił GUS z Ellensberg.

- Właśnie wylądowaliśmy. Gdzie jesteś? - spytał.

- Utknąłem na przełęczy, jasny gwint. Sypie śnieg, a przede mną jest wypadek.

- Tutaj wieje jak jasna cholera, a ten pokrecony głupek Basset omal nie rozwalił nas obu przy lądowaniu! Jest nieźle podchmielony, palant jeden...

- GUS, trzymaj tego idiotę z daleka od alkoholu!

- Masz rację.

- Dobra - uspokoił się Jack. - Patrzcie, czy nie jedzie Marquette; spróbuj wsiąść do jego autobusu. Tylko żeby nie zobaczył Basseta, bo pewnie go rozpozna.

- Dobra - rzucił na zakończenie Fettis.

85

Stone siedział i wyglądał wściekły przez okno. W końcu opuścił boczną szybę; natychmiast owiało go zimne, ostre powietrze. Zaczął trąbić i drzeć się, wystawiając głowę przez drzwi:

- Ruszcie się, dupki! Nie będziemy tu stać do usranej śmierci!

GUS i Basset pojechali taksówką z lotniska w Ellensberg do centrum miasta. Lotnisko było małe; składało się zaledwie z jednego pasa i kilku hangarów; stało na nim kilkadziesiąt prywatnych samolotów i

śmigłowców, przymocowanych do płyty ze względu na silny wiatr.

Dookoła rozciągały się pola koniczyny i pszenicy oraz wielkie łąki, na których pasły się maleńkie z tej odległości krowy.

Niewielki dworzec autobusowy był połączony z holem hotelu Columbia, stojącego na rogu Ósmej i Okanogan. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się kawiarnia „1889 Cafe”, zbudowana z cegły w kolorze starego piasku o specjalnej fakturze, ze stalowymi okiennicami w oknach.

Dwaj przybysze weszli do niej i usiedli przy barze, z którego przez szeroką witrynę rozciągał się dobry widok na hotel.

Lokal był prawie pusty. Za barem wisiało duże lustro z okresu gorączki złota, a na ścianach stare zdjęcia i wieńce zwycięzców rodeo. Były także głowy łosi i jeleni oraz lassa i ostrogi.

Podeszła kelnerka. Była młoda i ładna; miała krótkie blond włosy i duże, złote klipsy w kształcie liści.

- Cześć, chłopaki - powiedziała, uśmiechając się szeroko. Basset odpowiedział jej szerokim, powolnym uśmiechem lekko pijanego człowieka i odparł:

- Cześć, mała. Słodziutka jesteś, wiesz?

- Co dzisiaj zamawiacie?

- Może małego gryzą ciębie?

Dziewczyna nie przestała się uśmiechać, ale w jej oczach pojawiła się ostrożność. Dwaj siedzący w kącie starzy mężczyźni w zakurzonych dżinsowych kombinezonach roboczych i bejsbolowych czapkach podnieśli wzrok.

Fettis odezwał się:

- Dwa duże budweisery.

Kelnerka zaczęła odchodzić, ale Fettis zatrzymał ją stwierdzeniem:

- Głodny jestem. Macie hamburgery, kochana?

- Hamburgery i cheeseburgery - odparła dziewczyna. Słysząc było dochodzące z kuchni dźwięki muzyki country, płynące z radia.

- A co jeszcze macie w tych hamburgerach oprócz sera? - sprecyzował pytanie Basset. Oparł brodę na dłoniach, nie przestając się uśmiechać, swoim zdaniem, załomie.

- Plasterek pomidora, korniszon, sos i plasterek bekonu.

86

- Prawdziwy hamburger z przedmieścia, co? — pochwalił Jay.

- Niech mu pani przyniesie jednego - zakończył GUS.

Dziewczyna wydała polecenie kucharzowi, otworzyła starą lodówkę i wyjęła dwie butelki piwa. Na schłodzonym szkle zebrała się rosa. Basset gapił się na dziewczynę, kryjąc do połowy twarz w dłoniach. Gdy kelnerka spojrzała na niego, wysunął do przodu wargi i pocałował powietrze.

Kobieta poszła do kuchni.

Jay pociągnął długi łyk piwa i z trzaskiem odstawił butelkę na bar. Odbiło mu się głośno. Rozejrzał się po sali. Kiedy jego przenikliwy wzrok spoczął na dwóch mężczyznach w czapkach bejsbolowych, ci odwracali głowy.

GUS przyglądał się temu z politowaniem.

- Z ciebie to prawdziwy biały twardziel, co? - zagadnął ironicznie. Basset spojrzał na niego, odwrócił się i popatrzył na własną twarz w lustrze.

-A żebyś wiedział - odparł. - Wsuwam gwoździe i sram szkłem.

- Mówisz o swoim żołądku czy mózgu? - zapytał z niejakim zainteresowaniem Fettis.

Jay przez chwilę nic nie mówił, ciągle idiotycznie uśmiechnięty. W końcu

odpowiedział:

- Lubisz pieprzyć się z gorylem, co, Gusso? Fettis zachichotał szczerze.
- Uważaj, żeby cię nie ugryzł.

Wyraz twarzy Fettisa nie zmienił się. Współwłaściciel Stone Security Systems zamilkł na chwilę, nachylił się i powiedział cichutko:

- Słuchaj, pijaku. Jeśli uważasz, że masz dość pary, żeby dobrać się do moich jaj, to rozwiążmy tę sprawę teraz.

Basset zeszywniał. Przez minutę wydawało się, że wybuchnie, ale w końcu rozluźnił mięśnie i zachichotał. Podniósł butelkę kciukiem i palcem wskazującym, napił się i odstawił ją ze szczególną delikatnością.

Zachichotał znowu, aż głowa mu podskoczyła.

Kelnerka przyniosła hamburgera.

- O której przyjeżdża autobus z Seattle? - zapytał Fettis.

Młoda kobieta odwróciła się i spojrzała na wiszący na ścianie zegar.

- Spóźnia się już dziesięć minut - poinformowała. - Musiał natrafić na śnieg na przełęczy.

- Właśnie jedzie! - zawołał jeden z mężczyzn w czapeczkach. GUS i Jay podeszli do okna, by popatrzeć na autobus, który podjechał pod hotel i zatrzymał się. Kilka osób wysiadło i skierowało się do budynku. Basset skinął głową i powiedział:

- To on. Ten wielki złamas w kurtce uniwersyteckiej.

Fettis wrócił do baru i zapłacił, dając kelnerce dwudolarowy napiwek.

- Jaki jest następny przystanek tego autobusu? - zapytał.
- Wanapum, tak mi się zdaje - odpowiedziała dziewczyna.

87

- Tak, Wanapum — potwierdził ktoś. — Pięćdziesiąt kilometrów na

wschód, za rzeką.

GUS rozejrzał się za Bassetem i poszedł do hotelu, żeby kupić bilet w kasie Greyhounda.

Wydostawszy się z Seattle, kierowca autobusu nie żałował gazu, pędząc aż do podnóża Gór Kaskadowych. Wyprzedzał wolniej jadące pojazdy, niemal zaczepiając kołami o pobocze. Matt zajął miejsce z tyłu, przy oknie. Natychmiast ogarnęła go panika spowodowana szybkością jazdy - czuł charakterystyczny skurcz w żołądku i krople potu występujące na czoło.

Wkrótce pojawiły się góry, a wraz z nimi śnieg, i kierowca zwolnił.

Autobus poruszał się w tunelu sosen i sekwoi, zamglonych przez biały puch, ogromnych i cichych. Lasy skończyły się dopiero za Teanaway.

Autobus przemknął przez Thorp i w końcu dotarł do Ellensburg.

Hol hotelu Columbia wyglądał jak z początku wieku: wyblakły, wielki dywan, ściany z drewnianych płytek, dwie palmy w doniczkach stojące koło wejścia do baru. Matt kupił sobie piwo i przyglądał się dziewczynie w obcisłych lewisach i butach na wysokim obcasie, która grała w elektryczny bilard.

Kiedy kierowca zawołał podróżnych, żeby wsiadali z powrotem, Marquette zauważył nowego pasażera - króciutko ostrzyżonego niskiego mężczyznę o potężnych ramionach, ubranego w żółtą kurtkę. Kiedy stanęli w kolejce do drzwi autobusu, przybysz uśmiechnął się do niego i zagadnął swobodnie, bez cienia nieśmiałości:

- Cholernie wieje w tych stronach, co?

- Rzeczywiście, wieje - przyznał Matt.

Zajął swoje miejsce i znowu zaczął wyglądać przez okno - wszystko było

leciutko błękitne za delikatnie barwioną, wyginającą się u góry szybą autobusu. Stary silnik zawarczał i autobus ruszył powoli Ósmą Ulicą, wrócił na Main i skierował się nią na autostradę 1-90.

Marquette znów poczuł panikę. Zamknął oczy i zaczął przypominać sobie obrazy z przeszłości - chwile i miejsca, które wycisnęły w jego pamięci nieodwracalne ślady.

Czuł dźwięki, zapachy, dotknięcia. Woń trawy na wiosennym treningu futbolowym w college'u, zimne jak lód naramienniki i ochraniacze, mokre od potu po porannej rozgrzewce, a potem gwałtowny, ale słodki ból pierwszego kontaktu z przeciwnikiem na boisku... Matt jako mały chłopiec i jego ojciec, wielki i uśmiechnięty, wracający do domu po miesiącu spędzonym na platformie wiertniczej, pachnący ropą naftową i potem... Pierwsze nurkowanie w tropikalnym morzu, pływanie nad ogromną rafą, a potem nagle cudowna połać białego piasku, rozpostarta niczym oaza migocząca w przeświecającym przez wodę krystalicznym, zielonym świetle słońca...

88

Matt poczuł ciepłą senność wywołaną piwem i powoli, odpływając w coraz dalsze rejony świadomości, zapadł w sen.

Dookoła zaczął się jakiś ruch. Marquette otworzył oczy i zobaczył, że pasażerowie opuszczają autobus. Na dworze było ciemno. Kierowca zatrzymał pojazd koło małego sklepu, zbudowanego ze starych desek. Na lewo, w głębi, stał biały wiejski dom i zbiornik z wodą na wysokich nogach. Po drugiej stronie drogi widać było zagrodę. Do płotu podeszły trzy konie, przyglądając się pasażerom autobusu.

Na środku sklepu stał żelazny piec, ogrzewając pomieszczenie. Wzdłuż

ścian na półkach leżały różne puszkki i pudełka, a na stoisku z wędlinami pyszniły się kiełbasy i grube, surowe steki. Podłoga ugięła się pod ciężarem Matta.

Przybyłych powitał młody, łysy człowiek w kombinezonie roboczym i bluzie z emblematem Central Washington University. Powiedział wesoło: - Toalety są tam, z tyłu. Zimne napoje i przekąski tu. I piwo, jeśli ktoś sobie życzy.

Marquette kupił papierosy i stanął w kolejce do toalety. Drzwi męskiej ubikacji były niebieskie. Napisano na nich niezdarnie flamastrem, „Hom-bres”. Pomiedzy toaletą a frontową częścią sklepu był mały magazyn zastawiony workami z ryżem i karmą dla kurcząt i zawieszony błyszczącą nowością końską uprzężą. Magazyn miał oddzielne drzwi na dwór.

Matt wszedł do malutkiej łazienki. Znajdowała się w niej tylko popękana umywalka oraz sedes. W środku pachniało mocno środkiem dezynfekującym i świeżą farbą. Nad umywalką było okno wychodzące na zagrodę, chronione chałupniczo wykonaną siatką z grubego drutu.

Marquette załatwił się, spuścił wodę, umył ręce i twarz. Pojemnik na papierowe ręczniki był pusty, wyjął więc chusteczkę i zaczął wycierać dłonie, wyglądając przez okno. Noc nie zapadła jeszcze do końca, chociaż po wschodniej stronie nieba widać było gwiazdy; ku równinie Wenatchee wznosiły się łagodnie gładkie pasma wzgórz. Za wzniesieniami widniał jeszcze nad horyzontem pas nieba w kolorze indygo.

Matt zamarł.

W odległości około stu metrów od sklepu stał mały helikopter. Jego łopaty i biały kadłub połyskiwały delikatnie w słabym świetle dochodzącym od strony zabudowań.

Marquette poczuł nagle uderzenie adrenaliny; serce zaczęło mu walić jak młotem. Odwrócił się szybko. W wejściu do łazienki stał mężczyzna w żółtej kurtce, ten z autobusu. W prawym ręku trzymał srebrzysty pistolet maszynowy glock z nierdzewnej stali.

Podniósł lewą dłoń i zbliżył wyprostowany palec wskazujący do ust na znak, że Matt ma zachować ciszę. Widać było, że śmieją mu się oczy. Skinął głową w stronę sportowej torby Marquette'a, wyciągnął rękę i pstryknął palcami, dając do zrozumienia, że chce dostać bagaż.

89

Matt gapił się na niego znieruchomiały. Minęły trzy czy cztery sekundy. Nieznajomy pochylił głowę i lekko zmarszczył brwi, nie tracąc jednak pogody spojrzenia. Spokojnie zachęcał do oddania mu torby.

Marquette rozluźnił się, choć nie spuszczał oczu z człowieka z pistoletem. Podniósł torbę. Wydała mu się nagle ciężka, z powodu browninga. Przez moment zastanawiał się, czy nie uderzyć mocno torbą napastnika, a potem kucnąć i spróbować wyszarpnąć mu broń. Budził się w nim powoli duch walki, a z nim i strach.

Mężczyzna w żółtej kurtce musiał wyczuć wahanie Marquette'a, ponieważ pokręcił po prostu głową.

Nagle drzwi łazienki otworzyły się szeroko, uderzając człowieka z pistoletem tak silnie, że aż stracił równowagę. Wpadł drugi mężczyzna i zawołał:

-Gus, tu jesteś! Cześć!

Matt zerknął na przybysza i natychmiast rozpoznał jednego z tych dwóch, którzy ścigali go na promie.

Ten, który został nazwany Gusem, odwrócił głowę, wrzeszcząc:

- Cholera, Basset! - Próbował odzyskać równowagę i podnosił pistolet. W tym momencie czyny Marquette'a zaczęły nadażać za myślami. Wyzwolił całą wzbudzoną adrenaliną energię, jaką miał w nogach, i wyskoczył naprzód, unosząc i wyrzucając w bok rękę z torbą. Torba z ciężkim pistoletem uderzyła Gusa w górną część policzka. Ruch był tak gwałtowny, a uderzenie na tyle mocne, że niewysoki mężczyzna odruchowo odskoczył, kuląc głowę.

Matt, ciągle posuwając się naprzód, trzasnął drugiego z napastników drzwiami tak, że i ten poleciał na bok. Przed oczami Marquette'a mignęła zniekształcona twarz mężczyzny i prawa ręka, którą szybko wykonał taki ruch, jak gdyby łapał się za kręgosłup. Matt uderzył go lewą dłonią, rozczapierzając sztywno palce i celując w oczy. Poczł mięką skórę i twarde oczodół. Basset wydał z siebie nieartykułowany dźwięk i poleciał na ścianę korytarzyka, a potem na ziemię, ramieniem w dół.

Matt także znalazł się za drzwiami, z rozpędu omal nie przewracając się o nogę powalonego przeciwnika. Przystąpił jednak nad nią, rzucił się w prawo i pobiegł w stronę sklepowego magazynu.

Poczł zapach karmy dla zwierząt i konopnych worków. Szarpnął za wysłużony, drewniany skobel drzwi prowadzących na zewnątrz i wyskoczył na dwór, słysząc za sobą dudniące w korytarzyku buty.

Przystanął. Przy ścianie sklepu stały przykryte brezentem sprasowane bele siana; leżał też ubrudzony smarem blok ośmiocylindrowego silnika forda. Spoconą twarz Marquette'a owiał zimny wiatr. Matt szukał w panice jakiejś kryjówki.

Po drugiej stronie drogi spłoszone trzaskiem drzwi konie odskoczyły od płotu. Odwróciły się jednocześnie i okrążyły kłusem zagrodę.

Marquette pędził już tymczasem w tamtą stronę. Przeskoczył przez ogrodzenie. Zobaczył, że za jednym z uciekających koni ciągnie się laso. Obejrzał się. Dwaj mężczyźni wyskoczyli ze sklepu i ruszyli przed siebie powoli i ostrożnie w dwie różne strony.

Matt przebiegł na tył zagrody. Tu nie było już drewnianego płotu, tylko kamienny murek. Konie zebrały się w lewym rogu, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Marquette zbliżył się do nich spokojnie, ale natychmiast się cofnęły i znowu pokłusowały wzdłuż płotu, wzbijając widoczny w słabym świetle kłęb kurzu.

- Poddaj się, ty skurwysynu! - zawołał jeden z napastników.

Kiedy konie przebiegały z powrotem koło Matta, zdołał złapać zatłuszczone i oblepione piachem laso. Napięło się natychmiast i zaczęło wyslizgiwać mu się z rąk. Marquette'owi udało się jednak owinać je wokół dłoni. Koń pociągnął go; sznur wbił się Mattowi w ciało.

Przewracając się, Matt zarzucił drugą rękę z torbą na szyję zwierzęcia i spróbował się złapać grzywy. Udało się. Podciągnął się i po chwili znalazł na grzbiecie konia.

Zwierzę zatrzymało się gwałtownie, omal go nie zrzucając. Wierzgnęło tylną nogą, szarpnęło się w tył. Marquette uderzył piętami w koński zad. Wierzchowiec się potknął, ale zaraz odzyskał równowagę i pognął przed siebie, prosto na kamienny mur.

Matt poczuł, że mięśnie zwierzęcia napinają się, a przednie nogi unoszą i razem przelecieli nad murem.

Koń galopował dalej, a jego jeździec pochylił się głęboko w stronę szyi wierzchowca, czując pracę jego nóg i ciepły oddech i słysząc szum

własnej krwi. Mknęli w ciemność.

8

Mężczyzna nazywał się Alex Stolowski. Miał szeroką, polską twarz, rzedniejące włosy i krzepkie ciało, odziedziczone po przodkach pracujących w stalowniach Pittsburga.

Kiedy miał dwadzieścia cztery lata, w przemyśle hutniczym nastąpił kryzys wywołany tanią i dobrą konkurencją z zagranicy. Alex wstąpił więc do armii i służył w 82. Brygadzie Spadochronowej. Dwukrotnie wysyłano go do Wietnamu. To tam właśnie poznał Jo-Jo Azevedo. Obaj zostali tego samego dnia podoficerami.

Obecnie Stolowski był właścicielem niewielkiego klubu w Seattle. Lokal o nazwie „Jelenie Rogi” znajdował się niedaleko placu Pioneer, w pobliżu hali

91

widowiskowo-sportowej King Dome. Okolica składała się z zabytkowych, i schludnie odrestaurowanych domów, w których mieściły się butiki, galerie sztuki, tanie spelunki, domy misyjne różnych kościołów oraz salony masażu.

Alex przestawiał właśnie na zapleczu beczki z piwem, kiedy przez otwarte drzwi zajrzał Azevedo.

- Ej, cholerny Polaczku! - zawołał.

Alex szybko odwrócił się z wściekłością. Zobaczywszy Jo-Jo, rozluźnił się i uśmiechnął.

- Patrzcie, kogo wywiało z rynsztoka! - odpowiedział radośnie. Mężczyźni uścisnęli sobie serdecznie dłonie.

- Zamknij drzwi i nawijaj - zachęcił Stolowski.

-Już.

- Co tu znowu, do licha, wyprawiasz? - zagadnął Alex.

- Szukam śladu.

- Nadal jesteś agentem Urzędu do Walki z Narkotykami? - W czasach gdy Azevedo tam pracował, Alex często przekazywał mu odpowiednie informacje. Kiedyś pozwalał, za odpowiedni procent, pracować w swoim klubie kilku lepszym okolicznym prostytutkom. W zamian za to, czego dowiadywał się od Stolowskiego, Jo-Jo ostrzegał go zawsze przed nalotami wydziału obyczajowego policji.

Teraz Azevedo pokręcił głową.

- Obecnie pracuję w Biurze do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej

-wyjaśnił.

- Oo - rzucił Alex. - Dali wam popalić w Waco, co?

- Rzeczywiście, kiepsko to wyszło.

Mężczyźni weszli do klubu. Jo-Jo usiadł przy barze. Stolowski nalał staremu kumpłowi beczkowego piwa. Azevedo rozejrzał się. Lokal był prawie pusty - siedziało w nim tylko kilku starszawych mężczyzn wyglądających na bezrobotnych marynarzy oraz dwóch motocyklistów w skórzanych, nabijanych ćwiekami kurtkach.

- Jak ci leci? - zagadnął Azevedo. Alex podał mu szklanę.

- Trzymam się. Ale to wszystko, co można powiedzieć.

- Plac Pionier się zmienił - skomentował Jo-Jo. Stolowski parsknął.

- Tak, teraz są tu z jednej strony bogaci snobi, nie na taki klub, a z drugiej sami biedacy i życiowi wykolejeńcy. Prawdziwy raj.

- Czym tu się teraz handluje? - spytał Azevedo.

- Tym samym starym gównem. Nowe jest tylko to, że podobno ciężkie

drugi przychodzą z rezerwatów Indian.

- Poważnie?

Alex skinął głową i zaczął nalewać sobie piwo.

92

- Tak gadają.

Za barem pojawiła się mała dziewczynka, mniej więcej sześćoletnia.

Miała pszeniczne blond włosy ostrzyżone na pazia i różowe policzki.

- Tato, mama prosi o kwity za noc. Stolowski podniósł dziecko i spytał:

-Anna, słoneczko, pamiętasz Jo-Jo? Dziewczynka przyjrzała się Azevedo poważnie.

- Cześć, malutka - powitał ją Jo-Jo. - Kiedy cię ostatnio widziałem, byłaś jeszcze małym dzieckiem. Ale teraz - proszę, proszę!

- Dlaczego ma pan takie samo imię i nazwisko? - spytała Anna.

- Bo moja mama tak mnie kochała, że dała mi dwa razy to samo imię

-odpowiedział Azevedo.

Anna wpatrywała się w niego swoimi poważnymi, ciemnymi oczami. W końcu odwróciła głowę i powtórzyła:

- Mama prosi o kwity. - Ojciec uścisnął ją, odstawił na podłogę i podał małej wydruki kasowe z nocy. Odbiegła.

Alex oparł na barze swoje grube łokcie i zagadnął:

- No i kogo teraz ścigasz?

Jo-Jo wyjął z kieszeni płaszcza fotografię i podał Stolowskiemu.

Ten obejrzał ją i skwitował:

- Wygląda na cholernego skinheada.

- To jeden z przywódców skinheadów - zgodził się Azevedo. - Nazywa się Hans Halberstadt, przyjechał z Niemiec i jest groźnym przestępcą.

- Uważasz, że jest gdzieś tutaj? - upewnił się Alex.
- Tak myślimy.
- Cóż, w tej okolicy kręci się mnóstwo faszystowskich śmieci - przyznał Stolowski. - Mają nawet swoje bary. Grają tę cholerną muzykę śrubokręta i tłuką się na parkiecie. - Pokręcił głową. - Debile.
- Konkretnie jakie to bary?
- „Pajęcza Sieć” przy Jackson i „Krzyż Celtycki” przy Lander. - Alex zniżył głowę i spojrzał na dawnego przyjaciela z ukosa.
- Uważaj, Jo-Jo - ostrzegł. - Na kilometr zwąchają, co z ciebie za jeden. Za barem pojawiła się teraz młoda kobieta. Była wyjątkowo ładna urodą lalki; miała długie, proste blond włosy i intensywnie umalowane oczy. Ubrała się w czerwony top i dżinsową kamizelę.
- Alex - powiedziała - brakuje kwitów z wieczora. - Zwróciła uwagę na Jo-Jo i popatrzyła na niego zimno. - Czyżby twój stary kumpel glina? Czego tu znowu szukasz, Azevedo?
- Cześć, Janet - odpowiedział Jo-Jo. - Zawsze tak samo piękna.
- Kochanie, widziałas już gdzieś tego klienta? - spytał Stolowski, pokazując żonie fotografię Halberstadta. Zerknęła.
- Nie. Gdzie są te kwity?

93

- U mnie na biurku.
- Janet wyszła.
- Jo-Jo popatrzył za nią.
- Ciągle mnie uwielbia, co? - rzucił.
 - Nie przejmuj się - pocieszył Stolowski. - Ona po prostu nigdy nie polubi policjanta.

Janet była kiedyś prostytutką. Bardzo piękna i inteligentna, pracowała w najlepszych miejscach - w luksusowych hotelach i centrach kongresowych. Jej alfonsem był bardzo kulturalny właściciel hotelu, człowiek przystojny, podobny do Roberta Redforda. Nazywał się Archie Bentencort. Stolowski poznał ją na zjeździe weteranów spadochroniarzy armii. Szybko się w sobie zakochali.

Wkrótce potem Alex wyprowadził podstępem Archiego z hotelu i sprzął go na kwaśne jabłko. Następnie wyciągnął z kieszeni banana, zjadł go, a skórkę rozłożył starannie na zakrwawionej twarzy Bentencorta. Był to tradycyjny znak, że odebrał prostytutkę, która dotychczas pracowała dla tamtego.

Teraz Jo-Jo odstawił piwo i wyjął portfel. Położył na barze dziesięć dolarów.

- Wypijmy jeszcze po jednym, Polaczku - powiedział. - Zawsze mówiłem, że masz najlepsze piwo w mieście.

- Ech, skoro tak uważasz, to rozgłoś to po świecie. - Stolowski westchnął, schował pieniądze i nalał znowu piwa.

- Co ty mi mówisz?! - zawołał do telefonu komórkowego Stone. - Ten rybak zdołał wam uciec? Na koniu? Człowieku!

- Tak, tak — mruknął Fettis. — To przez tego dupka, Basseta. Już miałem sukinsyna na muszce. Wtedy ten debil wpadł z trzaskiem do łazienki, no i wystarczyło; Marquette wykorzystał moment i czmychnął.

-I nie goniliście go?

- Przelecieliśmy parę razy nad polami, ale było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. O świcie startujemy znowu.

Jack gapił się przez przednią szybę z wściekłością, usiłując uspokoić się

nico. Zdał sobie sprawę, że jedzie już prawie sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, po prostu machinalnie, ze złości. Natychmiast zdjął nogę z gazu. Tego mu jeszcze tylko brakowało, żeby zatrzymał go policjant, skontrolował i znalazł przy nim nielegalną broń.

- Gdzie w tej chwili jesteście? - spytał.

- Stoimy na małym lądowisku i tankujemy, bo skończyła się benzyna.

Dzwonię z automatu.

- A co robi Basset?

- Siedzi w helikopterze i opatruje sobie oko. - GUS roześmiał się. - To jedyna pozytywna rzecz, jaka się zdarzyła. Marquette mało nie wydłubał Jayowi prawego oka.

94

Znowu obsuwa, pomyślał Stone. Znow wszystko w głupi sposób schrzanione. Spróbował skoncentrować myśli na Marquetcie, na tym, co by zrobił na jego miejscu.

Pierwszy wniosek, jaki od razu się nasuwał, był fatalny. Marquette z pewnością będzie się trzymał z dala od chaty Grady'ego. Co gorsza, może zacząć się zastanawiać nad tym, co się stało, i zorientować, że adwokat maczał we wszystkim palce. W końcu kto oprócz niego wiedział, że Marquette będzie jechał na wschód, w stronę Moses Lake, i to autobusem, a nie samochodem?

Zaraz, zaraz, a może i nie, pocieszył się Jack. Przecież Marquette mógł pomyśleć, że po prostu namierzyli go w Seattle i zwyczajnie wyruszyli jego śladem.

- Jack, jesteś tam? - odezwał się Fettis.

- Tak; zastanawiam się, co robić - odparł Stone. Minęła go wielka

ciężarówka z naczepą, powodując taki podmuch, że samochód aż się zakołysał. - Ciągłe jest możliwe, że zostawi gdzieś konia i pojedzie autostopem do chaty - powiedział.

- Owszem, ale może też dojść do wniosku, że to sprawka Grady'ego - zauważył GUS. - Jeśli tak pomyśli, to Bóg wie, w którą stronę pojedzie. - Stęknął. - Mam przeczucie, że ten facet nie jest taki naiwny, jak nam się wydaje. Myślę, że walczył gdzieś, a przynajmniej był dobrze szkolony.

- Czemu tak uważasz?

- Wystarczyło zobaczyć, jak ruszał się w tej łazience. Był szybki i błyskawicznie podejmował decyzje. Poza tym nie wahał się wbić palców w oczy Basseta i potrafił to zrobić.

Cholerny weteran z Wietnamu, pomyślał z niechęcią Jack. Człowiek, który potrafi przeżyć i poradzić sobie w trudnych okolicznościach.

- Cholera jasna...! - skomentował tylko.

- Ale uważam, że masz rację - jest możliwe, że nadal będzie się kierował do Moses Lake - pocieszył Fettis. - Jeśli tak, to ty najlepiej dasz sobie radę z piklowaniem chaty.

- Dobra.

- My, jak już powiedziałem, startujemy o świcie. Jeżeli jeszcze będzie gdzieś w okolicy — a musi być - to na pewno go zauważymy. Nie ma tu nic, tylko kilometry pól i ten jeden zapyziały sklepik przy drodze, gdzie go prawie dorwaliśmy.

- W porządku - odpowiedział Jack. Przyszło mu coś do głowy. - Wiesz co, to może nam jeszcze wyjść na dobre. Jak go załatwicie na takim pustkowiu, to nikt nie znajdzie ciała.

- To samo sobie pomyślałem - zgodził się Fettis.

Porucznik Dwa Łosie zatrzymał samochód za radiowozem policji lokalnej, zaparkowanym czterysta metrów od domu Marquette'a, w dole wzniesienia. Policjant odchylił do tyłu głowę i opierał ją na zagłówek fotela. Detektyw zatrąbił i funkcjonariusz obudził się, przerażony. Szybko opuścił szybę i powiedział:

- Dzień dobry, panie poruczniku.

Dwa Łosie wyjął z ust na wpół wypalone cygaro.

- Nie pojawił się? - spytał. Koło niego siedział miejscowy szeryf, sierżant Bob Satterfield.

- Nie, sir.

Detektyw skinął głową.

- Dobrze, proszę kontynuować patrol. Myśli pan, że uda się panu nie zasnąć znowu?

- Tak jest, sir - odparł cicho posterunkowy.

Porucznik ruszył ku szczytowi wzniesienia. W lusterku zobaczył, jak w dole zapalają się reflektory samochodu samotnego policjanta. Dwa Łosie zawrócił i skierował wóz z powrotem w stronę Dungeness.

Przed domem Marquette'a zatrzymał auto i wyłączył silnik. Wysiedli z Satterfieldem i przyjrzeni się przez chwilę budynkowi. Był dwupiętrowy, w stylu wiktoriańskim, z werandą, nie zajmującą jednak całej szerokości frontu, ale kończącą się z prawej strony przed trzyszybowym oknem wykuszowym. Dom był pomalowany na jakiś jasny kolor; nie biały, ale beżowy czy też kremowy; okna i okapy otoczone były ciemną obwódką. Detektyw dotarł już do właściciela domu, Theodora Lyonsa, który mieszkał w Pasadenie, w Kalifornii. Zadzwoił do niego i poinformował,

że w sprawie Marquette'a toczy się śledztwo i że w związku z tym może zostać wydany nakaz rewizji domu.

- Mój Boże, Marquette? - zareagował na to Lyons. - To był taki miły, młody chłop!

- Czy dobrze go pan znał? - zainteresował się Dwa Łosie.

- Nie, widziałem go tylko parę razy, kiedy wybraliśmy się z moją panią na północ.

- Czy korzysta pan tutaj z usług jakiegoś agenta wynajmu nieruchomości?

- Tak, to firma White Water Realty z -Bellevue.

- Czy mają swój zestaw kluczy, który będą nam mogli wydać do otwarcia domu? - pytał porucznik.

- Tak. - Lyons oddalił mikrofon od ust i zawołał: - Mamo, chodź szybko! Dzwoni policjant z Seattle i mówi, że Marquette kogoś zabił!

- Prowadzimy tylko śledztwo, żeby sprawdzić, czy mogło tak być - przypomniał Dwa Łosie.

- Mój Boże! - powtórzył właściciel domu.

Teraz porucznik i szeryf weszli przez żelazną bramę i okrążyli budynek, świecąc latarkami w okna. Po jednej stronie znajdowała się mała, kuchenna

96

weranda. Na tylnej ścianie, u wylotu wąskiej klatki schodowej, były drugie drzwi. Podwórze opadało, dochodząc do niskiego urwiska ponad polną drogą i skrajem pola pszenicy. Powietrze pachniało jakby popcornem od nawozu, który rozrzucono na polu.

Detektyw postawił Satterfielda przy tylnym wejściu, a sam wrócił na front. Rzucił cygaro za płot i ruszył po schodkach ku drzwiom. Znajdowało się

w nich duże, owalne okno ze szkła ołowiowego. Mężczyzna spojrział na zegarek. Było czternaście po ósmej. Zapukał.

- Policja okręgowa! - zawołał zgodnie z przepisami. - Mamy nakaz rewizji!

Czekał, ale nie było niczego widać ani słyszeć. Wyjął więc klucze przywiezione parę godzin wcześniej przez agenta z firmy wynajmu nieruchomości. Były trzy. Drugi z nich otworzył zamek we frontowych drzwiach.

Porucznik wszedł i pomacał ścianę w poszukiwaniu kontaktu. Zapalił światło. Mały hol był od razu początkiem niewielkiego korytarza. Widać było drzwi do kilku pokoi i schody na końcu. Pachniało trochę stęchlizną i wełną.

Chwilę później pojawił się Satterfield. Obaj mężczyźni założyli chirurgiczne rękawiczki.

- Niech pan idzie na piętro, Bobby - polecił Dwa Łosie. Sierżant skinął głową i ruszył na górę.

Detektyw wszedł do pokoju z oknem wykuszowym. Była to sypialnia z ciężkimi, dębowymi meblami i łóżkiem z baldachimem, niedbale zaścienionym.

Porucznik zobaczył parę niedużych, kolistych złotych kolczyków na nocnym stoliku. Podniósł jeden dwoma palcami i obejrzał. Czy należał do Kelli Pickett? Czy też Marquette sypiał i z innymi kobietami?

Tego dnia Dwa Łosie trzykrotnie usiłował dodzwonić się do Pickett, korzystając z numeru, który dał mu Marquette. Jednak za każdym razem odzywała się jej automatyczna sekretarka. Za pierwszym razem zostawił wiadomość, wyjaśniając, dlaczego dzwoni; później po prostu się rozłączał.

Zamierzał spróbować znowu rano. Jeśli Pickett ciągle nie będzie, uzyska jej adres od firmy telefonicznej Northwest Pac.

Poza kolczykami w pokoju znajdowały się zwykłe rzeczy charakterystyczne dla domu, w którym mieszka samotny mężczyzna - porozwieszane na krzesłach ubrania, na podłodze gumki, brudne adidas, dwie popielniczki pełne niedopałków. Detektyw zajrzał do szafy. Wisiało tam kilka koszul, dwie pary spodni, skórzana kurtka; nie było ani jednego garnituru.

Teraz porucznik zaczął przeglądać szuflady. Zauważył, że Marquette nie jest mistrzem schludnego składania rzeczy. Jego bielizna, bluzy i dzinsy leżały po prostu wrzucone do szuflad. W górnej szufladzie detektyw znalazł puste pudełko po dziewięćmilimetrowych kulach do winczestera. Obok leżała złożona ircha pachnąca olejem do smarowania broni. Widać było na niej odcisnięty ślad leżącej strzelby.

7 - Oddech śmierci

97

Dwa Łosie wyjął plastikowy woreczek na dowody. Porucznik włożył do niego pudełko po amunicji, zamknął i zapisał na etykietce parę słów.

W łazience detektyw sprawdził szafkę na lekarstwa i kosz na śmiecie.

Skontrolował też dwa wiszące na wieszakach ręczniki i trzeci, przerzucony przez zasłonę prysznic, czy nie ma na nich plam krwi. Nie było.

Wrócił korytarzem do salonu. Także i to pomieszczenie umeblowane było ciemnymi dębowymi meblami z lat dwudziestych. Zobaczył kanapę z masywnymi poręczami, na której leżała zniszczona kapa, dwa fotele, dwudziestojednocalowy telewizor. Włączył go. Ostatnio oglądano tu kanał Discovery. Dwa Łosie wyłączył odbiornik i zajrzał do kominka. Leżała

tam mała kupka popiołu, szarego niczym księżycowy pył. Rozejrzał się jeszcze i przeszedł do dawnej jadalni.

Marquette zamienił pomieszczenie w salę ćwiczeń. Był tam stojak na ciężary, na którym wisały talerze o różnej wadze i hantle, ławeczka do wyciskania sztangi i metalowa, przyśrubowana do podłogi rama, na której z jednej strony powieszono mały worek treningowy do szybkiego boksowania, a z drugiej ciężki worek na łańcuchach, służący do ćwiczenia silnych ciosów.

Dwa Łosie przyjrzał się uważnie wyposażeniu sali. Czuć było leciutki odór, charakterystyczny dla siłowni - smrodek brudnych skarpetek i piżmowy zapach mężczyzny. Nagle zdał sobie sprawę z jego obecności. Pomyślał o jego pocie, jego determinacji i sile. Wyciskał, leżąc, co najmniej sto czterdzieści kilogramów, a koło ławeczki przygotowano jeszcze kilka mniejszych talerzy.

Porucznik podszedł do ramy i przyjrzał się skórzanej powierzchni worka treningowego, a potem przejechał palcem po desce, o którą się odbijał. Wszystko było gładziutkie, co świadczyło o przyjęciu licznych uderzeń. Na ciężkim worku zobaczył głębokie wgniecenia w miejscach, gdzie trafiła pięść potężnego Marquette'a.

Jasne było, że to bardzo silny mężczyzna o świetnej kondycji. Detektyw wykrył jednak coś jeszcze. Widać było, że właściciel sali ćwiczeń starał się uderzać z maksymalną siłą, bić rekordy w podnoszeniu ciężarów — robić rzeczy, które wykraczały poza zwykłe ćwiczenia, tak jakby wyładowywał jakąś frustrację, wściekłość. Najwyraźniej coś tego człowieka od dawna gnębiło.

Dwa Łosie przeszedł się jeszcze raz korytarzem i zajrzał do kuchni. Była

schludnie utrzymana, czysta, biała. W lodówce - puszki budweisera, butelka dość drogiego wina, chablis - czyżby kolejny ślad kobiety? - mleko, jajka, na wpół zjedzone żeberko, żadnych warzyw ani owoców. Talerze, umyte ręcznie, stały jeszcze na suszarce.

Teraz detektyw sprawdził notes leżący obok telefonu. Na pierwszej stronie znajdował się szkic głowy kobiety, przedstawionej w półprofilu, wykonany zaskakująco sprawną ręką. Widać było, że oryginał ma ciemne włosy i zadarty nos; spuszczała oczy, a stopniowane cieniowanie nadawało jej twarzy głębię. Jednak poniżej głowy ołówek zaplątał się jakoś - kreski przechodziły w kółka i sześciiany.

98

Do kuchni wkroczył sierżant. Porucznik spojrzał na niego wyczekująco, ale Satterfield pokręcił głową.

- Na górze nic nie ma, John - powiedział. - Zdaje się, że nie chodzi tam zbyt często.

Weszli razem do połączonego z kuchnią pomieszczenia. To z niego wiodły drzwi na małą werandę. Stała w nim pralka, suszarka i przybory do sprzątania. Marquette przechowywał tu również część swojego rybackiego wyposażenia. O tylną ścianę oparte były dwie pary dużych butli do nurkowania z zaworami i uprężkami. Obok leżały płetwy, pas z ołowianymi obciążnikami, różne przyrządy do łowienia i ciężkie rolki nylonowej linki, z jakiej robi się sieci.

Na ściennym wieszaku wisiał żółty, gumowy płaszcz przeciwdeszczowy. Satterfield przesunął po nim dłonią. Nagle uniósł brwi, wyczuwszy coś.

- O proszę...! - mruknął. - Odsunął płaszcz. Pod spodem wisiał szeroki, skórzany pas z nożem w zielonej, wojskowej pochwie. Pochwa była

pokryta ciemnymi plamami, najwyraźniej krwi.

Szeryf ostrożnie wyciągnął nóż. Mężczyźni przyjrzeni mu się uważnie.

Rękojeść była owinięta skórzanymi paskami, zniszczonymi i pociemniałymi od długiego używania. Ostrze było czarne, pokryte żywicą epoksydową; miało około siedemnastu centymetrów długości i głęboki rowek do wypływu krwi. Na rękojeści widać było wygniecione stemplem litery USMC.

Był to nóż Ka-Bar, używany przez amerykańskich marines.

Na przedniej stronie blaszki chroniącej dłoń użytkownika oraz wzdłuż rowka znajdowały się fragmenty zaschniętej, ciemnej substancji. Szeryf powąchał je i zerknął na porucznika.

- Nie ma wątpliwości, to krew - powiedział.

Pod szkłem mikroskopu fotografie wnętrza kuli wydawały się niewyraźne i zamglone. Kelli zatrzymywała się na moment, a potem przesuwała zdjęcie dalej kawałek po kawałku, wypatrując czegoś szczególnego -jakiegoś śladu, który powiedziałaby jej o konkretnym przeznaczeniu kuli.

Pickett była sama w laboratorium projektu „Kryształowa kula”, w pomieszczeniu służącym do uzyskiwania danych. Stało tam kilka komputerów SunSPARC połączonych za pośrednictwem szybkich modemów z Internetem, co pozwalało na błyskawiczny dostęp do baz danych na całym świecie.

Była za kwadrans jedenasta wieczorem.

99

Wysadziwszy Matta na dworcu autobusowym, Kelli wróciła do laboratorium. Jej koledzy i koleżanki powtarzali już test z poprzedniego dnia, obciążając wirtualnie most wiatrem o zadanych parametrach.

Próbowała skoncentrować się przez resztę popołudnia, jednak jasne było, że myśli o czym innym, że jest zdenerwowana. Ciągłe zapominała się, kiedy Gilhammer wydawał jej polecenia wpisania nowych danych.

Troy patrzył na to z niezadowoleniem, ale nic nie mówił. Pozostali obserwowali Kelli uważnie. Dowiedzieli się zapewne o pożarze kutra Matta i o tym, że na jego pokładzie zginęły dwie osoby.

O osiemnastej Troy zarządził koniec pracy i puścił wszystkich do domów. Podszedł do Pickett i przysiadł na skraju jej biurka.

- Kel, cały czas byłaś myślami gdzie indziej - powiedział cicho.

- Wiem, przepraszam cię - odparła. Gilhammer obrócił w ustach cukierek i dodał:

- Jeśli się nie mylę, to adwokat był ci potrzebny dla Marquette'a. Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie. Ale dziękuję.

- Chyba tak naprawdę o nic go nie podejrzewają? - chciał się dowiedzieć szef programu.

- Wydaje mi się, że po prostu badają wszystko i wszystkich, w tym i jego. Gilhammer pokiwał głową, westchnął i wstał.

- Słuchaj, idź już do domu. Wykap się, posiedź sobie w wannie, wypij parę kieliszków wina. Rano wszystko będzie wyglądało lepiej.

- Dzięki, Troy.

Kelli spróbowała pójść za radą Gilhammera - siedziała w swojej pięknej, miedzianej wannie, sączyła chablis i czekała na telefon od Matta. Już dawno temu powinien był dotrzeć do chaty Grady'ego. Dlaczego nie dzwonił? Nachodziły ją coraz czarniejsze myśli, aż w końcu wyгнаły z wanny. Owinięta w ręcznik, zaczęła chodzić po łodzi.

Nie była przyzwyczajona do niepokoju. Zawsze łączy się on z poczuciem bezsilności. Tymczasem przez większość życia naturalny optymizm, wewnętrzna pewność siebie i świadomość własnych możliwości broniły Pickett przed takim obezwładniającym stanem, jakiego właśnie doświadczała. Rzecz jasna, zdarzały się momenty frustracji, zwykle zetknięcia z rzeczywistością, w której nie można osiągnąć wszystkiego naraz. Jednak nie były one przytłaczające ani długotrwałe.

Nie umiała znaleźć wyjścia ze stanu całkowitej niemożności, w jakim się znalazła. Podobnie było dwa lata wcześniej, kiedy umarła jej matka. Kelli była wtedy na Florydzie, w Sarasota, na konferencji na temat sztucznej inteligencji. Tuż przed lunchem zadzwonił ojciec.

- Myślę, że powinnaś szybko przylecieć do domu - powiedział wtedy cicho. Czyjego głos drżał? - Twoja mama miała dzisiaj rano wylew.

100

- O Boże! -jęknęła.

- Lekarze mówią... Nie mogę... Boże! Mówią, że nie ma wielkich szans na przeżycie...! - Zaczął łkać.

Pickett nigdy w życiu nie słyszała, żeby jej ojciec płakał. Przeraziło ją to. Mówił takim cichutkim, słabym głosem; widać było, że jest pod wpływem straszliwej emocji. Złapała pierwszy samolot i przez całą smutną drogę do Kalifornii ogarniało ją obezwładniające poczucie bezradności wobec tego, co się dzieje; czuła, że właściwie już się stało to, co miało się stać.

W tej chwili atakowało ją to samo poczucie utraty wewnętrznej duchowej równowagi. Czuła wręcz fizyczny ucisk w okolicy serca. Czy ci mężczyźni odnaleźli Matta? Czy zdążyli go już zabić? Tuż za tą myślą czaiła się głucha pustka.

O dziewiątej nie mogła dłużej wytrzymać bezczynności. Ubrała się szybko i pojechała z powrotem na uniwersytet. Zanim poszła na górę, zajrzała do jednej z sal wydziału fizyki na parterze Guggenheim Hali. Tam od dwóch magistrantów pożyczyła przenośny mikroskop.

Wsunęła pod obiektyw kolejne zdjęcie. Dotąd używała powiększenia pięćdziesięciokrotnego. Większe spowodowałyby całkowite zamglenie konturów. Pomyślała jednak, że może zdoła wyodrębnić coś małego przy stukrotnym powiększeniu.

Uzyskała obraz oddzielnych, kanciastych pikseli. Zaczęła przesuwac fotografię. Na początku wydawało jej się, że pomiędzy niektórymi jest jakiś pozbawiony znaczenia jasny pasek. Wtedy zwróciła uwagę na jasność całej wewnętrznej powierzchni sfery. Wydawała się odbiciem maleńkich elementów powierzchni rdzenia.

Pickett wyprostowała się. Czyżby sfera mogła być pokryta od wewnątrz mikroskopijnej grubości warstwą krystaliczną?

Oglądała dalej. Na trzecim zdjęciu pojawiło się coś jeszcze. Maleńki zawijas na korpusie elementu z igłą. Omal go nie przeoczyła. Delikatnie cofnęła zdjęcie. Jest. Zmrużyła oczy. Co to? Rysa?

Przestawiła obiektywy na największe, stu pięćdziesięciokrotne powiększenie. Natychmiast dostrzegła interesujący ją przedmiot. Z pewnością był to wykonany celowo symbol. Dwuzwojowa spirala, ginąca w górze pola obserwacji. Kelli opuściła odrobinę zdjęcie. Spirala odchodziła od litery Z. Był to malutki znak firmowy, wybity na powierzchni cylindra.

- Mam! - zawołała na głos.

Przesunęła się z fotelem do jednego z komputerów. Sprawdziła adres in-

ternetowy amerykańskiego urzędu patentowego i szybko weszła do jego głównej bazy danych. Odszukała w menu „Rejestr znaków handlowych i symboli”. Wstukała krótki opis Z ze spiralą i wybrała opcję przeszukiwania.

Dwie minuty później odezwał się brzęczyk. W bazie danych znajdowały się dwa różne Z ze spiralami, jednak każde wyglądało inaczej niż dostrzeżony na zdjęciu znak.

101

- Cholera! - warknęła przez zęby.

Wstała i zaczęła chodzić po pomieszczeniu. Znowu ogarnął ją niepokój.

Spojrzała na ścienny zegar. Było dwadzieścia trzy po jedenastej wieczorem. Minęło dziewięć godzin od chwili wyjazdu Matta.

Zadzwoniła na swoją łódź w nadziei, że może zostawił wiadomość na sekretarce. Po trzech sygnałach usłyszała własny głos. Wstukała kod i odsłuchiwała nagrania. Odezwał się detektyw Dwa Łosie. Po nim jakiś inny mężczyzna. Serce uderzyło jej gwałtownie.

„Cześć, Kel”. Ee, to był tylko Gilhammer. W tle słychać było muzykę.

„Pomyślałem, że zadzwonię, żeby spytać cię, jak się masz. Mam nadzieję, że dlatego nie odbierasz, że śpisz. Do zobaczenia rano”.

Znowu zaczęła chodzić po pokoju i nagle poczuła przemożny głód papierosa. Rzuciła palenie pół roku wcześniej. Walczyła teraz przez chwilę z pragnieniem, ale poddała się, rzucając w powietrze:

-A, co tam! - i zaczęła przeszukiwać nerwowo biurka. Odnalazła zmiętą paczkę coolsów oraz jednorazową zapalniczkę Bica. Wyszła na korytarz i zapaliła.

Mentolowy dym sprawił, że zakręciło jej się w głowie.

Uspokoila się stopniowo i zaczęła myśleć. Wpadła na pomysł. Być może szukała w złym miejscu. Mart wyłowił kulę z morza. Pojawił się jakiś tajemniczy helikopter. Mogło to oznaczać, że kula została przywieziona z zagranicy, zza Pacyfiku.

Zgasila ledwo zaczętego papierosa i pospieszyła z powrotem do sali. Przez następną godzinę przeglądała rządowe bazy danych dotyczące krajów wysoko uprzemysłowionych, leżących nad zachodnim wybrzeżem Pacyfiku. Szukała spisów znaków handlowych. Zaczęła od Japonii, potem była Korea Południowa, Hongkong, Australia. Nie znalazła swojego Z ze spiralą; sprawdziła więc Singapur, Tajlandię, wreszcie - Indie.

Robiła to wyjątkowo gruntownie i starannie, a jednak nie odnalazła tego, czego szukała.

Wyszła na drugiego papierosa. Wróciwszy, zaczęła przeglądać bazy danych dotyczące Europy. Najpierw Wspólnoty Europejskiej, później Międzynarodowego Komitetu Klasyfikacji Handlowej ONZ, wiedeńskie „Raporty Kontynentalne o Przemysle i Rozwoju” organizacji UNIDO i następne. W jednych bazach danych znajdowały się odsyłacze do następnych.

Czterdzieści jeden minut po północy odnalazła swoje Z ze spiralą w niemieckiej bazie o nazwie „Direktorat fur Korperschaftlich Patentiert”. Był to zarejestrowany znak handlowy firmy z Frankfurtu produkującej lekarstwa oraz narzędzia chirurgiczne. Nazywała się Tierkreis-Wickeln. Podany był również adres internetowy firmy.

102

Dwie prostytutki wyglądały na bardzo młode, z pewnością nie mogły mieć jeszcze dwudziestu lat. Obie musiały być wysokiej klasy; miały na sobie

dopasowane sukienki, małe, ozdobione biżuterią wieczorowe torebki i dobrze nałożony makijaż. Jedna z dziewczyn była drobniutka, miała złociste włosy i dołeczki na policzkach; druga, przy wzroście około metra sześćdziesięciu ważyła prawdopodobnie ponad siedemdziesiąt kilo. Miała ogromne piersi i wielkie pośladki, a mimo to była zgrabna.

Ta mocno zbudowana uśmiechnęła się, ukazując idealnie równe zęby.

- Dobry wieczór - powiedziała. „Pies” zauważył, że zlustrowała go od stóp do głów. - Spodziewaliście się nas?

Leroy James, zwany „Psem”, roześmiał się nerwowo, zerknął na Halberstadta i powiedział:

- Tak, tak, oczywiście. Wsiadajcie. - Odsunął się, żeby dziewczyny mogły przejść. Kiedy ruszyły, poczuł delikatny zapach ich słodkich, lecz dobrych i z pewnością drogich perfum.

W ciągu ostatnich dziewięciu godzin Leroy nauczył się ostrożności. Kiedy wyruszyli z Idaho na zachód, Halberstadt zachowywał się jak wariat. To milczał, wyglądając ponuro przez przednią szybę pick-upa, JPsa” - chevroleta rocznik osiemdziesiąt dziewięć z napędem na cztery koła, chrzęszczącego grubymi oponami po śniegu - to znów wykrzykiwał po niemiecku jakieś tyrady.

W pewnym momencie bez ostrzeżenia trzasnął Jamesa otwartą dłonią w policzek i warknął tonem rozgniewanego Arnolda Schwarzeneggera:

- Yerdammt, Scheisser!

- Jezus Maria! - sapnął „Pies”. - Dlaczego to zrobiłeś?!

- Patsz na mnie, kiedy ja mówię do ciebie.

-O Jezu...!

Wtedy Hans nagle zachichotał i przytulił Leroya, a nawet pocałował go w

policzek tak, że pozostawił ślad. Czuć było od niego świeżym potem i chemikaliami. Łatwo było także wyczuć, że to bardzo silny człowiek. Około dwudziestej zatrzymali się na małej stacji benzynowej koło Tyler w stanie Waszyngton. Właścicielem był starszy człowiek o niezdrowym kaszlu. Obok kasy mruczał na ladzie piękny, biały perski kot.

Hans zaczął przemawiać do niego, podrapał go pod pyszczkiem, a gdy właściciel stacji nalewał benzynę kolejnemu klientowi, szybkim ruchem złamał zwierzęciu szyję i ułożył jego ciało na stojaku z ciastem firmy Hostess.

Matko Boska! - pomyślał James. Nawet podczas najkrwawszych, trzygodzinnych walk psów, jakie prowadził na własnej arenie, nie czuł się tak dziwnie. To, co przed chwilą zobaczył, nawet jemu wydało się kompletnie bezcelowe, zwyczajnie chore.

Później, kiedy terenowy chevrolet wspinał się w padającym śniegu po przełęczach Gór Kaskadowych, Halberstadt rozebrał się i pootwierał wszystkie okna. Płatki śniegu wpadały do wnętrza samochodu i osiadały na twarzy

103

Leroya niczym lodawate puszki bawełny. Marzył bardzo, ale skulił się i postanowił na wszelki wypadek nic nie mówić.

Przejechawszy przez góry, zatrzymali się w North Bend, pięćdziesiąt kilometrów przed przedmieściami Seattle. Tam, zgodnie z instrukcjami, „Pies” zadzwonił pod podany mu numer.

Natychmiast odebrała jakaś kobieta, mimo że była już prawie północ.

- Słucham? - powiedziała głębokim, gardłowym głosem.

- Witam, przyjechaliśmy - stwierdził niezręcznie.

- Kto mówi?

- Leroy James i jego przyjaciel.

- Ach, oczywiście. - Głos stał się miłszy. - Oczekiwałam was. Skąd pan dzwoni?

- Z baru w North Bend.

- Dobrze. Czy chce pan jechać dalej, czy woli się pan zatrzymać w North Bend na noc? Wyobrażam sobie, że jest pan zmęczony.

- Rzeczywiście, jestem.

- W takim razie zamówię wam nocleg w Niebieskim Pniu. - Podała zjazd z autostrady i kierunek. - Nie musi się pan o nic martwić. Czy wolicie natychmiast iść spać, czy też ucieszyłoby was jakieś towarzystwo?

- Czemu nie, myślę, że pójdziemy na to. - James rozochocił się nieco.

- Macie jakieś preferencje?

- Tylko jedną. - Zachichotał i powiedział: - Mój przyjaciel mówi, że lubi, żeby dziewczyna była trochę fetti. Wie pani, co to znaczy?

- Owszem. Woli towarzyszkę o pełniejszej figurze.

- Hej, skąd pani zna niemiecki? — spytał Leroy, zaskoczony. Przyszło mu natychmiast do głowy, że zakłopotał tym pytaniem rozmówczynię.

Kobieta roześmiała się jednak.

- W moim zawodzie opłaca się znać parę języków - odpowiedziała.

- Coś takiego...!

- Od jutra macie już zarezerwowany apartament w hotelu Seneca House w Seattle. Znajdziecie go bez trudu, to tuż koło skrzyżowania Madison i East Union. Kiedy się rozpakujecie, zadzwońcie znów do mnie, a ja wydam dyspozycje kierowcy waszej limuzyny.

Limuzyny? - zdziwił się „Pies”.

- Kierowca zna już plan waszego pobytu. Zatrzaszczyliśmy się o wszystko. Jednak muszę was prosić o jedno. Gdybyście zechcieli zboczyć z trasy, zawiadomcie, proszę, wcześniej kierowcę, żebyśmy mogli dostosować się do zmiany.

- Oczywiście.

- W takim razie dziękuję panu za telefon. Dołożymy wszelkich starań, żeby wasz pobyt w mieście był jak najprzyjemniejszy.

104

Dziewczyny weszły do pokoju, uśmiechając się, i odkładając torebki na nocną szafkę. Spojrzały na Halberstadta. Siedział nagi na podłodze w kącie, szczerząc do nich zęby i gapiąc się z pożądaniem. Widać było jego ciemne owłosienie łonowe i zwisającego na razie, grubego penisa.

Młode prostytutki popatrzyły po sobie, po czym ta mniejsza skomentowała:

- Widać, kochanie, że lubisz być zawczasu gotowy... - Założyła rękę za plecy i zaczęła odpinać sukienkę. Druga zrobiła to samo.

- I jak będzie, chłopcy? - spytała. - Kto co chce dostać?

„Pies” poczuł się dziwnie zażenowany; zaczerwienił się. Nie, żeby sprzeciwiał się sporadycznemu cudzołóstwu. Zdradzał już zresztą w przeszłości żonę - a to poszedł do łóżka z ognistą kelnerką gdzieś w drodze; to znów z podstarzałą damą, która wypiła zbyt dużo alkoholu w jakiejś spelunie. Jednak dziewczyny, które przed sobą widział, były wprost niesamowicie piękne. Pomyślał przez chwilę z przerażeniem, że może nie będzie miał wzrodu...

Halberstadt przyglądał się tymczasem tej korpulentnej. Kiedy była już tylko w pończochach i czarnym pasie z podwiązkami, cmoknął na znak

pochwały i mruknął:

- Ah, Du bist ein Shatz. Dien Titten machst mich ganz heiss.

- Co mówisz, kochanie? - zapytała prostytutka. - Czy to niemiecki?

- Tak, niemiecki - potwierdził James.

- Co powiedział?

- Nie mam pojęcia.

- Czy on mówi po angielsku?

- Całkiem dobrze.

- Czy to skin? - zapytała drobna dziewczyna, marszcząc odrobinę gładziutkie czoło.

- To nie żaden skin - mruknął „Pies”.

- Czuję, że będzie mój - powiedziała ta dobrze zbudowana. Przeszła przez pokój i kucnęła przed Halberstadtem. - Nie myślę się, kochanie? - upewniła się. Przesunęła palcami po jego ogolonej głowie. Hans powąchał jej wielkie piersi i oparł dłoń o jej pochwę, po czym gwałtownie wsadził w nią dwa palce.

- Och, spokojnie, kochanie! - sapnęła dziewczyna. - Mama lubi, żeby było delikatnie. Choć, wykorzystamy to miłe, duże łóżko.

Halberstadt wstał miękkim, płynnym ruchem, pocałował prostytutkę, nachylił się i podniósł ją. Pisnęła zadowolona. Zaniósł ją nad łóżko i puścił. Odbiła się od materaca ze śmiechem; olbrzymie piersi o ciemnych, gigantycznych niemal sutkach zafalowały niczym morze.

Druga z dziewczyn zaprowadziła Jamesa na zielony, satynowy mebel, stanowiący coś pośredniego pomiędzy fotelem a łóżem. Posadziła go delikatnie, potarła w kroku i musnęła nosem za uchem.

- Mmm — mruknęła i polizowała jego ucho. Zaczęła rozpinąć mu rozporek. Leroy chłonał zapach dziewczyny, jej lekko cytrusowych perfum i ciepłej skóry. Zerknął w stronę Halberstadta. Młoda prostytutka pobudzała go ustami, poruszając rytmicznie głową, podczas gdy głowa Hansa kiwała się powoli.

James był dość zaszokowany; usłyszał, że dziewczyna, która miała się nim zająć, chichocze. Złapała jego penisa. Był na razie kompletnie sflaczały.

- Chodź, kochanie - szepnęła gorąco. - Rozluźnij się i pozwól Connie zrobić ci dobrze.

Halberstadt wydał nagle stłumiony, krótki charkot, jaki zdarza się mężczyznom podczas walki. Leroy spojrział znowu w jego stronę. Niemiec przyciągał do siebie kobietę za włosy. Próbowwała go odepchnąć, wykrzywiając usta z bólu. Rzucił ją na bok, przekreślił i unosił jej pośladki.

- Cholera! - zawołała prostytutka. - Nie! Dziewczyna „Psa” odwróciła się i krzyknęła:

- Hej, co ty sobie myślisz?! - Zaczęła wstawać znad Jamesa.

Halberstadt ustawił się za pośladkami kobiety i podnosił je, rozchylając jednocześnie jej nogi. Wierciła się w panice, zwisając głowę w dół, stękając i niemal jęcząc:

- Nie mogę w ten sposób! Proszę, naprawdę nie mogę!

- Ty sukinsynu! - zawołała drobna prostytutka. - Powstrzymaj go, człowieku! - rzuciła do Jamesa. - Adele nie może kochać się analnie.

Właśnie miała operację na hemoroidy.

Adele krzyknęła tymczasem z bólu, gdy Halberstadt wbił jej członek w odbytnicę. Kobieta wydała jęk, a jej głowa opadła na łóżko.

Następna minuta była dla Leroya wiecznością. Nie był w stanie się ruszyć.

Connie skoczyła i krzyząc przeraźliwie, zaczęła bić Hansa po ramionach swoimi małykami piąstkami. Niemiec gwałcił tymczasem energicznie nieszczęsną prostytutkę, która wila się pod nim, szlochając.

Nagle wygiął się i wszystkie pięknie zarysowane mięśnie i ścięgna jego ciała napięły się, jak gdyby podnosił wielki ciężar. Szarpnęło nim. Znowu. I trzeci raz. W końcu zwiotczał cały i wycofał członka; przewrócił się na plecy i leżał, patrząc w sufit, z przymkniętymi oczami, chwilowo nasycony.

Connie podniosła Adele z łóżka i pomogła jej iść; ranna dziewczyna poruszała się z trudem. Pobladła; jej makijaż był rozmazany i rozmyty łzami. Connie szybko zebrała ubrania i torebki.

- Skurwysyny! - zawołała. - Poczekajcie, jeszcze wam pokażemy!

-Dziewczyny wyszły, ciągle częściowo rozebrane. Słysząc było ich oddalające się kroki na korytarzu.

James odetchnął w końcu. Leżący na łóżku Niemiec przeciągnął się rozkosznie, bawiąc się jedną ręką swoim częściowo jeszcze powiększonym organem. Widać było na nim zasychające nasienie i krew.

106

W końcu Halberstadt odwrócił głowę i popatrzył na „Psa” ciężkim wzrokiem.

- Mllst du was, Hund? - zapytał głębokim głosem.

Co?! - Leroy szybko odwrócił wzrok. Poczul, że serce wali mu jak młotem. Siedział bez ruchu i nasłuchiwał, kiedy nadejdzie ktoś, żeby ich wyrzucić. Nikt nie nadszedł ani od razu, ani później.

Na ekranie Kelli pojawiła się następująca sekwencja:

syn.- OH.-OS.-PB

TIERKREIS-UICKELH KORPERSCHBFT (MET-TUKJ
PHfIRnfI ZEUTISH/ UERKSEUGENri EDIZimSH SILBERSTRRS5E 131
CH-1M81 FRRfIKFURT BUDDESREPUBLIK DEUTSCHLRND
NETfiflfiE: TUK nETMUnBER:130.81,0,0
RBTEILUrfGRLEITER.-
DESSinOER. FRITZ (FnBBJBBKF/D.TKK.Cfl
22 58 88 3961

Pickett przewinęła dalej, jak jej się zdawało, listę nazwisk i numerów telefonów oraz internetowych adresów różnych wysokich rangą pracowników firmy z podanymi stanowiskami. Po pewnym czasie obraz zniknął, a później pojawiła się wspaniała kolorowa animacja z udziałem Z z doczepioną spiralą. Jednocześnie po niemiecku mówił syntetyczny, ciepły, kobiecy głos.

Kelli wyłączyła komputer, wstała i zaczęła chodzić po sali. Było na tyle chłodno, że dostała gęsiej skórki. Linijka zaczynająca się od „SYN” poinformowała ją, że w Niemczech jest w tej chwili czwarta po południu. Oznaczało to, że personel Tierkreis-Wickeln siedzi jeszcze przy komputerach, co czyniło buszowanie po ich kartotekach ryzykownym. Zastanowiła się, czy poczekać, aż miną oficjalne godziny pracy. Zdecydowała jednak, że nie powinna tracić cennego czasu. A i tak może się okazać, że ktoś zostaje tam do wieczora. Poza tym mogą po zakończeniu pracy wyłączać system albo też uruchamiać zabezpieczenia uniemożliwiające dostęp do baz danych.

Przejechała dłonią po twarzy, potem po włosach.

- Musisz się zabrać do tego natychmiast, dziewczyno - powiedziała sama do siebie.

Potrzebowała najpierw czegoś jeszcze. Uruchomiwszy swój komputer, weszła do bazy biblioteki uniwersytetu i wczytała kompletny słownik języka niemieckiego, „Langenscheidt Standard German Dictionary”. Następnie wyszła z bazy i ponownie weszła do Internetu, ale tym razem poprzez Denver. Wiedziała, że jest w tym mieście wielu hackerów i amatorów, którzy są po prostu ciekawi cudzych danych. Nie chciała, żeby było wiadomo, że siedzi w Seattle w laboratorium „Kryształowej kuli”. Wybrała też sobie nową nazwę - „Kula”.

Przez Denver szybko połączyła się znowu z firmą Tierkreis-Wickeln. Zastanowiła się nad podstawowymi technikami hackerskimi. Rdist. Sendma-il-e. Phoenix-t. Stwierdziła, że te są zbyt banalne i łatwe do wykrycia. Postanowiła użyć tak zwanego IP spoofing attack.

Atak ów bazował na słabości wewnętrznych instrukcji Internetu, znanych jako protokół TCP/IP. Pickett zamierzała najpierw zalać system firmy TWK dużą ilością tak zwanych Remote Procedure Calls, co powinno jej pozwolić na wykrycie głównego kodu systemu. Posługując się nim, powinna wejść do „zaufanego” komputera sieci firmy i uzyskać jego akceptację, czyli niejako zagnieździć się w nim. Następnie będzie już mogła buszować do woli po wszystkich bazach danych Tierkreis-Wickeln.

Rozpoczęła działanie, stukając szybko i pewnie w klawiaturę. Już po czterech minutach zagnieździła się w komputerze firmy. Wywołała polecenie przeszukania wszystkich baz danych pod kątem wpisanych przez siebie słów kluczowych. Wybrała za pomocą słownika następujące: Kristal (kryształ), Kristalkammer (komora krystaliczna) i Kugel (kula). Niemal natychmiast na ekranie pojawiła się masa informacji. Były tam

raporty zawartości magazynów, schematy wytwarzania, e-maile, statystyki sprzedaży i tak dalej. Niemal wszystko napisane było po niemiecku.

Kelli wstała więc i wyszła na kolejnego papierosa. Znowu czuła niepokój o Marta, który mroził jej kręgosłup lodowatym dotykiem. Wygnała jednak przemocą słabość i skupiła się na rozpracowaniu otrzymanych danych. Zanim wypaliła papierosa do końca, miała już opracowaną zupełnie nową taktykę.

-Dobra, sukinsyny, spróbujemy teraz w taki sposób...! - mruknęła na głos, zasiadając znów do komputera.

Skupiła się wyłącznie na osobistych listach przesłanych pocztą elektroniczną prezesowi firmy i wybrała wyłącznie te, w których wystąpiły wszystkie wymienione przez nią słowa naraz. Były dwa takie listy oraz cały szereg przesłanych między firmami informacji.

Przyjrzała się listom. Pierwszy, według nagłówka, nadszedł z „Shaushau (Hauptfach) Cheu Xinin, Pekin, CJK (Chiny)". Drugi także z Cheu Xinin, lecz od „Hu nyau-Ge Lujynyiywan (Krankenhaus-Militariscti), Kunming, CJK (Chiny)".

Oba listy nadeszły zatem z Chin, jeden z Pekinu, a drugi z Kunmingu.

108

Kelli przepisała niemieckie nagłówki, przejrzała także krótsze informacje. Zauważyła, że każda zaczynała się od takiego samego kodu: HGL-0147N. Wróciła do głównej bazy danych i wpisała ten kod. Na ekranie zaczęły przewijać się kolejne dane. Wyglądały na opisy techniczne projektu urządzenia oraz technologii wytwarzania jego elementów. Dalej pojawiły się rysunki wykonawcze, montażowe, aż wreszcie złożeniowe.

Kula Marta!

Pickett przyjrzała się uważnie wszystkim rysunkom. Z tego, co widziała, były to dane potrzebne do wytworzenia kuli. Czy wśród wielkiej ilości tekstu, jaki widziała, był także fragment opisujący w krótkich słowach przeznaczenie urządzenia? Jeśli tak, jakim sposobem miała przetłumaczyć to wszystko?

Wróciła do pierwszej informacji, próbując wyłapać wzrokowo słowa wyglądające podobnie do angielskich. Zwróciła uwagę na jedno szczególne. Bakteriell. Czy to znaczyło „bakteryjny„? O Boże! Używając drugiego komputera, weszła do słownika i wpisała do przetłumaczenia wybrane z krótkiego tekstu słowa: Krankenhaus Militarish oraz Zweck: Bakteriell Zelltherapie Yerwandlung.

Natychmiast pojawiło się tłumaczenie.

Wpatrywała się w angielskie odpowiedniki, podnosząc bezwiednie dłoń do ust. Włosy stanęły jej dęba na głowie. Miała wypisane przed oczami „szpital wojskowy” oraz „bakteryjna transmutacja komórkowa”.

10

I Ma zachodzie, nad wyniosłymi szczytami Gór Kaskadowych, gromadziły się chmury, z których mógł spaść śnieg. Ich ciemne, pełne kształty były nieznacznie oświetlone przez gwiazdy. Marquette zmierzał w ich stronę, zdrętwiały z zimna.

Daleko na wschodzie i na południu niebo było wolne od chmur. W czystym powietrzu gwiazdy świeciły wyraźnie. Zdawało się, że miliony śrucin wybiły dziury w ciemnym suknie nieba, ukazując znajdującą się za nim rozgrzaną do białości powierzchnię.

Od pół godziny jechał stępą, pozwalając koniowi ostrożnie wybierać drogę pomiędzy krzakami. Od czasu do czasu zwierzę przechodziło przez

grząski, przesiąknięty wodą piasek. Mart spojrzał na fosforyzujące wskazówki zegarka. Była już prawie pierwsza w nocy.

Dojechał do kępy wierzb. Nagie gałęzie wznosiły się prosto; drzewa wyglądały jak wartownicy, pilnujący w nocy pustkowia. Niedaleko płynął strumyk,

109

głęboki zaledwie na kilka centymetrów. Marquette zsiadł z konia i zaprowadził go do wody. Zwierzę parsknęło głośno, opuściło głowę i zaczęło pić.

Szumiąca po kamieniach woda wydawała się czarna. Na jej powierzchni tańczyły iskierki odbijających się gwiazd. Mart kucnął i zanurzył palce w wodzie. Zmroziła mu je natychmiast.

Wstał i oparł się o bok konia. Z początku zwierzę cofnęło się onieśmiałe. Potem się uspokoiło, odwróciło, popatrzyło na niego i powróciło do picia. Marquette czuł masywne cielsko konia, jego ciepło i zdrowy zapach, kojarzący się z prerią. Zamknął oczy. Kipiała w nim taka złość, że miał niemal jasno przed oczami.

Po ucieczce ze sklepu galopował po prostu w ciemność. Po krótkim czasie usłyszał dźwięk uruchamianego silnika śmigłowca i klekot jego wirnika. Odwrócił się i zobaczył, że maszyna wznosi się w powietrze, migając światłami pozycyjnymi. Pochyliła się i ruszyła w jego kierunku. Zabłysnął reflektor, oświetlając stożkowaty tunel w ciemności.

Marquette w panice rozejrzał się za jakąś kryjówką. Po jego prawej rosły wierzby; skierował się więc ku nim i zjechał w głąb płytkiego parowu. Kiedy znaleźli się na poziomej powierzchni, Matt pociągnął za końską szyć i wierzchołek zatrzymał się, parskając i rzucając na boki łbem.

Nagle parów wypełnił się potężnym odgłosem helikoptera. Światła przesunęły się w górze i zniknęły na moment za małym wapiennym urwiskiem. Po chwili wróciły, nieco dalej. Reflektor oświetlił skaliste ściany wąwozu, maszyna skręciła i snop światła dotknął na chwilę wierzchołków pobliskich wierzb. Wyglądały, jak gdyby ktoś naszkicował je na białym na czarnym tle nieba.

Marquette zaczął powoli posuwać się dnem parowu, obserwując ruchy śmigłowca, który latał nad wąwozem w tę i z powrotem, zataczając szerokie koła i oświetlając reflektorem ziemię. Matt jechał dalej w górę wąwozu, aż w końcu wyjechał z niego i podążył prosto w kierunku zachodnim, zarazem oddalając się od groźnego światła. Po kilku minutach mężczyźni w helikopterze dali za wygraną. Maszyna zawróciła na południowy zachód i wkrótce zniknęła.

Samotny jeździec znalazł się na wysokim, pustym przedgórzu. Stanowiły je obłe, porośnięte trawą wzgórza i szerokie doliny. Zbliżył się do pola ozimej pszenicy. W powietrzu unosił się słodkawy zapach roślin. Od czasu do czasu Marquette napotykał niewielkie stada bydła. Raz przestraszył go nagły stukot ramię spłoszonej antylopy.

Oddalał się coraz bardziej i bardziej od autostrady. Wokół było jeszcze ciemniej niż przedtem. Od czasu do czasu pojawiały się tylko światła samotnych farm, które w czystym powietrzu wydawały się zwoźniczo bliskie. Na południowym wschodzie błyszczały latarnie jakiegoś miasteczka.

Podczas konnej jazdy w Matcie narastał straszliwy gniew. Czuł, jak napinają mu się ramiona, pulsują skronie, szumi krew. Gniew budził jego dawne, uśpione instynkty.

A w tym ogniu błyszczało jedno nazwisko: John Wayne Grady...

Teraz Marquette dosiadł z powrotem konia i ruszył dalej. Zaczynały go już boleć nogi i pośladki. Noc robiła się coraz zimniejsza. Oddechy człowieka i zwierzęcia były widoczne jako chmurki pary, które rozwiewał wiatr.

Teraz czuć było w nim także korzenny aromat rosnących nad rzeką wierzb oraz bardziej wilgotny i surowy zapach poruszających się mas zimnej wody. Matt doszedł do wniosku, że musi się zbliżyć do rzeki Columbia.

Napotkał przechodzący w poprzek płot; skręcił i pojechał wzdłuż niego na południowy zachód, aż dotarł do polnej drogi przegrodzonej bramą dla bydła. Koń się zatrzymał i próbował cofnąć, ale Marquette ponaglił go, wbijając mu pięty w boki. Zwierzę zebrało się w sobie i przeskoczyło na drugą stronę. Matt pojechał dalej.

Usłyszał na tle wiatru jakiś nowy dźwięk - ostry zgrzyt, jaki się pojawia czasem podczas przesuwania kredą po tablicy. Odgłos zawierał metaliczny pobrzęk. Zaciekawiony Marquette skręcił w jego stronę. Nagle wjechał na ziemię zrytą koleinami.

Źródłem dźwięku okazał się mały wiatrak z ogromnym zbiornikiem u podstawy. Obok stała kamienna chata o płaskim dachu z małą przybudówką. Pachniało bydlęm i mokrym nawozem.

Matt zsiadł z konia i, prowadząc go, obszedł chatę. W końcu zapukał do drzwi. Były drewniane, ale obite falistą blachą. Jedynym dźwiękiem dochodzącym ze środka był szum wiatru w jej okapach.

Marquette napoił konia, przywiązał go w przybudówce i wszedł do kamiennej chaty. Było tam zimno, śmierdziało stęchlizną, a także łojem i mięsem świeżo ubitych zwierząt. Chodził powoli dookoła, wysunawszy

ręce przed siebie. Uderzył kolanem w kant pieca. Na piecu leżały duże, kuchenne zapalki. Zapalił jedną.

Pomieszczenie przypominało jaskinię. Z metalowych haków, wkręconych wprost w kamienie, zwisała zapasowa uprząż. Na podłodze stały dwie prycze przykryte spłowiałymi indiańskimi kocami, pod którymi widać było zwinięte cienkie materace. Z jednej z belek powały zwisała lampa naftowa. Matt potrząsnął ją, podniósł szybkę i zapalił knot.

Używając opału przechowywanego w przepiłowanej na pół dwustulitrowej beczce, rozпалиł w piecu. Rozejrzał się dokładniej i znalazł trochę puszkowanego jedzenia i torbę owsa. Robiło się coraz cieplej. Wziął owies i jeden z koców i wyniósł je na dwór. Koń zaczął wachać torbę z owsem. Marquette otworzył ją i postawił na ziemi. Okrył konia kocem, wziął swoją sportową torbę i wrócił do chaty.

Dorzucił drewna do pieca i zgasił lampę. Leżał w ciemności, czując nieprzyjemny odór starego brudnego koca. Słyszał, jak piec trzeszczy od gorąca. Z zewnątrz dochodziły odgłosy szumu wiatru i drżenia drzwi.

111

Powoli gniew ustąpił miejsca zmęczeniu. Senność ogarnęła go jak narkotyk. Już odrobinę nieprzytomny Matt wyobraził sobie twarz Kelli. Nagle rozbudził się i otworzył oczy nawiedzony straszną myślą. A jeśli jego prześladowcy dopadli Kelli? Zmusili ją, żeby powiedziała, gdzie on jest! Zabili ją!

Odrzucił szybko tę możliwość i uspokoił się znów. W żaden sposób ci dwaj faceci nie mogli tak szybko odnaleźć go w Seattle. Był pewien, że poinformował ich Grady. To Judasz...! Mimo że wydawało się to nieprawdopodobne, prawnik musiał być jakoś w to wszystko zamieszany.

Marquette znowu zamknął oczy. Znajdę cię, skurwysynu! - pomyślał. O świcie wsiądę na konia, przeprawię się przez rzekę i złapię autostop do miasta. A potem ścisnę cię za szyję i nie puszcę jej, aż nie opowiesz mi wszystkiego. Właśnie tak.

Zasnął.

Przez peryskop z noktowizorem wszystko wydawało się zielonkawe. Marquette obserwował pole. W bagiennej trawie nic się nie poruszało. Opuścił więc peryskop i nasłuchiwał. Wokół jego głowy bzyczały głośno komary. Po dłoni przeszedł mu powoli pająk wielkości spodka. Matt zrzucił go.

Nagle rozległ się metaliczny szczęk zamka broni. Marquette 'owi zaschło w gardle; przyłożył peryskop do oczu. W odległości pięćdziesięciu metrów od niego z trawy podniosły się dziesiątki żołnierzy Wietkongu. Zbliżyli się; widać było ciemne sylwetki na zielonym tle.

Serce uderzyło Mattowijak młotem; chwycił broń i zaczął strzelać. Pociski smugowe migały niczym błyskawice. Z lewej i z prawej strony rozległ się głęboki terkot cekaemów M-60. Wypluwały z siebie ciężkie kule kalibru dwanaście.

Owionął go wściekły ogień nieprzyjaciela... w tle strzelaniny dał się słyszeć narastający krzyk z gardeł nacierających. Sam wrzasnął. Rozległ się głuchy huk i nad polem walki zaczęła opadać flara spadochronowa M203; zapłonęła i rozświetliła otoczenie gorącym, białym światłem.

Marquette spał się i podniósł z błota i wody, która sięgała do pasa.

Pozostali także powstawali i ruszyli naprzód, żeby zderzyć się z Wietnamczykami. Kolejne momenty dzieliły się jakby na poszczególne czarno-białe Matki, zdjęcia mężczyzn, cieni i dźwięku. W górze, niezbyt

wysoko, wisiało ciągle małe jaskrawe słońce...

Matt westchnął, nadal pogrążony we śnie. Czuł gorąco panujące tu nawet w nocy, kołatanie swojego serca i widział flarę, która zawisała nieruchomo na wysokości jego oczu.

Uniósł dłoń, żeby osłonić twarz przed ostrym światłem, i nagle się obudził. Znajdował się w kamiennej chacie. W prostokacie otwartych drzwi, jaś-

niejących szarawym poblaskiem świtu, stał człowiek w kowbojskim kapeluszu i długim płaszczu do konnej jazdy; trzymał w ręku strzelbę, której lufę opierał o but. W drugiej ręce miał latarkę.

- Co pan tu robisz, do cholery? - odezwał się.

- Kim pan jest?

- To ja zadaję pytania. Co pan tu robisz?

Marquette wypuścił wstrzymywane przez chwilę powietrze i otarł czoło. Był spocony.

- Jeździłem konno późnym wieczorem i się zgubiłem - odpowiedział.

-Pomyślałem, że przetrzymam tu zimną noc aż do świtu.

-Skąd pan jesteś?

- Ze wschodu.

- Skąd ze wschodu?

- Z jednej z tych farm, kilkanaście kilometrów stąd. Przyjechałem z wizytą do krewnego - tłumaczył Mart.

- Jak się nazywa ten krewny? - wypytywał mężczyzna.

- Marquette.

- Nie słyszałem o żadnym Marquetcie. - Przybysz milczał przez chwilę, po czym zamachał latarką i powiedział: - Zapal pan lampę. Zapalki są na

piecu.

Matt zapalił lampę naftową i zobaczył wysokiego człowieka w wieku około pięćdziesięciu lat o pociągłej twarzy i szczeciniastym zarostcie. Miał poplamiony od potu kapelusz, brudną chustkę na szyi i płaszcz z żółtej gumy ze sztruksowym kołnierzem. Strzelbą był stary karabin Winczestera, model 94. Metal poszarzał od wieloletniego użytkowania.

Kowboj przyglądał się w milczeniu Marquette'owi i zerkał na jego sportową torbę.

- Wiesz pan, że jesteś na prywatnej ziemi? - spytał w końcu. Matt przytaknął.

- Tak pomyślałem, kiedy przejechałem przez bramę płotu. Ale myślałem, że odnajdę dom i zapytam o drogę.

- Masz pan szczęście, że to nie stary pana znalazł - mruknął mężczyzna.

Zmrużył oczy. - Człowieku, aleś tu nagrzał; gorzej jak w łaźni!

Zrobił parę kroków, podniósł leżący pod ścianą obity garnek i wyszedł na dwór. Marquette ruszył za nim. Świt zaczynał się na dobre; powietrze było ostre, zimne i czyste. Przed nim roztaczał się widok na rozległy, pofalowany teren; wzgórza były gęściej porośnięte trawą niż te koło sklepu; tu i tam rosły kępy dzikiej cykorii, która w bladym świetle wydawała się szarobiała.

Koń, na którym przyjechał kowboj, duży gniadosz, gryzł trawę obok zbiornika z wodą. Siodło i kabura na strzelbę były poczerniałe od długiego używania. Z łęku siodła zwisało lasso.

Mężczyzna wziął mały, płócienny worek, podszedł do zbiornika i napełnił garnek wodą. Skinął głową na konia Marta i rzucił:

- Odwiąż go pan, to się trochę popasie.

- Ucieknie.

- Czemu ma uciec. Przecież to pański koń, nie? Poza tym zaprzyjaźni się z moim.

Wrócili do chaty. Kowboj zaparzył kawę w garnku, dodając szczyptę soli.

Wypili ją z wyszczerbionych emaliowanych kubków. Była gorąca i strasznie gorzka, ale napełniła Marquette'a od środka ciepłem.

Brodaty człowiek przyglądał mu się cały czas w milczeniu, opierając winczestera o prawe biodro. Na zewnątrz, za otwartymi drzwiami widać było rozjaśniające się powoli niebo i nabierającą stopniowo kolorów ziemię.

Kowboj odstawił w końcu pusty kubek, zdjął kapelusz, podrapał białe czoło i założył kapelusz znowu. Wstał, uniósł karabin i wycelował w Marquet-te'a.

- Dobra - powiedział. - Już się dość rozjaśniło. Przejdźmy do rzeczy.

- Słucham?

- Masz pan to i owo do wytłumaczenia - wyjaśnił kowboj. - Skinął głową na dwór i powiedział: - Tak się składa, że wiem, czyj to koń. I ten człowiek wcale nie nazywa się Marquette.

Helikopter nadleciał na małej wysokości, tuż nad wzgórzami; otwarta, pofałdowana przestrzeń tłumiała terkot jego wirnika. Mart usłyszał go zaledwie kilkanaście sekund przed tym, zanim znalazł się nad nimi. Koń zastrzygł uszami, a serce Marquette'a uderzyło nagle.

Jechali akurat z kowbojem płytkim parowem; Marquette znajdował się kilka metrów z przodu. Konie szły po gęstej, sztywnej jeszcze od mrozu

trawie. Niechlujny przytrzymał jedną ręką leżący na udach karabin, pogwizdywał cicho.

Matt odwrócił się i krzyknął:

- Na ziemię! Kryj się! - Zeskoczył z konia i przypadł do ziemi. Kowboj ściągnął cugle zdziwiony i uniósł broń.

Helikopter pojawił się zza wzgórza; był tak blisko, że można było dokładnie zobaczyć pontony i płozy. Pleksiglasowa kabina błyszczała w słońcu niczym kryształowa kula. W środku siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich, w żółtej kurtce i ciemnych okularach, wychylał się ze śmigłowca i trzymał w wyciągniętej ręce czarny pistolet maszynowy. Helikopter przeleciał tuż obok, pachnący gorącymi spalinami prąd powietrza położył rosnącą wokół trawę.

Marquette skoczył ku niedużej skale, przetoczył się i przycisnął do zimnego kamienia. Kowboj zmagał się tymczasem ze swoim koniem, spłoszonym nagłym rykiem śmigłowca. Zwierzę nie dawało się uspokoić, cofając się i szarpiąc na wszystkie strony. Wierzchowiec Marta zawrócił i w panice pogalopował przed siebie parowem.

114

Nadleciały pierwsze serie kul, cicho, zdradziecko, zagłuszone łoskotem wirnika. Pociski uderzyły w ziemię, siekąc źdźbła trawy i wzbijając chmurki kurzu.

Ostatnie kule trafiły w kowboja i jego konia. Mężczyzna skreślił się gwałtownie w siodle, łapiąc się za pierś. Koń wierzgnął, unosząc wysoko przednie nogi, wydał z siebie przeraźliwy odgłos i runął na ziemię, na bok, przygniatając częściowo jeźdźca. Cała końska szyjabyła czerwona od krwi, zwierzę rzucało nogami, próbując wstać.

Śmigłowiec zawrócił ostro, wznosząc się nieco; zniknął z rozpędu za porośniętym trawą pagórkiem. Marquette zerwał się i pobiegł jak najszybciej ku powalonemu kowbojowi.

Zobaczył leżącego w trawie winczestera, złapał go i odbił się od ziemi. Wylądował na końskim boku, przetoczył się i spadł na but leżącego na ziemi człowieka. Mężczyzna wydawał się martwy; był blady jak ściana, a jego rozwarłe szeroko oczy patrzyły bez wyrazu w niebo. Koń przestał kwiczeć. Wydał z siebie głęboki, ciężki jęk i próbował podnieść głowę. Helikopter nadleciał tymczasem znowu, wyskakując zza wzgórza, jak gdyby został wystrzelony z katapulty. Matt zobaczył błyskającą ogniem lufę i wcisnął się w drgające końskie ciało. Czuł bijące z niego gorąco i przerażenie. Tułów konia zatrzęsł się, uderzony wbijającymi się w niego kulami; słychać było takie odgłosy, jak gdyby ktoś bił ranne zwierzę kijem baseballowym.

Śmigłowiec przeleciał na drugą stronę. Marquette uniósł się nieco, przeładował karabin i czekał. Odległy o zaledwie siedemdziesiąt metrów od niego helikopter zawrócił, zawisając jakby na chwilę bez ruchu w powietrzu, runął w jego kierunku.

Matt wystrzelił, czując na ramieniu silny odrzut broni. Zobaczył, że kula przebija kabinę maszyny, pozostawiając wokół otworka pajęczynę pęknięć. Siedzący w środku pilot szarpnął się w tył.

Marquette, nie odrywając karabinu od ramienia, posyłał w napastników kolejne kule. Przy trzeciej usłyszał metaliczny brzęk, gdyż trafił w jedną z łopat wirnika. Czwarta wywołała wielką iskrę, uderzając w jego podstawę. Maszyna pędziła na Matta, ciągle pochylona pod dużym kątem. Przycisnął się znów do zdychającego konia i poczuł, że helikopter przelatuje tuż nad

nim. Łopaty musiały pracować zaledwie parę metrów nad jego głową, wydając z bliska odgłosy podobne do szybkich wystrzałów artyleryjskich. Sekundę później końcówki łopat śmigłowca uderzyły w wierzchołek pagórka. W powietrze poleciały wielkie kępy trawy, kawały ziemi i kamienie, rozległ się zgrzyt zatrzymanego nagle silnika i wirnik wyorał na czubku pagórka czarne poletko gołej ziemi. Helikopter przewrócił się do góry pontonami i zniknął z oczu Matta za pagórkiem.

Marquette usłyszał metaliczny łoskot, brząający trochę jak zderzenie pustych towarowych wagonów; rozległ się donośny syk, a chwilę potem potęż-

115

na eksplozja, która wstrząsnęła ziemią. Owionęła go gorąca fala podmuchu i zobaczył olbrzymią kulę ognia, która uniosła się wraz z kłębamii białego dymu. Poczuł, że eksplozja wsysa nagle powietrze. Leżał przez długą chwilę nieruchomo, a całe jego ciało pulsowało od uderzeń serca. Poczuł silny dreszcz podniecenia wywołany nadmiarem adrenaliny. W końcu podniósł się na kolana. Słyszał, jak tuż za pagórkiem płonie gwałtownie wrak śmigłowca i otaczająca go trawa. Nachylił się nad kowbojem i dotknął jego krtani.

Oczy mężczyzny poruszyły się i popatrzyły na niego. Było to spojrzenie pełne oszołomienia, szkliste, pozbawione nadziei. Ciężko ranny zaczął oddychać głośno, gulgocząc. W świetle słońca widać było jego krótki i szpakowaty zarost. Mężczyzna obliznął usta i wydobył z siebie:

- Dobij... mojego konia... Jezu... nie wytrzymam... dobij go.

Marquette dobił konia.

11

Ty przeklęty niegodziwcze! - zagrzmiała Annabelle Frost z gniewem.

- Księżniczko - odpowiedział na to Grady tonem grzecznego, porannego powitania. - Och, och, mamy jakieś kłopoty, pomyślał. - Czyżbyś była dziś z rana w złym nastroju...?

- Jak śmiesz narażać moje dziewczęta na brutalność tego szwabskiego kretyna?! - dudniła Anabelle.

„Szwabskiego kretyna”? - zdziwił się adwokat. To Halberstadt. Cholera.

- Co? - zapytał po prostu. Była dopiero szósta pięćdziesiąt osiem rano, ale on znajdował się już w swoim biurze. Jedną z jego zawodowych zalet była skłonność do pracy niemal od świtu. - Czy coś się stało?

- Stało się, stało, i ty za to odpowiadasz.

Annabelle Frost, zwana Księżniczką, pochodziła z jednej z najstarszych rodzin właścicieli tartaków na Północnym Zachodzie. Miała teraz czterdzieści dwa lata. Ukończyła elitarne uczelnie Sarah Lawrence i Princeton. Mówiła płynnie siedmioma językami i ubierała się wystawnie i elegancko, zupełnie jakby była jednym z wyrobów firmy Tiffany. Siedem lat wcześniej, najzwyczajniej z nudów, założyła „agencję towarzyską”, najbardziej wytworny burdel w tej części kraju, który świadczył usługi tylko dla bardzo ważnych osób o międzynarodowych powiązaniach. Numer telefonu i faksu jej firmy można było znaleźć w małych czarnych książeczkach na całym świecie.

116

- Ten degenerat zgwałcił analnie jedną z moich dziewczyn! - oznajmiła Frost.

„Zgwałcił analnie” - pomyślał Grady. Babka wyraża się jak prokurator okręgowy!

- To znaczy pieprzył dziwkę w dupę? - upewnił się.
 - Nie nazywaj tych pań dziwkami...!
 - Nie widzę ciagle, w czym problem.
 - Adele nie oferuje w swoim wachlarzu usług właśnie tej - poinformowała Księżniczka. - Poza tym dopiero co przeszła operację. Została po prostu ranna.
 - Teraz rozumiem - odpowiedział John Wayne. - Cóż, następnym razem wyślij mu kur... dziewczynę, która specjalizuje się w tej usłudze. Problem z głowy.
 - Nie będzie żadnego następnego razu! - warknęła Annabelle. - Zrywam kontrakt.
 - Zaraz, zaczekaj no - zawołał Grady. - Księżniczko, ta operacja jest dla mnie bardzo ważna. Wycofując się w tej chwili, postawisz mnie w katastrofalnej sytuacji.
- Frost milczała gniewnie.
- Słuchaj, a może dodałbym ci jakiś mały zadatek- zaproponował adwokat.
- Cisza.
- Kochanie, powiedz coś, ponegocjuj ze mną.
 - Dobrze - odezwała się Księżniczka. - Będziesz musiał po prostu po-troić całą zapłatę.
 - Podwoję ją.
- Nastąpiła kolejna pauza i Frost zdecydowała:
- Dobrze, pod warunkiem że opłacisz jeszcze koszty leczenia mojej rannej dziewczyny.
 - Zgadza się.
 - Cała reszta planu pozostaje bez zmian?

-Tak.

Grady uspokoił się.

- Księżniczko, słuchaj, to jeszcze tylko doba. Jutro rano ci chłopcy będą już na promie, a wy wszystkie będziecie miały spokój.

- Nie mogę się doczekać tej chwili - skwitowała zimno Frost. - Ale ostrzegam cię, Grady. Jeśli którejkolwiek z moich dziewczyn stanie się poważna krzywda, pożałujesz tego.

- To brzmi groźnie - skomentował. Annabelle parsknęła pogardliwie.

- Jak mógłby powiedzieć twój kumpel z Niemiec, dos ist mir sheissegal,

- Co to znaczy?

117

- Sprawdź sobie.

Adwokat roześmiał się i odłożył słuchawkę. Oparł się wygodnie i zamyślił. Jego uśmiech szybko zniknął. To zwierzę z tego Halberstadta... - myślał. Wiedział, że Niemiec spowoduje kłopoty. Zupełnie jakby wypuścili z klatki orangutana pozbawionego mózgu. Grady zdawał sobie jednak sprawę i z tego, że bez Halberstadta Keck w ogóle nie prowadziłby z nim interesów.

Otworzył szufladę i wyjął faks, który nadszedł dwadzieścia minut wcześniej. Nadał go Keck. Czysta niemiecka zwięzłość:

„Przyjechałem Yictoria... Proszę potwierdzić godzinę spotkania... D. Keck”.

Grady wysłał natychmiast po otrzymaniu faksu swoją odpowiedź, podając czas i miejsce - dziesiąta rano, nazajutrz, Yictoria.

Zapalił cygaro marki Ducado i przywołał w myślach postać Diedera Kecka. Był to mężczyzna o okrągłej twarzy, pochyłych ramionach i

kamiennym spojrzeniu. Miał wygląd szpicla, człowieka, który masturbuje się chorobliwie w ukryciu nad dziecięcą pornografią. Jednak niezależnie od tego był jedną z najważniejszych postaci europejskiego neofaszystowskiego podziemia. Miał bardzo poważne kontakty na Bliskim Wschodzie, dzięki którym mógł organizować przerzuty dowolnej broni. John Wayne poznał Kecka pół roku wcześniej, umówiwszy się za pośrednictwem swoich znajomych w Berlinie. Spotkali się w nocnym klubie striptizowym w Heidelbergu. Grady mówił szybko i konkretnie - powiedział, że płaci z góry i przedstawił propozycje sposobu przerzutu broni. Podkreślił także filozoficzną bliskość amerykańskich ruchów paramilitarnych i nowego Hitlerzeit.

Keck wysłuchał tego wszystkiego bez komentarza, po czym wstał i powiedział:

- Wyślę mojego emisariusza, a potem sam przyjadę.

Adwokat wypuścił teraz chmurę aromatycznego dymu i patrzył, jak zdąża stopniowo w stronę otworu wentylacyjnego. W końcu westchnął i wcisnął energicznie turkusowy przycisk interkomu.

- Przynieś no mi kawy, dobrze? - rzucił i zabrał się znowu do pracy.

Dwie minuty później zadzwonił inny telefon, także w Seattle. W pokoju 14B motelu Travelodge, znajdującego się przy ulicy Dakota, Azevedo kończył się właśnie golić. Wylał z twarzy resztę kremu, odłożył maszynkę i poszedł do telefonu.

-Tak?

- Cześć, Jo-Jo - odezwał się głos. - Tu Alex.

- Witaj. Co tam, stary?

- Zdaje mi się, że chyba namierzyłem tego skina, którego szukasz. - W tle

słyszeć było muzykę. Azevedo rozpoznał Garta Brooksa.

118

- Super, stary!

Była to pierwsza wiadomość o Halberstadcie, jaką usłyszał od czasu przybycia do Seattle. Zeszłego wieczora chodził po mieście i odnajdywał dawnych znajomych, którzy mogliby wiedzieć coś o Niemcu lub wskazać, gdzie należy go szukać i kogo pytać. Nikt jednak nie chciał specjalnie nawiązać z nim kontaktu.

Około jedenastej pojechał do „Pajęcznej Sieci”. Siedział przed barem w samochodzie i patrzył, jak wchodzi i wychodzi skini w skórach z napisem Sieg heil i glanach, prowadząc ze sobą paskudne, tlenione blondynki. Halberstadt jednak się nie pokazał. Tak samo było koło „Krzyża Celtyckiego”. O drugiej w nocy stwierdził, że ma tego dość, i wrócił do motelu.

- Przynajmniej wygląda na to, że to on - powiedział teraz Stolowski.

- Skąd się dowiedziałeś?

- Żona ciągle zna trochę miejscowych lepszych prostytutek, rozumiesz.

Jedna z nich, Adele, pracuje w najwytworniejszym burdelu pod słońcem, dla samej śmietanki, prowadzonym przez jedną damę. Adele opowiedziała Janet o jakimś niemieckim sukinsynu, który zgwałcił ją wczoraj wieczorem, w tyłek. Był bardzo brutalny, zrobił jej poważną krzywdę.

- Czy był skinem?

- Tak można sądzić z opisu: ogolony na zero, miał tatuaże z pajęczą siecią i tak dalej. I gadał po niemiecku. Był też bardzo silny. Ta Adele mówiła jeszcze o jakimś drugim gościu, Leroyu Jamesie.

- To oni! - Jo-Jo ucieszył się. - Gdzie teraz są?

- Wtedy byli w „3hae Pine Lodge” w North Bend. Ale z tego, co zrozumiałem, mieli zarezerwowany apartament w hotelu Seneca House.

- Seneca House. Gdzie to jest, w Seattle?

- Tak, wystarczy, że pojedziesz na wschód Madison, i zaraz znajdziesz.

Wiesz, ci faceci muszą mieć nielichą kasę albo ktoś ich sponsoruje na maksa. Rozumiesz, Seneca to bardzo drogi hotel, do tego mają jeszcze limuzynę. No i ta burdelmama też prowadzi luksusowy interes. To wygląda na coś poważnego, Jo-Jo.

- Też tak podejrzewamy. Alex stęknął.

- Słuchaj, stary, kocham cię- oznajmił Azevedo. - Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczny. I podziękuj Janet. Wiesz, za to, że pomogła glinie, i w ogóle.

- Bardziej niż policji nienawidzi brutalnych klientów. Jo-Jo roześmiał się.

- Miłe porównanie, nie ma co - powiedział. - Ale powiedz jej, że i tak ją kocham.

- Nie ma sprawy.

- Dzięki, Alex.

- To do zobaczenia.

119

Azevedo nie odkładał słuchawki, tylko wystukał numer do Kizziera w Boise. Po pięciu sygnałach Albert odebrał.

- Tak? - burknął ochryple.

- Cześć, Al, tu Jo-Jo. Obudziłem cię? - zaczął Azevedo.

- Nie, siedziałem na kiblu. Jak tam?

- Sukinsyn jest w Seattle.

- Bingo.

- Razem z „Psem” Jamesem. - Jo-Jo opowiedział o Aleksie i o prostytutkach. - Podobno teraz siedzą w jakimś luksusowym hotelu o nazwie Se-neca House. Mają na swoje potrzeby limuzynę, wiesz, wszystko na glanc.
- Drogie dziwki i limuzyny? - Kizzier był zdziwiony. - To mi nie pasuje do Prawdziwych Ludzi. I trochę za kosztowne.
- Jestem pewien, że ktoś inny czegoś chce - stwierdził Azevedo. - Ale chyba nie chodzi o płatne morderstwo. Gdyby tak było, Szwabisko przyjechałoby samo.
- Zgadzam się z tobą. Czuję jakiś trefny towar. Jak myślisz, drażni czy broń?
- Jasne, że broń. Pewnie za pośrednictwem kogoś z Europy; a Halber-stadt jest łącznikiem.
- Inaczej chyba być nie może. Dobra, wyłączę z nory.
- Przylecisz?
- Nie, przyjadę samochodem. Będę późnym popołudniem. Gdzie się zatrzymałeś?
- W Travelodge przy alei Dakota. Kizzier roześmiał się.
- W Travelodge? Chłopie, masz status agenta federalnego, powinieneś korzystać z bardziej eleganckich usług.
- Nie jest tu źle. Tylko grzeją tak, że można się usmażyć - poskarżył się Jo-Jo.
- Dobra, słuchaj, mamy pozwolenie na wszystko, ale i tak rozegramy tę sprawę możliwie bez hałasu. Chcę dopaść Hansa i każdego, kto jeszcze ewentualnie pojawi się z zagranicy.
- W porządku.

- Czy ten dupek James cię rozpozna?
- Chyba nawet nigdy mnie nie widział.
- To dobrze. Tylko bez nerwów.
- Jasna sprawa - zakończył Azevedo i rozłączył się.

Kowboj został trafiony dwiema kulami. Marquette ściągnął jego płaszcz do jazdy konnej, dżinsową kurtkę, koszulę i górę brudnych, wystających spod spodni kalesonów. Mężczyzna miał bardzo białą skórę, poza opaloną szyją.

120

Mniejsza rana znajdowała się na prawym ramieniu. Kula przeszła przez mięsień dwugłowy. Został on przecięty tak głęboko, że widać było kość, błyszczącą i białą jak ząb.

Druga rana była znacznie poważniejsza. Kula weszła w prawą pierś kowboja, pod sutkiem, skierowała się w lewą stronę i obecnie tkwiła w ciele tuż pod skórą na plecach, w okolicy kręgosłupa.

Kiedy mężczyzna oddychał, z rany dobywało się ciche ssanie; wokół niej powstała krwawa piana. Duży obszar dookoła rany stał się już czarnosiny. Matt podejrzewał, że przebite zostało płuco; prawdopodobnie złamane też było jedno z żeber.

Sprawdził puls kowboja, który spoglądał ciągle na Marquette'a odległym, niepewnym, budzącym litość wzrokiem. Puls był słaby; skóra mężczyzny pobladła i była mokra od potu. Ranny pogrążył się w szoku.

- Dlaczego... do mnie strzelali? - szepnął.
- Nie martw się tym teraz - poradził Marquette. - Wydobrzejesz, chłopie. Tylko się uspokój.

Ściągnął z martwego konia zwinięty koc. Wewnątrz znajdował się mały

pakiecik z sakiewką na tytoń, butelką, bateriami do latarki i niedużą apteczką. W pobliże przyszło kilka krów, przyciągniętych przez płonący wrak śmigłowca; stały teraz na porośniętym trawą pagórku i spoglądały na Matta i kowboja głupkowatym wzrokiem. Wokół wraka paliła się z sykiem trawa.

Wyciągnąwszy rannemu nóż z za pasa, Marquette odciął nim kawałki koca, a potem przycisnął kowbojowi do piersi nieduże kompresy, jakie znajdowały się w apteczce. Drugą ręką naciskał na gardło mężczyzny u podstawy szyi. Po kilku minutach owiazał górną część jego tułowia pasami z koca, żeby maksymalnie uszczelnić ranę w piersi.

Pracował szybko i efektywnie. Zapach prochu i otwartej rany przypominał mu ćwiczenia i doświadczenia wojenne. Adrenalina krążyła w jego żyłach. Obok parowała lekko w chłodnym powietrzu końska krew.

Matt zabandażował teraz kowbojowi ranę ramienia i owinał jego ciało pozostałą częścią koca. Wstał i spojrzał na północ, w kierunku, w którym jechali tuż przed atakiem. Widniały tam wzgórza, tu i tam trawa zmieniała swoje ułożenie pod wpływem wiatru. Nigdzie nie było widać konia Marquette'a.

Jakieś trzy do pięciu kilometrów od nich stał dom i stodoła. Ulokowane między dwoma wzgórzami wyglądały niczym broszka przypięta pomiędzy piersiami kobiety. Matt szybko odnalazł swoją torbę, przymocował ją chusteczką do szlufki od pasa i wrócił do kowboja.

- Słuchaj, stary - odezwał się. - Wyniosę cię stąd. Rozumiesz?

- Wody - zacharczał mężczyzna. Marquette pokręcił głową.

- Nie można. Jesteś ranny w pierś.

-Boże...!

- Słuchaj, wezmę cię teraz na plecy - powiedział Matt. - To będzie bolało. -
Złapał kowboja za lewy nadgarstek, a drugą rękę wsunął pod jego udo.
- Jesteś gotowy? - spytał.

Mężczyzna odburknął coś.

Matt uniósł go szybko i wsunął się pod niego, zarzucając go sobie na plecy. Wstał, napinając mięśnie. Ranny wydał stłumiony jęk, który przeszedł w pełne wysiłku sapanie. Marquette podrzucił go sobie jeszcze na ramiona i ruszył.

Podłoże było nierówne. Szło się mniej więcej tak jak po zaoranym polu, którego powierzchnię utwardził mróz. Stopy Marta wyginały się na boki, dociśnięte ciężarem kowboja. Przez parę minut kroczyło za nimi kilka krów, ale później znudziła im się wycieczka.

Zanim Marquette przeszedł dwieście metrów, zaczął dyszeć i bolały go nogi. Zza porośniętego trawapagórka wyskoczyła nagle jaskółka.

Zobaczywszy Matta, zatrzepotała skrzydłami i wzbiła się pionowo.

Marquette nie zatrzymywał się.

Po chwili znowu usłyszał idące za sobą zwierzę. Parsknęło. Obejrzał się i zobaczył swojego konia w odległości może dwudziestu metrów. Koń przystanął i zaczął pogryzać trawę. Matt zawołał na niego cicho.

Wierzchowiec uniósł łeb i popatrzył.

Marquette położył kowboja na ziemi. Ranny nie wydał przy tym żadnego dźwięku. Najpewniej był nieprzytomny. Na kocu, w który był owinięty, widniała duża plama krwi. Matt przyklęknął, żeby trochę odpocząć; czuł, że drżą mu nogi. Później wyciągnął przed siebie ręce, jak gdyby trzymał w nich pokarm, i podszedł powoli do konia, wydając uspokajające odgłosy.

Zwierzę rzuciło łbem i parsknęło głośno. Kiedy Marquette znalazł się tuż koło niego, cofnęło się trochę, a potem zostało na miejscu i wyciągnęło szyję, żeby powąchać, co też człowiek przyniósł. Wyczuło krew i zaniepokoiło się trochę, jednak pozwoliło się złapać za lejce.

Mimo to koń nie chciał jednak przyjąć na grzbiet rannego mężczyzny. Cofał się na długość lejców i stał tak. Po dwóch nieudanych próbach Matt zaklął i popatrzył z wściekłością na uparte zwierzę.

- Zasłoń mu oczy - odezwał się kowboj wyraźnie, jak gdyby nigdy nic. Marquette popatrzył na niego. Oczy mężczyzny były otwarte; budzący litość wyraz twarzy zniknął; zastąpiła go teraz irytacja.

Matt delikatnie nałożył na głowę konia swoją kurtkę. Zwierzę natychmiast znieruchomiało. Marquette po raz kolejny podniósł z ziemi kowboja i z wysiłkiem umieścił go na wysokości przednich nóg wierzchowca. Ranny wydał z siebie tylko jeden odgłos, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby, a potem znowu zamilkł. Matt wskoczył z tyłu i ruszyli razem na kołyszącym się równym rytmem grzbiecie zwierzęcia.

Po krótkim czasie znaleźli się na polnej drodze, a później przed metalową bramą. Marquette zeskoczył, otworzył bramę, przeprowadził konia i zamknął ją. Wsiadł z powrotem i ruszyli dalej.

122

Po dwudziestu minutach przecięli tor kolejowy. Końskie nogi zsuwały się trochę ze żwirowego nasypu. Matt zobaczył w odległości niecałego kilometra czyjaś farmę.

Dom kryty był zniszczonym gontem, ponad jego piętro wystawał wysoki kamienny komin. Otaczał go płot, zamykający w swoim obrębie także dwa mniejsze budynki i dużą stajnię w kolorze rdzy. Podwórko zarośnięte było

brunatną trawą. Na tyłach zabudowań znajdował się sad złożony z bezlistnych o tej porze roku jabłoni.

Przy bramie stał stary człowiek w wyblakłych ogrodniczkach. Był bez koszuli; widać było, jak chude i pomarszczone są jego ramiona.

Podjechawszy bliżej, Marquette zauważył, że prawe oko starca było mętne i białe.

- Wielki Boże! - zawołał mieszkaniec farmy, zobaczywszy rannego. - Toż to Jimmy Lennart! - Otworzył bramę i wpuścił Matta, a potem zamknął za nim starannie. Marquette zsiadł z konia. Zobaczył stojącą w drzwiach chaty kobietę w kremowej sukience.

- Niech pan dzwoni po pomoc - polecił. - Potrzebne jest natychmiast pogotowie.

- Martha! - zawołał stary. - Dzwon no na policje! Niech przyšlo tu szybko karetkę pogotowie!

Martha zniknęła w domu.

Stary pomógł Mattowi ściągnąć Lennarta z konia. Zanieśli go razem do mieszkania i położyli na przeżartej przez mole kanapie. Wszystkie meble znajdowały się w podobnym stanie. W kącie stało wielkie radio z lat trzydziestych.

- Hej, Jimmy - odezwał się właściciel farmy. Śmierdziało od niego brudnym ubraniem i tytoniem fajkowym. - Żyjesz ty? Lennart nie odpowiadał.

- Co się, do cholery, stało? - zapytał stary Marquette'a. - Zobaczyłem ten dym, no tamuj, i tak se wymiarkowałem, że coś się stało. Przeca tu nic nimo, coby dymiło, ino trawa.

Nadeszła Martha. Przypominała z kształtów piec kaflowy.

- Leci policjo - poinformowała kobieta. - Paninko psy telefonie godo, ze bydzie tu zara helikopter.

Matt sprawdził puls rannego. Wzmocnił się, o dziwo. Lennart otworzył oczy.

- Ma pan samochód? - spytał Marquette.

- Ni mom - odparł ze złością mieszkaniec farmy. - Na co mi tera auto? Pierony zabrali mi prawo jazdy, zem stary. Kielo tylko se chcemy z Marthom wyskucyc na miasto, musim zara telefonować do syna. Pieskie życie.

Matt zwrócił się do Lennarta i powiedział:

- Zaraz tu będą, chłopie. Tak mi przykro z powodu tego, co się stało.

Przepraszam.

123

Kowboj popatrzył na niego i w końcu rzucił:

- Dziękuję.

Marquette wyszedł na dwór. Właściciel domu podążył za nim. Kiedy Matt wsiadł z powrotem na konia, starszy człowiek zapytał:

- Nie chces ta mi cego powiedzieć, młody cłeku? Jimmy dostał ołowiu, niby ni?

-Tak.

- Pieronie, to ty go poscelił!

-Nie.

- No tak se myślę. Jakbyś to ty, nie dziękował by ci ta - skonstatował farmer.

- Zaopiekujcie się nim - poprosił Matt.

- Damy se z Martho rade, zanim nie zobocym doktorów. Dzie tera jidzis?

- Sam nie wiem.

- Niech cię cholera, pieronie - skomentował właściciel obejścia. Marquette odjechał.

Przejechał lekkim kłusem około półtora kilometra, kiedy zobaczył błękitnobiały helikopter pogotowia ratunkowego. Obejrzał się przez ramię, ale nie widział już z tej odległości ludzi. Po paru minutach maszyna wzniosła się z powrotem i poleciała na południowy wschód. Marquette ruszył teraz wzdłuż torów. Szyny skręcały łagodnie, kierując się ostatecznie ku zachodowi. Na południu widać było ciągle cienki słup brunatnego dymu z płonącej trawy wokół wraka. W oddali, na zachodzie, rosły ku niebu góry. Ich wysokie szczyty były teraz odsłonięte; widać było leżący pomiędzy połaciami lasu śnieg.

Wiatr ustał i zrobiło się gorąco. Po drugiej stronie kolejowego nasypu przejechała samotna ciężarówka z meksykańskimi robotnikami, pracującymi w okolicznych sadach. Mężczyźni w poplamionych ubraniach i słomianych kapeluszach popatrzyli w milczeniu za Mattem.

Po dwóch godzinach jazdy Marquette dotarł do elewatora zbożowego. Obserwował go już od dłuższego czasu, gdyż wysoka budowla górowała nad okolicą. Migotała w unoszącym się nad prerią powietrzu niczym fatamorgana.

Elewator składał się z sześciu betonowych silosów. Stały rzędem, wysokie na trzydzieści metrów. Ich przez lata smagane wiatrem ściany przybrały kolor starego chleba. Ze spodu każdego zbiornika wychodziły długie rury, zawieszane na linach. Wokół stało kilka magazynów i małych, metalowych baraków.

Na znajdującej się na terenie elewatora bocznicy stał pociąg towarowy

złożony z dwóch lokomotyw i około pięćdziesięciu wagonów, otwartych i krytych. Ładowano do niego zboże, po cztery wagony naraz. Ziarno przelatujące

124

przez rury hałasowało. Znad wagonów unosił się kurz, osiadający wokół niczym pył wulkaniczny.

Od czasu do czasu silniki pierwszej lokomotywy odzywały się głośniej i maszynista przesuwiał pociąg o kolejne cztery wagony naprzód.

Mart okrążył elewator. Po drugiej stronie znajdowało się płaskie pastwisko i pole pszenicy, a przy asfaltowej drodze stał kombajn. Na studziencie kanalizacyjnej siedział chudy Murzyn, jedząc kawałek wołowiny i popijając winem z butelki.

Marquette podjechał do niego i zagadnął:

- Dzieńdoberek. Jak tam dzionek?

Mężczyzna podniósł wzrok i zmrużył oczy. Miał na sobie wyblakłą wojskową kurtkę i brudną czapkę rybacką.

- Może być - odparł. - A tobie jak leci?

- Wiesz, dokąd jedzie ten pociąg? - spytał Matt. Czarny odgryzł kolejny kęs mięsa i odpowiedział:

- Jasne. Do Seattle.

- Kiedy rusza?

- Za godzinę-dwie; jak tylko go załadują.

Marquette pokiwał głową i zsiadł z konia. Zwierzę odeszło parę kroków i zaczęło się paść. Matt usiadł.

. Murzyn przyjrzał mu się uważnie, zwłaszcza zakrzepłej krwi na jego swetrze.

- Wyglądasz, facet, jakbyś urządził niekiepski dym - ocenił. Marquette nie odpowiadał. Popatrzył tylko na jeden z krytych wagonów i spytał:

- Mają w tym pociągu ochroniarzy? Mężczyzna roześmiał się.

- Ochroniarzy? Nie zalewaj, stary. Dawno nie słyszałem takiego tekstu.

Nie ma żadnej ochrony. Czasem kolejarze wnerwiają się i każą ci spadać.

Ale z reguły to olewają.

- Jeździsz to tu, to tam? - upewnił się Matt. Murzyn przytaknął.

-No. Zaraz pójdę tam kimać, zanim ruszą. Pojadę teraz do Dinozaura, przyfiluję, jak tam moje dzieciary.

- Do Dinozaura? Gdzie to jest?

- W Los Angeles; dzielnica South Central, stary.

Dwaj mężczyźni siedzieli w słońcu i gawędzili dalej w podobnym tonie.

Włóczęga miał na imię Rothelle. Jeździł pociągami towarowymi od dwudziestu lat - tak przynajmniej twierdził. Podzielił się z Mattem winem i dał mu kilka wskazówek, jak podróżuje się wagonem z ziarnem.

- Tylko pamiętaj, nigdy nie wskakuj do pełnego - ostrzegł. - Kapujesz?

Wciągnie cię na samo dno i mogiła. Zboże jest jak ruchome piaski.

125

Po mniej więcej godzinie Rothelle odwrócił się i przyjrzał uważnie pociągowi.

- Szykuj się, facet - poradził. - Zaraz dadzą w rurę. - Popatrzył na wierzchowca. - Co chcesz zrobić z tym koniem?

- Zostawię go tutaj - odpowiedział Marquette. - Ktoś się nim zajmie.

- Niekiepski pomysł.

Lokomotywy zawarczały głośniej i wzdłuż pociągu rozległ się szereg brzęków. Wagony ruszyły powoli do przodu.

- Pospiesz się, gościu - ponaglił włóczęga.

Mart poprowadził konia wzdłuż płotu, mówiąc do niego łagodnie i gładząc po nozdrzach. Zobaczył stróżówkę, ale w środku nikogo nie było, uwiązał więc konia do klamki. Zwierzę popatrzyło na niego i przesunęło mu pyskiem po ramieniu.

- Trzymaj się, stary - rzucił Matt na pożegnanie. Odwrócił się i ruszył biegiem z powrotem.

Z jednego z budynków wyszło dwóch mężczyzn. Zobaczyli Marquette'a i konia.

- Ej, ty, co ty sobie myślisz?! - zawołał jeden.

Pociąg jechał już trochę szybciej. Lokomotywy warczały jednostajnym gulgotem. Rothelle przykucnął na platformie trzeciego od końca wagonu. Uśmiechał się do Marta i machał, żeby się pospieszył.

Marquette biegł wzdłuż torów z torbą w ręku. Wagony szczękały; w górę wlatywały plewy. Marquette dogonił wagon, którym jechał Rothelle, złapał się barierki i wskoczył na platformę.

Po kilku minutach dwaj mężczyźni gnali już na zachód.

12

i orucznik Dwa Łosie czytał właśnie wstępny raport FBI dotyczący profilu psychologicznego sprawcy podwójnego morderstwa na kutrze, przesłany faksem z Quantico. Od razu było widać, że raczej nie pasuje do osobowości Marquette[^], niezależnie od tego, że szczegółowy profil miał zostać sporządzony dopiero za dziesięć dni. Nagle zamrugało światelko telefonu. Detektyw odebrał.

- Porucznik Dwa Łosie, wydział śledczy - rzucił.

- Witaj, Wielki Johnie. Tu Byner.

- Cześć, Doktorku.

- Właśnie skończyłem analizę noża - poinformował lekarz sądowy. - Na dwoje babka wróżyła.

126

- Poważnie?

- Analiza krwi pokazuje bardzo niski poziom Rh w skali Lundsteinera/Wienera oraz inny, niż można by się spodziewać, poziom tlenu. Są także ślady hemocyjaniny; to taki niebieski barwnik.

-I co z tego wynika?

- To nie jest ludzka krew. Na sto procent jest to krew ryby, najprawdopodobniej rekina. A hemocyjanina pochodzi od jakiegoś skorupiaka - kraba czy czegoś w tym rodzaju.

Dwa Łosie stęknął i pociągnął cygaro.

- Powiedziałeś, że na dwoje babka wróżyła?

- Owszem, bo ostrze pasuje jak ulał do rany. Jestem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach pewien, że tego chłopaka zabito przy pomocy noża Ka-Bar marines.

- Czy Marquette mógł oczyścić nóż po morderstwie? - spytał detektyw.

- Być może. Jednak nie wykryłem najmniejszych drobin żadnego środka czyszczącego, mydła, niczego takiego. A gdyby tylko wytarł ostrze albo opłukał je wodą, pozostałyby ślady krwi. Poza tym ta hemocyjanina rozłożyła się już mocno; musi być dość stara.

- Rozumiem, Doktorku. Dzięki.

- Nie ma sprawy.

Porucznik odłożył słuchawkę, A zatem odnaleziony w domu Marquette^ nóż nie był narzędziem zbrodni. Czy Mart miał drugi taki sam? Musiał

chyba lubić model Ka-Bar. Jednak jeśli użyto innego noża, mógł on znajdować się wszędzie, poczynając od dna ujścia rzeki.

Dwa Łosie wrócił więc do raportu FBI, zaczynając znowu od początku. Krótki tekst był listą porównawczą cech sprawcy morderstwa, wydedukowanych na podstawie wypełnionego przez detektywa raportu, oraz cech Marquette'a, wziętych z dostępnych danych na jego temat. Lista wyglądała następująco:

SPRAWCA

nagły, niezorganizowany atak spontaniczna agresja scena zbrodni - w nieładzie niska inteligencja brak wykszolenia nie znał ofiary wiek: 35-45
nosi broń (nóż)

MARQUETTE

zorganizowana osobowość kontrolowana agresja zorganizowana osobowość inteligencja powyżej przeciętnej wykszoleny znał ofiarę wiek: 44
nosi broń (nóż)

Widać było jak na dłoni, że jedynymi pokrywającymi się cechami sprawcy i Marquette'a były wiek oraz fakt, że obaj nosili nóż. Stanowiło to dwa-
127

dzieścia pięć procent porównanych kwestii. Na podstawie danych statystycznych o potwierdzeniu, że sprawcą jest podejrzewana osoba, można było mówić wtedy, gdy zgodność przekraczała sześćdziesiąt procent punktów.

Dwa Łosie wiedział oczywiście, że porównane szczątkowe profile psychologiczne powstały na podstawie przypuszczeń wysnutych z danych FBI na temat różnych popełnionych w przeszłości morderstw. Było to więc raczej zgadywanie. Jednak przypuszczenia FBI okazywały się z

reguły zdumiewająco trafne.

Dalej w tekście znajdowało się krótkie streszczenie analizy, jaką zamierzano jeszcze przeprowadzić. Raport podpisał agent nazwiskiem Robert Cho-ney. Porucznik zwrócił uwagę na jedno zdanie:

„Sugestia dotycząca śledztwa: Proszę być przygotowanym na możliwość, że Marquette nie jest sprawcą”.

Detektyw skrzywił się.

Światelko telefonu zamigało znowu. Tym razem dzwonił porucznik Stu Walters z zachodniego rejonu policji okręgu Seattle. Przedstawivszy się, powiedział:

- John, właśnie usłyszałem, na co natknęła się policja drogowa; być może cię to zainteresuje. Może mieć związek z poleceniem, które wydałeś, poszukiwania półciężarówki i tego... Cholera, gdzie to leży? O, jest ...Matthew Marquette.

Dwa Łosie aż się wyprostował.

- Co się stało? - spytał.

- Koło Wanapum doszło dzisiaj do katastrofy śmigłowca. Paliwo wybuchło przy uderzeniu w ziemię i wrak spalił się na popiół. Prawdopodobnie są dwie ofiary śmiertelne, chociaż trudno to od razu określić. W każdym razie wkrótce po eksplozji na odległej o parę kilometrów farmie pojawiło się dwóch mężczyzn. Jeden miał dwie rany postrzałowe; był to miejscowy kowboj. Z opisu, który podał, uzupełnionego przez właściciela farmy wynika, że drugi -ten, który go przywiózł - może być Marquette'em.

Wanapum? - zdziwił się w duchu Dwa Łosie.

- Czy policja z Wanapum zatrzymała go? - spytał.

- Nie, wydali już za nim własny list gończy. Wygląda na to, że po prostu

zostawił rannego kowboja i odjechał. Słuchaj, John, to już wszystko, co wiem. Skontaktuj się z Wanapum przez oddział Westlake, To oni zajmują się sprawą. Pogadaj z sierżantem Muldauerem.

- Dobra, dzięki, Stu.

- Powodzenia.

Sierżant Muldauer rozmawiał zdecydowanie, po wojskowemu.

- Tak jest, sir - powiedział. - Katastrofa śmigłowca nastąpiła dzisiaj, w przybliżeniu o piątej nad ranem. Nasz oddział współpracuje w tej sprawie z Federalną Agencją Aeronautyki. Wysłano także drużynę Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu z Portland w stanie Oregon.

128

Porucznik strząsnął popiół z cygara do pustej puszki po tuńczyku, której używał w charakterze popielniczki, i spytał:

- Czy zechce mi pan podać szczegóły zdarzenia?

Muldauer szybko opisał przebieg wypadków. Kiedy przeszedł do raportu w sprawie katastrofy helikoptera, detektyw powoli wyjął z ust cygaro, a jego oczy straciły blask.

Sierżant zakończył krótkim opisem elewatora zbożowego i informacjami:

- Zatrudnieni w elewatorze zeznali, że poszukiwany uwiązał skradzionego konia do stróżówki, a później wskoczył do pociągu z ziarnem, który właśnie załadowano. Razem z nim odjechał pewien Murzyn. Czarny mężczyzna prawdopodobnie przybył tym samym pociągiem kilka godzin wcześniej.

- Zaraz, zaraz - odezwał się Dwa Łosie. - Ranny kowboj twierdzi, że poszukiwany sam zestrzelił helikopter?

- Tak jest. Strzelał do niego z winczestera Lennarta i trafił pilota lub też w

jakiś kluczowy element napędu wirnika.

-A pociąg dokąd odjechał?

- Do młyna w Seattle.

- Kiedy to wszystko się stało?

- Już patrzę. Pogotowie wezwano o godzinie...

- Nie, chodzi mi o to, o której poszukiwany wskoczył do pociągu?

- Telefon od pracownika Coluctum Company nagrano o jedenastej trzydzieści jeden, sir- odparł służbiście Muldauer.

- Czy pociąg jedzie do Seattle bez zatrzymywania się?

- Nie, sir. Ma stanąć w Roslyn w celu podłączenia trzeciej lokomotywy, żeby pokonać przełęcz.

- O której?

- Jeśli się nie mylę, planowy czas przybycia piętnasta trzydzieści. Wpół do czwartej, pomyślał John, i popatrzył na zegarek. Minęło akurat południe.

- Czy zamierzacie przeszukać pociąg w Easton? - spytał.

- Tak jest, sir. Dwie jednostki współpracujące z policją okręgową z Kittitas.

- To dobrze. Dziękuję panu.

-Sir?

- Słucham?

- Pan porucznik nazywa się Dwa Łosie, prawda?

-Tak.

- Czy to może pan grał w Seahawks?

-Tak.

- Wow! - zawołał sierżant, tracąc służbisty ton. - Oglądałem pana dwa razy. To dopiero zaszczyt mnie spotkał!

- Dzięki - odparł niedbale John. - I dziękuję za wszystkie informacje.

9 - Oddech śmierci

129

- O rety...! - skomentował Muldauer.

Detektyw rozłączył się i popatrzył w zamyśleniu na tłącą się końcówkę cygara. Cóż to wszystko znaczyło? Marquette - a porucznik był przekonany, że chodzi o Marquette'a - stoczył samotnie zwycięską potyczkę z atakującym go helikopterem? Ukradł konia i wskoczył do pociągu?

Dwa Łosie wypowiedział na głos:

- Ten człowiek ucieka nie tylko przede mną.

Nie ociągając się dłużej, wstał nagle, nałożył swój kowbojski kapelusz i ruszył do drzwi. Miał nieco ponad trzy godziny na dotarcie do Easton. Pracownik stacji benzynowej w George był wysoki jak napastnik NBA. Pogwizdywał sobie, nalewając paliwo do samochodu Stone'a. Była czternasta trzydzieści. Stacja znajdowała się przy autostradzie, niedaleko ciastkarni z pączkami, zbudowanej na kształt ula.

Stone chodził koło dystrybutorów i z niepokojem przyglądał się łagodnym wzgórzom, widniejącym na południu. Miał kaca; nieprzyjemnemu uczuciu w żołądku towarzyszył dokuczliwy ból głowy. Większą część nocy Stone spędził w towarzystwie butelki Jacka Danielsa.

Przyjechał do „chaty” Grady'ego około dziewiątej. Znajdowała się w modnym i drogim rejonie Moses Lake zwanym Laguna Estates. Był to piętrowy dom zbudowany z ręcznie obrobionych cedrowych pni.

Zajmował powierzchnię ponad stu metrów kwadratowych, a stał na działce o powierzchni hektara, porośniętej niewysokimi sosnami. Zbudowano go

frontem do jeziora, a weranda zwieszała się nad samą wodą. Na prawo od domu znajdował się barak na łodzie i małe molo.

Stone zaparkował w dużej odległości od bramy Grady'ego. Miał pod marynarką kaburę, a w niej pistolet maszynowy ingram z piętnastocentymetrowej długości tłumikiem. Nie zapomniał także o latarce i telefonie komórkowym.

Minał bramę i posuwał się stopniowo w stronę domu, skokami od drzewa do drzewa. W końcu, upewniwszy się, że nikogo nie ma, wszedł na werandę i przyłożył ucho do drzwi od strony jeziora. Od wody ciągnął zimny powiew. Po drugiej stronie jeziora widać było światła innych domów. Przypominały z tej odległości statki.

Jack wyłamał zamek i wszedł do środka. Pachniało cedrem i środkiem do polerowania metalu. Zapalił latarkę. Główna izba była ogromna; wypełniały ją kapiące ozdobami meble oraz mosiężne kinkiety i żyrandole. W jednym z kątów stał ogromny fotel na biegunach. Na podłodze i ścianach znajdowały się wełniane, indiańskie maty; obok fotela wisiało okazałe sombrero, ozdobione srebrną koronką. W kuchni zwracały uwagę malownicze, czerwone papryczki chili i kolby kukurydzy. W sumie dom przypominał Stone'owi z wyglądu i zapachu meksykański burdel.

130

Odnalazł w barku-chłodziarce butelkę Jacka Daniela i usadowił się na białej, skórzanej sofie, z której dobrze widać było przez okno bramę i podjazd. Odłożył na stolik pistolet i telefon. Pił i czekał na Marquette'a. Mijał wieczór. Stone upił się w końcu do tego stopnia, że jedynym uczuciem, jakie go nappełniło, była irytacja. Od czasu do czasu wstawał i chodził po pograżonym w ciemności wnętrzu; wyglądał przez okno,

wpadał na meble. Raz wyszedł na werandę i posłuchał chwilę dobiegającej z sąsiedniego, dość odległego domu muzyki.

Około drugiej w nocy zasnął w końcu, zapadając w czarną otchłań.

Wydało mu się, że dopiero co zamknął oczy, a już otworzył je i zobaczył salon wypełniony dziennym światłem.

Wyprostował się gwałtownie i natychmiast poczuł silny ból głowy.

Spojrzał na zegarek. Było wpół do ósmej rano. Szybko sięgnął po telefon komórkowy i zadzwonił do Gusa. Próbował kilkakrotnie, ale za każdym razem odzywał się tylko komunikat sieci, że wybrany aparat jest wyłączony.

Przez następne trzy godziny miotał się po drewnianym domu jak zwierzę po klatce, przeklinając i pocąc się z nerwów. Raz po raz usiłował dodzwonić się do Fetta, ale zawsze słyszał tylko ten sam nieubłagany komunikat. Było oczywiste, że stało się coś bardzo złego.

Zrobiła się dziesiąta. Jack nie mógł już znieść bezczynności. Wrócił do samochodu i wyjechał na autostradę. Gdzie miał szukać? Pojechał na zachód, aż do rzeki Columbia. Przyglądał się mijanym autobusom, wypatrywał na niebie swojego helikoptera. W Wanapum zjechał z autostrady i ruszył polnymi drogami pomiędzy wzgórzami. Przeczesał okolicę, wzbijając samochodem kurz i płosząc bydło.

Niczego jednak nie znalazł.

Teraz pracownik stacji benzynowej sprawdził poziom oleju w silniku i razem weszli do budynku stacji. Za ladą siedziała ładna nastolatka, polerując paznokcie. Koło niej grało przenośne radio. Benzyniarz wbił do kasy sumę, a jego młoda koleżanka powiedziała:

- Wiesz, powiedzieli teraz w wiadomościach, że prawdopodobnie ten

poszukiwany jedzie pociągiem towarowym do Seattle.

- Poważnie? - upewnił się ogromny mężczyzna.
- Tak. Zostawił konia koło elewatora w Colucktum. Benzyniarz pokręcił głową i wydał Jackowi resztę.
- To dopiero wiadomość - skomentował.
- Co się dzieje? - zapytał Stone.
- Dzisiaj rano była tu niedaleko strzelanina - poinformował mężczyzna.
- Naprawdę? Nic nie wiem.
- Człowieku - odparł rosły benzyniarz, opierając się na ladzie - dwóch facetów wdało się w walkę z helikopterem koło Dampage Ranch. Kule tylko gwizdały. Jeden zestrzelił helikopter, przewiózł rannego i uciekł.

131

Stone wbił wzrok w olbrzymiego mężczyznę. Poblądł, zacisnął machinalnie usta.

- Co to był za helikopter? - zapytał.
- Dobrze nie wiem. Z tego, co podają- mały, dwuosobowy.
- Czy ktoś z załogi przeżył?
- Nie. Mam kolegę w policji. Mówi, że wygląda na to, że w środku leciało dwóch ludzi; ale dokładnie nie można powiedzieć, tak się wszystko spaliło.

Stone wyszedł, wsiadł do samochodu i siedział tak przez długi czas. W końcu benzyniarz nadszedł i postukał w maskę, dając znak, żeby już odjechał i nie blokował miejsca. Jack uruchomił więc silnik i przejechał na parking koło ciastkarni z pączkami. Tam zatrzymał się i siedział dalej. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że dwoma ludźmi, którzy spłonęli w zestrzelonym helikopterze, byli GUS i Basset. Stone myślał o Fettisie.

Znali się i przyjaźnili od prawie trzydziestu lat. Wiadomość o jego nagłej śmierci poraziła Jacka jak grom.

Powoli w jego serce powrócił gniew. Stone spojrzął na zegarek. Miał jeszcze dwadzieścia godzin na zakończenie całej sprawy. Nie wiedział, jak zdoła to zrobić, ale zrobi to. Musiał jakoś odnaleźć tego skurwysyna Marquette'a, który wracał teraz do Seartle. Odstrzeli mu łeb, a potem wykona resztę misji.

Za Gusa.

I dla siebie.

Wrzucił bieg i ruszył z piskiem opon. Powrócił na autostradę i skierował się na zachód.

- Kleili, co się, u licha, dzieje? — spytał zirytowany Gilhammer.

- Nie mogę ci teraz powiedzieć - odparła Pickett. - Jeszcze nie w tej chwili.

Szef pokręcił głową i przyglądał jej się uważnie, ssąc wiśniowy żelek.

- Słuchaj, wiem, że to dla ciebie ważna osobista sprawa - powiedział.

-Rozumiem to i współczuję ci. Ale twoje zaangażowanie w nią zaczyna rozbijać cały nasz zespół. Tracimy zbyt wiele cennego czasu, czekając na ciebie.

- Przepraszam, Troy. - Kelli spuściła głowę, potarła skronie i podniosła wzrok z powrotem. - Daj mi jeszcze tylko jeden dzień. Dobrze?

-I co w ciągu tego dnia zrobisz?

- Wydaje mi się, że wpadłam na trop - odparła Pickett. Zanim Gilhammer zdążył odpowiedzieć, dodała: - Nie pytaj mnie o to. Sprawa jest ciągle zbyt... złożona, żeby o niej mówić.

Kierownik projektu westchnął i wstał z biurka, na którym przysiadł.

-Dobrze, jeszcze jeden dzień- zakończył. Ruszył do sąsiedniej sali, ale

zatrzymał się i zapytał: - Może chcesz, żeby ci pomóc. Jeżeli popracujemy razem nad tym czymś, nad czym tu siedzisz, to może wszystko pójdzie szybciej?

132

- Nie, muszę to zrobić sama. Ale dziękuję ci za ofertę pomocy.

Gilhammer wyszedł.

Kelli siedziała w sali niemal do piątej rano. Ściągnawszy z niemieckiej firmy Tierkreis-Wickeln dokumentację kuli, weszła do chińskiej gałęzi Inter-netu, usiłując dotrzeć i przeniknąć do systemu szpitala wojskowego Hu nyau-Ge. Po kilku nieudanych próbach doszła do wniosku, że to niemal niemożliwe. Chińczycy potrafili zadbać o bezpieczeństwo swoich tajnych danych.

Mimo że całe ich oprogramowanie sieciowe było dość archaiczne, wszystkie bazy danych chronione były wieloma poziomami kodów, w dodatku różnych dla konkretnego komputera, w którym znajdował się dysk. Cała część sieci, w jakiej Kelli się poruszała, należała do Systemu Wywiadu Wojskowego Komunistycznej Partii Chin.

Wprawdzie dostęp za pośrednictwem Internetu do zewnętrznej warstwy systemu był bardzo prosty, wszystkie jednak bazy danych, zawierające, zdaniem KPCh, istotne dla bezpieczeństwa państwa informacje, były silnie strzeżone.

Pickert rozważyła zastosowanie bardziej złożonych technik używanych przez komputerowych piratów - włamanie się do sieci chińskiego wywiadu wojskowego i atak przy użyciu tak zwanych wyszukiwaczy słownikowych, lub pętli e-mailowych. Zdała sobie jednak sprawę, że zostawiłaby w ten sposób zbyt wiele śladów, a nie mogła dopuścić do tego,

żeby wykryto, iż prowadzi swoje działania z uniwersytetu.

Okna zaczęły się stopniowo rozjaśniać. Świtało. Kelli zrobiła się w końcu zbyt zmęczona, żeby pracować dalej. Zadzwoiła do domu i odsłuchiwała automatyczną sekretarkę, jednak wciąż nie nadeszła żadna wiadomość od Matta. Wypaliwszy jeszcze ostatniego papierosa, zeszła do małej przychodni lekarskiej w swoim budynku i położyła się w ubraniu na stojącej w korytarzyku kozetce.

Leżała, słuchając panującej na piętrach ciszy. Drżała z niepokoju. Po pewnym czasie zaczęła słyszeć trzaskanie drzwi i głosy pierwszych przybyłych do pracy ludzi. Akurat wtedy zasnęła.

O dziesiątej trzydzieści obudziło ją przyjście pielęgniarki. Pickett przez chwilę zastanawiała się, gdzie jest. Nagle przypomniała sobie wszystko. Zerwała się i popatrzyła na zegarek. Gdzie mógł być Matt? Natychmiast zadzwoniła do swojej łodzi mieszkalnej, jednak żadnej nagranej wiadomości nie było.

Spróbowała opanować niepokój i przekonać samą siebie, że Mattowi nic sienie stało. On żyje, wmawiała sobie. Da radę całej sytuacji. Powoli zdołała się uspokoić.

Umyła się w małej łazience w przychodni i popatrzyła na siebie w lustrze. Wyglądała na wyczerpaną. Miała wymizerowaną twarz, bezbarwny, przygaszony wzrok. Kiedy wyszła z toalety, pojawiła się pielęgniarka i przykazała jej

133

coś zjeść. Pickett wmusiła więc w siebie kawę i jagodziankę, których parę przyniosła pracownica przychodni.

Wróciwszy do laboratorium, Kelli ruszyła prosto do sali uzyskiwania

danych, nie odzywając się do nikogo. Wszyscy powiedli za nią wzrokiem. Ponowiła atak na chińską sieć. Tym razem zamiast próbować bezpośrednio się włamać, zajęła się faksami przesłanymi pomiędzy szpitalem Hu nyau-Ge a Tierkreis-Wickeln. Miała nadzieję, że zdoła zlokalizować fragmenty transmisji stanowiące hasło lub też odnajdzie jakąś lukę, przez którą zdoła wdrzeć się pomiędzy chińskie zabezpieczenia.

Dotarłszy do centrali telefonicznej w Singapurze pośredniczącej w przekazach satelitarnych, napotkała przeszkodę nie do pokonania. Po wejściu na teren Chin sygnały telefoniczne przechodziły w całości przez system wywiadu wojskowego, przy pomocy którego były szyfrowane i chronione kodami.

Sfrustrowana tym Kelli spróbowała wyśledzić połączenia internetowe z Pekinu do Kunmingu za pomocą tak zwanej obserwacji logicznej wszystkich pętli e-mailowych. Chciała odnaleźć te, które skierowane były do szpitala wojskowego Hu nyau-Ge. Jednak nie знаła chińskich kodów identyfikacyjnych i jej program obserwacyjny skoncentrował się nie na tym, co trzeba. Za pierwszym razem odizolował przekazy do garnizonu wojskowego Kuan-gan, przy drugiej próbie - do państwowego gospodarstwa rolnego w Lichian.

Pickett wstała i zaczęła przechadzać się po sali, obserwując bezwiednie sufit. Wpadła na kolejny pomysł. Może wyniki badań nad transmutacją bakterii prowadzone w Hu nyau-Ge były gdzieś publikowane? W magazynach czy raportach rządowych? Może przesyłano je zwykłymi kanałami, którymi porozumiewają się naukowcy świata? Jeśli tak, to być może znajdzie jakieś wiadomości o tajemniczej kuli.

Kelli szybko uzyskała listę oficjalnych chińskich źródeł danych

dotyczących badań medycznych prowadzonych w tym kraju. Okazało się, że jest ich sporo i dotyczą zarówno zagadnień związanych z nowoczesną medycyną, jak i tradycyjnymi metodami leczniczymi Dalekiego Wschodu. Większość tekstów nie była przetłumaczona na żaden język - napisano je tylko po chińsku. Te, które miały wersje angielskie, roiły się od skomplikowanej terminologii, często brzmiącej bardzo egzotycznie.

A może piszą coś o chińskich badaniach w amerykańskich czy europejskich magazynach naukowych? - pomyślała Pickett. Zaczęła od Stanów Zjednoczonych, przeszukując artykuły z dziedziny bakteriologii, epidemiologii, farmakologii i wszelkich innych „-logii”, które jej się kojarzyły z badaniami nad bakteriami.

Otrzymała długie listy artykułów. Wybrała z nich te, które napisano po roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym i które dotyczyły celowo prowadzonych mutacji komórek bakterii. Otrzymała pewną liczbę niezrozumiałych dla laika tekstów, które zdawały się w większości dotyczyć manipulacji DNA

134

bakteriofagów oraz jego transdukcji w celu zablokowania sekwencji infekcyjnej.

O badaniach w Chinach nie było niczego.

Pickett zaczęła więc przeszukiwać publikacje międzynarodowe - Światowej Organizacji Zdrowia, Panamerykańskiej Organizacji Zdrowia, UNICEF-u. Następnie zajęła się magazynami europejskimi, później bankiem danych prestiżowego London Dispensary, wreszcie raportami z rosyjskich badań klinicznych.

O czternastej trzydziści odnalazła pojedynczą wzmiankę o badaniach w

szpitalu wojskowym Hu nyau-Ge.

Znajdowała się ona w magazynie „Bakteriologish”, publikowanym przez uniwersytet w Zurychu, w numerze ze stycznia dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Ograniczała się do jednej linijki. Było w niej powiedziane, że Chińczycy prowadzą w Hu nyau-Ge badania na temat transmutacji w zakresie supresji bakteryjnych komórek T.

W przypisach Kelli zobaczyła, że informację tę podano za rosyjskim wewnętrznym magazynem Państwowego Centrum Wirusologii i Biotechnologii w Kolcowie.

Zadziwiająco szybko zdołała dostać się do banku danych rosyjskiego ośrodka. Przeszukiwanie poskutkowało od razu znalezieniem pojedynczego artykułu mówiącego coś o Hu nyau-Ge i Kunmingu. Artykuł wpisany był po rosyjsku, ale alfabetem łacińskim, fonetycznie.

Pickett podejrzewała, że dane mogą być tylko po rosyjsku, wiedziała jednak z góry, co w związku z tym zrobi. Studiując w Stanfordzie, mieszkała w pokoju z Helen Kleinsmith, doktorantką studiującą języki słowiańskie. Z tego, co słyszała, Kleinsmith była teraz asystentką profesora w Willamette College w stanie Oregon.

Po trzech minutach Kelli zdołała dotrzeć telefonicznie do Kleinsmith.

- Helen, tu Kelli Pickett - powiedziała. - Potrzebuję twojej pomocy.

- Kelli? - Kleinsmith roześmiała się. - Boże, ile to lat się nie widziałyśmy!

- Och, zbyt długo. Słuchaj, mam bardzo mało czasu...

- To chyba coś poważnego...?

- Bardzo poważnego, naprawdę. Potrzebne mi tłumaczenie części artykułu naukowego. Napisany jest po rosyjsku, ale alfabetem łacińskim.

- Nie ma sprawy. Podaj mi swoje zamiary. Kelli podała je i wyjaśniła:

- Potrzebna mi ta część artykułu, która dotyczy badań prowadzonych w chińskim szpitalu wojskowym w Kunmingu. Szpital nazywa się Hu nyau--Ge. - Przeliterowała i dodała: - Błagam cię, Helen, pospiesz się z tym, jak tylko możesz. I dziękuję ci bardzo.

- Wyjaśnisz mi kiedyś, o co chodzi?

135

- Jasne.

Przez następne jedenaście minut Kleinsmith zdążyła połączyć się z komputerem Kelli, ściągnąć artykuł, przetłumaczyć z niego paragraf i przesłać go z powrotem. Pełen był specjalistycznej terminologii, dało się jednak zrozumieć, o co chodzi.

Artykuł opisywał, jak to chińscy wirusolodzy eksperymentują z efektami transmutacyjnymi bakteryjnej protoplazmy bombardowanej promieniowaniem lasera. Zasadniczym celem badań było uzyskanie w sztucznie przyspieszony sposób dokładnej sekwencji syntezy metamorficznej w obrębie cząsteczek bakteriorodopsyny, w tak zwanym stanie purpurowej masy.

Jednak prawdziwie poruszające było ostatnie zdanie. Kelli wpatrywała się w nie, czując, że ogarnia ją jakiś dziwny stan. Zadygotała. Wstała, ale po chwili usiadła z powrotem, przyciągnięta przerażającą informacją widniejącą na ekranie.

O Boże! - myślała tylko.

Wiedziała, że teraz nie ma już odwrotu. Musi dojść do ostatecznego rozwiązania sprawy. W tym momencie nabrał ostatecznego kształtu kielkujący w jej głowie od jakiegoś czasu pomysł, jak dokładnie określić istotę i przeznaczenie kuli Matta.

Podeszła do drzwi i zawołała Gilhammera. Przeprowadzał właśnie eksperyment i mógł oderwać się dopiero po kilku minutach. Nadszedł z niezadowoloną miną.

- Potrzebne mi nasze laboratorium - oznajmiła Pickett. - I muszę skorzystać z niego sama, bez czyjejkolwiek obecności.

- Słucham???

- Wyślij wszystkich do domu. Chcę uruchomić Platformę Sztucznej Inteligencji.

Gilhammer pokręcił głową.

- Zgłupiałaś zupełnie? - rzucił. - Jak możesz żądać ode mnie czegoś podobnego?! I wiesz dobrze, że nie powinienem czegoś takiego robić.

-Posłuchaj, Troy- powiedziała twardo Kelli, patrząc szefowi prosto w oczy.

- Odkryłam coś, co może oznaczać potencjalną katastrofę.

- Jaką katastrofę? - spytał naukowiec, zmrużywszy oczy.

- Nie mogę ci w tej chwili powiedzieć; jeszcze nie jestem do końca pewna.

Gilhammer pokręcił głową.

- Słuchaj, czy ty aby nie przesadzasz? - powiedział. - Przykro mi, ale nie mogę się zgodzić.

Pickett zapłonęła gniewem.

- Cholera, czy ty nie zrozumiałeś, co przed chwilą powiedziałam...?!

- Zrozumiałem. Ale to problem osobisty. W dodatku nie twój, tylko Marquette'a. Nie mogę pozwolić, żebyś...

136

-Nie chodzi tylko o Matta- przerwała Kelli. - Boże, ty nie wiesz...! Ale może chodzić o nas wszystkich, rozumiesz? - Znów popatrzyła szefowi w oczy. - Błagam, musisz mi zaufać.

Gilhammer przyjrzał jej się uważnie, po czym zaklął i rzucił:

- Chyba sam powinienem zgłosić się na badania psychiatryczne...! Ale dobrze, udostępniam ci laboratorium. Na dzisiejszy wieczór. Ale nie na dłużej, Kelli. Wystarczy tego. Jeżeli nie stawisz się jutro normalnie do pracy, wystąpię o sankcje dyscyplinarne wobec ciebie. Zrozumiano?

-Tak.

Troy wyszedł i trzasnął drzwiami.

Pickett wróciła do swojego komputera i kolejny raz popatrzyła na ostatnie zdanie przetłumaczonego paragrafu. Brzmiało następująco:

„Dla wyśledzenia przyspieszonej wymiany elektronów w cyklach enzymatycznych i kwasowych chińscy naukowcy posłużyli się aktywnymi kulturami laseczek halobacterium halobium oraz bacillus anthracis ”.

Łacińskie anthracis brzmi prawie identycznie jak angielskie anthrax, czyli „wrzód”, a także „wąglik”. Pickett słyszała o bakterii węglik, które są naj-słynniejszą bronią biologiczną hodowaną w laboratoriach świata.

Bakcyl biologicznej zagłady...

13

Pociąg sunął przez niekończącą się połąć płaskiej ziemi. Wkrótce po opuszczeniu terenu elewatora zbożowego przejechał przez rzekę Columbia, dudniąc po moście. Po brązowozielonej wodzie przemknęło akurat dwoje ludzi na wodnych skuterach, zostawiając za sobą na chwilę spienione ślady.

Marquette siedział po prawej stronie wagonu, w cieniu zbiornika. Rothelle usadowił się po lewej. Popołudnie było całkiem gorące. Trudno było porozumiewać się z powodu świstu wiatru, łoskotu i stukotu kół na złączach szyn.

Za rzeką teren stał się zupełnie płaski. Ziemię porastała krótka, brunatna trawa, poprzecinana skupiskami skał. Następnie pojawiły się olbrzymie pola przynicy, kukurydzy i koniczyny. Od czasu do czasu pociąg mijał maleńkie miasteczka. Lokomotywa trąbiła wtedy przeciągle niczym statek na morzu.

Pociąg przemknął koło kilku małych chłopców na rowerach, którzy obrzucili go kamieniami. Na jednym z przejazdów minął grupkę nastolatków czekających na maskach swoich trzech półciężarówek. Pili piwo; dziewczyny zamachały prowokująco w stronę mijających ich włóczęgów.

137

Martowi zdawało się, że odbiera wszystko dokładnie każdym, wyostrzonym maksymalnie zmysłem. Odczuwał ekscytację, analizował błyskawicznie elementy otoczenia - nie pamiętał, żeby znajdował się w takim stanie od lat. Czuł, że jest dokładnie świadom swojej sytuacji i obejmuje umysłem jej całość, że jest w stanie działać i podejmować szybkie decyzje. Zupełnie, jak gdyby po długiej drzemce obudził się w nim żądny czynu młodzieniec. Mimo że wagon kołysał uspokajająco, a Marquette opuścił powieki i odpoczywał, jego umysł pozostawał jasny i skoncentrowany. Spokojnie rozważał wszystkie aspekty sytuacji.

Nie było wątpliwości, że jego pierwszym celem będzie Grady. Od niego dowie się całej reszty i dotrze do pozostałych uczestników całej tej okrutnej gry. Odnajdzie ich i pokona. Jak? Wykorzystując jedyną przewagę, jaką miał nad nimi - to on był w posiadaniu cennej kuli.

Pociąg minął Ellensberg, następnie Thorp i Teanaway. Daleko na północnym wschodzie w jaskrawym świetle słońca błysnęła połać wody.

Krajobraz się zmienił. Pojawiły się pagórki porośnięte dębami, a potem łąki, na których rosły od czasu do czasu kępy świerków. W końcu drzewa zgęstniały, przechodząc w lasy Parku Narodowego Snoqualmie, a w pobliżu pojawiły się góry.

Skład zwolnił bieg. Rothelle zamachał do niego.

- Wjeżdżamy do Roslyn - poinformował. - Przyłączą nam trzecią lokomotywę, żebyśmy mieli więcej czadu.

Minęli cmentarz. Potem drugi. I trzeci. Szare nagrobki widniały pośród przerośniętej trawy za ozdobnymi, osiemnastowiecznymi, żelaznymi bramami. Z tyłu, za cmentarzami, widać było wierzchołki wież wind kopalnianych.

Pociąg zwolnił jeszcze bardziej, wjeżdżając do miasteczka. Podróżni na gapę zobaczyli główną ulicę, kilka kawiarni, budynki o powiększonych frontach. Chwilę później minęli inny pociąg, czekający na bocznicy. Składał się z odkrytych wagonów towarowych. Dwie lokomotywy stały obok długiej, otwartej drewnianej platformy.

Rothelle wychylił się nagle nieco bardziej. Popatrzył i zwrócił się do Marta.

- Hej, facet, czy ciebie może ścigają? - spytał.

- Słucham?

- Tam czeka policja - ostrzegł Murzyn. - Wyglądają, jakby szykowali się do przeszukania naszego pociągu. Wiem, że mnie nie szukają.

Serce Marta zabiło mocno. Ruszył na przeciwną stronę wagonu i wyjrzał sam. Obok lokomotyw stały dwa radiowozy policji drogowej stanu Waszyngton. Dalej zatrzymały się jeszcze dwa radiowozy policji lokalnej z Kittias oraz nieoznakowany szary samochód. Funkcjonariusze czekali

koło torów i obserwowali uważnie pociąg. Wyróżniała się spośród nich potężna postać detektywa Dwa Łosie.

- Cholera jasna! - zaklął Marquette. - Nie mieli kiedy się zjawić! Wrócił na swoją stronę. Rothelle przyglądał mu się ostrożnie.

138

- Słuchaj, gościu, spierniczaj lepiej, póki się da - poradził. - Za parę minut tu zajrzą.

Matt popatrzył w lewo. W tym miejscu równoległe do torów szła polna droga. Za nią znajdował się wąski pas trawy, a dalej gęste krzaki. Ich gałęzie i liście pokryte były brudnym, oleistym pyłem z linii kolejowej i drogi. Zarośla szybko przechodziły w gęsty las.

Marquette obejrzał się na towarzysza podróży.

- Nie bój się, stary, powiem im, że nic nie widziałem - powiedział Rothelle. Uśmiechnął się. - Poza dużym białym fagasem, który wyskoczył ze dwadzieścia parę kilosów stąd.

Mężczyźni podali sobie ręce i Matt stanął na stopniu drabinki. Wisiał przez moment, wysunął jedną nogę, a potem zeskoczył z powoli jadącego wagonu. Uderzył stopami w żwir, przebierając jak najszybciej nogami. Ześliznął się z nasypu i przeciął drogę, słysząc zgrzyt hamulców składu. Lokomotywy zawarczały przez chwilę głośno, po czym przeszły na jałowe obroty silników.

Marquette przedarł się przez krzaki i po chwili znalazł się pomiędzy gęsto rosnącymi sosnami. Kłujące gałęzie smagały go, gdy podążał w las, byle głębiej. Przez przerwy pomiędzy gałęziami jasnymi smugami padało ostre światło słońca.

Po jakichś stu metrach teren zaczął lekko się wznosić. Po chwili w

szparach między drzewami można było dostrzec pociąg. Matt zobaczył dwóch policjantów rozmawiających z Rothelle'em. Murzyn pokazał wymownie na tory w kierunku, z którego przyjechał.

Jeden z funkcjonariuszy przemówił do krótkofalówki. Zaraz potem podjechał do niego wóz szeryfa okręgu. Minał stojącą grupkę i pospieszył na południe, wzbijając tuman kurzu.

Marquette odwrócił się i pognął dalej.

Stone dotarł do Seattle parę minut przed siedemnastą. Zjechawszy z gór, zadzwonił do biura Grady'ego, ale dowiedział się, że adwokat jest w sądzie. Sekretarka powiedziała Jackowi, jak dojechać do kompleksu Civic Center, gdzie pracował w tym momencie jej szef.

Miasto było zatłoczone; mieszkańcy wracali z pracy do domów. Stone z wściekłością zatrzymywał się i ruszał w korkach przed kolejnymi skrzyżowaniami.

W końcu dotarł do budynku sądu miejskiego. Stał on niedaleko autostrady międzystanowej numer pięć, pomiędzy ulicami James i Cherry.

Zbudowany z czerwonej cegły gmach otoczony był przez nagie o tej porze roku drzewa. Jack odnalazł koło placu Pioneer podziemny parking i cofnął się na piechotę dwie przecznice do budynku sądu.

139

Recepcjonistka poinformowała go, że rozprawa, w której bierze udział Grady, odbywa się na piętrze, w sali 2B. Kiedy Stone otworzył wielkie mahoniowe drzwi, zatrzymał go krzepki woźny, mówiąc:

- Nie może pan teraz wejść. Przykro mi, ale posiedzenie jest w toku.
- Czy to na tej sali broni pan Grady? - spytał Jack.

Woźny skinął głową w stronę ław obrony. Siedział tam John Wayne obok

potężnego Indianina o długich, spływających luźno na plecy kruczoczarnych włosach.

- To on - poinformował woźny.

- Muszę z nim pomówić - oznajmił Stone. - To wyjątkowo pilne...

Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie[^] zapytał:

- Czy to ma coś wspólnego z toczącą się w tej chwili sprawą?

- Tak — skłamał Jack.

- Jak się pan nazywa?

- Jack Stone.

- Niech pan zaczeka.

Jack wyszedł na korytarz i zaczął nerwowo przechadzać się w tę i z powrotem. Podłoga wyłożona była marmurem, który z biegiem lat zdążył już pożółknąć. Polerował go froterką wietnamski dozorca. Pachniało jak we wszystkich sądach - starym betonem i papierami.

Grady wyszedł dopiero po dziesięciu minutach. Rozejrzał się z niezadowoloną miną i podszedł do Stone'a. Tego dnia miał na sobie brązowy, skrojony po kowbojsku garnitur, a do tego czerwoną aksamitkę.

- O co chodzi, do cholery? - warknął.

- Mamy kłopoty - oznajmił Jack.

Korytarzem nadeszła rudowłosa dziewczyna w stalowoniebieskim kostiumie. Uśmiechnęła się do Grady'ego załomie i rzuciła:

- Cześć, John.

- Witaj, kochanie - odparł, celując w nią z ukrycia dłonią ułożoną na kształt pistoletu. Obliznął się i stwierdził: - Ale laseczka...

Odwróciwszy się znowu do Stone'a, przestał jednak się uśmiechać. Złapał go za ramię i zaciągnął za filar.

- Jakie kłopoty? - spytał poważnie. - Tylko proszę szybko. Mam zaledwie pięciominutową przerwę.

- Marquette ciągle nam ucieka. I zabił Fettisa i Basseta, skurwysyn. Adwokat znieruchomiał. Wpatrywał się w Jacka przez swoje przyciemniane okulary. Oblizwał wargi i odezwał się cicho:

- Coś podobnego...! To dopiero wdepnęliśmy. Co się, u licha, stało?

- Nie mam teraz czasu opowiadać - wycedził Stone.

Po raz pierwszy, odkąd Jack znał Grady'ego, jego niewzruszony spokój wydawał się chwiać. Prawnik obejrzał się w jedną, potem w drugą stronę, jak gdyby ktoś się do niego skradał.

140

i

- Cholera jasna - zaklął. - Miał pan rozwiązać tę sprawę. Cholera jasna. ...!

- Niech pan słucha, dorwę tego skurwysyna. Co do tego nie ma wątpliwości. Jedyne, czego od pana potrzebuję, to adres - stwierdził Stone.

-Adres? Jak adres? - zdziwił się John Wayne.

- Powiedział pan, że Marquette zadzwonił do pana, zgadza się? Grady skinął głową.

- Chcę dostać adres, spod którego telefonował. Adwokat rozejrzał się nerwowo.

- Wyśledzenie adresu, spod którego ktoś dzwonił, zajmuje parę dni i trzeba mieć do tego nakaz wydany przez sędziego - poinformował. Stone wpatrywał się w niego, kipiąc energią.

- Niech pan nie chrzani - skwitował. - Jest pan poważnym graczem.

Domyślam się, że umie pan ominąć tego rodzaju formalności.

- Taa - mruknął John Wayne. - Jasne.

- No to proszę zrobić to szybko. Prawnik popatrzył na zegarek.
- Nie mogę nic zrobić, dopóki nie zakończy się posiedzenie.
- Niech pan poprosi o przerwę.
- Nie mogę. - Grady przyjrzał się twarzy Jacka i zmrużył powieki.
- Czy pan czasem czegoś nie wziął? - spytał. - Ma pan takie oczy, jakby się paliło.
- Niech się pan o mnie nie martwi, tylko zdobędzie dla mnie ten adres
- poradził Stone.
- Sprawa robi się coraz poważniejsza, co? - skomentował adwokat.
- Adres...!

John Wayne niechętnie pokiwał głową.

- No, dobrze. - Zastanowił się chwilę. - Przy placu jest taki bar, Tele-sco's. Spotkamy się tam, kiedy tylko stąd wyjdę.
- Ile to jeszcze potrwa? - chciał się dowiedzieć Jack.
- To zależy, jak długo sędzia Kennedy będzie pieprzył. - Grady złożył ręce i strzelił stawami. - Przez to gównu rozsypie się cały interes z Keckiem
- stwierdził.
- Wcale nie. Niech tylko zdejmę Marquette'a.
- Jak tylko zaczniemy grać z tym sukinsynem na zwłokę, wycofa się
- ostrzegł adwokat.

Tymczasem drzwi sali sądowej otworzyły się i woźny zawołał:

- Panie Grady...! - Zamachał na obrońcę.
- Telesco's - powtórzył Stone. Popatrzył złowrogo na prawnika, odwrócił się na pięcie i odszedł.

141

Posterunek szeryfa miasta Roslyn wyglądał, jak gdyby został przeniesiony

ze starego filmu. Były tam wyszczerbione biurko, wysokie, ciężkie, drewniane krzesła i stojak na broń, na którym odpoczywały śrutówki oraz karabin na jelenie. Jedynymi nowoczesnymi przedmiotami w całym pomieszczeniu były: nadajnik radiowy, stojący na biurku komputer i mały klimatyzator umieszczony w oknie. Po przeciwległej do wejścia stronie znajdowały się dwie cele. Jedną z nich zajmował tymczasowy lokator, śpiewając pijackim głosem popularną piosenkę.

Posterunkowy Hatter wystawił głowę zza drzwi i warknął:

- Zamknij się, cholera jasna! - Mężczyzna posłuchał.

Porucznik Dwa Łosie stał przy oknie i wyglądał przez nie w stronę stacji kolejowej. Po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciw posterunku, znajdował się bar, na którego drzwiach artystycznie wymalowano głowę łosia. Nad okapem przymocowane były gwoździemi jelenie rogi. Przed lokalem stało kilka brudnych półciężarówek.

-I co mamy zrobić, panie poruczniku? - spytał Hatter. - Jak każe pan przeczesywać teren, już o świcie będą tu psy. - Była siedemnasta czterdzieści trzy. - Nie ma tero sensu chodzić po lesie, zara będzie mrok.

Detektyw skinął głową ku lasom i spytał:

- Co tam jest właściwie, dalej, za lasem? - spytał.

-Domy, chaty- odpowiedział posterunkowy. - A jeszcze dalej zakład wyrębu lasu.

- Tam się pewnie skrył — ocenił John.

- Tak daleko? W takim razie ten Czorny skłamał, że poszukiwany wyskoczył wcześniej...? - wywnioskował Hatter.

Rothelle'a zatrzymano i przewieziono na posterunek w Westlake, by go przesłuchać. Dwa Łosie uważał, że to tylko strata czasu. Ten Murzyn

przypadkowo natknął się na Marquette'a i nie mógł o niczym wiedzieć. Detektyw był przekonany, że uciekinierowi uda się powrócić do Seattle. Jeszcze na długo przed świtem Marquette znajdzie sposób wydostania się z okolicy. Ukradnie jakiś samochód albo nawet wskoczy do drugiego pociągu.

Hatter zapalił papierosa, podrapał się w nos i skomentował:

- Cało to sprawo zaczyna wyglądać jak na filmie, co, panie poruczniku?

Czworo denatów, strzelanina, śmigłowiec spalony na popiół. James Bond, ni ma co! I mówi pan, że ten Marquette służył w Navy SEAL's?

-Tak.

- To będzie umiał poradzić se w górach, nie? Założę się, że sunie prosto na północny zachód i zaszyje się w głuszy.

Nie, pomyślał Dwa Łosie. Będzie inaczej. Czuł napięcie; wiedział, że zbliża się kulminacja wydarzeń. Cokolwiek zamierzał zrobić Marquette, miało to nastąpić w Seattle. Kiedy tylko się tam ujawni, łatwo będzie go dopaść, | zarówno policji, jak i tym innym, którzy go ścigają.

142

Detektyw odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

— Dziękuję — rzucił i skierował się do samochodu.

- Panie poruczniku, a co będzie z przeczesywaniem lasu? - zawołał za nim Hatter.

John pokręcił tylko głową, nawet nie zwalniając.

Marquette biegł jednostajnym, spokojnym truchtem jak Indianin; obserwował uważnie grunt pod nogami i stapał lekko. Torbę uwiesił sobie na plecach za pomocą odciętego z koszuli paska, zaczepionego na szyi. Objęła się teraz o niego przy każdym kroku.

Zaczęło robić się ciemno i cicho. Zupełnie jak gdyby zstępująca pomiędzy drzewa zasłona mroku fizycznie tłumila otaczające dźwięki; nawet chrzęst jego adidasów na pokrytej zeschniętymi igłami leśnej ściółce. Stopniowo zapadał wieczór.

Mart wiedział, że musi oddalić się od torów. Wkrótce zaczną go gonić.

Może jeszcze wieczorem, a może wraz z nadejściem świtu.

Prawdopodobnie będą mieli psy i jego ucieczka skończy się smutno.

Rozważał już, w co jest wyposażony i jakie ma w związku z tym szansę przeżycia. Posiadał sznurówki, zapalki, broń, przeciwdeszczowe ubranie.

Kiedy na dobre zapadnie noc, zatrzyma się i znajdzie sobie jakieś schronienie. Teraz jednak musiał biec dalej, równo i spokojnie.

W końcu zwolnił. Zrobiło się ciemno i nie widział wystarczająco dobrze; łatwo mógł skreślić nogę. Po kilku minutach zobaczył krawędź lasu czy też przecinkę i leżącą parę metrów niżej szosę. Jechały nią samochody; w świetle ich reflektorów drzewa rzucały długie cienie.

Odczekał, aż droga zrobi się pusta i przebiegł na drugą stronę. Znajdował się tam płytki parów, porośnięty gęstymi krzakami. Ostre gałęzie drapały go w twarz i ręce. Kiedy znalazł się na równym terenie, ruszył znowu szybciej, wyteżając wzrok i wykorzystując maksymalnie resztki dziennego światła.

Odezwało się stłumione szczekanie; brzmiało, jakby dobywało się ze studni. Wkrótce jednak pojawiły się światła jakiegoś domu. Marquette znalazł się na polnej drodze prowadzącej do zabudowań. Zaszczekał drugi pies.

Chata miała płaski dach. Obok wejścia stała półciężarówka. Światło z okien padało na ubitą ziemię wokół i na ułożony koło drzwi stos drewna.

Przez oświetlony fragment podwórka przebiegły dwa zjeżone psy; zbliżały się, ujadając.

Drzwi chaty otworzyły się i wyszedł z niej mężczyzna. Zagwizdał. Miał na sobie krótkie spodnie i niezasnurowane wojskowe buty.

- Cholera jasna, Billy! - zawołał. - Suzy, chodźcie tu!

Matt wtopił się znowu w las. Usłyszał, że psy szczekają od strony drogi.

Ich właściciel zagwizdał po raz drugi i usłuchały go. Kiedy wróciły, mieszka-

143

niec chaty rzucił jeszcze przekleństwo, po czym trzasnął drzwiami, chowając się w środku. Marquette ruszył dalej. '

Sam się dziwił, jak dużo widzi w lesie, pośród nocy. Z góry dochodziło słabe światło, rysując ciemne sylwetki drzew i krzaków na odrobinę jaśniejszym tle. Przy samej ziemi było jednak zupełnie czarno, tak że Matt bez przerwy się potykał, wpadając na ostre gałęzie krzaków i zaczepiając o leżące pnie.

W pewnym momencie dotarł do niego jakiś dźwięk. Przypominał krótki, stłumiony grzmot. Następnie rozległ się grzechot łańcuchów. Później pojawiło się wyraźne światło; dały się słyszeć pracujące z wysiłkiem silniki spalinowe, wyjące i cichnące na przemian, oraz zgrzyt pracującego metalu.

Okazało się, że odgłosy i światło dochodzą z zakładu wyrębu lasu.

Zajmował mniej więcej kilometr kwadratowy powierzchni oczyszczonej z drzew i pooranej ciągniętymi pniami, otoczonej zwieszonymi na słupach reflektorami. W środku znajdował się mały barak, stanowiący biuro zakładu, i ogromne stosy grubych pni, które zostały przyciągnięte przez

potężne traktory z miejsca wyřębu. Po terenie składu kręciły się dwie wielkie ładowarki szczypcowe. Zgarniały po kilka pni, podnosiły i ładowały je na długie platformy czekających w szeregu ciężarówek. Grzmot był odgłosem spadających na platformę pni drzew.

Matt kucnął w cieniu i przyjrzał się uważnie ciężarówkom. Dwie miały logo tartaku Iron Horse Mili z Easton. Pozostałe cztery należały do Cascade/ Pacific Lumber Company, mieszczącej się w Richmond Beach w Edmonds. Było to przedmieście Seattle. Kilku kierowców stało koło wielkich wozów i paliło, czekając na swoją kolej.

Marquette skupił uwagę na trzeciej z kolei ciężarówce. Była jak inne platformą, miała białą kabinę i czerwone logo firmy C/P. Matt ruszył, przeszedł skrajem lasu, przeciął drogę dojazdową i schował się w krzakach tuż koło załadowanych już ciężarówek, których kierowcy przymocowywali ładunek linami, żeby nie rozsypał się w trakcie jazdy. Szybko robiło się zimno; Matt zaczął drzeć. Tymczasem nadeszło dwóch kierowców. Stanęli w odległości dwudziestu metrów od niego i zaczęli się załatwiać. Sprzecjali się na temat jakiegoś faceta imieniem Trask. Jeden roześmiał się i rzucił:

- Powiedz mu, to skopie cię tak, że długo nie usiądziesz.

- Akurat! - odparł drugi. - Niechby tylko spróbował, grubas jeden. Niechby spróbował.

Zapięli rozporki i poszli.

Marquette patrzył na uwijające się ładowarki i powoli przemieszczający się szereg ciężarówek. Powietrze było teraz ostre, pachniało świeżymi trocinami, spalinami i rozgrzanym metalem.

Pierwsza z ciężarówek ruszyła na dobre i pojechała. Za nią- druga. W

końcu nadjechała trzecia. Zatrzymała się, a jej kierowca zaczął spinać cia-
144

sno stos pni linami, pomagając sobie stalowym prętem. Mężczyzna nosił waciak i kapelusz kowbojski. Mruczał coś pod nosem. Skończywszy, sprawdził liny jeszcze raz, podchodząc z prętem do każdej i uderzając, żeby usłyszeć, czy jest odpowiednio napięta.

Ruszył. Kabina drgnęła, sprzęg jęknął, obciążony ogromną masą pni, i wielki samochód zaczął się posuwać. Matt poczekał, aż platforma znajdzie się przed nim, rozejrzał się szybko i wstał. Zrobił parę kroków równoległe do ciężarówki, złapał za jedną z lin i wciągnął się na platformę.

Wybrał już zawczasu kryjówkę pomiędzy pniami. Jeden z nich wyginał się ku górze, tworząc podłużną wnękę. Matt dotarł do niej, wsadził tam torbę z kulą i sam wcisnął się w wolną przestrzeń. Mieścił się idealnie.

Potężne pnie stękały głęboko, niczym pękające drewniane kolumny. Były mokre od rosy, w której rozpuściły się drobiny trocin i błoto. Marquette leżał jednak bez ruchu. Czuł wibrację od silnika ciężarówki i kołysanie się platformy oraz lekkie zwolnienie, a potem szarpnięcie za każdym razem, kiedy kierowca wrzucał kolejno coraz wyższe biegi.

Wkrótce wjechali na szosę. Matt słuchał odgłosów pni i liny, stękającej i szumiącej pół metra od jego głowy. Ciężarówka z drzewem zmierzała wraz z pasażerem na gapę w stronę autostrady i dalej - ku Edmonds.

14

Dokładnie o osiemnastej dwadzieścia trzy Albert Kizzier zatrzymał samochód na parkingu motelu Travelodge, stojącego przy ulicy Dakota.

Wygląd budynku nawiązywał do stylu Dzikiego Zachodu - elewację zdobiły połówki pni, a recepcja miała kwadratowe okna, w których wisiały

plisowane zasłony.

Agent zgasił papierosa i wszedł do motelu. Za kontuarem siedziała nastoletnia recepcjonistka o twarzy naznaczonej bliznami po trądziku i czytała książkę. Na widok gościa wstała i uśmiechnęła się. Miała na sobie bardzo obcisłą koszulkę, pod którą wyraźnie rysowały się jej sutki.

-Dobry wieczór- powitała przybysza, przesuwając w jego kierunku książkę meldunkową.

- W którym pokoju mieszka Azevedo? - spytał Kizzier bez żadnych wstępów. - Joe Azevedo?

- Zaraz sprawdzimy... - mruknęła dziewczyna. - 14B.

- Dziecko, czy ten pan pyta o 14B? - zawołał ktoś z tylnego pokoju, z którego dochodziły odgłosy meczu koszykówki. Tego dnia grali Soniksi i Lakersi.

- Tak - potwierdziła recepcjonistka.

10-Oddech śmierci 145

- Zaczekaj chwilę. - Z pokoju wyszedł młody mężczyzna. Miał na sobie kraciastą, flanelową koszulkę, pod którą rysował się wielki brzuch. Kiedy nachylił się nad książką meldunkową, Al poczuł od niego zapach piwa.

- Czy pan Kizzier? - zapytał.

- Tak, Kizzier.

- Pan Azevedo zostawił dla pana wiadomość - poinformował pracownik motelu. - Powiedział, żeby pan pojechał do baru Antlers. Zadzwoń tam do pana.

Albert skinął w podziękowaniu głową.

- Jak dojechać do tego baru? - spytał. Mężczyzna wytłumaczył mu drogę i dodał:

- Zamawia pan pokój?

- Mogę dołączyć do Azevedo?

-Nie, mieszka w jedyńce.

- W takim razie zamawiam. - Kizzier podpisał się w książce i odwrócił ją. Mężczyzna sprawdził zapis i podał mu klucz na czerwonym plastikowym kółku.

- To na końcu tamtego korytarza. Może być?

- Wszystko mi jedno - przyznał Albert.

Dwadzieścia minut później wkroczył do baru Antlers. Było pełno ludzi, głównie robotników budowlanych w kombinezonach, którzy niedawno skończyli pracę. W kącie siedziała hałaśliwa grupa sześciu chłopaków o wyglądzie typowych studentów; pili piwo z dużych kuflów. Za barem uwijał się Sto-łowski, pocąc się w swojej niebieskiej bluzie z golfem.

- Witaj - odezwał się właściciel baru na widok Kizziera. - Co dzisiaj zamawiasz, chłopie?

- Ciemnego budweysera.

- Już leci.

Albert położył na ladzie pięciodolarówkę. Stolowski przyniósł mu piwo w zachęcająco oszronionym kuflu, zwieńczone miłą, cieniutką warstewką piany.

- Jesteś Alex, prawda? - zagadnął Kizzier. Właściciel uniósł brwi i spytał:

- Znamy się skądś?

- Pracuję z Jo-Jo.

- Jasne. Kizzier? - upewnił się Stolowski.

- Tak. - Mężczyźni podali sobie ręce. - Jo-Jo był dzisiaj? - spytał Albert.

-Nie, ale dzwonił już kilka razy. Myślał, że przyjedziesz wcześniej.

- Ja też... - skwitował Kizzier.

Dzień nie był dla niego łaskawy. Musiał zostać dłużej w Boise, a potem wysłuchać jeszcze kolejnego wykładu Williamsa na temat zachowywania ostrożności w Seattle. Kiedy w końcu zbliżał się do miasta, zjechał z auto-146

strady w Rotzville, żeby zatankować, i został tam zatrzymany przez jakiegoś zarozumiałego i upartego policjanta. Legitymacja agenta Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej nie zrobiła na miejskim glinie żadnego wrażenia. Wlepił Kizzierowi dotkliwy mandat za przekroczenie dozwolonej prędkości.

Teraz Albert siedział w barze, sącząc piwo i rozmawiając ze Stolowskim, kiedy ten był wolny. Poznał także Janet, która przywitała go stalowym spojrzeniem, a potem usilnie się starała, żeby możliwie najbardziej demonstracyjnie go ignorować. Po półgodzinie studenci zaczęli się zachowywać tak nieznośnie, że omal nie wdali się w bójkę z dwoma robotnikami. W końcu Alex, spoglądając zmrużonymi oczami na rozrabiającą szóstkę, powiedział:

- Chyba już tego starczy...

- Potrzebujesz pomocy? - zaofiarował się agent.

- Nie, ale dziękuję ci. - Właściciel mrugnął okiem i dodał: - Właściwie to nawet lubię kopać tyłki wygadanych chłoptasiów z college'u.

Po chwili zdołał wyprowadzić całą szóstkę bez użycia przemocy.

Przeklinali i gderali, ale wyszli.

Zaraz potem, o dziewiętnastej dwadzieścia pięć, zadzwonił telefon.

Odebrawszy go, Janet pokazała palcem na Kizziera i odeszła. Albert podniósł słuchawkę.

- Czemu jesteś tak późno? — odezwał się Jo-Jo.
- Długa historia. Jak leci?
- Tkwię przed „Krzyżem Celtyckim” i obserwuję idiotów, którzy tu przychodzą- poinformował Azevedo.
- I co, są w środku? - spytał Kizzier.
- Tak, siedzą od szóstej.
- Zaraz tam będę.
- Dobra.

Samochód Jo-Jo stał w pewnej odległości od skinowskiego klubu, obok lombardu chronionego stalowymi prętami w oknach i gęstą, drucianą kratą na zewnątrz drzwi. „Krzyż Celtycki” znajdował się przy przeciwległym rogu ulicy. Widać było świecące na zewnątrz kolorowe światła i splecione swastyki na czerwonych drzwiach.

Przy krawężniku stało kilka motocykli firmy Harley-Davidson o długich kierownicach w kształcie rogów antylopy i faszystowskich symbolach wymalowanych na zbiornikach. Na trzech z nich siedzieli skini w czarnych, skórzanych kurtkach ozdobionych łańcuchami. Podawali sobie butelkę whisky i popijali. Kawałek dalej stała długa, szara limuzyna z przyciemnianymi szybami i antenami CB-radia oraz telewizyjną.

Kizzier wsiadł do samochodu Jo-Jo. Azevedo jadł właśnie burrito. Skinął na kolegę i przeżuwał dalej.

- Sami są? - spytał Albert.

147

- Nie. - Jo-Jo przełknął i otarł usta grzbietem dłoni. - Przyjechali z parą dziwek wysokiej klasy. - Roześmiał się. - Najwyraźniej jeden z nich lubi korpulentne panienki.

Al przyjrzał się limuzynie. Akurat wysiadł z niej kierowca w liberii i zapalił papierosa.

- To prywatny wóz? - spytał Kizzier.

- Nie. Ma licencję klasy B.

- Cholera jasna; chciałbym tam wejść i zobaczyć, z kim siedzi to Szwabisko - stwierdził Albert. Azevedo parsknął.

- Gdybyśmy tam weszli, moglibyśmy równie dobrze przypiąć sobie odznaki.

- Ale w sumie nie sędzę, żeby odbywali w tej chwili ważne spotkanie

-ocenił Kizzier. - Nie mieliby wtedy ze sobą prostytutek.

Jo-Jo przytaknął.

Al westchnął i patrzył, jak jego partner wpycha sobie do ust końcówkę burrito.

- Fajnie to pachnie - zauważył. - Gdzie kupiłeś?

- W tamtą stronę jest Taco Bell - wyjaśnił Azevedo. - Jesteś głodny?

- Nie miałem nic w ustach, odkąd wyjechałem z Boise — pożalił się kolega.

- To idź i kup sobie coś - poradził Jo-Jo. - Mam przeczucie, że to będzie długa noc.

Wracając z Taco Bell, Kizzier wyjął ze swojego wozu torbę z bronią.

Rzucił ją na tylne siedzenie samochodu Azevedo i wsiadł z powrotem.

Telesco's było eleganckim lokalem koktajlowym - z kryształowych żyrandoli padało łagodne, rozproszone światło; stoliki znajdowały się w obitych czerwoną skórą wnekach; obsługiwały dwie piękne kelnerki ubrane jak dżokejki. Na podwyższeniu, przy pianinie, siedział wysoki, smukły Włoch i grał cicho tematy musicalowe.

Stone siedział tu już od ponad godziny. Pił czystą whisky, jedną szklaneczkę po drugiej, przyglądając się pozostałym gościom. Wszyscy wyglądali na biznesmenów czy prawników, rozluźniających się po dniu pełnym napięcia. Teraz byli w przyjaznych wobec siebie nastrojach, na chwilę przerywając walki na paragrafy. Tu i tam zdarzały się kobiety, bardzo eleganckie pomimo nieco pogniecionych już o tej porze kostiumów.

Grady pojawił się dopiero po wpół do ósmej. Przeszedł przez salę, meandrując pomiędzy stolikami i klepiąc niektórych gości po ramionach gestem przyjaźni właściwym uczestnikom wiejskiej potańcówki w stodole. Niektórzy z mężczyzn odpowiadali mu kamiennymi spojrzeniami.

148

Jack machnął ręką i adwokat pospieszył do jego stolika. Położył teczkę na blacie i usiadł.

- Co ci, cholera, zajęło tyle czasu, człowieku?! — warknął na powitanie Stone.

- Miałem mały problem w sądzie - usprawiedliwił się John Wayne.

Uśmiechnął się szeroko do przybyłej natychmiast kelnerki.

- Dobry wieczór panu, panie Grady - powiedziała. Miała piękne usta i jasne włosy, upięte pod toczkiem.

- Cześć, Monica - odparł niedbale adwokat.

- To co zwykle? - spytała.

- Oczywiście. I dla niego drugą.

Kelnerka odeszła. Stone otworzył usta, ale prawnik uniósł ostrzegawczo dłoń - dziewczyna już wróciła z drinkami. Grady najwyraźniej lubił margaritę. Kiedy tylko zostali sami, John Wayne nachylił się i powiedział:

- Dobra, Stone. Powiedz mi teraz, co się, do cholery, stało.

Jack opowiedział, przekazując wszystko, co usłyszał z radia - o strzelaninie, o katastrofie helikoptera, a zwłaszcza o tym, że nieznany mężczyzna, podejrzany o udział w tych wydarzeniach, wskoczył do pociągu jadącego na zachód.

Adwokat słuchał, sącząc drinka. W jego przyciemnianych okularach odbijało się światło jednej z elektrycznych, kryształowych świec; wyglądało to, jakby w prawym oku płonął mu mały, żywy ognik.

Kiedy Stone skończył, Grady skwitował:

-A więc myślisz, że kieruje się do Seattle?

-A gdzie indziej miałby jechać? Grady syknął i skomentował:

- To twoje uboczne zajęcie, kolego, wpakowało nas w niezłe gówno.

- Powiedziałem ci, że się tym zajmę - uspokoił Jack.

-A co będzie, jak policja złapie Marquette'a, a on zacznie wciągać mnie w to wszystko? - zapytał Grady.

- Nie złapie go policja.

- Och, taki jesteś pewny?

- Jestem. Marquette jest zbyt bystry, żeby teraz dać się zwyczajnie złapać - ocenił Stone.

John Wayne przyjrzał- mu się uważnie. Rozmawiali do tej pory twarzą w twarz, ale teraz adwokat cofnął się trochę. Czuć było wyraźnie, że Stone sporo wypił.

- Czy nie wpadło ci czasem do głowy, że ten chłopak dodał dwa do dwóch i teraz wybrał się, żeby odnaleźć mnie? - zauważył prawnik.

- Mam nadzieję, że skurwysyn chce to zrobić - przyznał Stone. - W ten sposób bardzo ułatwi mi sprawę.

- Nie podoba mi się to, co mówisz... - skomentował Grady.

149

- Jeśli się pokaże, trzymaj się po prostu mnie - odparł Jack.

- Oczywiście, muszę zdążyć, zanim przedziurawi mnie kilkoma kulami...

Stone parsknął.

- Słuchaj, przecież masz nieliczne gadanie. Przekonaj go - skwitował. John Wayne popatrzył na niego po raz kolejny.

- Wiesz co, Stone - sapnął - zaczyna mi się wydawać, że jesteś raczej głupim i do tego niebezpiecznym człowiekiem.

Jack usłyszał tę zniewagę aż zbyt wyraźnie. Rzucił się naprzód i warknął:

- Posłuchaj, ty kupo końskiego nawozu! Jeśli rzucisz jeszcze raz podobny tekst, wybije twoim łbem dziurę w tej ścianie...!

Grady cofnął się, wystraszony gwałtownością rozmówcy. Poczul, że ogarnia go strach przed fizycznym zagrożeniem ze strony Stone'a.

Odwrócił się. Kelnerka zobaczyła, że patrzy akurat w jej stronę, i zaczęła podchodzić. Adwokat powstrzymał ją jednak niecierpliwym ruchem ręki.

- Chcę dostać adres i telefon, spod którego dzwonił - oznajmił Jack.

-Natychmiast. Powiedz temu, kto się tym zajmie, żeby zrobił to w tej chwili.

John Wayne westchnął i przyciągnął do siebie teczkę. Otworzył ją. W środku znajdowały się dokumenty sądowe, laptop z modemem i wysłużony telefon komórkowy. Adwokat szybko przyłączył telefon do modemu i wystukał numer do własnego biura. Chwilę później przeglądał komputerową listę swoich rozmów.

Zanotował coś na kartce i wyłączył laptop. Odczepił od niego telefon i wystukał inny numer. Po kilku sekundach powiedział:

- Grady. Jestem pod swoją komórką. - Rozłączył się. Dwaj mężczyźni czekali. Jack zamówił jeszcze jedną kolejkę. Pianista zaczął „The Way We Were”, dodając mnóstwo tęsknych ozdobników. John Wayne siedział sztywno. W końcu się odezwał:

- Zastanawiam się. Może lepiej odłożymy na razie sprawę Kecka. Rozwiąż najpierw nasze kłopoty z Marquette'em.

- Mowy nie ma - odparł Stone. - Tak jak sam powiedziałaś, natychmiast wyjedzie.

Grady wzruszył ramionami.

- To co? A niech wyjedzie. Jeśli to robi, możemy umówić się na nowo z kimś innym, nawet na niższym szczeblu. - Spojrzał nachmurzony na otaczających ich ludzi i zauważył: - Co będzie, jeżeli się okaże, że Marquette dzwonił do mnie z automatu? Nie będziemy dysponowali niczym.

- Przeczuwam, że zadzwonił od jakiegoś przyjaciela czy przyjaciółki - stwierdził Jack.

- A ja przeczuwam, że cała sprawa może runąć nam na łby - przyznał adwokat. - Cholera jasna, mamy czas tylko do dziesiątej rano. To naprawdę zaraz.

- Nie przejmuj się, mówię ci.

Telefon komórkowy Grady'ego odezwał się cichutko. Prawnik odebrał.

150

- Grady... Tak, chodzi o jak najszybsze wyśledzenie... - Odczytał ze swoich notatek datę i godzinę rozmowy z Marquette'em. - Ktoś na pewno będzie u mnie w biurze — zakończył.

- Ile to zajmie? - chciał się dowiedzieć Stone.

- Dwie, może trzy godziny.

- Cholera jasna!

- Ten człowiek natychmiast bierze się do roboty. To po prostu tyle trwa.

- John Wayne sięgnął do kieszonki teczki i wyjął klucz, który położył na stole. - To klucz do mojego biura - oznajmił. - Umówiłem się na wieczorny obiad. To ważne spotkanie, którego nie mogę odwołać.

Jack dokończył drinka i wstał.

- Zaraz - odezwał się Grady. - Jak się z tobą skontaktuję?

- Daj mi jakąś kartkę - burknął Stone.

Adwokat podał mu. Jack napisał numer swojego telefonu komórkowego.

John Wayne przyjrzał mu się, wrzucił do teczki i zatrzasnął ją.

Podniósł wzrok, tym razem nie uciekając przed spojrzeniem rozmówcy.

- Słuchaj, Stone - powiedział - chciałbym ustalić jedną rzecz. Nic, ale to absolutnie nic nie może się zdarzyć w mojej obecności. Zrozumiano?

- Nie lubisz brudzić sobie rąk, co? - zadrwił Jack.

- A żebyś wiedział. Stone parsknął z pogardą.

- Nie pękaj, „Dwa Pistolety” - rzucił. Uśmiechnął się jeszcze pogardliwie i dodał: - Miłego spotkania przy wieczornym obiedzie... - Odwrócił się na pięcie i wyszedł, podczas gdy pianista skończył „The Way We Were” i łagodnie przeszedł w „One for My Baby”.

Marquette karmił się wewnętrznym optymizmem, nieskonkretyzowaną nadzieją, że wszystko będzie dobrze. Znał to uczucie z przeszłości - tę pewność, która wypełniała go niczym świeża krew.

Leżał sobie w drewnianej grocie i patrzył w mijaną ciemność. Ciężarówka wjeżdżała coraz wyżej i wyżej. Odgłos silnika odbijał się od ścian lasu.

Około wpół do dziesiątej wieczorem zaczęło padać. Do deszczu szybko

dołączył śnieg. Zimne krople kapały z pni na plecy Marta. Stalowe liny na zewnątrz szumiały niczym wanty małego jachtu. Wkrótce najbliższa lina pokryła się lodem i napięła mocniej; Marquette słyszał, jak wbija się w korę pnia. Od czasu do czasu oderwane wirami powietrza kawałeczki lodu uderzały Marta w twarz i lewą dłoń. Kłuły niczym małe uderzenia prądu. Pomimo zimna samotny pasażer na gapę zrobił się senny. Czuł, jak sztywnieje ze zmęczenia. Zamknął oczy i pozwolił myślom szybować. Powoli pojawiła się w jego wyobraźni twarz Kelli. Pocałował ją, poczuł, jak i ona dotyka ustami jego policzka lekko jak motyl. Przesunął dłońmi po

151

jej ciele, a ona rozebrała się szybko. Nie kochali się jednak. Położył się tylko, przytulił ją i tak trzymał, czując ciepły kształt jej ciała pachnący leciutko jaśminem. I zasnął.

Kelli zniknęła.

Matt płynął w głębokiej, całkowicie czarnej wodzie. Napierała na niego. Prąd był dość silny. Dotarł do dna -jego ręka zanurzyła się w miękkim piasku. Zatrzymał się i spojrzał na jarzący się odrobinę kompas. Jeszcze trzy metry.

Przewód łączności znajdował się w otulinie, która chroniła go przed opadaniem na dno. Wokół palców Marquette 'a ciągnęły się smugi wodorostów niczym goniące go węże. Szybko założył przyniesiony ze sobą ładunek C-4 UDE i wcisnął jego zegar. Z małego, metalowego pudełeczka zaczęło nagle rozlegać się w ciemności głośne tykanie. Rzucił się w tył i uciekał, płynąc jak najszybciej, podczas gdy tykanie stawało się coraz szybsze, aż przeszło w szum...

Otworzył oczy. Ciężarówka zatrzymała się. Matt zeszywniał i nasłuchiwał. Szum odezwał się znowu - to jedna z lin przytrzymujących ładunek została uderzona. Marquette wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył w dole przeświecający z drugiej strony platformy snop światła latarki. Nagle przemknął obok jakiś samochód; opony syczały na mokrej jezdni; reflektory pojawiły się niespodziewanie i znikły, a z nimi szum wiatru. Kierowca ciężarówki przeszedł tymczasem na stronę Marta; słychać było jego buty chrzęszczące po lodzie. Sprawdzał liny i przesuwiał snopem światła po ładunku. Przejechał i po wnęce Marquette'a, sunął dalej, ale nagle wrócił. W końcu przeszedł na tył i po minucie wsiadł z powrotem do kabiny.

Matt usłyszał, jak trzaskają drzwi szoferki. Odetchnął.

Kierowca siedział przez chwilę w milczeniu, ogrzewając się. Z radia dolatywał śpiew Reby McEntire. Zapalił papierosa, wyłączył odbiornik i podniósł mikrofon swojego CB-radio firmy Motorola-Nextel.

- Sześć-zero-trzy do „Szefa” - odezwał się, wywołując swoją centralę.

Rozległy się trzaski, a potem odpowiedź.

- Tu „Szef, słucham cię - odparł dyspozytor.

- Słuchaj, Steve, mam pasażera na gapę- poinformował kierowca.

-Schował się pomiędzy pniami.

- Stary, pogoń tego skurwysyna, niech spada.

- Ty, nie wiem. To może być ten koleś, którego szukają gliny. Jeżeli tak, to jest uzbrojony po zęby. Nie chcę z nim zadzierać.

- To zatrzymaj jakiś patrol - poradził „Szef.

- Nie chcę, będą mnie wypytywać na komendzie przez parę godzin.

Szkoda czasu. Słuchaj, przywiozę tego faceta do bazy. Na razie nie

zawiadamiaj jeszcze policji, ale postaraj się, żeby czekali w bazie, kiedy tam dojadę.

152

- A kiedy będziesz?

- O wpół do pierwszej, może za piętnaście pierwsza.

- Dobra. Ty, John, uważaj - ostrzegł troskliwie dyspozytor. - „Szef się rozłącza.

- Sześć-zero-trzy się rozłącza.

John siedział dalej, zapaliwszy papierosa. Doszedł do wniosku, że uciekinier musiał dostać się do ciężarówki w obrębie tartaku. No tak.

Kierowca słuchał po południu komunikatów nadawanych regularnie przez policję i słyszał coś o pociągu przeszukiwanym w Roslyn. Jasne, to musi być ten zbieg, pomyślał. Wyśliznął się policji z rąk.

Zgasił papierosa i znowu włączył radio. Reba McEntire śpiewała dalej.

Wrzucił bieg i ruszył. Przyspieszał szybko, wciskając pedał niemal do deski. Czuł mrowienie w plecach. Poganiała go nieprzyjemna świadomość, że pięć metrów za jego plecami tkwi zdecydowany na wszystko morderca.

Telefon odezwał się o dwudziestej trzeciej zero trzy.

Stone zdążył do tego czasu obejść biuro Grady'ego chyba ze sto razy, sącząc w międzyczasie whisky z jednej z piersiówek, w jakie wyposażony był pokój adwokata. Czuł się podobnie jak na amfetaminie - każdy jego nerw był napięty, adrenalina pobudzała go do nieustannego działania. Zdawała się pożerać whisky niczym ogień; Jack nie czuł nawet odrobiny ocieężałości.

Kiedy więc telefon zadzwonił wreszcie, Stone pobiegł do niego i podniósł

słuchawkę.

- Tak? - rzucił.

- Pickett, Kelli... 3524 Westlake Drive - powiedział bez żadnych wstępów męski głos. Jack zanotował.

- Gdzie to jest? - spytał, ale rozmówca rozłączył się.

- W morde! - warknął na głos Stone, zdenerwowany. Rozejrzał się za planem miasta, ale nic takiego nie leżało na wierzchu. Spróbował poszukać w szufladach, lecz wszystkie były zamknięte. Wpadł na pomysł i zadzwonił do informacji.

- Słucham, o jakie miasto chodzi? - odezwała się operatorka.

- O Seattle. Czy nie wie pani przypadkiem, gdzie jest ulica Westlake Drive?

- Westlake Drive? Pewnie, że wiem. Ciągnie się wzdłuż zachodniego brzegu jeziora Union.

- Dziękuję. - Zaczął odkładać słuchawkę.

- Czy interesuje pana konkretny numer? - zaofiarowała się kobieta.

- Nie, nie, to mi wystarczy.

Rozłączył się. 3524 Westlake Drive. Nad brzegiem jeziora. A może to łódź mieszkalna? No jasne, to by pasowało na kryjówkę Marquette'a.

153

Dopił do końca piersiówkę, położył na środku biurka klucz Grady'ego i ruszył do wyjścia.

15

Kelli

li była w dziwnym stanie - czuła skurcz w żołądku, a w jej wyobraźni ciągle pojawiały się obrazy walących się domów i ruin, znad których unosi

się pył. Sama wprowadziła się w ten stan, pracując nad rozwiązaniem zagadki kuli Matta.

Wcześniej przeważało uczucie złości na Gilhammera. Specjalnie zwlekał z puszczaniem ludzi do domu, aż zrobiło się dobrze po ósmej. Zupełnie jakby był małym chłopcem, który chce pokazać, że nikt nie przeszkodzi mu w zabawie. To nie było podobne do Troya. Kelli zdała więc sobie sprawę z tego, że musiała rozszerzyć go ponad wszelkie granice, i zrobiło jej się z tego powodu głupio.

Przez cały wieczór, zmęczona brakiem snu i długotrwałym napięciem, sprawdzała swoją domową sekretarkę, żeby sprawdzić, czy nie ma żadnych wiadomości od Matta. Wciąż nie było. W jakiś paradoksalny sposób fakt ten podtrzymywał ją ducha. Pomyślała sobie, że gdyby zdarzyło się coś strasznego, z pewnością już by o tym do tej pory usłyszała. Uczepiła się więc tej myśli kurczowo.

Kiedy wreszcie znalazła się sama, zaczęła przygotowywać Platformę Sztucznej Inteligencji, za pomocą której zamierzała dokonać przeszukiwania. Najwięcej czasu zajęło jej stworzenie programu narzędziowego i włączenie do niego jak największej ilości danych kuli - schematów, wymiarów, znanych sobie materiałów - tak, aby dopasować je wszystkie do języka systemu logiki rozmytej, zwanego PRUF. Trwało to trzy godziny.

Można powiedzieć, że logika rozmyta zajmowała się obszarami pośrednimi pomiędzy stanami pewnymi. Za jej pomocą można było określić konkretną „istotę” danej rzeczy. Przypominało to analizowanie echa. Zgodnie z teorią zbiorów logiki rozmytej echo przedmiotu nigdy nie występowało w stanie „wyrazistym”. Było jak gdyby czymś pomiędzy

ciszą a hałasem. Leżało gdzieś między jednym a drugim na skali, zwanej linią C.

Kiedy już określiło się jego położenie na linii C, uruchamiana była druga faza przeszukiwania za pomocą Platformy. Teoretyczna transformacja zwana była Maszyną Wnioskowania Prawdopodobieństwa Bayesowskiego. Komputer analizował wszystkie możliwe źródła powstania „echa” i w ten sposób mógł uzyskać konkretne rozwiązanie.

154

Przypominało to szukanie dźwięku, kiedy dysponuje się jego echem, przejście od cienia do przedmiotu, od skutku do przyczyny.

Kiedy już Kelli zdoła określić „istotę” kuli, program prawdopodobieństwa bayesowskiego mógł wydedukować jej przeznaczenie, cel, w którym została skonstruowana.

Na to przynajmniej Pickett miała nadzieję.

Kiedy wszystko zostało przygotowane, była już prawie północ. Kelli bała się uruchomić przeszukiwanie - poszła do łazienki, wstawiła kawę.

Czekając na nią, wyszła na korytarz wypalić ostatniego papierosa z paczki.

Stała i nasłuchiwała panującej wokół ciszy. Wielki gmach wydawał się złowieszczo ogromny i zimny niczym pusty kościół po pogrzebie.

Wróciwszy do komputera, Pickett uruchomiła program.

Mimo że laboratorium wyposażone było w najnowsze Tera-FLOP-y o niewiarygodnej wręcz mocy obliczeniowej i możliwości przetwarzania równoległego, przeszukiwanie zajęło aż dwadzieścia dwie minuty.

Procesory musiały wykonać biliony prostych operacji logicznych.

Podczas gdy komputery pracowały, Kelli przemieszczała się z krzesłem pomiędzy ekranami, obserwując zmieniające się na nich dane systemowe.

W końcu odezwał się brzęczyk głównego komputera. Pickett nachyliła się nad monitorem. Pojawił się na nim ostateczny wniosek z wprowadzonych danych. Szybko przełożyła z powrotem język systemu na zwykły angielski.

Popatrzyła na ekran i zamarła. Znow poczuła jakby materialny chłód. Jej obawy nie były bezzasadne. Kula okazała się bombą czy przynajmniej częścią bomby. Program nie zdołał, niestety, całkowicie tego określić.

Przedstawił jednak trzy możliwości:

BPIE-1XXXKL-

SCCOfl: BPIE-,?XXXKK.

SSCON: BPIE-3-XXXKJ.

BOCJBR BIOLOGICZnfl DO SKRŻEMIf?

uooY LUB ŹRODŁP, ZRORB-u zyunosć

BODBR DO ZNISZCZEMIfł SZCZEGÓLNEGO OBIEKTU.

UyKORZy5TUIJfl.Cfl NIEOKRESLOny GfłZ

ZŁOzony ZESTRU zflpflLiuKfl DUŻEJ BOCJBy O BflRDZO

ZKRCZNEJ SKRL! RRŻENIR 1 rflEOKRESLOflyn PRZ-EZDRCZENIU

Kelli wstała i ze spuszczoną głową zaczęła chodzić w tę i z powrotem po sali. W jej umyśle kołatało się jedno straszne słowo: węglik. Była pewna, że jest ono kluczem do rozwiązania przerażającej zagadki. Dane, jakimi dysponowała, okazały się niewystarczające. Brakowało jakiegoś zasadniczego elementu. Ale jakiego?

155

Przejrzała jeszcze raz wprowadzone dane, koncentrując się przede wszystkim na tym, co napisała o węgliku. Pospiesznie weszła do elektronicznej wersji biblioteki wydziału medycznego uniwersytetu i

ściągnęła wszystkie teksty dotyczące tej straszliwej choroby. Wprowadziła je do zestawu danych programu przeszukującego, a następnie uruchomiła go po raz drugi.

Wyniki były dokładnie takie same, jak poprzednio.

Na przełęczy było bardzo zimno; sypał śnieg, który wpadał wraz z podmuchami wiatru do kryjówki Marquette'a. Wkrótce jednak ciężarówka zaczęła zjeżdżać w dół. Sunęła przez odcinki pokryte mgłą, miejscami tak gęstą, że nie było widać ściany lasu, który ciągnął się wzdłuż drogi z obu stron.

Platforma z drzewem minęła North Bend, potem Issaquah i dotarła do przedmieść Bellewe. Kierowca przejechał wzdłuż południowego krańca jeziora Washington i skręcił na północ, w autostradę 1-5. Niebo było w tym rejonie zachmurzone; powietrze dolatujące z nad cieśniny było cieplejsze od górskiego. Nad miastem wisiała jednak nieznaczna mgła. Kilka minut później kierowca wjechał na dwupoziomowe skrzyżowanie. Obciążona wielkimi pniami ciężarówka zwolniła niemal do zera, pełznąc po podjeździe. Przejechała pod autostradą i skierowała się na zachód. Zanim zaczęła znowu nabierać prędkości, Marquette wysunął się z kryjówki, przy- | \ kucnął na krawędzi platformy i zeskoczył na jezdnię. Przeszedł dwie przecznice do Pierwszej Alei, a potem poszedł Corliss. Na rogu ulic znajdowało się ogromne centrum handlowe. W nocy było oczywiście zamknięte, ale oświetlały je latarnie i reflektory. Mgła powodowała, że wokół świecących punktów tworzyły się jasne aureole. Po pustym parkingu jeździło na deskorolkach kilku nastolatków. Byli ubrani w ciemne, workowate stroje i czapeczki bejsbolowe odwrócone tyłem "" do przodu. Słysząc było świst kółek na betonie. Prześcigali się

w popisowych numerach i rzucali wyzywające spojrzenia Mattowi, który przeszedł przez płytę parkingu do budki telefonicznej, ustawionej w pobliżu wejścia do centrum.

W budce czuć było wyraźnie zapach marihuany. Marquette zadzwonił do Kelli, do jej domu na łodzi. Po czterech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Głos Pickett powiedział:

„Cześć, tu Kell. W tej chwili nie ma mnie w domu. Proszę zostawić wiadomość po usłyszeniu sygnału. Oddzwonię. Cześć”.

- Wróciłem - powiedział Mart. - Jest cztery po pierwszej w nocy. Będę za dwadzieścia minut. - Odwiesił słuchawkę.

Gdzie ona może być? - pomyślał. Na chwilę ogarnęło go przerażenie. Czy zdołali jakimś cudem ją dopaść... ? Nie, Kelli na pewno siedzi w laboratorium. ..! Nie mógł tam jednak zadzwonić, bo nie znał na pamięć numeru.

156

Wykręcił numer informacji telefonicznej, gdzie podano mu telefon centrali uniwersytetu. Zaspana dziewczyna, która tam odebrała, powiedziała mu jednak, że nie wolno jej podawać numerów laboratoriów naukowo-badawczych.

Matt wrócił więc przez parking na Sto Osiemdziesiątą Piątą Ulicę. Nie odczuwał już euforii, tylko przytłumione zmęczeniem nerwowe podniecenie.

Przed barem o wdzięcznej nazwie Gruba Baba znajdującym się przy Drugiej Alei stała taksówka. Marquette podszedł do niej, otworzył drzwi i usiadł na zniszczonym fotelu obok kierowcy.

Taksówkarz słuchał muzyki, zamknąwszy oczy i mlaskając w rytm

dobrywających się z głośnika dźwięków. Był korpulentnym Meksykaninem o gęstych jak szczotka wąsach. Nosił rogowe okulary, które nadawały mu wygląd człowieka wykształconego.

Przyjrzał się uważnie ubraniu Matta i pociągnął nosem. Dawno już wyschnięta krew kowboja zaczęła się rozkładać i pachniała teraz mniej więcej tak jak beczka starego łożu.

- Człowieku, cholera jasna, ale śmierdzisz - odezwał się kierowca.

Marquette nie odpowiadał jednak, tylko oparł głowę na zagłówku i zamknął oczy.

- No, to dokąd chcesz jechać? - spytał kierowca.

Matt zdecydował, że zajrzy na uniwersytet, a dopiero potem pojedzie do łodzi Kelli. Teraz zawahał się jednak. Czy policja może kontrolować miejskie taksówki? Pokręcił głową - chyba dostawał paranoi. Zachowuje się, jakby był bohaterem filmu „Ścigany”. Ale mimo wszystko bezpieczniej było nie ryzykować niepotrzebnie.

- Na skrzyżowanie Czterdziestej Piątej i Latona - powiedział, wybierając punkt położony o sześć przecznic od znajdującego się w centrum uniwersytetu.

Taksówkarz uruchomił licznik. Jeszcze raz spojrzął na Marquette'a z niechęcią i mruknął:

- Zasmrodzisz mi całą taksówkę, jasny gwint...

Głos Marquette'a rozbrzmiewał w ciszy salonu Pickett. „Wróciłem. Jest cztery po pierwszej w nocy. Będę za dwadzieścia minut”. Pstryk.

Brzmiał bezbarwnie. Z ciemności wysunęła się ręka, wciskając guzik powtórzenia nagrania. Rozległ się kolejny pstryk, odgłos przesuwającej się taśmy i te same słowa, co przed chwilą.

Jack Stone uśmiechnął się i szepnął z triumfem:

- Udało się!

Wstał i zaczął chodzić po wielkim pokoju. Ledwie mógł się powstrzymać przed głośnym wyrażeniem radości. Ten kretyń sam pcha mu się prosto w ręce! I będzie tu już za dwadzieścia minut!

157

Jack nie miał specjalnych trudności z odnalezieniem łodzi mieszkalnej Pickett. Po prostu jechał powoli aleją Westlake i świecił latarką po numerach na skrzynkach pocztowych.

Zaparkował koło maleńkiej plaży przecnicę dalej i wrócił piechotą. Postąpił chwilę w cieniu, żeby upewnić się, że w pobliżu nikogo nie ma. Następnie szybko przebiegł do wejścia. Tłumiąc hałas kurtką, wyłamał jeden z paneli drzwi i odsunął od środka zasuwkę. Wszedł.

Zastanawiał się teraz, kim może być Kelli Pickett. Wygląd mieszkania świadczył o tym, że nie ma męża ani dzieci. Mieszkała sama i musiała być dziewczyną Marquette'a. Ile wiedziała? Skoro Marquette dzwonił do Grady'ego od niej, wiedziała wszystko to, co on wiedział. Znaczyło to, że także i ją być może Jack będzie musiał zabić.

W świetle latarki dostrzegł nowoczesny sprzęt komputerowy bardzo wysokiej mocy. Ta dziewczyna nie jest amatorką, pomyślał. Musiała być programistką, a może nawet naukowcem, prowadzącym złożone badania z użyciem komputerów.

Stone zobaczył stojące pomiędzy pucharami za najwyższe miejsca w zawodach pływackich fotografie właścicielki łodzi. Przyjrzał się jej twarzy i figurze. Niezła laska. Trzeba przyznać, że Marquette ma dobry gust, jeśli chodzi o kobiety. Po chwili zobaczył zdjęcie samego szypra, opierającego

się o sterówkę swojego kutra i uśmiechającego do obiektywu.

Jack gapił się na fotografię, nie mogąc oderwać wzroku od oczu mężczyzny. Zawsze trudno mu było kogoś zabić, kiedy popatrzył mu w oczy. Jak gdyby kryło się tam ludzkie życie. Jednak teraz Stone nie miał żadnych oporów. Czuł, że zabicie Marquette'a sprawi mu przyjemność; i jeszcze coś -spowoduje szczególne napięcie, tak dobrze znane mu z przeszłości.

Tym razem bowiem zabije za Gusa. I aby odzyskać kulę, czego już od wielu, wielu godzin pragnął znacznie silniej niż jakiejś zemsty czy też wyładowania wściekłości. Znajdująca się w rękach Marquette'a kula stała się teraz dla Jacka obiektem tak silnego pożądania, jak kiedyś, dawno temu, piękny kasztan, ogier z zagrody w Red Elm.

Stone wyszedł na werandę czy też pomost łodzi i sprawdził, czy jest wejście od strony wody. Nie było. Marquette będzie zatem wchodził przez frontowe drzwi. I tam właśnie Jack go zastrzeli, zanim skurwysyn zorientuje się i ucieknie.

Stone przyjrzał się olbrzymiej łodzi mieszkalnej cumującej po sąsiedzku. Nasłuchiwał. Było tam jednak cicho i ciemno, tylko od strony jeziora paliło się pojedyncze, zielone światło.

Wrócił na werandę Pickett i wciągnął w płuca powietrze. Było zimne i orzeźwiające. W odległości kilku metrów stał mały jacht, jego cumy stękały cicho. Nad czarną taflą jeziora unosiła się lekka mgiełka, jak gdyby akwen parował.

158

Jack wszedł do domu i zbadał jego pozostałą część. W sypialni pachniało kobietą-jakby ciepłym mlekiem albo perfumowanym jedwabiem. W

łazience światło latarki Stone'a rozblysnęło rozproszonym słońcem w miedzianej wannie.

Na moment wyobraził sobie piękną dziewczynę ze zdjęcia, jak wychodzi z tej wanny, naga i mokra, smukła i pełna gracji, niczym łania wstająca z łąki pełnej rosy. Obraz zmienił się- teraz w jej brzuch uderzały jedna po drugiej kule, zostawiając czerwone otwory. To wyobrażenie było niesmaczne, odpychające, co zdziwiło Jacka.

Poszedł znów do sypialni i usiadł na łóżku. Zgasił latarkę i teraz jedynym światłem w pokoju były jarzące się małe cyfry zegara. Siedział chwilę bez ruchu. Poczł delikatne poruszanie się podłogi - łódź kołysała się lekko na falach.

Sprawdził swojego ingrama P-II. Zaczł bawić się zamkiem broni, słuchając jego metalicznych szczęków. W końcu przestał; zamknł oczy i nadstawił uszu, żeby usłyszeć kroki.

W sypialni Johna Dwa Łosie kwadrans po pierwszej w nocy zadzwonił telefon. Odebrała żona detektywa, Tusi.

- Halo? - burknęła. - Kto...? - Oblizła wyschnięte usta i podała mężowi telefon. - Policja z Seattle - poinformowała.

Tusi była Samoanką. Dwa Łosie poznał ją w Honolulu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku, kiedy grał w lidze futbolowej w Pro Bowl. Była wtedy tancerką w samońskiej trupie, prześliczną dziewczyną o psotnym wyglądzie i sposobie bycia. Po urodzeniu czworga dzieci jej ciało koloru masła orzechowego stało się pulchne, co nie przeszkadzało Johnowi bardzo ją kochać.

- Słucham? - odezwał się, siadając na łóżku.

- John? Mówi Stu Walters. Przepraszam, że cię budzę, ale mam

wiadomość, być może o Marquette.

-Mów.

- Około piętnastu minut temu policja z Edmonds odebrała telefon od firmy zajmującej się wyrębem drzewa Cascade/Pacific. Jeden z ich kierowców, który wjeżdżał właśnie do Edmonds, miał na platformie z drewnem pasażera na gapę. Zanim dojechał do bazy, włóczęga wyskoczył. Jednak słuchaj: kierowca jest niemal pewien, że jego gość dostał się na ciężarówkę w składzie drewna w lesie koło Roslyn.

- Roslyn - powtórzył porucznik. - To musi być Marquette.

-Tak samo i ja pomyślałem. Kierowca powiedział, że cały czas jechał autostradą, dopiero na przedmieściach Edmonds skręcił w Sto Osiemdziesiątą Piątą. Marquette musiał więc wyskoczyć gdzieś tam.

- Podał rysopis włóczęgi?

159

- Nie, zobaczył go tylko przez chwile, w świetle latarki. Powiedział, że mężczyzna miał na sobie kurtkę przypominającą strój listonosza. Edmonds' zaalarmowało patrole. W tej chwili wypytują miejscowych taksówkarzy.

- Szykuj się. Mam przeczucie, że wkrótce zdarzy się coś dużego — poradził John.

- Też się tego spodziewam - odparł Walters.

- Już przyjeżdżam.

- Dobra. To na razie. Tusi zapytała:

- Co, znowu wychodzisz?

-Tak...

Dwa Łosie ubrał się szybko. Tusi obróciła się na drugi bok, mrucząc coś

do siebie. Kiedy był już gotowy, nachylił się i pocałował żonę w policzek.

- Może nie być mnie przez parę dni, mamusiu - powiedział.

- Bęc! - odparła tylko.

Wysiadłszy z taksówki, Matt ruszył szybko ulicą Roosevelta, a potem skręcił w lewo, w Czterdziestą Drugą. Wiedział, że firma ochroniarska pilnuje uniwersytetu od tej strony przy bramach numer jeden i pięć.

Dlatego pójdzie aż do małej, obrotowej bramki wejściowej przy Kitsip Lane, zaraz koło uczelnianego muzeum.

Mgła gęstniała, wypełniając ulice i zwilżając asfalt, który błyszczał w świetle latarni. Po pewnym czasie dał się słyszeć odległy szum dochodzący z autostrady 1-5. Odezwała się przeciągle syrena statku.

Marquette dostał się na teren uniwersytetu i przeszedł przez ogromny, pusty parking zwany Central Plaza Garage. Przeciął Grant Lane, a w końcu przeszedł Drumheller Quad i dotarł do Guggenheim Hali, gdzie pracowała Kelli. Potężne drzwi gmachu nie były zamknięte na klucz. Wszedł i ruszył po schodach. Jego buty skrzypiały na wypastowanej podłodze. W laboratorium, gdzie pracowano nad projektem „Kryształowa kula”, świeciły się wszystkie światła.

Wkroczył cicho do sali, gdzie siedziała Kelli. Podniosła wzrok, przestraszona, że ktoś jest koło niej. Potem otworzyła powoli usta i patrzyła na niego.

W końcu wstała - właściwie wyskoczyła z fotela - podbiegła do Marquette[^] i objęła go mocno. Stali tak bez słowa, tuląc się do siebie.

W końcu Mart uśmiechnął się i powiedział po prostu:

- Cześć!

Kelli miała łzy w oczach. Nie puszczała go.

- Boże, myślałam, że cię zabili! - szepnęła.
- Mało brakowało - przyznał Marquette.
- Co tam się stało? Dlaczego nie...? - Pickett urwała, zaniepokojona stanem jego ubrania. - Czy to krew? Jesteś ranny...!

* 160

- Nie, to nie moja krew...
- Matt, co się stało...?!
- To dłuższa historia. - Marquette zauważył ekspres. - Przydałby mi się kubek kawy - powiedział.

Kelli nalala mu pachnącego napoju. Trzymając kubek w ręku, Matt podszedł do jednego z biurek i położył na nim swoją torbę. Oparł się o blat i pił.

Pickett przyglądała mu się przez chwilę, a potem spuściła wzrok na torbę.

- Ciągłe ją masz? - spytała. Skinął głową.
- Zrobiłam analizę komputerową tej kuli - oznajmiła, nie odrywając wzroku od torby. - To straszna rzecz. Marquette powoli opuścił kubek.
- Co to jest? - zapytał. - Powiedz.

Streściła mu wszystkie kroki, jakie wykonała. Matt słuchał, zapomniawszy natychmiast o kawie, a jego oczy zachmurzyły się. Kiedy skończyła, odstawił kawę i popatrzył na swoje dłonie,

- Musimy to zniszczyć - zdecydowała Kelli - albo przekazać komuś, kto będzie potrafił to zrobić. Choć wciąż nie wiemy dokładnie, co to jest, wiemy wystarczająco dużo. To brudna sprawa, kula ma posłużyć do wyrządzenia wielkiego zła i jest ogromnie niebezpieczna.

Matt uniósł oczy i nic nie mówił.

Pickett wyglądała na zaszokowaną.

- Coś ty, nie zgadzasz się ze mną...?
 - W tej chwili nie możemy jeszcze tego zrobić.
 - Na litość boską, dlaczego?! Być może będziemy wkrótce winni masowego morderstwa!
 - Nie, nic takiego się nie stanie, dopóki my mamy tę kulę.
 - Ale ci... ci ludzie nie dadzą za wygraną. Nie wiemy, kim są i jakie mają cele. A jeśli cię odnajdą i zabiorą kulę?
 - Właśnie o to chodzi, Kelli. Tak długo, jak kula znajduje się w moich rękach, muszą przyjść do mnie.
 - I zabić cię.
 - To jedyny sposób, w jaki mogę doprowadzić do tego, żeby się pokazali.
 - Idź na policję - poradziła Pickett. - Z danymi, jakie mam, uwierzą ci teraz. Będą musieli.
- Marquette pokręcił głową.
- Nie. Jeśli te sukinsyny się zorientują, że ściga ich policja, znikną i nie ujawnią się. Nigdy nie zostaną złapani.
 - To niech znikną. W ten sposób przynajmniej ich powstrzymamy.
 - Skąd możesz być pewna? A jeśli takich kul jest więcej? - zauważył Matt.
 - Na przykład porozmieszczanych już dookoła? Albo w innych miastach?
- Pickett milczała, myśląc z przerażeniem o tym, co powiedział.
- Oddechśmierci 161
 - Nie - ciągnął. - Tylko w ten jeden sposób można ich dopaść. Za moim pośrednictwem.
- t Odepchnął się od biurka i ruszył powoli przed siebie, myśląc intensywnie. W końcu zatrzymał się i spytał:
- Na którym komputerze robiłaś tę analizę?

-Na tym.

Mart podszedł i przeczytał ciągle wyświetlane na monitorze wyniki.

Pokręcił głową.

- Nie, to nie jest żaden zapalnik - ocenił. - Bomba gazowa? Może. Ale myślę, że to raczej jakaś komora z węglikiem. Czy próbowałaś modyfikować dane?

- Owszem. Załadowałam nawet teksty, które były w bibliotece wydziału medycyny na temat węglika. Jednak ciągle czegoś brakuje, jakiegoś kluczowego elementu, który umożliwiłby dokładne określenie istoty i przeznaczenia kuli.

Marquette znowu zaczął chodzić. Uniósł głowę i zamknął oczy. Próbował przypomnieć sobie wykłady o broni biologicznej, o której się uczył, kiedy służył w SEAUs:

„*Bacillus anthracis*... najczęstsza forma objawów: skórne - złośliwe owrzodzenie całego ciała... przenoszenie: przez kontakt z mięsem zwierzęcym... Niemcy zakazali konie rumuńskiej kawalerii w tysiąc dziewięćset siedemnastym. .. eksperymenty irackie i radzieckie... traktat o zakazie, rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty... przy obecnym stanie technologii niepraktyczny jako broń z powodu zbyt powolnego rozprzestrzeniania się...”.

Niepraktyczny jako broń.

Coś chodziło Mattowi po głowie, nie był jednak jeszcze pewien, co.

- Mam spróbować znowu? - spytała Kelli.

- Czekaaj, czekaaj...

Przypomniał sobie. Swierdłowsk. Miasto w byłym ZSRR.

Odwrócił się i otworzył oczy.

- Wejdz jeszcze raz do biblioteki wydziału medycyny - polecił. Pickett skoczyła do swojego komputera. Po chwili znajdowała się już w katalogu biblioteki.

- Wyszukaj wszystko, co mająna temat radzieckiego miasta Swierdłowsk; w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku - nie, przepraszam, siedemdziesiątym dziewiątym.

Kelli wprowadziła słowa kluczowe, ale nie uzyskała niczego.

- Do jakich innych źródeł medycznych masz stąd dostęp? - spytał Matt.

- Do wszystkich. Magazynów naukowych, stowarzyszeń, danych publikowanych przez szpitale...

- Spróbuj wejść do Amerykańskiego Towarzystwa Lekarskiego. ^ Pickett zrobiła to. Marquette przejrzał listę publikacji Stowarzyszenia. Kelli uruchomiła wyszukiwanie pod hasłem „Swierdłowsk”, ale znowu niczego nie było.

162

Matt zaklął, zrobił parę kroków i wrócił.

- Jak głęboko dasz radę wejść w strzeżoną sieć wojskową? - zapytał.

- Prawdopodobnie bardzo głęboko, ale wymagałoby to użycia bardzo wymyślnych sposobów, co trwa mnóstwo czasu.

- A co z danymi dostępnymi zgodnie z zasadą wolności informacji?

- Z tym nie ma problemu. Możemy zacząć od Biblioteki Kongresu - zaproponowała Pickett.

Po sześciu minutach znalazła w archiwach Biblioteki tekst na temat Swierdłowska i wąglika. Pochodził z departamentu obrony i dotyczył radzieckich eksperymentów z broniąbiologiczną prowadzonych w latach tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt osiem - siedemdziesiąt dziewięć.

Napisany był dla celów historycznych i głosił:

Raporty wywiadu (DOD-2546DIA i DOD-3647DIA) doniosły, że w latach tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt osiem - siedemdziesiąt dziewięć zespół radzieckich naukowców pod kierunkiem dr. Nikołaja Karolowa z Wojskowego Instytutu Państwowej Logistyki Medycznej prowadził w obiekcie Naspocki Szach, znajdującym się w górniczym mieście Swierdłowsk, badania nad bakteriami bacillus anthracis w celu stworzenia broni biologicznej.

Celem zespołu było wyhodowanie odmiany bakterii, która dostawałaby się do organizmu poprzez drogi oddechowe. Założoną metodą było poddanie hodowli pikosekundowym impulsom cieplnym, które powodowały szybką, mutacyjną mejozę spiral DNA bakterii na granicy przeżycia hodowli. Eksperymenty przerwano po tym, jak doszło do przypadkowego wydostania się zmutowanych bakterii do atmosfery i skażenia okolic placówki. Wywiad oszacował, że wypadek spowodował ponad osiem tysięcy cywilnych ofiar śmiertelnych. Śmiertelność wśród zakażonych wyniosła podobno sto procent.

- O to mi chodziło! - zawołał Matt. - To twój brakujący element. Wąglik, którym można się zakazić przez drogi oddechowe.

Kelli nie mogła oderwać oczu od wyświetlanych słów: „śmiertelność... sto procent". W końcu podniosła wzrok na Marquette'a W jej oczach widać było podniecenie, a jednocześnie jakby dziwną melancholię.

- Och, Matt - westchnęła cicho, jak gdyby jej głos był w stanie zniweczyć okropną ciszę, jaka zapanowała.

Marquette położył dłoń na ramieniu Kelli.

- Dodaj nowe słowo kluczowe do twojego programu i uruchom analizę na

nowo.

Trzydzieści jeden minut później pojawiły się nowe wyniki, inne niż dotychczas.

Konkretne.

163

16

Stone cierpiał psychicznie i fizycznie. Frustracja i niepokój wywołały w nim odczucie podobne do mdłości. Była minuta po wpół do trzeciej w nocy. Nie ulegało wątpliwości, że zdarzyło się coś, co sprawiło, że Marquette nie przyszedł.

Jack chodził nerwowo po sypialni Pickett, patrząc co chwila na zegar. W końcu przeniósł się na werandę. Wiatr wzmógł się i był teraz bardzo zimny. Stone stał nad brzegiem jeziora i rzucał przekleństwa.

Gdzie też mógł podziewać się Marquette? Czy wyczuł pułapkę? Czy może w tej chwili czaił się w pobliżu? Nie, nie może niczego podejrzewać.

Pewnie zdecydował się dopaść Grady'ego. A jednak nie dzwoniłby w takim wypadku na łódź, zapowiadając, że zaraz przyjedzie.

Nagle po plecach Stone'a przeszedł dreszcz. Czyżby Marquette został schwytany przez policję? Jack poczuł nagłą chęć ucieczki. Wszystko, co zaplanował, zamieniło się w druzgocącą klęskę. Powrócił do środka łodzi i przyczaił się przy drzwiach, wyglądając ostrożnie na zewnątrz.

Uspokoił się powoli. Marquette nie został aresztowany. Gdyby tak było i opowiedziałby policji o wszystkim, Grady z pewnością dowiedziałby się już i zawiadomił Jacka przez telefon komórkowy.

A zatem Marquette ciągle znajdował się na wolności. Ale gdzie był? Razem z Pickett? Czy mogli mieć inną kryjówkę? To byłoby fatalnie.

Jackowi zostało za mało czasu, żeby mógł znowu odnaleźć tego sukinsyna. W takim razie wszystko stracone.

A może jednak...?

Stone skoczył do biurka Pickett i nie dbając więcej o ostrożność, włączył światło. Zaczął przeszukiwać szuflady i leżące na wierzchu notatki. Musi znaleźć wskazówkę, gdzie można znaleźć tę sukę. Jeśli Marquette nie jest w tym momencie razem z nią, to na pewno będzie wiedziała, gdzie go szukać.

Na podstawie materiałów związanych z projektem „Kryształowa kula” Jack zorientował się, że Pickett jest naukowcem pracującym na uniwersytecie w Seattle. Czy Marquette mógł znajdować się wraz z nią na uczelni? Nie, przecież nie o tej porze... Ale może jednak... Właśnie Pickett mogła w tej chwili mieć przy sobie kulę. Stone stwierdził, że kobieta jest ekspertem od sztucznej inteligencji i informatyki. Czyżby przeprowadzała analizę komputerową kuli? - przeszło mu przez myśl.

Zaczął ponownie przeglądać notatki Pickett, tym razem wolniej i bardziej uważnie, aby odnaleźć komputerowe kody dostępu. Był pewien, że jej maszyny są połączone bezpośrednio z zabezpieczoną przed surferami z zewnątrz wewnętrzną siecią uniwersytecką. Jack odnalazł wydruki i sprawdził ich nagłówki. Jest. 2X18813.cs/kp:orion.comm.

164

Zastanowił się znowu. Czy powinien skontaktować się za pomocą komputera z Pickett? Zdradziłby w ten sposób miejsce swojego przebywania. Jednocześnie jednak zrobiłby na Kelli i za jej pośrednictwem na Marquette wrażenie, że nie mają dokąd uciekać, że ich prześladowcy są wszędzie, nawet tu, w ich domu. Mogłoby to wygonić tych dwoje z

uniwersytetu i sprawić, że znajdą się przed lufą pistoletu Stone'a - lub też nakłonić ich do zawarcia umowy.

Wiatr wzmógł się teraz na tyle, że było słychać szum rosnących na werandzie paproci. Zielone światło nad pomostem sąsiada kołysało się.

Poza tym panowały cisza i spokój.

Kelli stuknęła w klawiaturę jednego z komputerów. Na ekranie pojawił się wynik analizy:

SCCOM: BPIE-H-XXXKL:

RNRLIZOUflriy OBIEKT JEST BODBR URGLIKOUR O SPEC JRL

NEJ KOflO-RZE. UnOŻLIUIflLflICEJ nODyFIKfl-CJĘ

DMRBRKTERMBflCILLUSflnTH-RRCIS U FORflE SPIRRLNfl.

ZDOLNĄ DO ROZPRZESTRZENIARMIR SIĘ U PO-UIETRZU TRK. ŻE

ZRKRŻEDIE JEST flOŻLIUE POPRZEZ DROGI ODDECHO-UE.

UCHODZRCy U SKŁRD BOHBy ŁRDUDEK UyBUCHOLJy O

flIEUIEL-KIEJ SILE UROŻLIUIR ROZPyLEDIE BRKTERII U

POUIETRZU U PRODIE-30-60 nETRDU

Konkretny, przerażający wniosek.

Mart i Kelli przeczytali go raz. Potem drugi. Popatrzyli po sobie. Mimo że częściowo się tego spodziewali, realność sytuacji oszołomiła ich. Nie chcieli się pogodzić z rzeczywistością śmierci.

Nie dało się wysłować tego, co czuli, milczeli więc. Czas jak gdyby zatrzymał się na chwilę. Zdawało się, że nawet klimatyzator przerwał swój cichutki szum. Wszystko zamarło.

- Jezus Maria...! - wykrztusił w końcu Mart.

Jego spojrzenie powędrowało ku torbie, której obecność była teraz przerażająca. Marquette spróbował zebrać myśli. Znalazł się nagle w

zupełnie nowej sytuacji. Jeden fałszywy ruch, jeden błąd i...

- Nie damy rady dłużej zajmować się tym sami - odezwała się Kelli.

-Potrzebna nam pomoc. Nie odpowiadał.

165

- Matt, posłuchaj mnie - nalegała Pickett. Zbliżyła się do niego i spojrzała mu prosto w oczy. — To jest rozpylany w powietrzu węglik, taki sam, jaki wydostał się z laboratorium w tym radzieckim mieście. Stuprocentowa śmiertelność! Jak możemy bawić się dłużej czymś takim...?!

- Nie mamy wyboru.

- Czy chcesz zaryzykować, że nastąpi taka katastrofa? Nie przeraża cię to?!

- Kelli, cholera jasna! - syknął Marquette. - Czy myślisz, że mi się to podoba, czy co?

Pickett opuściła na chwilę głowę, a potem znowu podniosła wzrok.

- To skontaktuj się chociaż z Centrum Kontroli Epidemii w Atlancie.

Powiedzą nam, co powinniśmy zrobić - poradziła.

- Nie. Jak się tylko dowiedzą, cała rzecz się wyda i będzie po sprawie.

-Ale jeżeli wytłumaczymy im sytuację, to mogliby rozegrać to dyskretnie.

- Jak można rozegrać coś takiego dyskretnie? - zauważył Matt. - Każda specjalna agencja w Seattle zostanie natychmiast postawiona w stan alarmu najwyższego stopnia. Może nawet dojść do paniki na masową skalę, wielkiej ewakuacji...

Kelli przyłożyła palce do skroni, jak gdyby próbowała w ten sposób powstrzymać krzyk.

-No to co mamy zrobić, na litość boską?! -jęknęła.

- Dopadnę tych facetów - oznajmił Matt.

-Jak?

- Za pośrednictwem Grady'ego.

- Nie masz szans. Zabiją cię! - stwierdziła Pickett.

- Nie zabiją.

-Ale co...?

Nagle uruchomiły się wszystkie komputery, których Kelli nie wykorzystywała do swojej analizy. Przez chwilę ekrany paliły się bez żadnych informacji.

- Co się dzieje? - zdziwił się Matt. Pickett zrobiła nie mniej zdumioną minę.

- Ktoś wszedł do sieci laboratorium, i to do całej naraz - odpowiedziała.

Podeszła do najbliższego z komputerów i popatrzyła na monitor. Na wszystkich ekranach wyskoczyły litery:

KELLI PICKETT

Jej imię i nazwisko. Następnie rozmnożyło się i zaczęło przewijać:

KELLI PICKETT

-ELL! PICKETT KELLI P/CKETI

166

Wcisnęła klawisz. W rogu ekranu pojawił się natychmiast kod identyfikacyjny maszyny, z której podłączono się do laboratorium:

PROCESSf2XJ8813.CS/KP:ORION.CONN,,).

-OBoże! -szepnęła.-To jeden z moich komputerów! U mnie w domu!

-Odwróciła się z przerażeniem do Marta i stwierdziła: - Oni są na mojej łodzi!

Na monitorach wciąż przesuwano się jej imię i nazwisko niczym jakiś rehot, obsceniczne nagabywanie, sygnał od milczącego podglądacza z

ciemności.

John Dwa Łosie zatrzymał samochód na parkingu dla radiowozów posterunku zachodniego okręgu policyjnego Seattle. Stała tam żółta taksówka. Kierowca rozmawiał z ożywieniem po hiszpańsku z jednym z miejscowych mechaników, rzucając wulgarne wyrazy.

Poza tym wokół panowała cisza. Była już niemal trzecia w nocy. W normalnych warunkach koniec zmiany przypadał na czwartą. Detektyw wysiadł z wozu, popatrzył na rozmawiających mężczyzn i podszedł.

- To pan wiozł klienta ze Sto Osiemdziesiątej Piątej? - spytał taksówkarza.

Meksykanin zmierzył jego olbrzymią postać od stóp do głów i spytał:

-A pan co, policjant?

- Porucznik Dwa Łosie, Biuro Szeryfa Okręgu Clallam - przedstawił się John.

- Aa, jasne - mruknął z ulgą taksówkarz. - Ale z pana kafar!

- Niech mi pan opowie o tym pasażerze - przypomniał detektyw.

- Już mówiłem, wskoczył mi do wozu na Sto Osiemdziesiątej Piątej, nie?

Ale od niego jechało czymś paskudnym, mówię panu! - stwierdził mężczyzna.

- Jak to: czymś paskudnym? Czym? - zainteresował się Dwa Łosie.

- No, nie wiem. Cały był utyłany, ubranie miał poplamione. Śmierdział jak matadero.

- Co to znaczy „matadero”?

- Matadero, no tam, gdzie się zabija bydło. - Taksówkarz wyteńczył wzrok zza swoich okularów. - Ej, czy pan czasem nie gra w futbol? No jasne, widziałem pana w telewizji, jeszcze w Tijuanie!

- Czy podczas jazdy mówił coś? - wypytywał porucznik.

- Nic, siedział tylko o tak, z głową do tyłu.
- Gdzie wysiadł?
- Na skrzyżowaniu Czterdziestej Piątej i Latona, nie?
- Czy zwrócił pan uwagę, w którą stronę poszedł?
- Nie wiem. Wziąłem, co mi zapłacił, i pojechałem. Co miałem robić?
- Dzięki - zakończył John.
- De nada - odpowiedział uprzejmie po hiszpańsku taksówkarz.

167

Dwa Łosie wszedł do budynku, gdzie znalazł porucznika Waltersa siedzącego w swoim pokoju. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o kręconych siwych włosach i pociągłej twarzy, która pozostawała niewzruszona, cokolwiek by się działo.

- Witaj, John - odezwał się Walters. - Właśnie minąłeś się z taksówkarzem, który wiozł Marquette'a.

- Rozmawiałem z nim przed posterunkiem.

- Zwróciłeś na coś uwagę?

-Nie.

- Dotąd nikt jeszcze nie zauważył Marquette'a - poinformował Walters.

-Północny okręg dorzucił nam kilka radiowozów; patrolujemy razem rejon Alei Roosevelta. To nie jest dzielnica mieszkalna.

- Wiem - odparł krótko detektyw. Dwa Łosie studiował w Seattle i znał dzielnicę Wallingford, gdzie najważniejszymi arteriami były Aleja Latona i Aleja Roosevelta. W tamtych czasach niedaleko Czterdziestej Trzeciej znajdował się bar, gdzie podawano dobrą pizzę i nie gorsze piwo. John i jego kumple z drużyny Huskies spędzili tam mnóstwo czasu pomiędzy sezonami.

Popatrzył teraz na wiszący za biurkiem Waltersa duży plan miasta. Kilka przecznic od Alei Roosevelta, wzdłuż brzegu zatoki Union, zaznaczony był delikatnym purpurowym odcieniem teren uczelni.

- Kawę? - zaproponował Walters.

- Tak, proszę. Czarną.

Gospodarz podszedł do ekspresu i nalał Johnowi kubek.

- Czy okręg północny ostrzegł ochronę uniwersytetu? - zapytał Dwa Łosie.

Walters odwrócił się.

- Myślisz, że tam się skierował? — spytał.

- To niewykluczone.

- Dlaczego tak uważasz?

- Po prostu mam przeczucie. Walters wzruszył ramionami.

- Dobra, zawiadomię ich - powiedział.

- Odpowiedz mu - polecił Mart.

Kelli spojrzała na niego ze zdumieniem.

-Co?!

- Odpowiedz mu. Napisz, że tu jesteś - powtórzył Marquette.

- Po co?

- Zrób to, dobrze, Kelli? - nalegał Matt.

Pickett usiadła do komputera i wstukała:

JESTEM TU.

Odpowiedź nadeszła natychmiast - na ekranie zabłyśły kolejno litery:

GDZIE JEST MAURLETTE

168

- Napisz, że też tutaj - poradził Matt.

-Nie.

- Kelli, musimy... a zresztą, puść mnie, sam to zrobię - powiedział. Pic-kett ustąpiła mu miejsca. Marquette wystukał dwoma palcami:

CZEŚĆ. DUPKU ,

Stone odpowiedział:

ACH NARESZNIE SIĘ SPOTyKaMy.GDZIE JEST RZECZ. KTÓRA
DO MNIE NALEŻy

Matt odpisał:

MAM PRZy SOBIE .

CHCĘ JĄ NATyCHniAST ODZySKAĆ.

A CO JA Z TEGO BĘDĘ MIAŁ

UJDZIECIE OBOJE Z ŻyCIEM .

BŁĘDNA ODPOWIEDŹ ,

Nastąpiła chwila przerwy. Po namyśle Stone zadał pytanie:

CZEGO CHCESZ?

MILIon DOLARÓW .

Kelli stała i patrzyła na ekran. Nie dowierzała temu, co widzi. Dwaj mężczyźni targowali się, jak gdyby nigdy nic, używając takich słów, jakby ustalali cenę dostawy ryb do sklepu. A tymczasem w grę wchodziło życie wielu ludzi. To było po prostu chore.

Odwróciła się, ruszyła przed siebie i zatrzymała przed ścianą, wpatrując się w nią. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin jej mózg przyjął wielki ładunek oszałamiających informacji. Czowała teraz wyczerpanie, jak gdyby ktoś obciążył jej głowę ołowiem. Poczwała lekki smród własnego ubrania.

Nagle przez jej plecy przeszedł dreszcz. Uświadomiła sobie bowiem, że ów człowiek o nieznanym wyglądzie, który rzucał w jej monitor literkami

niczym strzałkami do tarczy, był mordercą, zdeterminowanym, żeby zabić Matta, ją i tysiące innych ludzi...!

Odwróciła się z powrotem. Na ekranie widniał nowy napis: NIE ŻARTUJ, SKĄD MAM WZIAĆ TyLE FORSy!

Wróciła do Marquette'a i dotknęła jego ramienia. To samo ramię, które ścisnęła, nawet gryzła w upojnych momentach erotycznej rozkoszy, tak teraz z pozoru odległych, było twarde jak stal. Wyczuła, jak bardzo spięty jest Matt. A jednocześnie - podekscytowany? Spojrzała na jego palce. Były jednak nieruchome, absolutnie spokojne.

Matt napisał:

WEŻ OD GRADyEGO .

Nastąpiła pauza. Nie odwracając się, Marquette zapytał:

- Czy jest tutaj magazyn broni na wypadek wojny?
- Słucham?
- Czy jest na terenie uczelni magazyn broni? - powtórzył pytanie Matt.

169-

Kelli była zaskoczona. Jednak zebrała myśli i odparła:

- Zdaje się, że tak. Jasne, przypomniałam sobie - w Clark Hali
- Czy wiesz, jaka tam jest broń? - wypytywał Marquette
- Jaka broń? Nie wiem. Koło boisk jest strzelnica.

Stone odpisał:

DOBRE. nIECH BĘDZIE O/L/Ort.

Matt wystukał następane zdanie:

CHCĘ ŻEBY FORSĘ PRZYWIÓZŁ GRADY

DLACZEGO?

TEN KUTAS JEST MI COŚ WINNY!

RZECZYWIŚCIE CHYBA MASZ RACJE, GDZIE I KIEDY?

- Wymyśl jakieś odosobnione miejsce - poprosił Kelli Marquette - 1 takie, gdzie można się łatwo ukryć. Na przykład las. Pickett zmrużyła oczy.

-Może w parku Waszyngtona? - zaproponowała. - Drzew tam nie brakuje
Mart starał się przypomnieć sobie park. Był tam dwa razy. Jak wyglądał?
No jasne, świetne miejsce. • Napisał:

PARK WASZYNGTONA KOŁO OGRODU JAPONSKIEGO O ŚWICIE
TO ZA WCZEŚNIE!

DOBRA! W TAKIM RAZIE PUNKT DZIEWIĄTA
OKAY!.

W sypialni Grady ego odezwał się sygnał jego pagera. Adwokat spał leżąc na boku. Obok niego zwinięta w kłębek i przytulona do jego pleców leżała dziewczyna, której wspaniałe, rude włosy rozsypywały się po poduszce, była asystentką Producenta w telewizyjnym studio KTNT. Kanał ten miał siedzibę w Seattle.

John Wayne powoli się obudził i oprzytomniał, mrugając oczami W pokoju czuć było woń charakterystyczną dla niedawno uprawianego seksu zmieszana z zapachem lakieru do włosów. Grady poszukał po omacku leżącego na stoliku przy łóżku pagera i wyteżył wzrok, żeby zobaczyć co jest napisane na jego maleńkim ekraniku. ' .

STOnE 106-555-8836

Cholera jasna; co znowu?! - pomyślał. Zapalił światło i obudził dziewczynę kuksańcem.

- Hej, kochanie, zrób no kawę - rzucił.

170

- Co? - Jean podniosła głowę. Miała fioletowe sińce pod oczami. - Co się

stało?

- Idź do kuchni i zrób kawę - powtórzył adwokat.

- Teraz...? Człowieku, jest trzecia w nocy!

- Słuchaj, idź, mam tu interes do załatwienia.

-Niech cię cholera...! - burknęła Jean, wyłączając z łóżka. Była naga. Na jej pośladkach ciągle widać było czerwone ślady w miejscach, gdzie John Wayne wbijał w nią paznokcie podczas stosunku.

Prawnik wystukał tymczasem podany przez Stone'a numer; nie znał go dotąd. Jack odebrał przy pierwszym sygnale:

- Grady?

- Tak, to ja.

- Nawiązałem kontakt z Marquette'em - oznajmił Stone.

- To znaczy, że wiesz, gdzie jest - upewnił się adwokat.

- Tak. Zgodził się sprzedać nam kulę.

- Sprzedać? Nam?

- Nam. Chce za nią milion.

- Zaraz, zaraz...

-I ty masz mu go dostarczyć. Tak powiedział - przerwał Jack.

-Zwariowałaś, człowieku?

- Zamknij się i słuchaj. Nic mu nie damy - tłumaczył Stone. - Musisz tylko pokazać się z masą gotówki na wierzchu. Ja załatwię resztę.

- Nie ma mowy - skwitował Grady. - To tobie zależy na tej cholernej kuli, więc zapłać mu.

- Ty zapłacisz. - Jack nie ustępował.

- Nie zrobię tego.

- Zrobisz.

- Już ci mówiłem, ja nie mam z tym wszystkim nic wspólnego -
przypomniał adwokat.

- Posłuchaj, ty cykorze, masz - zaprzeczył Stone. - I będziesz miał tak
długo, aż ci powiem, że już wystarczy.

- Nie, do jasnej cholery!

Nastąpiła krótka cisza. Po chwili Jack syknął groźnie:

- Nie zaczynaj ze mną, facet. Jeśli spróbujesz dać teraz nura, odstrzelę ci
łeb. John Wayne zamilkł przerażony.

- Słyszysz, co mówię?! - upewnił się Stone.

- Musi być jakiś inny sposób - rzucił prawnik. - Czy nie zdajesz sobie
sprawy z tego, że wystawiam się na jego kule?

- Zrobimy, jak powiedziałem - zakończył Jack.

Grady zastanowił się. Może nic złego się nie stanie. Może zdoła omamić
słowa Marquette'a na tyle długo, żeby nastąpiła wymiana, a potem
zdąży wziąć nogi za pas?

171

- No dobrze, Stone - powiedział. - Gdzie ma się odbyć to spotkanie?

- Koło japońskiego ogrodu w jakimś parku Waszyngtona. Wiesz, gdzie to
jest?

-Wiem. Kiedy?

- O dziewiątej rano.

Przynajmniej to dobrze, pomyślał John Wayne. W parku Waszyngtona
można było liczyć na brak świadków. Westchnął, zmrużył oczy i zapytał:

- Chcesz go zabić?

-A jak myślisz, do diabła? - padła odpowiedź.

- Tylko z dala ode mnie - rzucił szybko Grady. - Zrób to jak najdalej.

Musisz mi to zagwarantować, bo inaczej nie licz na mnie. I możesz mi grozić, ile chcesz.

- Dobra. Zabiję go, kiedy już ciebie nie będzie w pobliżu - zgodził się Stone.

- To dobrze. - Adwokat odetchnął z ulgą. - Dobrze.

- Tylko pamiętaj, niech to wygląda porządnie - pouczył Stone. - Neser pełen kasy aż po brzegi. Dziewiąta rano. - Rozłączył się.

Grady siedział i patrzył w dywan. Był gruby, miękki, z białej wełny. Po chwili wróciła Jean, ciągle naga, trzymając w dłoni ceramiczny kubek z uchem w formie elfa.

- Masz tę swoją kawę - rzuciła z obrzydzeniem.

Podczas gdy Mart mył się w męskiej łazience, Kelli zapisała wyniki analizy, a potem zaczęła chodzić nerwowo po sali. Spojrzała na wracającego Mar-quette'a i odgarnęła opadające na oczy włosy. Była blada, miała ściągniętą twarz.

- Nie możesz tego zrobić - oznajmiła bezbarwnym tonem.

- Muszę - odparł Mart.

- Mart, przecież oni cię zabijają!

- Spróbują- uściślił.

Pickett przyjrzała się uważnie jego oczom.

- Ciebie to podnieca, prawda? - powiedziała. - Nie wiem dlaczego, ale jesteś podekscytowany tą okropną sytuacją, jakbyś był na hajku.

Marquette odwrócił bardzo powoli głowę, odpływając myślami gdzieś daleko. Po chwili spojrzał z powrotem i oświadczył:

- Kel, długi czas byłem jak martwy. Czy jesteś w stanie to zrozumieć?

Kelli popatrzyła na niego, a potem przytuliła go z całej siły. Odwróciła się

i ruszyła do drzwi.

Budynek Clark Hali stał o dobre kilkaset metrów na północny wschód od Guggenheim Hali. Zbudowany był z czerwonej cegły i przy wejściu ozdobiony czterema smukłymi kolumnami o doryckich głowicach. Na wschód od

172

niego rozciągała się rozległa, otwarta przestrzeń, na której znajdowały się 'uniwersyteckie boiska.

Pickett przejechała swoim terenowym chevroletem blazerem Steven's Way, skręciła w Skagit Lane i powoli okrążyła Clark Hali. Matt obserwował budynek przez opuszczoną szybę samochodu. W pobliżu nie było nikogo. Noc zrobiła się bardzo zimna. Od jeziora ciągnął przez boiska wiatr, pachnący wiosenną trawą i trocinami.

Objechali ceglany gmach po raz drugi. Marquette poprosił Kelli, żeby zatrzymała samochód na zwirowej ścieżce koło parkingu, przy bocznej ścianie budynku. Spojrzał na zegarek. Było szesnaście po czwartej nad ranem. Powkładał do kieszeni zabrane z laboratorium narzędzia i latarkę i wysiadł. Popatrzył przez chwilę na wschodnią stronę nieba. Było częściowo zachmurzone i ciągle ciemne, tak samo jak godzinę czy dwie wcześniej. Nachylił się do okna i powiedział:

- Zaparkuj gdzieś daleko stąd. Daj mi dwadzieścia minut.

- Boże, uważaj na siebie...! - ostrzegła go Kelli.

- Nie martw się. To nic trudnego - zapewnił. Rzucił się biegiem do otaczającego parking płotu. Słyszał jego chrzęszczące po żwirze buty i narzędzia brzękające cicho w kieszeniach. Z łatwością wspiął się na płot, przerzucił nad nim ciało i wylądował po drugiej stronie. Samochód Kelli

wyjechał na Steven's Way i skręcił w prawo.

Na parkingu stało w rzędzie kilka dżipów, jeden hummer - większy pojazd używany podczas operacji „Pustynna burza” - oraz dwa wozy amunicyjne.

Naprzeciw nich stała samobieźna kuchnia polowa i furgonetka łączności.

Wszystkie samochody pomalowane były na zielonkawy wojskowy kolor.

Marquette posuwał się wzdłuż tylnej ściany budynku, starając się maksymalnie wykorzystywać padające cienie. Dotarł do dużych, stalowych przesuwanych drzwi, zamkniętych na okazałą kłódkę.

Sprawdził okna. Wszystkie osłonięte były kratami i chronione alarmem - przez szyby biegły paseczki metalowej folii. Pod daszkiem stało trochę potrzebnego w warunkach polowych sprzętu.

Matt przeszedł przez placyk w tę i z powrotem, szukając jakiegoś wejścia.

Nic jednak nie znalazł. Zaklął i popatrzył na stojące samochody. Przy ścianie gmachu znajdowało się coś w rodzaju otwartej studzienki.

Podbiegł do niej i zsunął się po drabince.

Światło latarni padało tak, że oświetlało ostro dno studzienki. Był tam wąż z dwoma hydraulicznymi cylindrami do otwierania go i dźwigienką sterującą. Kawałek dalej znajdowała się pokrywa zapewniająca dostęp do wysokociśnieniowych zbiorników. Matt szybko odkręcił motylkowe nakrętki i otworzył ją.

Zobaczył wąski tunel, biegnący równolegle do zbiornika. Ponad nim znajdował się manometr oraz zawory, od których odchodziły przewody do siłowników hydraulicznych. Za zbiornikiem dostrzegł kolejne drzwiczki.

173

Za nimi był niski tunel, przechodzący przez małą kotłownię. Dalej znajdowały się betonowe schodki, zakończone drzwiami wychodzącymi

na główny hol budynku.

W holu stała stara haubica kaliber siedemdziesiąt pięć milimetrów, czarna i błyszcząca niczym szkło. Przy przeciwległej ścianie stała gablota z nagrodami za wyniki w ćwiczeniach artyleryjskich. Obok wisiały skrzyżowane purpurowo-złote sztandary batalionów, fotografie dawnych uniwersyteckich oddziałów rezerwy i dwa zniszczone hełmy z czasów pierwszej wojny światowej.

Mart przeszedł przez małe pancerne drzwi do wielkiej sali, gdzie składano i czyszczono broń. Podłoga była stara, z brązowych kafelków, wypastowana jednak do połysku. W pomieszczeniu panował chłód, pachniało środkami czystości i oliwą do smarowania broni.

Kelli pojechała na uczelniane pole golfowe, żeby tam poczekać.

Zatrzymała samochód przy Wall Road i słuchała, jak trzepocą na wietrze kolorowe chorągiewki.

Miała wielką ochotę na papierosa; nerwy powodowały, że co chwila cierpła jej skóra. Co ja właściwie wyprawiam? - myślała sobie.

Świadomość sytuacji w połączeniu z beczynnością były trudne do zniesienia. Noc wydawała się złowieszcza, groźna, Pickett podciągnęła więc szyby i skuliła się.

Ponad parkingiem przesunęły się szybko światła reflektorów jakiegoś samochodu i skierowały prosto na nią. Kelli z bijącym sercem patrzyła, jak się zbliżają. Kiedy były już blisko, rozpoznała biały samochód agencji ochrony strzegącej uniwersytetu.

Samochód zatrzymał się koło niej i kierowca wysiadł. Miał na sobie niebieską kurtkę z futrzanym kołnierzem. Zapalił latarkę i skierował prosto na twarz Kelli.

- Szuka pani czegoś, panienko? - zapytał. Nachylił się i oświetlił wnętrze pojazdu.

-Nie. - Roześmiała się, zdając sobie sprawę, że słyhać nieszczerłość w jej głosie. - Wyjechałam tylko na papierosa i żeby odetchnąć tu trochę świeżym powietrzem. Pracuję dzisiaj całą noc.

- Gdzie?

- W Guggenheim Hali.

-I przyjechała pani aż stamtąd na papierosa? Czy ma pani przy sobie jakieś dokumenty? - wypytywał ochroniarz.

Wyjęła ze schowka swój identyfikator z laboratorium i podała mężczyźnie. Oświetlił go, przyjrzał się uważnie zdjęciu i porównał je z oryginałem. Oddał identyfikator.

174

- Na pani miejscu nie siedziałbym tu sam o tej porze - ostrzegł. - Właśnie otrzymaliśmy komunikat policji. Podejrzewają, że na terenie uczelni może ukrywać się zbieg.

- Naprawdę? - odparła.

- Tak - potwierdził ochroniarz. - Potężny mężczyzna w wybrudzonym ubraniu; kurtka podobna do kurtki listonosza. Jeśli zobaczy pani kogoś podobnego, bardzo proszę powiadomić nasz główny posterunek.

- Dobrze.

- No i niech pani uważa - poradził jeszcze mężczyzna. Zasalutował niedbale, wsiadł do samochodu i odjechał.

Kelli uruchomiła silnik. Ręce jej się trzęsły. Ruszyła Montlake Boulevard i wróciła ku Clark Hali. Spojrzała na zegarek. Minęło dopiero dziesięć minut. Matt miał się z nią spotkać za następne dziesięć.

Marquette odnalazł w piwnicy mały magazyn z bronią. Zwykle drzwi łatwo poddały się silnemu uderzeniu Marta. Za drzwiami znajdowała się metalowa siatka. Za odsuwaną metalową płytką był otwór do wydawania broni. Dalej stało biurko, a za otwartymi drzwiami znajdowało się kolejne pomieszczenie, gdzie widać było szafki z bronią.

Kilka minut zajęło Marquette'owi odkręcenie śrub mocujących grubą blachę okienka. W końcu usunął ją, przecisnął się przez otwór i wpadł do magazynu. W szafkach musiało się znajdować ponad sto automatów M-16. W oddzielnej szafie umieszczono kilkanaście śrutówek, winczesterów kaliber dwanaście, używanych przez marines. Przy tylnej ścianie stał duży sejf, w którym prawdopodobnie przechowywano pistolety.

Mart przyjrzał się szafkom z erkamami. Broń znajdowała się za kratami z grubych prętów, zamykanych na całą serię nowoczesnych, skomplikowanych zamków z mocnych materiałów. Podobnie było ze śrutówkami. Matt zaklął po raz kolejny. Nie da rady wydostać stąd czegokolwiek.

Rozejrzał się. Zobaczył szafę w ścianie. W środku wisiało kilka kamizelek przeciwodłamkowych z kevlaru z napisem: „Strzelnica”. Materiał był powycierany i poplamiony - najwyraźniej kamizelek używano podczas ćwiczebnych strzelań.

Marquette złapał jedną, ściągnął kurtkę, nałożył kamizelkę i na wierzch z powrotem kurtkę. Kamizelka przeciwodłamkowa była ciężka, jednak od razu lepiej się poczuł. Spojrzał na zegarek. Kelli miała wrócić za sześć minut.

Powrócił do pierwszej sali. Obok wysprzątane biurka stały dwa regały

na dokumenty, mała radiostacja, ekspres do kawy. Matt zauważył coś pod ścianą pomiędzy regałami.

Były to dwa karabiny M 1-A z czasów drugiej wojny światowej. Służyły najwyraźniej do zawodów strzeleckich. Lufy i zamki miały chromowane, kolby

175

zdobione ręcznie wykonanymi okuciami. Obok stała mała skrzynka na amunicję. Znajdowały się w niej przyrządy do czyszczenia broni, karteczki do notowania wyników oraz sześć pudełek miedzianych nabojów.

Beztroski właściciel karabinów najwyraźniej nie zadbał o to, żeby je starannie zamknąć.

Mart szybko załadował dwa magazynki. Jeden włożył do kieszeni kurtki, drugi zamocował do karabinu. W ciszy rozległ się metaliczny szczęk broni. Była czysta i dobrze leżała w rękach Marquette'a.

Cztery minuty później Mart pokonał w przeciwną stronę płot otaczający wojskowy parking; akurat w tym samym czasie, kiedy terenowy blazer podjeżdżał z powrotem. Marquette podbiegł, otworzył drzwi i wsiadł. Kelli popatrzyła na karabin i zmrużyła oczy.

- Byłam kontrolowana przez uniwersyteckiego ochroniarza - powiedziała.

- Podobno policja podejrzewa, że na terenie uczelni znajduje się zbieg.

Mart podniósł wzrok.

- Cholera jasna, odnaleźli taksówkę...! - skomentował. - Muszą być niedaleko stąd. Na pewno będą sprawdzać wszystkie bramy.

- Możemy wyjechać z terenu uniwersytetu obok strzelnicy -

poinformowała Pickett. - Przy wlocie Montlake na Czterdziestą Piątą nie ma bramy.

Wrzuciła bieg i powoli wjechała w Steven's Way. Akurat przejeżdżał jeden z uniwersyteckich mikrobusów. Był pusty, jeśli nie liczyć całującej się pary młodych ludzi, siedzących z tyłu. Zaraz za mikrobusem pojawił się kolejny wóz ochrony.

- Boże! - szepnęła Kelli.

- Uśmiechnij się i pomachaj mu — poradził Marquette.

Pickett poszła za radą. Ochroniarz odmachął jej. Chwilę później oba pojazdy zniknęły za Clark Hali.

Mart uspokoił się i popatrzył na wschód. W oddali, pomiędzy zarysem gór i chmurami, pojawiła się pierwsza oznaka świtu - kolor indygo odcinający się od czerni.

17

Wychodzą - odezwał się Jo-Jo. Kizzier natychmiast otworzył oczy.

Wyprostował się i odkaszlnął. Popatrzył na drugą stronę szerokiego Madison Boulevard, gdzie stał hotel Seneca House.

Przypominał trochę francuski zameczek. Był jednopiętrowy, pomalowany na kremowo, miał jasnoniebieski dach i czworoboczne wieżyczki na końcach frontowej elewacji, ozdobionej jeszcze obitym mosiądzem gzymsem.

176

Pod portykiem stał odźwierny w czerwonej liberii. Budynek otoczony był wymyślnym i doskonale wypielegnowanym ogrodem.

Kizzier natychmiast zauważył „Psa” Jamesa. Mężczyzna stał koło wejścia hotelu, otulony ciepłą kurtką drwała. W luksusowym otoczeniu wyglądał jak żebrak, który zatrzymał się po jałmużnę. Rozejrzał się niedbale, splunął na niemal wypolerowany podjazd i wrócił do hotelu.

- Mam przeczucie, że to będzie dzisiaj - powiedział Jo-Jo. - Coś za wcześnie wstali. - Było dopiero wpół do szóstej, szary świt.

- Taak - zgodził się Albert.

Mieli za sobą długą noc. Jeździli za śledzonymi od baru do baru, poczynając od „Krzyża Celtyckiego”. W końcu znaleźli się na szczycie wieży Space Needle. Halberstadt i James zasiedli w ekskluzywnej Emerald Suite i zachowywali się jak paniska, podczas gdy wynajęte przez nich prostytutki czuły się nieswojo. Jedna z nich była ładna, ale krzepka i gruba jak rosyjska chłopka, druga dla odmiany smukła niczym modelka z Nowego Jorku.

Posiedziawszy trochę w lokalu, grupka weszła po schodach do znajdującego się najwyżej baru Top of the Needle Lounge. Jo-Jo i Kizzier wyszli na platformę obserwacyjną, żeby nie zostać zauważonymi w niewielkim barze. Chodzili więc tam i z powrotem, przyglądali się dużym fotografiom z opisem poszczególnych elementów krajobrazu, to znów patrzyli przez potężne lornety na olbrzymi, stożkowaty masyw Mount Rainier albo na wybrzeże. W końcu znudzeni, zaczęli kierować lornety na świecące się okna, w nadziei, że może zobaczą jakąś kochającą się przy nie zasłoniętych zasłonach parę.

Nastąpiło też niebezpieczne spotkanie ze śledzonym. Jedząc nieregularnie przez cały dzień i noc przypadkowe, nie pasujące do siebie rzeczy, Kizzier dostał lekkiej niestrawności. Musiał udać się do męskiej toalety, śmierdzącej an-tyseptycznym środkiem czyszczącym. Z miną wyrażającą obrzydzenie przykucnął wśród szarych i różowych kafelków.

Do łazienki wszedł jakiś inny mężczyzna. Słysząc było, jak załatwia się do pisuaru, stękając głupkowato z ulgą. Po chwili ciszy rozległo się

nieoczekiwane uderzenie w drzwi sąsiedniej kabiny. Następnie mężczyzna walnął potężnie w drzwi Kizziera.

Co się działo?

Albert uchylił drzwi. Zobaczył stojącego przed lustrem Halberstadta, uśmiechającego się do własnego odbicia z szaleństwem w oczach. Łysa głowa Niemca świeciła w blasku fluorescencyjnych jarzeniówek pod sufitem. Halberstadt zauważył, że otwierają się drzwi jednej z kabin, i odwrócił się gwałtownie.

- Ey, Arschlock! - warknął groźnie. - Du kannst mich mai am Arsch lecken!

- Przepraszam - odpowiedział grzecznie Kizzier, szybko zamykając się z powrotem. A niech to, pozwolił się zobaczyć śledzonemu! Bandzior uderzył tymczasem jeszcze raz w drzwi jego kabiny i wyszedł z łazienki.

12-Oddech śmierci

177

i

Powróciwszy na platformę obserwacyjną, Albert ostrzegł:

- Hans mnie zobaczył.

- No co ty!

- Poważnie... - Ki/zier westchnął. - Ten gość jest cały nabuzowany. Nie pójdzie nam z nim łatwo...

Zjechawszy z wieży, agenci podążyli za śledzonymi do hotelu. Jo-Jo zatrzymał samochód po drugiej stronie ulicy, koło pralni. Kizzier i Azevedo zdecydowali czekać tam do świtu czy też raczej do czasu, aż coś się zdarzy. Około czwartej odjechały limuzyną obie prostytutki. Ich twarze wyrażały głęboką ulgę, że skończyły już przebywać w towarzystwie

swoich klientów.

Teraz z za rogu hotelu wyjechała zniszczona półciężarówka Jamesa. Zatrzymała się przed wejściem. Parkingowy wysiadł z niej, zabrał z za wycieraczki karteczkę z nazwiskiem właściciela i odszedł, kręcąc ze zdumieniem głową.

Z hotelu wyszli Halberstadt i „Pies”. Odźwierny, cały w uprzejmych uśmiechach, odprowadził mężczyzn do ich niecodziennie w tym miejscu wyglądającego pojazdu. Odpowiedziały mu zaledwie chłodne spojrzenia. Goście rzucili na platformę półciężarówki swoje bagaże. Walizka Jamesa była wprawdzie skórzana, ale wytarta i spłowiała do ostateczności, w dodatku związana grubym sznurkiem.

Jo-Jo uruchomił silnik.

- Mam przeczucie, stary, że to dziś - powtórzył. - Nasi chłopcy jadą właśnie na spotkanie.

Kizzier sięgnął w odpowiedzi po torbę z bronią. Rozpiął suwak i wyjął dwa izraelskie pistolety maszynowe uzi. Sprawdził magazynki i położył broń na siedzeniu. Następnie wyciągnął lekkie kamizelki przeciwołamkowe.

Półciężarówka skręciła w prawo, w Madison. Jo-Jo odczekał chwilę, zawrócił i podążył za nią w niezbyt dużej odległości.

Albert spojrział na zegarek. Była piąta czterdzieści jeden. Zapisał to.

Kelli miała rację, Matt był podekscytowany, prawie jak na narkotykach.

Adrenalina nie osiągnęła jeszcze najwyższego poziomu, ale cały organizm przygotowywał się na to, co miało wkrótce nastąpić. Było to znane

Marquet-te'owi uczucie; podobnego doświadczał na pokładzie śmigłowca Huey Cobra Trzeciej Lekkiej Powietrznej Drużyny Ogniowej, gdy M-60C

rozpoczęły ogień zaporowy.

Szykował się.

Widział, że być może będzie musiał znowu zabić. Myślał o tych dwóch, których helikopter zestrzelił w głębi stanu, i o wszystkich, którzy zginęli z jego ręki poprzednio. I zdał sobie nagle sprawę, zdziwiony, ale też rozradowany, że poczucie winy, które gnębiło go od czasu wypadku w Barcelonie, niemal zniknęło.

178

Pozostawały jednak zasady moralne, ale w tym momencie nic nie było tak proste jak w normalnych warunkach. Prawo do obrony i przeżycia uwalniało od pewnych zakazów. Wojna w Wietnamie była, według Marquette'a, bezsensowna, jednak w tej chwili grał o życie tysięcy niewinnych cywili. Matt czuł więc, że ma prawo zabić lub zginać jak żołnierz broniący rodzinnego miasta.

Kelli skręciła z Washington Boulevard w północny wjazd do parku Waszyngtona, mijając stojący obok bramy domek stróża. Przed wjeżdżającymi rozciągnął się widok na przepyszne łąki pola golfowego. Pośród rosnących tu i tam kęp świerków i cedrów utrzymywały się strzępki mgły.

Pickett jechała dalej Arboretum Drive, ku wybrzeżu Jeziora Waszyngtona. W końcu zatrzymała samochód koło małego basenu zbudowanego z granitowych kamieni, z którego sterczała rura z wodą zdatną do picia. Po drugiej stronie drogi znajdował się bagnisty brzeg jeziora z wysoką trawą, ławicami błota i wielkimi kamieniami porośniętymi glonami.

Dalej rozciągało się pole golfowe Broadmoor; widać też było pływający most Evergreen Point, na którym gęstniał poranny ruch. Niektóre

samochody jechały jeszcze z zapalonymi reflektorami.

Po włamaniu się Marquette'a do magazynu broni ani on, ani Kelli nie mówili dużo. Każde zagłębione było we własnych myślach. Bez kłopotów udało im się wyjechać z terenu uniwersytetu. Spędzili jakiś czas na parkingu koło McDonalda, czekając na świt. Matt wcinał McNuggets'y, pochłaniając jeden za drugim.

Strach, jaki czuła Pickett, także wywołał u niej coś w rodzaju głodu.

Kupiła hamburgera, zjadła, a potem wysiadła nagle z samochodu i zwymiotowała na trawnik. Dwie dziewczyny zza lady patrzyły na to z niepokojem.

Teraz Kelli i Matt siedzieli w chevrolecie i przyglądali się mijającym ich ludziom uprawiającym jogging oraz latającym między drzewami sójkom.

Pickett, która kupiła wcześniej papierosy, otworzyła teraz paczkę, metodycznie odwijając celofanik. Ciągłe trzęsły jej się ręce.

Oboje zapalili, zaciągając się głęboko.

Kelli oparła dłonie na kierownicy i opuściła głowę.

- Mój Boże, tak się boję - oznajmiła. - Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu bała się tak jak teraz.

- Wiem - odparł krótko Matt. Popatrzyła na niego ze smutkiem.

- Czy naprawdę dasz radę to zrobić?

-Tak.

- Ale po co chcesz zabrać ze sobą kulę? Jeśli...

- Muszą ją zobaczyć.

Pickett zaciągnęła się znowu i wydmuchnęła dym.

- Nie wiesz nawet, z iloma ludźmi będziesz miał do czynienia.

- Dwóch już nie żyje - zauważył Marquette. - Poza Gradym, nie może być ich zbyt wielu. Kelli chrząknęła.

- Jakoś za bardzo mnie to nie pociesza - odparła.

Matt sprawdził godzinę. Było piętnaście po szóstej. Nachylił się, otworzył torbę i wyjął browninga hi-power. Nie przerywając rozmowy, sprawdził pistolet, wyciągając na chwilę magazynek. Odbezpieczył i przeładował. Wcisnął broń za pasek dżinsów, po lewej stronie.

Pickett patrzyła na to w milczeniu.

- Oto co zrobimy - odezwał się. - Dokładnie piętnaście po dziewiątej zadzwoń do porucznika Dwa Łosie z biura szeryfa okręgu Clallam.

Opowiedz mu wszystko. Musisz go przekonać, że mówisz prawdę. On zabierze stąd kulę.

Kelli przytaknęła.

- Potem zadzwoń do Centrum Kontroli Epidemii w Atlancie. Pozwól im ściągnąć z laboratorium wszystkie materiały o kuli, jakie uzyskałaś.

- Dobrze - zgodziła się Pickett. Przesunęła spojrzeniem po twarzy Matta. Kiedy zamknął torbę i wyprostował się, nachyliła się i przyciągnęła go do siebie. Przeszkadzał jej karabin. Odsunęła go więc na bok i przytuliła się do Marquette'a, wtulając twarz w jego kurtkę.

- Dłużej tego nie wytrzymam - oznajmiła.

Matt pocałował ją we włosy, przejechał delikatnie palcami po jej szyi i wyjrzał przez przednią szybę, żeby sprawdzić, czy ktoś nie nadchodzi. Następnie przerwał uścisk, otworzył drzwi i wysiadł, zabierając ze sobą torbę i karabin. Postukał jeszcze paznokciem w szybę, odwrócił się i pobiegł do lasu.

Na jego krawędzi zatrzymał się i obejrzał przez ramię. Uśmiechnął się do

Kelli, a potem zniknął pomiędzy drzewami.

Osiem minut później koło jednej z kęp świerków, znajdującej się sto metrów od centrum Graham Visitor's, zatrzymał samochód Jack Stone. Wjechał do parku południową bramą i musiał pokonać cały jego wielki obszar.

Po rozmowie z Gradym natychmiast wrócił do hotelu po pozostałe elementy bomby. Następnie przejechał skomplikowaną trasę od miejsca w parku Waszyngtona, gdzie zamierzał ją podłożyć, i starał się dokładnie zapamiętać drogę. Kiedy będzie przebywał ją w odwrotną stronę, nie będzie miał zbyt wiele czasu.

Rozejrzał się teraz. Centrum Grahama stanowił parterowy budynek z brudno-brązowego zlepieńca z okratowaną werandą. Na jego tyłach znajdowała się szklarnia. Przed budynkiem stały dwa samochody - volkswagen furgonetka oraz dżip służby leśnej parku.

180

Na prawo było wejście do ogrodu japońskiego. Niewielka tablica informowała, że jest to replika ogrodu Kameishi-Bo znajdującego się w Fukuoce w Japonii. Ogród znajdował się na granicy gęstego lasu, który zdawał się wpełzać doń z trzech stron.

Stone popatrzył na drzewa. Ale ten Marquette jest głupi! -pomyślał. Sam ustalił miejsce spotkania, a trudno o lepsze na urządzenie zasadzki. Czy był raczej chytry jak lis? Możliwość ukrycia się to coś, co przyda się i jemu. Jack przejechał wzrokiem po całym ogrodzie, zwracając uwagę na wszystkie elementy i ustalając miejsca, gdzie najlepiej będzie się schować. Wyobrażał sobie, któredy mogą przebiegać linie ognia.

Usatysfakcjonowany wysiadł z samochodu i odkręcił tablice rejestracyjne.

Rzucił je na tylne siedzenie. Wsiadł z powrotem, wsunął pod kurtkę maszynowego lingrama i podjechał powoli do ośrodka. Odwrócił się i tyłem zajął miejsce na parkingu równoległe do dżipa.

Usłyszał odgłos piłowanego drewna. Rozejrzawszy się, wysiadł z samochodu i szybko poszedł za róg budynku. Na szybach szklarni widać było rosę. Wyglądało na to, że w środku nikogo nie ma. Pod ścianą stały narzędzia ogrodnicze i mała kosiarka-tractorek. Ścieżka wchodząca z tego miejsca wiodła pomiędzy kępami czerwonych cedrów i dereni, rosnącymi tuż koło szklarni.

Stone dał nura w gęste krzaki znajdujące się pod drzewami. Rośliny były mokre i po chwili kurtka i spodnie Jacka zostały przemoczone. Ponad nim wznosiły się porośnięte mchami i grzybami pnie drzew. Tuż przed jego nosem przeleciał koliber.

Przebieg akcji może być dość przypadkowy, pomyślał Stone. Będzie bowiem musiał dostosować na bieżąco swoje działanie do poczynań Marquette[^]. Mimo wszystko zachowa przewagę— to on będzie czekał w zasadzce. Poczekaj, aż Grady dokona wymiany, a potem zastrzeli upartego szypra i zlikwiduje go raz na zawsze. Odgłos pistoletu maszynowego Jacka wyciszy tłumik firmy Holbey.

Stone wyobrażał sobie przez chwilę powyższą sytuację, przesuając się powoli między krzakami. Co kilkanaście sekund zatrzymywał się, nasłuchiwał i rozglądał. Stopniowo przesuwał się na tyły japońskiego ogrodu.

Nagle stanął. Usłyszał muzykę -jazz, a konkretnie wyjący saksofon altowy Johna Coltrane'a. Dźwięki dolatywały z bardzo bliska. Na wszelki wypadek padł na ziemię, a potem podczołgał się trochę, aż zobaczył brzeg

małego stawu, znajdującego się w obrębie ogrodu. Woda była czysta. Rosły tam lilie, tu i tam wystawały miniaturowe wysepki tworzone przez wielkie kamienie. Od czasu do czasu wyskakiwały spod wody czarne, białe i czerwone główki rybek, polujących na przelatujące tuż nad powierzchnią komary.

Po lewej do stawu wpadał strumień, nad którym przechodził stromy, łukowaty kamienny mostek. Na jego końcu stała para młodych ludzi w dre-

181

sach, z ręcznikami na szyjach. Całowali się namiętnie. Dziewczyna miała przypięte do paska radio, z którego dolatywała słyszana przez Stone'a muzyka. Partner ugryzł ją w szyję, obmacując jednocześnie pośladki. Nagle puścił gazy. Dziewczyna zachichotała.

Cholera jasna! - pomyślał ze złością Jack. Popatrzył z wściekłością na parę, a potem rozejrzał się uważnie po ogrodzie. Dokładnie naprzeciw niego stał mały pawilon - japońska herbaciarnia. Jej wsparta na drewnianych palach weranda sięgała ponad wodę.

Od pawilonu aż do bramy ogrodu prowadziła łukiem ścieżka, osłonięta śliwami i klonami. Wzdłuż niej stały kamienne latarnie i fontanna tsukubai z długim bambusowym drągiem i czerpakiem. Zaraz za bramą stał głaz wysokości człowieka.

Jack ocenił, że od bramy dzieli go mniej więcej czterdzieści metrów.

Trochę za daleko, żeby bez pudła w kogoś trafić. Jednak łatwo mu będzie zabić każdego, kto pojawi się na ścieżce wiodącej do herbaciarni.

Popatrzył znów na pieszczącą się na moście parę. Chłopak miał najwyraźniej poważne zamiary, przyciskając do siebie dziewczynę i

całując ją po całej twarzy i szyi. Spadaj, palancie, pomyślał Stone. Zabierz swoją panią do lasu i zabawiaj się ile wlezie; byle tylko nie tutaj.

Podciągnął rękaw i spojrział na zegarek. Była szósta czterdzieści trzy. Do dziewiątej jeszcze masa czasu. Przeklinając pod nosem, oparł brodę na zgięciu łokcia i patrzył, co poczyna para na moście.

Pies najwyraźniej stracił orientację. Jeździł w kółko, co rjiwila ładując nie na tym pasie co trzeba. Denerwował spieszących się do pracy kierowców, którzy trąbili ze złością. Widzieli w nim głupiego wieśniaka, który zgubił się w mieście i płacze im się przed zderzakami.

Jo-Jo podążał sumiennie, zaledwie o cztery samochody za półciężarówką, żeby nie stracić śledzonych z oczu. Chyba i tak nie zauważyli, że ktoś za nimi jedzie. Duży Hitler Hans strzelał od czasu do czasu małego Jamesa otwartą dłonią w tył głowy. Przypominali aktorów jakiejś głupkowatej komedii.

Wcześniej zatrzymali się w małym barze na śniadanie. Halberstadt wdał się tam w bijatykę z dwoma rośnymi Murzynami w zamszowych kurtkach i golfach. James przeraził się okropnie i usiłował odciągnąć krzepkiego Niemca i skłonić go do powrotu do samochodu, co w końcu nastąpiło.

- Oto i nasz cholerny podopieczny... - skomentował Kizzier, obserwując bar z odległości kilkudziesięciu metrów.

W tej chwili jednak niezbyt pasująca do siebie para krążyła po dzielnicy Wallingford, przystając od czasu do czasu pod drogowskazami, które Pies odczytywał ze strwożoną miną. W końcu zjechał na stację Shella i zapytał

182
o drogę jednego z pracowników. Tamten pokazał mu kierunek i wytłumaczył dojazd. James pokiwał skwapliwie głową, wrócił na

Czterdziestą Piątą i skierował się na zachód.

Azevedo wjechał na stację, wychylił się przez okno i gwizdnął na młodego pracownika.

- Hej, stary, można cię o coś spytać? - zawołał.

- Słucham? - odpowiedział usłużnie benzyniarz.

- Dokąd chciał jechać ten facet z półciężarówki?

- Co...? - zdziwił się chłopak.

- Z tej półciężarówki, która tu przed chwilą była - tłumaczył Jo-Jo.

- A co, panowie z policji, czy jak?

-Tak.

Pracownik Shella wzruszył ramionami.

- Pytał, gdzie jest przystań promów Yictoria - odpowiedział. Azevedo spojrział na Kizziera, a ten skomentował:

- Proszę, proszę...!

- A o którą przystań pytał? - ciągnął Jo-Jo. - W Zatoce Elliota czy Kingston?

- Elliotta - wyjaśnił młody mężczyzna.

Agenci ruszyli i włączyli się z powrotem do ruchu, podążając za odległą teraz półciężarówką.

- Zdaje się, że spotkanie odbędzie się na przystani promowej - stwierdził Albert.

- To by oznaczało, że mamy cholerny niefort - zauważył Azevedo. Kizzier zastanowił się.

- Może wcale nie - powiedział. - Może mają się spotkać na promie.

- To niewykluczone - ocenił Jo-Jo. - Ale nie licz na to.

- W takim razie zdejmujemy ich przed spotkaniem z promem linii British

Columbia - oznajmił Albert.

Azevedo syknął tylko niezadowolony.

Ogromny, białoniebieski prom o nazwie „Spokane”, kursujący pomiędzy Seattle a Yictoria, cumował już przy moło numer 48. Jo-Jo i Kizzier, zdążający wciąż za półciężarówką Jamesa, przejechali pod wiaduktem Alaskan Way i skręcili w długą nadbrzeżną promenadę, ciągnącą się wzdłuż Zatoki Elliota. Na zatłoczonym deptaku pełno było sklepików dla turystów, małych galerii sztuki i niedrogich jadłodajni serwujących świeże ryby.

Pies zatrzymał samochód koło budynku linii promowych Yictoria i wszedł do środka. Halberstadt splunął przez opuszczoną szybę półciężarówki i rzucił jakąś zaczepkę w stronę przechodzących obok dwóch nastolatek. Dziewczyny obejrzały się i odeszły, zaśmiewając się z niego.

-Nie podoba mi się to - skomentował Kizzier w samochodzie stojącym teraz koło rogu budynku. — Tu jest za dużo ludzi.

183

- Lepiej zdejmijmy ich od razu, z auta - zaproponował Azevedo.

- Nie, chcę spróbować złapać ich na gorącym uczynku - stwierdził Albert.

- Może facet, z którym mają się spotkać, jest na pokładzie. - Popatrzył za przechodzącą grupą japońskich turystów, strzelających wokół lampami błyskowymi. Para przewodników pomagała im się odnaleźć za pomocą małych chorągiewek z czerwonym słońcem na białym tle. Kizzier wystawił niegrzecznie środkowy paluch, widząc, że jeden z Japończyków wymierza aparat w jego stronę.

- Lepiej idź kupić bilety, zanim prom nam odpłynie - powiedział. - O której rusza?

- Chyba o ósmej.

Azevedo wysiadł i ruszył do wejścia budynku. Akurat w tym momencie wyszedł James. Mężczyźni przeszli tuż obok siebie.

Kiedy agenci wjechali na prom, zatrzymali samochód o dwa rzędy za półciężarówką śledzonych. Azevedo wyłączył silnik i wyjął ze schowka czapkę bejsbolową, przykrywając nią swoje kruczoczarne, kręcone włosy. Dwaj mężczyźni poprawili paski kamizelek przeciwodłamkowych, które mieli pod kurtkami.

Kilka minut później odezwała się syrena promu, a pokład zadygotał od ogromnych dieslowskich silników. Prom ruszył i zaczął powoli oddalać się od moła. Skręcił odrobinę w prawo, celując pomiędzy wyspę Bainbridge a dźwigi portowe West Point. W końcu wypłynął na otwartą zatokę i ustalił prędkość.

-Wychodzą- odezwał się Kizzier. James i Halberstadt wysiedli z półciężarówki i ruszyli po trapie na górny pokład. - Ile mamy czasu?

- Do czego? Do spotkania z promem linii Columbia? - upewnił się Jo-Jo.

-Tak.

- To mniej więcej w trzech czwartych drogi - poinformował Azevedo.

-Może ze dwie godziny.

- Dobra, idź za nimi i trzymaj się w pobliżu. Za minutę ja też tam wejdę. Ale zostanę w kabinie, żeby te palanty mnie nie zobaczyły.

Jo-Jo wysiadł z samochodu i przebiegł pomiędzy zaparkowanymi samochodami do trapu. Dostrzegł śledzonych na pokładzie pasażerskim. Przysiedli na jednej z wielkich, pasiastych skrzyń koło relingu. Wyglądały jak olbrzymie skrzynki na narzędzia.

Azevedo przeszedł koło obserwowanych i usłyszał, jak James mówi:

- ...człowieku, zaraz będę rzygał. Nie wytrzymam. - Halberstadt prychnął na to z obrzydzeniem. Był teraz ubrany w skórzaną kurtkę. Łysy i z postawionym kołnierzem wyglądał jak obergruppenfuhrer gestapo. Jo-Jo szedł dalej. Przystanął koło jednego z wielkich okien kabiny pasażerskiej. Zajrzał do środka przez przyciemnioną szybę. Chwilę później pojawił się Kizzier. Usiadł przy tym samym oknie, tyle że od wewnątrz.

184

Minęło dwadzieścia minut. Do Psa i Hitlera Hansa nikt nie podchodził. W końcu przenieśli się na jeszcze wyższy pokład, do małej, otwartej kawiarenki. Kręciły się po niej kelnerki w czerwonych fartuszkach. Reszta pokładu odgradzona była wysokim płotem.

Azevedo stanął na końcu trapu, przyglądając się śledzonym. Po chwili zszedł do Kizziera.

- Nie będzie żadnego spotkania - ocenił. - Najlepiej zdejmijmy ich teraz.

Albert rozejrzał się po akwenu. Prom mijał w tej chwili Port Gamble.

Widać było zwieszające się nad nabrzeżem dźwigi i niewielkie mola, otoczone żaglówkami, motorówkami i kutrami. W przystani stały także dwa frachtowce, które właśnie rozładowywano.

- Ile osób jest na górze? - spytał Kizzier.

- Z piętnaście-dwadzieścia.

- W którym dokładnie miejscu siedzą James i Halberstadt?

- Ich stolik jest mniej więcej nad nami, sąsiaduje z drucianym płotem, odgradzającym kawiarnię.

- Czy ktoś znajduje się w pobliżu?

- Kiedy tam byłem, nikt blisko nich nie siedział.

- Czy siedzą twarzami do trapu?

- Hans tak.

- Cholera - zaklął Albert. - Dobra, usiądź po prawej od nich. Tak, żebyś miał wolną linię strzału. Dam ci kilka minut; potem szybko wchodzimy.

- Dobra.

-I, Jo-Jo, uważaj. Ten walnięty Szwab prawdopodobnie cały czas jest na prochach. Bardzo możliwe, że zaatakuje.

- Będę uważał.

Azevedo wrócił na górny pokład.

Kizzier odczekał dokładnie dwie minuty. Była ósma dwadzieścia cztery.

Wyciągnął spod kurtki uzi i ruszył po trapie na górę, przeskakując po dwa schodki naraz, z opuszczoną bronią przy boku.

W otwartej kawiarni wiało. Kobiety przytrzymały sobie rękami włosy, sukienki wydymały się na ich biustach i nogach. Kiedy Albert znalazł się na pokładzie i objął sytuację spojrzeniem, przechodziła przed nim akurat kelnerka. Większość pasażerów siedziała w drugim końcu kawiarni, tylko para staruszków zajmowała stolik odległy o jakieś pięć metrów od Halberstadta i Jamesa. Niemiec mówił coś, a Pies przytakiwał. W górze łopotała flaga; w chłodnym powietrzu wisiał zapach spalin i słonej wody. Kizzier zobaczył, że Jo-Jo go zauważył i sięga pod kurtkę. Ruszył więc prosto w stronę Halberstadta, podnosząc uzi.

Kiedy wykonał drugi krok, Niemiec go zobaczył. Nawet z odległości dziesięciu metrów widać było, jak osadzone w mięsistej twarzy zielone oczy Hansa nabierają stalowego wyrazu.

185

Kizzier i Azevedo zawołali jednym głosem:

-Nie ruszać się, agenci federalni!!!

James obejrzał się i zobaczywszy wycelowane w swoją stronę pistolety maszynowe, otworzył oczy z przerażenia. Halberstadt tymczasem skoczył, przewracając krzesło, i sięgnął pod połę kurtki.

- Stój!!! - wrzasnął Albert.

Jednak ręka Niemca wyłoniła się z powrotem, trzymając rewolwer największego kalibru, jaki Kizzier w życiu widział. Wystrzelił więc serię; uzi szarpnęło się w jego rękę niemal delikatnie. Jo-Jo także strzelił. Kule przebiły Halberstadta, wydając odgłos przypominający uderzenia trzepaczki w dywan. Niemiec, odrzucony na płot, podnosił wciąż rękę. Jego palec skurczył się i rewolwer wystrzelił z trzaskiem strzelby śrutowej. Albert usłyszał koło siebie gwizd i uderzenie kuli.

James dał nura na pokład, żeby ująć śmierci. Jo-Jo postawił stopę na jego plecach, celując dalej w Halberstadta, który opadłszy na kolana i dłonie, dławił się. W końcu z jego ust poleciała obficie krew i runął twarzą do ziemi.

Kizzier, czując szum w skroniach, nadbiegł, ściskając obiema rękami broń. Ostrożnie opuścił rękę i spróbował wyczuć tętno na szyi Niemca. Halberstadt został zabity.

Ktoś krzyknął za plecami Alberta. Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył, że staruszka, która siedziała niedaleko stolika Hansa i Psa, leży na pokładzie z popielatą twarzą i porusza bezradnie ustami.

- Jezu! - zawołał Kizzier, podbiegając do niej.

18

Marquette leżał zupełnie bez ruchu, a jego wzrok przesuwiał się powoli od jednego punktu do drugiego - po krzakach, rosnących po drugiej stronie stawu, po łukowatym mostku i cieniach pod nim. Nie było widać żadnego

ruchu. Nawet liście były nieruchome jak na obrazie olejnym.

Matt leżał pod znajdującą się w ogrodzie japońską herbaciarnią; głową i plecami dotykał cedrowych desek podłogi. Ziemia była zimna i trochę wilgotna. Obok Marquette'a spoczywała na ziemi sportowa torba oraz karabin.

Dostał się tu przez las. Poszycie pogrążone było w półmroku, przysłonięte baldachimem gęsto rosnących, rozłożystych drzew. Matt posuwał się powoli, delikatnie stawiając stopy, po dywanie z opadłych igieł i mchu. Omijał otwarte polany i starał się trzymać w cieniu. Obudziły się w nim wypracowane wiele lat temu instynkty - był gotów zareagować na najcichszy choćby

186

odgłos czy też najdrobniejsze wrażenie ruchu. Na trzepot skrzydeł ptaka czy pęknięcie patyka. Od czasu do czasu dolatywały jednak tylko stłumione głosy od strony pola golfowego Broadmoor.

Z przyzwyczajenia Matt wachał nawet otaczające powietrze w poszukiwaniu nieprzyjaciela. Jednak to nie był Wietnam. W zaroślach nie czaili się żołnierze Wietkongu, śmierdzący marynowanymi burakami i przyprawioną pieprzem rybak nie czuć było także odoru psiego tłuszczu, którego używali do ochrony broni przed wilgocią. Zamiast tego pachniały wspaniale sosny, świerki i jagody.

Znalazłszy się w głębokim cieniu gęstych krzaków, Marquette zatrzymał się, żeby wykonać kamuflaż. Zdjął kurtkę, wtarł sobie w twarz i dłonie czarną ziemię. Potem poplamił sokiem wilczej jagody lufę i zamek karabinu, żeby chromowane powierzchnie nie odbijały światła.

Wchodząc do lasu, oceniał odległość i położenie japońskiego ogrodu na

około sześćset metrów w kierunku północno-wschodnim. Przemierzając się, od czasu do czasu kontrolował azymut, wykorzystując godzinową wskazówkę zegarka dla odnalezienia południa. Kilkakrotnie przecinał ścieżki. Raz jedną z nich przebiegał mężczyzna uprawiający jogging, dysząc miarowo. Matt padł natychmiast na ziemię i odczekał, aż ćwiczący się oddali.

Zbliżywszy się do ogrodu, usłyszał muzykę. Brzmiała niewyraźnie, jak z wiejskiego głośnika. Zwolnił i zaczął się czołgać. Po kilku minutach natknął się na parę młodych ludzi, leżących pod cedrem na rozłożonych na mchu ręcznikach. Dziewczyna odrzuciła na bok spodnie od dresu. Bluzę podciągnęła pod szyję; miała na sobie właściwie tylko gustowne czarne majteczki. Chłopak pieścił ustami jej piersi.

Marquette ominał ich hakiem.

Dotarł do krawędzi ogrodu, w pobliże tylnej ściany pawilonu herbaciarni. Przez prawie piętnaście minut leżał nieruchomo pod kępą bambusów i obserwował uważnie otoczenie. Japoński ogród wydawał się pogrążony w ciszy; dolatywały tu jedynie cichutkie odgłosy muzyki z radia młodych kochanków; odzywał się także powiew w liściach najwyższych drzew. W końcu Marquette wczołgał się na brzuchu pod pawilon.

W Wietnamie zwykły piechur zazwyczaj zabijał nieprzyjaciela, strzelając po prostu w krzaki, celując w stronę, z której zobaczył błyski ognia z lufy. Z żołnierzami SEALs było inaczej - zazwyczaj wykonywali mokrą robotę. Dochodziło do osobistego kontaktu z nieprzyjacielem i odebranie mu życia pamiętało się potem przez długi, długi czas.

Tutaj prawdopodobnie odbędzie się zwykła potyczka, jak to na linii frontu, myślał Matt. Musiał zlokalizować nieprzyjaciela i zniszczyć go z dystansu,

z ukrycia. Wróg chował się gdzieś przed nim. Był to jeden człowiek, ewentualnie dwóch.

Czy zajęli już pozycje? Jeśli tak, to potrafili się kryć. Marquette zdawał sobie sprawę, że po przybyciu Grady'ego prawdopodobnie będzie musiał

187

zdradzić swoje położenie i ściągnąć na siebie ogień nieprzyjaciela, gdyż tylko w ten sposób będzie mógł poznać jego kryjówkę.

Zaczął przygotowywać pole walki. Zaciągnął torbę na samą krawędź cienia rzucanego przez werandę. Grady będzie musiał nachylić się tam, aby ją podnieść. Dokładnie w tym momencie Mart rzuci się na adwokata; ten prawdopodobnie przewróci się przerażony i w ten sposób osłoni Marquette'a przed nieprzyjacielem, który otworzy wtedy ogień.

Mart będzie już wiedział, gdzie znajdują się jego wrogowie czy wróg. Ich pozycje zdradzą błyski ognia z luf. Przetoczy się, żeby zmienić położenie, i wypuści parę serii w te miejsca. Ryzykował dużo - będzie wystawiony na kule nieprzyjaciela. Jednak jeśli zrobi wszystko wystarczająco szybko, element zaskoczenia wyrówna jego szansę.

Wycofał się spowrotem w miejsce, gdzie wcześniej wczuł się pod pawilon, i zatrzymał się. Zobaczył, że bezpośrednio nad nim w podłodze herbaciarni znajduje się kłapa. Nie zauważył jej wcześniej. Przypomniawsobnie, czego dowiedział się, spędzając czas w Japonii. W tym kraju w podłogach domów zawsze znajdują się tajemne wyjścia, zwane age-buta. To pozostałość po dawnych czasach; umożliwiały wówczas kobietom ucieczkę w przypadku zaatakowania domu; mężczyzna walczył w tym czasie z napastnikami.

Marquette wyteńczył słuch i uniósł kłapę. Znajdowała się w obrębie leżącej

na podłodze maty. Przełożył przez otwór karabin i wciągnął się do wnętrza pawilonu.

Znalazł się w małym pokoju, o obramowaniu z cedrowych belek i częściowo przejrzystych ścianach z papieru ryżowego i przesuwanych drzwiach typu shoji. Na ścianach wisiały ozdobne maty, wymalowane charakterystyczną, japońską kaligrafią i przedstawiające zamglone, górskie widoki. Maty podłogowe, czyli tatami, wykonane były z ciasno plecionej słomy. W całym pokoju był tylko jeden mebel - stojący na środku niski, złoto-czarny stolik. Znajdowały się na nim przedmioty potrzebne do ceremonii parzenia herbaty oraz plansza i kamienie do gry w go.

Mart przeszedł do drzwi, które wychodziły na staw, kucnął i odsunął je na centymetr-dwa. Coś nagle przebiegło tuż przed nim. Jego serce zatrzymało się na moment, ale po chwili uspokoiło - zobaczył, że to tylko wiewiórka. Poskakała dalej ścieżką.

Popatrzył na zegarek. Była ósma trzydzieści dziewięć.

Stone'owi tak wyschły usta, że aż go piekły, a cały lepiał się od potu. Do tego jeszcze muzyka z tandetnego radyjka doprowadzała go do szaleństwa. Wydawało się, że otacza go ze wszystkich stron, wypływając uporczywie spomiędzy zarośli.

188

Od czasu do czasu przed bramą ogrodu przejeżdżał samochód. Za każdym razem Jack napinał się, a potem uspokajał, kiedy pojazd posuwał się dalej Arboretum Drive. Raz przejechał mężczyzna w roboczym ubraniu na ogromnej kosiarce-tractorku, której osłonięte metalowymi pierścieniami wirujące ostrza były uniesione na boki niczym złożone skrzydła samolotu parkującego na pokładzie lotniskowca.

Stone raz po raz spoglądał na zegarek. Czas jakby się zatrzymał w pozbawionym wszelkiego ruchu ogrodzie. W poszyciu przemykały jakieś małe, tajemnicze stworzenia; wyżej przelatywały ptaki. W pewnym momencie przeraziła Jacka piękna szara wiewiórka przebiegająca przez werandę herbaciarni. Dreszcz przeszedł mu przez plecy.

Oczy zaczęły mu łzawić od długotrwałego wpatrywania się w te same, nieruchome punkty. Miał już dosyć oglądania pseudojapońskich wyrobów i nasłuchiwania plusku rybek.

- No chodź, sukinsynu...! - mruknął pod nosem zniecierpliwiony.

Od czasu do czasu myśli Jacka odpływały, tak bardzo był już zmęczony.

Raz nawet zapadł w drzemkę, tylko na parę sekund. Natychmiast obudził się gwałtownie. I wciąż słyszał tę cichą muzykę: Dizzy'ego Gillespie, Wyntona Marsalisa...

Nagle muzyka się urwała, jak gdyby para wyłączyła radio. Jednak po kilku sekundach odezwał się głos spikera:

„Jeden mężczyzna zginął, a kobieta została ranna podczas wymiany ognia, do jakiej doszło przed kilkunastoma minutami, na pokładzie promu »Spoka-ne«, należącego do linii Yictoria. Statek natychmiast zawrócił do Seattle.

Policja i przedstawiciele linii Yictoria nie chcą na razie zdradzać wszystkich szczegółów, jednak nieoficjalne źródła utrzymują, że zabity mężczyzna zginął z rąk agentów federalnych i był znanym niemieckim terrorystą poszukiwanym przez policję w całej Europie".

Stone zeszywniał. O Boże, przecież ten spiker mówi o Halberstadcie!

-pomyślał. Boże drogi! Poczul uścisk w trzewiach i nagle gorąco. „Jeden mężczyzna zginął". Co zatem z Jamesem? Boże, przecież to nie miało się

stać...!

Przez długą chwilę Jack leżał oszołomiony, nie słysząc spikera zapowiadającego dalszy ciąg programu ani powracającej muzyki. Wbijał wzrok w krzak znajdujący się najbliżej niego i nie widział go nawet. W ułamku sekundy jego plan poszedł w drzazgi. Cała wycyzelowana struktura rozpadła się, obróciła wniwecz; wszystkie starania okazały się daremne.

A był już tak blisko celu. Za kilkanaście minut odzyskałby kulę. Miałby też czas ją podłożyć i zniszczyć jednym błyskawicznym uderzeniem to, co przeszkadzało mu w odniesieniu wielkiego sukcesu rynkowego i zdobyciu niezmiernych bogactw - Williama Ballarda i jego końcem PrimeData Corporation.

189

Bomba biologiczna zabiłaby Ballarda i wszystkie kluczowe osoby w jego firmie, zarażając je nieuleczalnym węglikiem. Stworzony przez Stone'a komputerowy system zabezpieczający BODYGUARD-t wypełniłby powstałą nagle lukę na rynku i w ciągu krótkiego czasu zdominowałby go. Wyobraził sobie Ballarda, którego nienawidził z całego serca, aroganckiego człowieka, inteligentnego jak jasna cholera, i poczuł silne pragnienie starcia go na proch.

.. .Zaraz... Nie. A niech to! Wszystko jeszcze może się udać...!

Co będzie, jeśli James puści parę z ust i zacznie o wszystkim opowiadać? A tak niewątpliwie będzie. Chętnie pochwali się policji, że wraz z Halberstadtem mieli spotkać się w Yictoria z Diederem Keckiem i zawrzeć umowę w sprawie tajnych dostaw broni z Niemiec dla amerykańskich ruchów paramilitarnych.

Czy policja mu uwierzy? Czy może raczej dojdzie do wniosku, że James i Halberstadt dostali zadanie zabicia Ballarda w terrorystycznym zamachu, w ramach szeroko zakrojonej akcji przeciwko amerykańskiej technice i rządowi?

Takie było bowiem założenie Stone'a. To jedyna rola, jaką mieli odegrać ci ludzie w jego planie. Taki i tylko taki był powód, dla którego starannie przygotował ich wizytę w Seattle, łącznie ze szczegółowym planem podróży, który miał umożliwić agentom Biura do spraw Alkoholu, Narkotyków i Broni Palnej namierzenie ich. Ściągnął agentów do Seattle, podając im na talerzu Goodella, a następnie zabijając go w areszcie. Nawet bomby podrzucone przez rzekomego „Jeźdźca” w Denver i Dolinie Krzemowej były dziełem Stone'a. Wszystko zostało zorganizowane jedynie po to, żeby stworzyć wrażenie, że amerykańskie antyrządowe ruchy paramilitarne nasilają kampanię terroru i że to one są winne zagłady kierownictwa PrimeData Corp. W obecnej atmosferze nikt nie podałby tego w wątpliwość.

Przez chwilę Jack rozważał swoje możliwości. Jednak nie miał specjalnego wyboru. W jego szalonym umyśle nie było miejsca na poddanie się. Tak, jest nadal w stanie dokończyć całą akcję i zrobi to - postanowił.

Wrócił natychmiast do rzeczywistości, widząc, że przed bramę ogrodu zajeżdża lśniący, czerwony jaguar Grady'ego.

John Wayne wyłączył cichutko szumiący silnik. Siedział za kierownicą i rozglądał się, poznając otoczenie. Poranek był chłodny, niebo szare i zachmurzone. Elegancko przystrzyżone trawniki parku przywodziły na myśl angielską posiadłość. W okolicy nie było nikogo, jeśli nie liczyć

pracownika parku jeżdżącego na kosiarce ze czterysta metrów od japońskiego ogrodu.

Adwokat oparł dłonie na kole kierownicy i westchnął głęboko. Miał spocone ręce. Cholera, nie podoba mi się to, myślał. Czuł się uzależniony od

190

innych i przynajmniej częściowo bezbronny. Był przekonany, że to, w czym bierze udział, da mu się we znaki. Cholerny Stone!

Grady był przyzwyczajony do obcowania z ludźmi społecznie nieprzystosowanymi, paranoikami, nawet prawdziwymi psychotykami. I był pewien, że Jack Stone zalicza się właśnie do tych ostatnich, cierpiących na poważną chorobę psychiczną. Znać było po nim wszystkie łatwo rozpoznawalne objawy - wyglądał na człowieka

niezrównoważonego, zaabsorbowany był jakimś sobie tylko znanym zamiarem do tego stopnia, że w wypadku niepowodzeń wyzwalała się w nim dzika agresja. Od zwykłych kandydatów na pacjentów szpitali psychiatrycznych różnił się tylko tym, że był dużo groźniejszy.

Zachowywał się jak robot zdążający do obranego celu uparcie i bez ustanku, dopóki nie wyczerpią się absolutnie wszystkie jego możliwości. Bezwzględny, niebezpieczny człowiek.

John Wayne rozglądał się, zwracając uwagę na szczegóły otoczenia. Gdzie jesteś, Marquette? - myślał. Spojrzał na zegarek. Było trzy po dziewiątej.

Obok Grady'ego na siedzeniu leżały dwa nesesery. Otworzył mniejszy.

Znajdowało się tam sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów w banknotach studola-rowych, a także jednodolarowych. Setki leżały na wierzchu, a jedynki znajdowały się pod spodem. Z wierzchu wyglądało to bardzo

dobrze.

Pieniądze nie należały zresztą do adwokata. Wszystko, co miał, trzymał na rachunkach bankowych. John nie chciał, żeby w przypadku katastrofalnego niepowodzenia całej sprawy w archiwum banku znajdowała się informacja o pobraniu z konta tak ogromnej sumy. Udał się zamiast tego do pewnego znanego sobie bukmachera, wymyśliwszy zdumiewającą historyjkę, za pomocą której zdołał przekonać go, żeby wyłożył sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów i powierzył mu je na słowo honoru.

Zamknął teraz neseser i odczekał kolejne dwie minuty. W końcu powoli otworzył drzwi i wysiadł. Obszedł samochód i przystanął, żeby przyjrzeć się okolicy. Oparł się ostrożnie o tylny błotnik jaguara. Zajrzał do wnętrza ogrodu. W środku nie było nikogo.

Gdzie u licha jest Stone? - myślał. Czy pomylił miejsce? Albo może godzinę? Nie, Stone na pewno mówił o wejściu do japońskiego ogrodu i dziewiątej rano.

A może mam wejść do środka? - pomyślał. Okrążyć go, pokazać wszystkim partnerom, że jestem i nie próbuję żadnych sztuczek? Sięgnął do wozu i wyjął mniejszy z neseserów. Zebrał się w sobie i wkroczył do ogrodu, mijając wielki, pionowo ustawiony głaz.

W ogrodzie było bardzo cicho i spokojnie. Nic się nie poruszało.

Powierzchnia stawu ani drgnęła; zwieszały się nad nią wierzby i klony o zastygłych w martwym powietrzu liściach. Czuć było lekko kwaskowaty zapach wody, przypominający trochę woń niemytych stóp.

Grady przeszedł powoli ścieżką wiodącą do stojącej nad stawem japońskiej herbaciarni. Cały był napięty. Stawiał kroki ostrożnie, jak

gdyby

191

poruszał się po polu minowym. Chrząst jego stóp na żwirze rozlegał się donośnie niczym dźwięk kruszonego szkła. Adwokat poczuł, że serce kołacze mu w piersi.

Dotarł do pawilonu i przystanął. Czyżby słyszał muzykę? Tak, była stłumiona. W japońskim ogrodzie grają bluesa? -zdziwił się. W pobliskiej kępie bambusów coś się poruszyło. Zaczyna się! - pomyślał, sztywniejąc. - Grady - odezwał się jakiś bezbarwny głos.

Zamarł kompletnie i czekał. Tylko jego oczy lustrowały wszystko wokół. - Połóż neseser na werandzie.

Nieznany mu głos brzmiał dziwnie głucho, jak gdyby dobywał się z pudła. Na pewno nie dochodził z kępy bambusów. John Wayne popatrzył na budyneczek herbaciarni. Tak, Marquette musi być w środku.

- Szybciej - ponaglił głos. - Opuść wzrok i nie podnoś, bo zginiesz na miejscu.

Boże Wszechmogący! -pomyślał Grady z przerażeniem. Posłusznie spuścił spojrzenie na swoje wozzyste, błyszczące kowbojskie buty. Z opuszczoną głową zrobił krok, wychylił się i postawił walizczkę na podłodze werandy zrobionej z cedrowych desek. Wyprostował się i stał jak wmurowany.

Minęło pół minuty.

- Gdzie jest kula, Marquette? - zapytał w końcu.

Cisza.

Grady'ego ogarnęło nagle straszne poczucie zbliżającej się eksplozji, jak gdyby coś lub ktoś miał za chwilę w niego uderzyć. Skulił się, chowając

głowę w ramionach. Miał ochotę odwrócić się natychmiast i wybiec z tego przerażającego miejsca. Nie zrobił tego jednak.

- Cholera jasna - powiedział drżącym głosem. - Dostałeś pieniądze. Oddaj mi tylko kulę i odjadę. Milczenie.

Stone nie usłyszał pierwszego słowa, jakie padło, zobaczył jednak, że głowa Grady'ego drgnęła gwałtownie. Dłoń Jacka zacisnęła się natychmiast na kolbie ingrama. Wtedy zza stawu odezwał się cicho Marquette:

- Połóż neseser na werandzie.

Gdzie on jest? Gdzie on jest? - myślał nerwowo Stone, rozglądając się po krzakach i kępie bambusów, znajdujących się za prawnikiem. Nie było jednak widać żadnego ruchu. A mimo wszystko Marquette musiał znajdować się gdzieś blisko Grady'ego. Jack jeszcze raz przeczesał wzrokiem otoczenie Johna Wayne'a.

- Szybciej. Opuść wzrok i nie podnoś, bo zginiesz na miejscu - doleciało go.

Prawnik nachylił się i postawił neseser na werandzie.

192

Stone nadal nie widział śladu Marquette'a. Nie było żadnego ruchu, fragmentu ubrania czy widocznych zza krzaka ciemnych włosów.

Zaraz. Przecież Marquette musi siedzieć w herbaciarni. No jasne! To jedyne miejsce, gdzie mógł się znajdować. Albo pod stojącym na palach pawilonem. Jack przyłożył broń do oka, podkładając pod magazynek lewą rękę. Przesunął wylot lufy w lewo, celując końcówką tłumika obok pierwszego pala pod werandą. Zmrużył oczy, próbując wyróżnić coś w głębokim cieniu.

Nie udało mu się.

Czyżby Marquette sam wpędził się w taką pułapkę, nie pozostawiając sobie możliwości swobodnego ruchu? - zdziwił się Stone. Nie, nie był taki głupi. W takim razie siedzi raczej wewnątrz pawilonu. Jack uniósł lufę na wysokość odsuwanych drzwi z papieru rozpiętego na drewnianych ramkach. Ryżowy papier był biały, poprzedzielany ciemnymi krzyżami ramy.

Czy te drzwi nie są czasem minimalnie uchylone? Tak! Stone zeszywniał i poczuł na języku słony smak zabijania. Był teraz tak skoncentrowany, że przestał słyszeć dolatującą wciąż zza drzew muzykę.

Leżał i czekał, aż Marquette zobaczy pieniądze i odda kulę, a Grady sprawdzi ją i odejdzie. Wtedy Stone otworzy ogień i posieka papier ryżowy razem z podtrzymującymi go ramkami i Marquette'em na drobne kawałki.

Usztywnił palec na spuście.

Mart także czuł się jak na szpilkach. Każdy jego nerw przesyłał ostre sygnały. Słyszał, dotykał, czuł wszystko, co się dało - cedrowe drewno i słomę herbaciarni, rosnące w lesie sosny. Odczuwał znikomy ruch powietrza, i stłumione tony muzyki. Po papierowej ścianie przesunął się długonogi pająk. Marquette'owi zdawało się, że słyszy, jak przedzie on swoją nić.

Grady stał ciągle jak słup soli. Był typem wykwinanego mieszczucha, wystrojonego w kowbojskie łaszki - wielki, czarny kapelusz, kurtkę Levisa, do tego barwione na żółto okulary. Nawet stąd było widać pot na jego twarzy.

- Nie szykuję żadnych sztuczek! - odezwał się zdesperowany adwokat.

-Jeśli chcesz dokonać wymiany, to zrobmy to wreszcie.

- Pod werandą- rzucił Mart.

Grady wyprostował się odrobinę, szybko klęknął i zajrzał pod deski.

Sięgnął i wyciągnął torbę, wyprostował się.

- Sprawdź - poleciał Marquette.

Prawnik posłuchał go. Otworzył torbę, rozwinął ręcznik i wyjął kulę.

Podniósł ją wysoko, pokazując niczym trofeum.

A więc są tam i obserwują, pomyślał Mart.

John Wayne schował kulę i zamknął torbę. Wydawał się niezdecydowany.

Marquette śledził uważnie jego spojrzenie, wydawało się jednak krążyć bez celu.

13 - Oddech śmierci

193

- Połóż torbę na werandzie i otwórz neseser - poleciał więc Mart.

Adwokat szybko zastosował się do tego żądania, chcąc jak najszybciej opuścić ogród. Szczęknięły zamki. Grady otworzył walizeczkę i pokazał Mar-quette'owi jej zawartość. Była pełna ułożonych w równiutkie stosiki pieniędzy.

Matt się szykował. Wyobraził sobie, co się za chwilę stanie - każdy ruch, każdy ułamek sekundy. Spiał się cały, niemal nie zdając sobie z tego sprawy. Do jego mięśni napłynęła krew. Kciuk odbezpieczył karabin. Skronie pulsowały.

Teraz!

Marquette skoczył naprzód, wypadając przez zamknięte drzwi. Jego stopy uderzyły w werandę, nachylił się. Kawałki patyków i papieru opadły.

Odwrócił głowę, przesunął wzrokiem po krzakach, kamieniach i pniach

drzew.

Zobaczył kątem oka przerażenie na twarzy Grady'ego, którego oczy i usta otworzyły się szeroko. Ciało prawnika zafalowało, gdy szykował się do ucieczki.

Matt przebiegł koło niego, przewracając nogą neseser. Banknoty poleciały w górę. Zeskoczył z werandy, wyprostowując się, z karabinem w obu dłoniach.

Tam!

Zobaczył małe błyski ognia z lufy w krzakach po drugiej stronie stawu, i usłyszał cichy stukot broni maszynowej z tłumikiem. Brzmiało to, jak gdyby ktoś ciskał szybko do nieruchomej wody małe kamyki. Kule uderzyły w belkę werandy, a dwie trafiły w coś miękkiego. Jedna odbiła się rykoszetem od twardej powierzchni z bzykiem rozpedzonego świdra przebijającego arkusz blachy.

Matt padł na ziemię, uderzając w nią najpierw kolbą karabinu. Przetoczył się, nie odrywając oczu od miejsca, skąd wyleciała seria. Ukląkł, unosząc broń na poziom biodra i wypuszczając serię siedmiu kul. Karabin zadygotał i rozległ się jego donośny łoskot.

Kątem oka Matt dostrzegł osuwającego się bezwładnie na ziemię Grady'ego. Spadł mu kapelusz, twarz miał całą zakrwawioną. Znieruchomiał. Jedna z jego nóg ześliznęła się do wody.

Marquette poczuł ostry zapach prochu. Próbował przetoczyć się w lewo, nie udało mu się to jednak. W tym samym momencie po drugiej stronie stawu trzykrotnie błysnęła lufa, dwa metry od poprzedniego miejsca.

Szybkie rozbłyski zlały się niemal w jeden.

Matt poczuł dwa straszliwe uderzenia w pierś, które odrzuciły go aż na

rosnący za nim bambus. Karabin ze strzaskaną kolbą odleciał na bok. Marquette nie był w stanie oddychać. Zupełnie jak gdyby ktoś wyssał mu przez usta całe powietrze z płuc. Maksymalnym wysiłkiem starał się wciągnąć je z powrotem; usłyszał własne dławienie się i coś, co runęło do stawu.

Minęły całe sekundy. W polu widzenia Matta pojawił się okazały cień. Mężczyzna o końskiej twarzy, którego widział na promie. Stanął nad nim, 194

uśmiechając się. niczym diabeł. W jednym ręku trzymał torbę Marquette'a, w drugim - mały pistolet maszynowy. Uniósł go. Broń była czarna i miała nieproporcjonalnie długą lufę. Wycelował prosto w czoło Marta.

- Idź do piekła, skurczybyku! - warknął zabójca.

Rozległ się krzyk kobiety. Był tak przeraźliwy, tak wysoki, że wydawał się dobiegać ze wszystkich stron naraz, odbijając się od drzew i powierzchni stawu. Powtórzył się.

Człowiek o końskiej twarzy rozejrzał się przerażony niczym złodziej złapany na gorącym uczynku, oświetlony snopem światła latarki. Odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki.

Marquette zamknął oczy. W ciemności próbował oddychać, ale powietrze pozostawało na zewnątrz, zupełnie jakby to była plastikowa atrapa.

19

Piętnaście minut wcześniej Kelli złamała instrukcje Matta...

Wróciwszy na uczelnię, do laboratorium, nie była już w stanie znieść rozsadzającego ją niepokoju. Czuła, jak gdyby w jej mózgu biegały robaki, a nieopanowane zimno napędzało ją w dziwny sposób, zmuszając do nieustannego chodzenia po sali. Wszyscy jej koledzy i koleżanki z pracy

gapili się na nią w zdumieniu; nikt nie pracował.

- Cholera jasna! - odezwał się Gilhammer po raz trzeci z rzędu. - Kelli, przez ciebie oszaleję! Co się, do diaska, dzieje?! Pickett popatrzyła na zegar. Była dziewiąta dwie.

- Nie mogę ci jeszcze teraz powiedzieć. Troy złapał ją za ramię.

- Stój, dziewczyno! Powiedz mi, natychmiast!

- Nie mogę.

- Chryste, popatrz na siebie...!

Kelli wyszarpnęła się i ruszyła dalej. Zatrzymała się jednak nagle, odwróciła i popatrzyła znów na Gilhammera. Pokręciła głową, jak gdyby karcąc samą siebie, i oznajmiła:

- Nie mogę. Nie mogę czekać ani chwili dłużej. - Z tymi słowami podeszła do telefonu.

- Połącz się z centralą CKE w Atlancie! - rzuciła do swojego szefa.

- Z czym? - zdumiał się Troy.

- Z Centrum Kontroli Epidemii.

Wszyscy popatrzyli po sobie. Co się dzieje? - pomyśleli.

195

- Nie rozumiem... - odpowiedział Gilhammer.

- Zrób to! - krzyknęła Kelli.

Sama wystukała numer do informacji telefonicznej, gdzie poprosiła o telefon szeryfa okręgu Clallam. Po trzech sygnałach odebrała jakaś policjantka:

- Biuro szeryfa okręgu Clallam, posterunkowa Lopez.

- Chcę rozmawiać z porucznikiem Dwa Łosie; natychmiast, w sprawie niecierpiącej zwłoki - rzuciła Pickett.

- Pani nazwisko? - usłyszała.

- Kelli Pickett. Zna je dobrze - odpowiedziała.

- Co to za sprawa nie cierpiąca zwłoki?

- Błagam panią, nie ma czasu. Muszę z nim natychmiast mówić!

- Chwileczkę.

Kelli rozejrzała się. Gilhammer rozmawiał z informacją telefoniczną Atlanty.

- Tak, wystarczy mi numer ich centrali - powiedział, zapisując. - Dziękuję.

Pickett wycelowała palcem w jedną ze swoich koleżanek, Laurie. Kazała jej uruchomić komputery, których używała do analizy kuli, i podała jej kody dostępu. Dziewczyna popatrzyła na nią pytająco.

- Rusz się! - popędziła ją Kelli. Laurie spojrzała więc na innych, wzruszyła ramionami i ruszyła do komputerów.

- Tak - mówił Gilhammer do telefonu. - Chciałbym rozmawiać w sprawie... - spojrzał na Pickett. - W jakiej sprawie?

- Skażenia biologicznego szybko przenoszącym się, zmutowanym węglikiem - podpowiedziała.

Zebrani popatrzyli na siebie z przerażeniem.

- Powiedz, że za chwilę prześlemy im dane komputerowe. Podaj nasze kody dostępu.

- Porucznika Dwa Łosie chwilowo nie ma - odezwała się tymczasem policjantka.

-A gdzie jest?

- Nie mogę udzielić pani tej informacji. O co konkretnie chodzi?

- O sprawę Matthew Marquette'a.

- Połączę panią z szeryfem.

- Nie chcę mówić z szeryfem! - odparła zniecierpliwiona Kelli. - Proszę skontaktować się z porucznikiem Dwa Łosie i powiedzieć, żeby zadzwonił do mnie natychmiast.

- Dobrze, jaki jest pani numer? - odpowiedziała Lopez. Pickett podała jej numer i rozłączyła się.

Skoczyła do Gilhammera i wyrwała mu z ręki słuchawkę, nie zważając, że coś mówi.

- Z kim rozmawiam? - rzuciła.

196

W słuchawce odezwał się niski, dźwięczny męski głos.

- Zastępca dyrektora Russell Sullins. A z kim ja rozmawiam? Kelli przedstawiła się, wyjaśniając, że jest pracownikiem naukowym uniwersytetu stanu Waszyngton. Następnie oznajmiła powoli i wyraźnie:

- Jestem w posiadaniu danych urządzenia do transformacji biologicznej węglika. Przetwarza bakterie w formę zdolną do rozprzestrzeniania się w powietrzu.

Sullins zamilkł na chwilę, po czym zapytał:

- Czy pani mówi poważnie?

- Bardzo poważnie - odparła.

- Mój Boże - usłyszała. - A gdzie jest to... urządzenie?

- Tutaj, w Seattle.

Zadzwonił drugi telefon. Jeden z kolegów Kelli odebrał i podał jej słuchawkę.

Pickett oddała Gilhammerowi słuchawkę jego telefonu i poleciła:

- Powiedz temu człowiekowi, żeby natychmiast połączył się z naszymi komputerami. Są w nich wszystkie dane. - Odezwała się do drugiej

słuchawki: - Porucznik Dwa Łosie?

-Tak.

Wyłożyła mu całą sprawę; mówiła szybko, ale wyraźnie i rzeczowo.

Czuła, jak słowa formują się w jej ustach i wylatują kolejno, jak gdyby długo czekały, wypełniając ją po same brzegi. Siedzący w laboratorium ludzie patrzyli na nią z otwartymi ustami, zaszokowani. Porucznik nie przerywał jej. Nie wydawał żadnego dźwięku. Doszła do końca.

- Gdzie w tej chwili znajduje się Marquette? - zapytał spokojnie.

- W parku Waszyngtona - odpowiedziała, patrząc na ścienny zegar. Była dziewiąta siedemnaście. Słychać było sygnały komputerów przesyłających dane do centrum w Atlancie.

Po krótkiej pauzie detektyw oznajmił:

- Przekazuję panią naszej telefonistce. Proszę pozostać pod tym numerem.

- Zamilkł.

Po chwili odezwała się jakaś kobieta:

- Tu telefonistka numer czternaście. Proszę powtórzyć swoje nazwisko i numer telefonu.

- Gdzie porucznik Dwa Łosie? - spytała Kelli przestraszona. - Co teraz będzie robił?

- Proszę podać mi nazwisko i numer. - Policyjna telefonistka nie ustępowała.

- Tak, oczywiście - odezwał się głos Gilhammera. Troy opuścił swoją słuchawkę, zasłonił ją ręką i powiedział do Pickett: - Analizują dane.

197

Kiedy ustał skurcz mięśni wokół splotu słonecznego, powietrze wróciło nagle do płuc Marquette'a. Wciągnął je chciwie, wciąż przepełnione było

zapachem prochu. Odwrócił głowę.

Człowiek o końskiej twarzy, pochylony, z torbą Matta i pistoletem maszynowym na ramieniu wypadł, właśnie przez bramę ogrodu i zniknął, zasłonięty stojącym przy niej głazem.

Marquette usiadł. W powietrzu wisiał jeszcze rozproszony dym, zupełnie jakby ktoś zgasił przed chwilą ognisko. Wstał. Doznał zawrotów głowy. Pierś paliła go w miejscach, gdzie kule wbiły się w przeciwodłamkową kamizelkę. Jedna z nich, spłaszczona, wypadła z wybitego przez siebie wgłębienia.

Matt popatrzył na ciało Grady'ego. Jedna z nogawek jego spodni nasiąkała wodą ze stawu; twarz zwrócona była ku niebu. Jej lewa strona została zmiażdżona przez kulę. Krew kapiała z niej na omszałe kamienie.

Marquette podniósł karabin. Kolba była strzaskana, a zamek przebity - dziura w nim miała średnicę kciuka. Matt odrzucił bezużyteczny wrak karabinu, wyprostował się i ruszył biegiem ścieżką w stronę bramy ogrodu. Bolała go głowa.

Kiedy minął wielki głaz stojący u wejścia, zobaczył swojego niedoszęłego zabójcę. Znajdował się w niebieskim, sportowym pontiacu trans am, stojącym koło budynku centrum dla gości parku. Na oczach Marquette'a mężczyzna wrzucił bieg i ruszył z piskiem opon.

Matt wyciągnął ze spodni swojego browninga hi-power, odbezpieczył i uniósł pistolet obiema rękami. Wycelował w tylną szybę szybko oddalającego się samochodu i dwukrotnie wystrzelił. Broń szarpnęła się, a łuski poleciały na chodnik.

Jedna z kul wbiła się w bagażnik trans ama z odgłosem przypominającym uderzenie w pęknięty dzwon. Druga strzaskała tylną szybę. Pojazd trzymał

jednak nadal kurs, zakręcając z wielką prędkością łagodnie ku bramie parku wychodzącej na Washington Boulevard.

Marquette zobaczył wystraszone twarze dwóch kobiet, obserwujących scenę zza rogu budynku. Mężczyzna na kosiarce zatrzymał swój traktorek i stanął na siedzeniu, żeby lepiej widzieć.

Jezus Maria! - myślał Matt z przerażeniem. Jezus Maria! Ten facet odjechał z kulą!

Odwrócił się na pięcie i zobaczył jaguara Grady'ego. Dopadł do niego i szarpnął za drzwiczki. Były otwarte. Rzucił więc browninga pomiędzy przednie fotele i skoczył za kierownicę.

Wnętrze samochodu pachniało delikatnie skórą i drewnem, a także dobrej marki cygarami. Kluczyki ze srebrno-turkusowym breloczkiem tkwiły w stacyjce. Marquette uruchomił silnik i sięgnął do dźwigni biegów...

Wszystko stanęło mu znowu przed oczami jak żywe. Wiatr świstał w tunelach, mała kierownica tkwiła w jego rękach, gorący silnik pachniał rozgrzanym metalem, czekając, aż stopa Matta znowu wyzwoli z niego potężną

198

moc. Prędkość była ogromna, ogarniało go przerażenie. A potem wszystko zamieniło się w kulę ognia, wznoszącą się w czyste, błękitne niebo nad Barceloną. Pośród olbrzymich płomieni widać było podrzucone podmuchem małe, bezbronne ciała ludzi.

W jednej chwili czoło Marquette'a pokryło się kropelkami potu. Zadrzał, pochwycony na moment przez okropne wspomnienie; usłyszał, jak z jego piersi dobywa się jęk.

Natychmiast jednak się skupił, aby odegnać obezwładniającą wizję.

Zmagał się przez chwilę z sobą samym. W końcu poczuł, że stopniowo się rozluźnia. Odetchnął.

Wrzucił pierwszy bieg. Czując pulsującą w skroniach krew, wcisnął pedał gazu aż do deski. Jaguar uniósł się i skoczył naprzód, piszcząc przeraźliwie oponami.

Dokładnie o dziewiętej dwadzieścia jeden do stolika w sali bankietowej restauracji Banners w hotelu Sheraton, gdzie siedział burmistrz Seattle, Norman Kerberry, podszedł jego sekretarz. Kerberry był przystojnym czarnym mężczyzną o pięknym uśmiechu i łagodnych, brązowych oczach. Trwało uroczyste śniadanie dla kierownictwa słynnego Seattle Aquarium, połączone z wręczaniem nagród. Burmistrz został zaproszony jako specjalny gość i przed chwilą wygłosił krótkie, okolicznościowe przemówienie. Za chwilę miał wziąć udział w konferencji prasowej zarządu komputerowego koncernu PrimeData na szczycie wieży Space Needle. Pomyślał, że sekretarz chce przypomnieć mu o tym, że czas się niedługo zbierać.

Sekretarz powiedział jednak:

- Przepraszam, czy mogę przez chwilę porozmawiać z panem na osobności, sir?

Kerberry przeprosił więc swoje towarzystwo i wyszedł z sekretarzem na korytarz, a potem udał się z nim do małej sali konferencyjnej. Sekretarz zamknął drzwi.

- Dzwoni szef policji, sir - poinformował sekretarz.

Burmistrz się zaniepokoił. Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Co się stało, Gary? - zapytał.

- Czy to na pewno bezpieczny telefon? - spytał w odpowiedzi komisarz

Gary Tiener.

- Jak to? - zdziwił się Norman.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek poza panem i mną słyszał naszą rozmowę
-wyjaśnił komisarz.

- Hmm, chyba w miarę bezpieczny - odparł Kerberry. - Jestem w sali konferencyjnej.

- Być może grozi nam wielka katastrofa - oznajmił Tiener.

199

-Jaka?

- Właśnie zadzwonili do mnie z posterunku w okręgu północnym. Pewna kobieta z uniwersytetu twierdzi, że gdzieś na terenie miasta znajduje się bomba biologiczna. Cholera, ona mówi, że to węglik.

Burmistrz był zaszokowany. Terrorysty!

- Bomba biologiczna? Węglik? - powtórzył. - Czy... czy to aby na pewno nie jest zwykły dowcip?

- Nie wiemy. Ale ta kobieta jest asystentką profesora na uniwersytecie. Podobno sprawa ma związek z ostatnimi zabójstwami w Dungeness i w głębi stanu. Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów. Jednak na razie musimy założyć, że zagrożenie jest prawdziwe.

Kerberry próbował uspokoić jakoś rozbiegane myśli. Wstał i zaczął chodzić w kółko na tyle, na ile pozwalał sznur od telefonu.

- Co zdążył już pan zrobić? - spytał.

- Uruchamiam w tej chwili nasz segment planu na wypadek zagrożenia. Nadaję mu kategorię czwartą- poinformował szef policji.

Kategoria czwarta! - pomyślał Norman. Katastrofalne zagrożenie!

Usiłował przypomnieć sobie dokładną kolejność działań, którą

przewidywał protokół ustalony na konferencjach na poziomie samorządu lokalnego i federalnego. Plan był w istocie pogmatwany. Nikt nie spodziewał się, że rzeczywiście dojdzie wkrótce w Seattle do rozważanej, teoretycznej sytuacji.

Matko Boska...!

W końcu zdołał wydusić:

- Powiadomię zaraz gubernatora stanu. Wydaje mi się, że wszystkie decyzje muszą być podejmowane w porozumieniu z nim. Czy stawiano już w stan alarmu jakieś agencje federalne?

- Nie, czekam w tej sprawie na pana decyzję - odparł komisarz. Ktoś powiedział coś do niego, a on odparł: - Nie słyszę... Tak. - Następnie mówił dalej do burmistrza: - Telefonują z Centrum Kontroli Epidemii z Atlanty. Właśnie analizują tam dane przesłane z naszego uniwersytetu. Boże! - myślał Kerberry. Centrum Kontroli Epidemii. Są poważne dane, które nadają się do ich analizy. To nie jest dowcip!

Strzelił palcami w stronę sekretarza, który stał przy drzwiach z otwartymi ustami, i zawołał groźnie:

- Dzwoń natychmiast do gubernatora stanu! - Następnie spytał Tiene-ra: - Czy Atlanta dzwoni na linii telekonferencyjnej?

- Nie, ale mogę pana przełączyć. Proszę poczekać. - Nastąpiła cisza, a potem dwa piski. Później odezwała się jakaś kobieta:

- Telefonistka numer trzy na linii siedem. - Po niej jakiś mężczyzna zapytał:

- Halo, czy pan burmistrz Seattle?

- Tak. Z kim rozmawiam?

- Mówi Russell Sullins, zastępca dyrektora Centrum Kontroli Epidemii do spraw patogenów specjalnych. Czy przedstawiono już panu sytuację?

- Częściowo. Rzeczywiście mamy do czynienia z bombą biologiczną?

-dopytywał się Kerberry.

- Wstępna analiza danych przesłanych przez wasz uniwersytet wskazuje, że to bardzo możliwe - odpowiedział Sullins. Norman poczuł zimny dreszcz.

- To znaczy, że to wszystko prawda? - rzucił.

- Być może. Prawdopodobieństwo jest wysokie - uściślił dyrektor.

-Dlatego przekazaliśmy dane USAMRIID, żeby przeanalizowali je po swoimemu. Oni wiedzą więcej niż my na temat najgroźniejszych szczepów węgliku.

- Co to jest USAMRIID? - spytał Norman.

- Ośrodek badań medycznych armii w Fort Detrick w stanie Maryland

-wyjaśnił Sullins. - Stawiamy także w stan alarmu nasze oddziały polowe na Zachodnim Wybrzeżu, to znaczy w San Francisco i Portland.

Przypuszczam, że USAMRIID zrobi to samo.

Kerberry miał poczucie bezradności. Czuł, że sytuacja zupełnie wymyka mu się spod kontroli, i to w więcej niż jednym aspekcie. Oddziały agencji federalnej? Wojsko? Polityk, który w nim siedział, zapytał: czy w zaistniałej sytuacji nie powinien obowiązywać określony łańcuch dowodzenia? Natychmiast zdał sobie jednak sprawę, jak głupia była to myśl. Nie miało najmniejszego znaczenia, kto pospieszy z pomocą.

Ważne, żeby ta pomoc nadeszła!

- Tak - powiedział do telefonu. - Będziemy potrzebowali całego wsparcia, jakie jesteście w stanie nam zaofiarować.

- Pozostanę z panem w ścisłej współpracy - zapewnił dyrektor z Centrum Kontroli Epidemii. - Czy gubernator pańskiego stanu został powiadomiony?

- Właśnie chcę go powiadomić - wyjaśnił Kerberry.

- To dobrze. Zalecałbym, żeby zwrócił się w tej sprawie bezpośrednio do prezydenta, omijając wszelką niepotrzebną biurokrację. Nasze Centrum wysłało już wstępny meldunek do Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego. Jednak, jak pan wie, każda prośba o udział Agencji musi zostać oficjalnie przedłożona przez gubernatora danego stanu.

- Oczywiście - zgodził się burmistrz Seattle. - A co z mieszkańcami?

-spytał. - Czy w obecnym stadium powinniśmy ostrzec ludność? Nastąpiła dłuższa cisza. W końcu Sullins odpowiedział:

- To pan i gubernator stanu będziecie musieli podjąć decyzję w tej sprawie. Nie jest mimo wszystko wykluczone, że to jakiś szczególnie przemyślny dowcip, a ryzykujemy panikę na masową skalę. Z drugiej jednak strony, jeżeli. .. - dyrektor urwał.

Z drugiej strony, jeśli to... - pomyślał Kerberry i poczuł ucisk w sercu.

201

Sportowy jaguar minął z wielkim pędem domek stróża i wypadł przez bramę parku na Północną Dwudziestą Szóstą. Mart wyczuwał już samochód, szybką reakcję kół na wychylenia kierownicy i stłumiony do cichego wycia ryk potężnego, dwunastocylindrowego silnika, pracującego na wysokich obrotach. Umysł Marquette'a był idealnie skupiony, tak samo jak w herbaciarni. Odczuwał w sobie energię, pewność, obudzone na nowo instynkty potrzebne w akcji. Czuł rozluźnienie i gotowość palców, ruch całego ciała niczym sprężystej jedności.

Zobaczył, jak niecały kilometr na prawo od niego trans am skręca ostro w lewo, ciągnąc za sobą kurz wzdłuż krawędzi jezdni. Marquette popędził za nim, mijając z ogromną prędkością inne samochody. Ich kierowcy zerkali na MaTta ze złością przez ułamek sekundy, zanim znikli z jego pola widzenia.

Przyhamował gwałtownie, widząc zbliżający się zakręt, po czym wszedł w niego, kręcąc płynnie kierownicą. Samochód pochylił się, a jego zawieszenie napięło pod działaniem siły odśrodkowej.

Wyprowadziwszy maszynę z zakrętu i dodawszy gazu, Marquette zobaczył, że trans am znika właśnie pod wiaduktem autostrady numer pięćset dwadzieścia. Kilka sekund później pojawił się znowu na rampie prowadzącej na wiadukt. Robił pętlę, zamierzając wmieszać się za chwilę w pędzące autostradą samochody.

Marquette gnał dalej Aleją Roanoke aż do wiaduktu, a następnie skręcił ostro na rampę, przejeżdżając w kontrolowanym poślizgu obok posuwającego się wolniej pojazdu. Po chwili znalazł się na autostradzie. Przyjrzał się desce rozdzielczej. Wykonana była z ręcznie dopasowywanego orzecha oraz mięciutkiej jak masło skóry specjalnie w tym celu hodowanej rasy bydła connelly. Nie było jednak telefonu. Na fotelu pasażera leżał natomiast neseser. Patrząc na wstęgę drogi, Marquette wymacał prawą ręką zamki walizeczki i otworzył je. W neseserze znajdował się laptop z modemem oraz telefon komórkowy.

Zmysły i mózg Marquette'a przewidywały z góry sytuacje na drodze i czynności do wykonania, podobnie jak w czasach, kiedy był kierowcą Formuły 1. Wykonywał szybkie, a jednocześnie płynne ruchy kierownicą, dzięki którym natychmiast mijał inne samochody, wyprzedzał je

slalomem, przyspieszał, zmieniał pasy. Zbliżał się do uciekającego pontiaca i siedzącego w nim mężczyzny.

Podniósł telefon komórkowy i bez namysłu wystukał numer do laboratorium Kelli, dziwiąc się, że go pamięta. Wcisnął mały telefon pomiędzy ramię a głowę i przycisnął mocno do ucha, żeby dobrze słyszeć. Odezwał się pierwszy sygnał.

Wtedy przed Marquette'em znalazła się nagle wielka ciężarówka. Musiał szybko zareagować; udało mu się minąć ogromne, rozpędzone koła. Po chwili był już przed nią i wrócił na lewy pas. Telefon wypadł mu jednak na kolana.

202

Złapał go i znowu przycisnął do ucha.

- Halo? Halo? - odezwał się kobiecy głos.

- Kelli! - zawołał.

Zobaczył, że jadący niezbyt już daleko przed nim trans am zjeżdża nagle na prawy pas, a potem na rampę zjazdową.

- Cholera! - zaklął Matt. Obejrzał się błyskawicznie przez ramię i zjechał na prawo przez wszystkie pasy. Kierowcy trąbili, hamując i kręcąc kierownicami, żeby uniknąć zderzenia. Po kilku sekundach zjeżdżał już z autostrady, mijając znak informujący, że trafi na Aleję Mercer. Jaguar uniósł się na krawędzi rampy.

- MaTt?! To ty?! - wołała Kelli.

Poprawił ramieniem telefon i odpowiedział:

-Kelli! Kelli?

- Jestem, słucham cię!

- On ma kulę! Ten sukinsyn ma kulę!

- Boże drogi! - zawołała Pickett. - Gdzie jesteś?

- Jadę samochodem Grady'ego Aleją Mercer. Skontaktowałaś się z porucznikiem Dwa Łosie?

-Tak.

Matt musiał nagle gwałtownie zahamować, gdyż samochody zaczęły zwalniać przed czerwonym światłem. Zjechał na chodnik, minął trzy samochody i przemknął przez skrzyżowanie w ostatniej chwili. Po jego prawej stronie ruszający samochód zahamował z piskiem.

- Niech ściga bandziora! - zawołał Marquette. - Jedzie Aleją Mercer na zachód, niebieskim trans amem.

- Dobrze. Dobrze - odpowiedziała Kelli, starając się w miarę możliwości uspokoić Marta.

Usłyszał z tyłu stłumiony odgłos syreny. Przyspieszył, czując, jak masywna, ale bardzo silna maszyna nabiera zdecydowanie prędkości.

Nie widział teraz pontiaca, ale samochody zmieniające pasy w ucieczce przed nim. Doganiał je, napinając nerwy kierowców na nowo.

- Centrum Kontroli Epidemii! - zawołał. - Skontaktowałaś się?

- Tak! - odpowiedziała Kelli, sama podekscytowana. - Oceniają jeszcze zagrożenie.

- Cholera! - krzyknął Marquette, - Niepotrzebna mi analiza zagrożenia.

Powiedz, że chcę dostać instrukcje, jak rozbroić tę bombę. Jeśli ten skurwysyn nastawi zapalnik, muszę wiedzieć, jak go wyłączyć!

-Tak! Tak!-odparłaKelli.

Dziewczyna w dresie płakała, tuląc się do swojego chłopaka. Składali zeznania jednemu z detektywów, stojąc koło bramy japońskiego ogrodu.

Młó-

da kobieta miała czerwoną twarz i szyję. W pobliżu stały cztery wozy policyjne, a także kilkoro gapiów, którzy przerwali uprawianie joggingu ze względu na niezwykle widowisko.

John Dwa Łosie podniósł się znad leżącego przy herbaciarni ciała Grady'ego. Obok stał porucznik Walters.

- Rzeczywiście, to John Wayne Grady - potwierdził Walters.

Dwa Łosie stęknął i ruszył powoli przed siebie, patrząc uważnie wokół. Zatrzymał się koło rozsypanych plików pieniędzy i otwartego nesesera. Sprawdził go. W kieszonce znajdowało się kilka kopert. Wszystkie zaadresowane były do Grady'ego.

Ruszył dalej i zatrzymał się przy strzaskanym karabinie. Nachylił się nad nim i przyjrzał się, nie dotykając broni. Zauważył na ścieżce kulę.

Podniósł ją. Czubek miała spłaszczony niczym od uderzenia młota.

Obrócił ją w dłoni. Dziewiątka,

Po chwili wrócili z Waltersem do pary młodych ludzi, składających zeznania.

- Nie mogę! - jęknęła dziewczyna. - W życiu nie widziałam czegoś tak okropnego! - Pokręciła głową z obrzydzeniem.

- Kto strzelał? - zapytał po raz kolejny Dwa Łosie. - Który z tych mężczyzn? Młoda kobieta potrząsnęła głową. Odpowiedział za nią chłopak:

-Nie jesteśmy pewni. Byliśmy tam, w krzakach, wie pan; chodziliśmy sobie po lesie, prawda... Nagle usłyszeliśmy kilka strzałów -pięć, może sześć. Kiedy dobiegliśmy do krańca ogrodu, zobaczyliśmy tego człowieka; wyglądał na zabitego, cały zakrwawiony. Drugi mężczyzna rzucał się po

ziemi. Wtedy z tamtych zarośli wyszedł trzeci i przeszedł przez staw. Stał nad tym, co się tarzał, z bólu czy czegoś, i prawie przyłożył mu broń do głowy, jakby chciał mu ją rozłupać na kawałki...

- Jak wyglądał tamten trzeci?

- Był wysoki, miał pociągłą twarz i taki wyraz twarzy... złego, okrutnego człowieka.

- A jaką miał broń? - zapytał Walters.

- O Jezu, nie wiem - zniecierpliwiał się młody człowiek. - To był któryś z tych małych, szybkostrzelnych pistoletów maszynowych. W każdym razie ten, co go trzymał, właśnie miał zabić leżącego, kiedy Carol krzyknęła tak przeraźliwie, że się wystraszył; podniósł głowę i rzucił się do ucieczki. Po paru sekundach ten drugi podniósł się z ziemi i pobiegł za nim. Potem usłyszeliśmy jeszcze dwa strzały. To wszystko, wie pan. Padliśmy z Carol na ziemię i nie ruszaliśmy się przez długi czas.

- To znaczy, żadne z was nie widziało, dokąd ci mężczyźni się kierują?

-upewnił się Dwa Łosie.

- Nie - odparł chłopak. - Leżeliśmy w trawie. Chyba pan rozumie, jak się czuliśmy...!

204

Nadszedł jeden z policjantów.

- Panie poruczniku - powiedział - dostaliśmy opisy obu samochodów.

Jeden z podejrzanych ucieka niebieskim lub szarym trans amem, drugi jedzie czerwonym sportowym jaguarem. Pracownica parku powiedziała nam, że ten z jaguara miał na sobie chyba kamizelkę kuloodporną.

Odezwało się radio w samochodzie Waltersa:

- Dwa jeden osiem, tu czternaście cztery jeden.

Porucznik podszedł do wozu, wsunął się za kierownicę, sięgnął po mikrofon i wcisnął guzik nadawania.

- Dwa jeden osiem, Walters - odpowiedział. - Mów.

- Podejrzany zidentyfikowany jako Matthew Marquette według zeznań świadków ściga niezidentyfikowanego drugiego podejrzanego. Posuwają się na zachód Aleją Mercer. Ten niezidentyfikowany jedzie niebieskim trans amem - poinformowała telefonistka.

- Dobrze, zarządzam kod osiem dla całego tamtego sektora - odparł Walters.

Telefonistka potwierdziła i wyłączyła się. Porucznik uruchomił silnik.

- Ruszajmy, John! - zawołał. Poczekał, aż Dwa Łosie wciśnie się na fotel pasażera, ruszył, zawracając gwałtownie i wciskając gaz do deski.

Trzydzieści sekund wcześniej dyrektor Sullins z Centrum Kontroli Epidemii mówił do Kelli ponurym tonem:

- USAMRIID analizuje model probabilistyczny. Dotąd wszystkie przesłane przez panią dane okazują się spójne i zgodne z jego wiedzą.

Pickett opuściła głowę; czuła, jak cała czaszka jej pulsuje. Odpowiedziała:

- Osoba będąca w posiadaniu kuli została zauważona i czekamy, aż...

- Jak to, nie wiecie, gdzie dokładnie znajduje się ta bomba?! - przerwał jej Sullins.

-Nie.

-Boże Wielki...!

- Jeśli zapalnik został uruchomiony, czy jest sposób na rozbrojenie jej?

-zapytała Kelli. Wypowiadając te słowa, poczuła dreszcz.

Rozmówca nie słuchał jej jednak; krzyczał coś do kogoś innego.

- Właśnie wysłałem do Seattle nasze oddziały polowe - poinformował.

Kelli powtórzyła pytanie. Sullins zamilkł na chwilę i odparł:

- Nie wiemy tego, a dowiemy się dopiero, kiedy USAMRIID zakończy analizę zapalnika komputerowego modelu bomby.

-Ale czy w ogóle możliwe jest wyłączenie takiego zapalnika po jego uruchomieniu? - chciała się dowiedzieć Pickett.

- Nie wiemy - powtórzył ekspert.

205

20

W eleganckiej, wykończonej na szaro i czarno restauracji „Emerald Suite”, na szczycie wieży Space Needle, znajdowało się ponad trzydziestu dziennikarzy. Większość mężczyzn ubrana była w zwykłe swetry, nosili brody, kucyki; zaledwie kilku miało na sobie garnitury. Gawędzili z paroma członkami kierownictwa koncernu PrimeData. Wszyscy czekali na oficjalne rozpoczęcie konferencji prasowej.

Większość dziennikarzy stanowili specjaliści od biznesu oraz nauki z ogólnokrajowych, gazet i czasopism. Kiloro pracowało w telewizjach i prasie lokalnej; inni zatrudnieni byli w agencjach prasowych. Cokolwiek robił założyciel PrimeData Bili Ballard, oznaczało to interesujące wiadomości.

Ballard zasiadł już za stołem. Za jego plecami roztaczał się rozległy widok na miasto, zmieniający się stopniowo, w miarę jak restauracja obracała się powoli. Bili Ballard był młodym, wysokim, szczupłym mężczyzną o niesfornych rudych włosach i podpuchniętych oczach, patrzących zza grubych okularów w rogowej oprawie. Tego dnia założył stalowoniebieski sweter. Wyglądał jak student drugiego roku filozofii, który przez pomyłkę zawędrował do ekskluzywnej „Emerald Suite” i usiadł nie na swoim

miejscu.

Osiągnął jednak w życiu nieporównanie więcej niż początkujący student. Zaczynał od warsztatu, który zorganizował w piwnicy akademika w stanie Oregon. Wkrótce jego młoda firma przekształciła się w kołnierz komputerowy o ogólnoswiatowym zasięgu. Przed ukończeniem studiów był już milionerem, a zanim przekroczył trzydziestkę, został miliarderm. W tej chwili siedział cicho, uśmiechając się swoim łagodnym, niemal głupkowskim uśmiechem, podczas gdy co więksi pochlebcy spośród dziennikarzy zebrali się wokół niego z twarzami wyrażającymi entuzjazm. Na obliczach wszystkich można było wyczytać: „Och, Bili Ballard naprawdę tu przyszedł!”.

Na sali pozostali członkowie kierownictwa PrimeData chodzili od grupki do grupki dziennikarzy z minami dającymi świadectwo niejakiego poczucia wyższości. Po zakończeniu konferencji Ballard osobiście poprowadzi wycieczkę po swoim świeżo wykończonym domu postawionym na wzgórzu w Redmond.

Wszyscy znali już szczegóły nowego systemu zabezpieczającego STAMINA-2000, jaki wypuszczał PrimeData. Jednak każdy chciał usłyszeć słowa samego twórcy firmy na temat STAMINY. Spodziewano się, że natychmiast po oficjalnym ogłoszeniu wejścia systemu na rynek ceny akcji PrimeData pójdą gwałtownie w górę. Miliardy się pomnożą. Dziennikarze zdawali sobie sprawę z tego, że opinia publiczna chętnie słucha wszelkich drobnych szczegółów, kiedy w grę wchodzi pieniądze tego rzędu.

206

Stoliki restauracyjne i kryształowe lampy zostały usunięte na potrzeby konferencji; rozstawiono natomiast składane krzesła. W tyle sali

zorganizowano długi bufet, ozdobiony pięknie ułożonymi kwiatami oraz olbrzymią rzeźbą przedstawiającą logo koncernu PrimeData wykonaną z lodu. Resztę stołu wypełniały smakowite ciasta oraz przekąski charakterystyczne dla północnego zachodu Stanów Zjednoczonych.

W pobliżu wejścia stał spiker porannych wiadomości jednej z lokalnych stacji telewizyjnych. Rozmawiał z atrakcyjną dziennikarką działu komputerowego gazety z Los Angeles. Młoda kobieta sączyła wodę mineralną i stroiła zalotne miny. Mężczyzna miał za zadanie przeprowadzić po zakończeniu konferencji krótki wywiad z Ballardem przed kamerą.

- Wiesz co, Suzy - powiedział właśnie - wpadnij do naszej stacji jutro rano, to puszcze cię na wizji. Pogadamy sobie o komputerach. Słuchaj, jeździsz na nartach, prawda?

- Tak, uwielbiam to.

- Super. Dołączymy także wymianę zdań o przypadkach na stoku.

-Ale dzisiaj po południu, po wycieczce do domu Ballarda, powinnam wrócić do Portland - odparła dziennikarka.

- Do jakiego Portland? - Adorator nie ustępował. -Jesteś właśnie w Mel-lotown, dziewczyno. Daj sobie luz, naciesz się.

- Może i masz rację...

- Mówię ci. Chodź, zjemy dzisiaj wieczorem obiad, to obgadamy jutrzejszą audycję.

Młoda kobieta zastanowiła się chwilę, po czym pokazała zęby w szerokim uśmiechu.

- Dobra, skoro tak mówisz, wygląda na to, że będzie fajnie - zgodziła się.

- Masz to jak w banku - zapewnił spiker.

Tymczasem odezwał się jego pager. Wyjął go z kieszeni i popatrzył na ekranik. Widniał na nim numer dyrektora jego stacji. Dotknął więc ramienia dziewczyny i szepnął:

- Nie wyjeżdżaj. Odnalazł telefon.

- Co się stało, Al? - spytał.

- Zabierajcie się stamtąd razem z Bobbym i ruszcie dupy do ratusza, do biura burmistrza - polecił szef. - Natychmiast!

- Co? Zapomniałeś, że za chwilę mam zrobić wywiad z Ballardem sam na sam?

- Chrzań to!

- Co się, do cholery, stało? - zdziwił się spiker.

- Coś ważnego. Podobno Kerberry zwołuje w trybie pilnym swoich ludzi na spotkanie w sprawie jakiejś nadchodzącej katastrofy.

207

- Coś takiego! - skomentował dziennikarz. - Już mnie tu nie ma.

Odwiesił słuchawkę i rozejrzał się, za swoim kamerzystą. Skinął energicznie głową, pokazując mu wyjście. Po chwili wypadli przez nie razem i pobiegli do windy.

Burmistrz Kerberry zdołał porozumieć się z gubernatorem Frankiem De-Johnem dopiero wtedy, kiedy znalazł się w swojej limuzynie, wiozącej go z powrotem do ratusza. Gubernator był właśnie w podróży służbowej w Yakima, gdzie przemawiał z wózka golfowego w ekskluzywnym miejskim Hill-run Country Club.

- Co takiego pilnego się stało, Kerberry? - warknął niezadowolony De-John do telefonu.

- Grozi nam potencjalna katastrofa, sir - zaczął Norman, pocąc się pomimo

klimatyzacji. - Prawdopodobnie na terenie miasta znajduje się bomba biologiczna.

- Co takiego...?! - zdumiał się gubernator. Jeden ze stojących koło niego ludzi roześmiał się akurat głośno. - Zamknij się, George! - rzucił w jego stronę DeJohn. Wrócił natychmiast do rozmowy. - Co wiadomo o tej bombie? - spytał zaniepokojony.

Kerberry opisał mu sytuację, podczas gdy kierowca skręcił z Pike w Czwartą Aleję. Skończywszy, burmistrz zamilkł, zdając sobie sprawę, jak chrapliwym głosem mówił, co świadczyło dobitnie o aktualnym stanie jego nerwów.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. W końcu gubernator wybuchnął:

- Cholerni terroryści! Jak śmia! Chcę, żeby natychmiast... Zaraz. A skąd wiadomo, że to nie jest czyjś głupi dowcip? - zapytał.

- Jeszcze nie wiadomo na pewno. Jednak Centrum Kontroli Epidemii jest zdania, że prawdopodobieństwo, że chodzi o prawdziwą bombę jest wysokie.

- Centrum Kontroli Epidemii? - zdziwił się DeJohn. - Z Atlanty? Już powiadomił ich pan o sprawie?

- Pierwsi dostali o niej sygnał, sir - wytłumaczył Kerberry.

- Kto, do cholery, jest odpowiedzialny za tę bombę?! - warknął gubernator.

- Czy były jakieś telefony z żądaniem? Pogrózkami? Ostrzeżeniami?

-Nie.

- O Jezu! O Jezu! -jęczał DeJohn.

- Myślę, sir, że powinniśmy powiadomić prezydenta - oznajmił burmistrz.

-Co!

- Prezydenta, sir. Potrzebna nam federalna pomoc, każda, jaką są w stanie

zaoferować - ciągnął Norman. - I instrukcje postępowania. Jak pan wie, Agencja Zarządzania Kryzysowego nie przystąpi do działania, zanim nie wystosuje pan oficjalnej prośby - przypomniał.

208

- Jasne. - Gubernator usiłował się uspokoić. - Natychmiast dzwonię do prezydenta.

- Potrzebna nam także pańska zgoda na uruchomienie protokołu WPK.

- Tak. Wydam ją.

W przypadku grożącego katastrofalnego niebezpieczeństwa gubernator wprowadza w życie przepisy zwane Waszyngtońskim Protokołem Klaski. Zgodnie z nimi wszystkie stanowe agencje związane z sytuacjami kryzysowymi oraz obrona cywilna przechodzą pod naczelne kierownictwo jednej osoby - właśnie gubernatora stanu. Na mocy konstytucji przepisy dają mu szerokie uprawnienia w celu sprawnej mobilizacji wszystkich sił i środków znajdujących się na terenie stanu oraz koordynowania współpracy z Federalną Agencją Zarządzania Kryzysowego i innymi instytucjami federalnymi.

- Czy wraca pan do Olympia, sir? - zapytał Kerberry. DeJohn zastanowił się.

- Nie. Lecę do Seattle - zdecydował. - Sam chcę pokierować tą sprawą. Tymczasem niech pan kontaktuje się ze mną przez Prestona - polecił. Tray Preston był zastępcą DeJohna.

- Tak jest, sir.

Nastąpiła kolejna pauza. Burmistrz usłyszał lekki szum wiatru w telefonie gubernatora. Spuścił głowę i otarł dłonią spocone czoło. W końcu powiedział:

- Jest jeszcze jeden problem, sir. Czy mamy ostrzec mieszkańców, czy czekać?

Znowu zapadła cisza. Po chwili DeJohn odpowiedział:

- Protokół WPK jest w tym zakresie elastyczny. Decyzję podejmuje się w zależności od konkretnej sytuacji i jej możliwych skutków.

- A co zrobić w tym przypadku? - uściślił pytanie Kerberry.

- O Jezuu, nie wiem...! - W głosie gubernatora słychać było przerażenie. -

Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli pospieszymy się z tym niepotrzebnie, za chwilę będziemy mieli na ulicach miasta panikę. Mówi pan, że jeszcze nie wiadomo na pewno, czy to nie jest tylko dowcip.

- Tak, ale jeżeli nie jest, to możemy pogorszyć i tak wystarczająco groźną sytuację — zauważył burmistrz.

- Nie, potrzebny nam jeszcze czas - zdecydował DeJohn. - Musimy dowiedzieć się dokładnie, z czym naprawdę mamy do czynienia. I chcę, żeby zanim puścimy parę z ust, w procesie podejmowania decyzji uczestniczyły agencje federalne. Na razie trzymajcie wszyscy język za zębami.

- Sir, dziennikarze i tak się dowiedzą- powiedział Norman. - Jestem pewien, że już coś zwąchali.

- W takim razie niech pan trzyma ich na dystans.

- Dobrze, panie gubernatorze, spróbuję.

- Niech pan nie próbuje, do cholery, tylko zrobi, co mówię! - zdenerwował się DeJohn. - Proszę zachować w tej sprawie milczenie.

14 - Oddech śmierci

209

- Tak jest, sir.

- W porządku. Jadę teraz na lotnisko - oznajmił gubernator. - W trakcie jazdy spróbuję porozumieć się z prezydentem. Kiedy tylko wystartujemy, zadzwonię do pana znowu. Do tego czasu proszę informować Prestona na bieżąco o rozwoju sytuacji. Zrozumiano?

-Tak.

- To dobrze. - De John jęknął, jak gdyby był ranny. - Módlmy się, żeby to się okazało tylko wielką pomyłką... - skwitował.

- Już się modliłem, sir - odpowiedział poważnie Kerberry, podczas gdy w przedniej szybie jego limuzyny rosła fasada ratusza Seattle.

Wszystko rozegrało się z szybkością błyskawicy.

Marquette znajdował się na dłuższym odcinku Alei Mercer, pomiędzy odległymi przecznicami; rząd samochodów jeden po drugim, zakręcał w prawo. Na jego początku znajdował się miejski autobus. Mart przemknął pędem obok niego.

Przed nim w niezbyt dużej odległości jechał trans am. Skręcił na prawy pas, wjechał na skrzyżowanie, a potem skręcił gwałtownie w ulicę Broad. Nagle sprzed autobusu wyskoczył na pas Marquette'a motocyklista na czerwono-biało-niebieskiej sportowej maszynie, pochylony nad kierownicą. Tylne koło motocykla znalazło się niecałe pięć metrów od prawego błotnika wozu Matta.

Marquette błyskawicznie zahamował, kręcąc kierownicą w lewo. Poczuł, jak jaguar waha się przez moment, po czym zjeżdża w lewo, zarzucając tyłem i sunie ze straszliwym poślizgiem.

MaTt natychmiast zakręcił kierownicą z powrotem. Maszyna zaczęła się prostować i przeszła w poślizg w przeciwną stronę, obracając się leniwie o niemal sto osiemdziesiąt stopni. Motocyklista obejrzał się, spoglądając

przez czarną szybę swojego kasku. Jadący z przeciwka zaczęli zjeżdżać na prawo, żeby uniknąć zderzenia z sunącym bokiem jaguarem. Tymczasem po prawej stronie Matta pojawiło się ogromne przesłono autobusu.

Nastąpił nagły wstrząs połączony z metalicznym łoskotem - autobus i czerwony smukły jaguar zderzyły się. Autobus zaczął hamować i stanął, podczas gdy bagażnik jaguara znalazł się pod jego wysokim zderzakiem, unosząc go. Pękła tylna szyba; Marquette poleciał na drzwi.

Nastąpiła cisza, w której słyhać było tylko stękanie rozgrzanego metalu. Rozniósł się zapach świeżo zmiażdżonej stali i smród przypalonych opon. Znajdujący się w pobliżu ludzie wpatrywali się w otwartymi ustami w wóz Matta.

Marquette oprzytomniał i natychmiast wdepnął pedał gazu w podłogę. Silnik zawył, opony zapiszczały, ale samochód nie chciał ruszyć. Za mocno

210

wbił się pod autobus. Matt spróbował więc otworzyć drzwi, ale się zaklinowały.

Rzucił się na drugą stronę wozu i wysiadł prawymi drzwiami. Przechodnie ruszyli ku niemu, schodząc z krawężnika. Kierowcy zatrzymywali się i wyglądali przez okna.

MaTt popatrzył w ulicę Broad zdesperowany. Nie był w stanie dostrzec trans ama; widać było tylko dachy poszczególnych samochodów. Skoczył ku autobusowi, wspiął się na zderzak i wychylił, wpatrując ponownie w jadące Broad pojazdy. Ludzie gapili się na niego. Gdzie ten pontiac? Popatrzył dalej w lewo. Nic z tego. Cofnął więc wzrok, tym razem wolniej.

Zatrzymał spojrzenie.

W środku jego pola widzenia widniała gigantyczna, smukła wieża Space Needle, stojąca o cztery przecznice od niego. Przeszkłone zwieńczenie w kształcie grzyba mieszczące obracającą się restaurację połyskiwało pomimo zachmurzonego nieba; migąło czerwone światło na samym czubku wieży.

Wtedy Marquette się domyślił.

Poczuł mrowienie w ustach i skurcz w piersiach, jak gdyby wciągnął właśnie do płuc ogromny haust skażonego powietrza.

Zeskoczył ze zderzaka autobusu i pobiegł z powrotem do zakleszczonego jaguara. Nachylił się w poszukiwaniu telefonu komórkowego, który w momencie zderzenia uderzył w kolumnę kierownicy. Leżał teraz na podłodze, obok browninga. Matt podniósł oba przedmioty, wyprostował się naprzeciw nadchodzących ludzi, a oni zatrzymali się na widok broni i rozpięchli, aby nie zginać przypadkowo z ręki szaleńca.

Marquette rzucił się biegiem na drugą stronę ulicy, omijając stojące samochody. Wsadził pistolet za pasek spodni. Znalazłszy się na przeciwległym chodniku, skręcił i pognął ile sił w nogach ku ulicy Broad. Kiedy limuzyna burmistrza wjechała do podziemnego garażu ratusza, czekało już na nią kilku reporterów. Gdy tylko się zatrzymała, przyskoczyło do niej dwóch szeryfów policji stanowej i jeden z sekretarzy Kerberry'ego. W zamkniętej, betonowej przestrzeni odbijał się jeszcze echem odgłos opon pojazdu.

Dziennikarze rzucili się ku wysiadającemu burmistrzowi, zadając chórem pytania. Norman, osłaniany przez szeryfów, pospieszył do windy ze spuszczoną głową, nic nie mówiąc.

Kiedy drzwi windy zamknęły się za nim, reporterzy zaczęli głośno przeklinać, po czym skoczyli gromadnie ku schodom. Pozostał tylko jeden - młody chłopak ze stacji radiowej KERA, Marvin Port. Marvin zauważył bowiem niedużego, żółtego forda thunderbirda, który zjeżdżał właśnie do garażu.

Podbiegł do niego akurat w momencie, kiedy prowadząca go wysoka dziewczyna o kręconych włosach zdążyła wysiąść. Była blada, wyraźnie spięta. Zobaczywszy Porta, uniosła rękę i krzyknęła jakby w obronie:

211

- Nie mogę z tobą rozmawiać, Marv!

Marvin złapał ją jednak za ramię i zaciągnął za samochód. Młoda kobieta nazywała się Claire Yoorhees i była asystentką w biurze burmistrza. Od czasu, kiedy spędzili ze sobą parę nocy, paląc dobrej jakości peruwiańską marihuanę, oraz przeżyli kilka godzin dzikiego seksu, Port często uzyskiwał od niej cenne strzępki informacji.

- Co się, do licha, dzieje? - zapytał bez ogródek.

- Cholera, Marv, nic nie wiem, mówię ci. Dziennikarz pochylił głowę i uśmiechnął się chytrze.

- Wiesz, wiesz. Widzę to po twojej twarzy.

-Nie!

- Claire, daj spokój. - Dziewczyna próbowała się uwolnić. - Dziewczyno, ty się cała trzęsiesz!

- Och, Marvin! -jęknęła, a do jej oczu napłynęły łzy.

- Jezu, dziewczyno, co się dzieje?! (Zamknęła oczy i pokręciła głową.

- Jest źle - powiedziała.

-Jak źle?

Yoorhees otworzyła oczy i zbliżyła twarz do twarzy Porta.

- Mogę ci powiedzieć, ale tylko pod warunkiem, że nie przekażesz tego nikomu - oznajmiła. - Tym razem nie. Obiecujesz?

- Oczywiście.

- Obiecuj mi - domagała się z naciskiem Claire.

- Nie ma sprawy, przecież mnie znasz - odparł Marvin.

- Podobno jakiś terrorysta podłożył gdzieś w mieście bombę biologiczną.

Port odskoczył, jak gdyby ktoś nieoczekiwanie splunął mu w twarz.

- Ja cię chrzanię...! — sapnął. Zacisnął dłoń na ramieniu kobiety i zapytał:

- Co to dokładnie za bomba? Gdzie jest? Kim jest terrorysta?

- Zdaje się, że to bomba z węglikiem - wyjaśniła młoda asystentka z biura burmistrza. - Jakaś agencja, która nazywa się w skrócie CKE, powiedziała, że to najprawdziwsza bomba.

- Mówisz o Centrum Kontroli Epidemii??

- Chyba tak, tak. W sprawę wkroczyła także armia.

- To znaczy, że do akcji wkraczają już agencje federalne? - upewnił się dziennikarz.

-Tak.

- A co to za terroryści podłożyli tę bombę?

- Nie wiem.

- Wiadomo, gdzie ona konkretnie jest?

-Nie.

Port patrzył przez chwilę na swoją rozmówczynię podekscytowany. Nagle puścił ją i ruszył biegiem do drzwi.

212

- Marvin! - zawołała za nim w panice Claire. - Obiecałeś! A niech cię

cholera...!!!

Dokładnie o dziewiętej trzydzieści pięć USAMRIID zaczęło przysyłać do uniwersytetu w Seattle pierwsze wyniki analizy modelu kuli stworzonego na podstawie otrzymanych danych. Komputery Dowództwa do spraw Badań Medycznych Armii wysyłały wszystko jednocześnie do Białego Domu, Pentagonu, centrali FBI, Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Centrum Kontroli Epidemii. Laboratorium Gilhammera także otrzymywało dane USAMRIID, ponieważ stanowiło jedyne centrum komputerowe w Seattle, z którym mogła łączyć się armia i Centrum Kontroli Epidemii.

Kelli wpatrywała się w ekran, zaniepokojona do granic ostateczności. Cały czas trzymała słuchawkę przy uchu, kiedy nastąpił wypadek Matta.

Słyszała zgrzyt opon, a potem nagłe urwanie się połączenia. Czy Matt zginął? - myślała. Czy został poważnie ranny? Czekwała niecierpliwie, aż telefon zadzwoni ponownie.

Tymczasem jej koledzy i koleżanki pojęli w końcu wagę tego, co się działo. Przybrali ponure miny; nie odzywali się inaczej niż stłumionym szeptem. Teraz zgromadzili się za plecami Pickett i czytali wraz z nią:

1135 UCT

USAMRIID: POUFNE/DIS HYPO MODEL // TEST: 1:

PRZEBIEG MUTACJI BAKTERYJNEJ: FAZY AB-NB

MODEL PRZEDSTAWIA KOMORĘ DO PRZEKSZTAŁCANIA

I ROZPRASZANIA BAKTERII AKTYWNY SZCZEP BACCILLUS

ANTHRACIS.

NASTĘPUJE MUTACJA DNA POŁĄCZONA Z SZYBKĄ

REPRODUKCJĄ

BAKTERII CZEGO SKUTKIEM JEST ZMIANA PODSTAWOWYCH
AMINOKWASÓW I ENZYMÓW
POWODUJĄCA POWSTAWANIE SZYBKO NAMNAŻAJĄCEGO SIĘ
SZCZEGÓLNIIE ZJADLIWEGO SZCZEPU BAKTERII ZDOLNEGO
DO ROZPRZESTRZENIANIA SIĘ W POWIETRZU
MUTACJA WYZWALANA JEST ZA POMOCĄ LASERA
PULSUJĄCEGO O DUŻEJ CZĘSTOTLIWOŚCI I ODŁĄCZANY
DRUGI ELEMENT URZĄDZENIA, PRACUJĄCEGO W PASMIE
PODCZERWIENI SZACOWANYM NA 215-285 MIKROMETRONÓW
ROZPRZESTRZENIANIE SKAŻENIA NASTĘPUJE ZA POMOCĄ
EKSPLOZJI
MAŁEGO ŁADUNKU WYBUCHOWEGO DOŁĄCZONY TRZECI
ELEMENT URZĄDZENIA) SZACOWANY PIERWOTNY ZASIĘG
SKAŻENIA -
50-75 METRÓW.

Telefon zadzwonił. Wszyscy aż podskoczyli z przestachu. Jedna z kobiet
skoczyła do niego i podniosła słuchawkę. Po chwili rzuciła tylko:

- Proszę nie blokować linii! - Odłożyła słuchawkę i pokręciła głową.

Tymczasem na ekranie pojawiał się dalszy ciąg tekstu:

ŁiysTRPiR 3-4 cooziny PO ZRKRŻENIU. u CIRGU

OBJAWY WYSTĄPIĄ 3 -4 GODZINY PO ZAKAŻENIU W CIĄGU 18-
30 GODZIN NASTĄPI CAŁKOWITE ZABLOKOWANIE FUNKCJI
PŁUC ORAZ GWAŁTOWNY ROZKŁAD CAŁEGO CIAŁA,
POCZĄTKOWO WYSTĘPUJE UCZUCIE CHŁODU PO KTÓRYM
DOCHODZI DO OGÓLNYCH KuRCZÓW MIĘŚNI PODOBNIIE

JAK PRZY TĘŻCU, DALEJ WYSTĘPUJE MAJACZENIE I
EWENTUALNE KRWAWIENIE Z OTWORÓW CIAŁA SZACOWANA
ŚMIERTELNOŚĆ 91-98PROC.

ZMUTOWANE BAKTERIE WYDAJĄ SIĘ CAŁKOWICIE ODPORNE
NA SZCZEPIONKI. A TAKŻE NA WSZYSTKIE ISTNIEJĄCE
LEKARSTWA PRZECIWBAKTERYJNE

POZYTYWNA KONTROLA ANTYPATOGENU MOŻE BYĆ
OSIĄGNIĘTA JEDYNIE PRZEZ WYSTAWIENIE NA ŚWIATŁO
SŁONECZNE LUB FALE ELEKTROMAGNETYCZNE O CZĘSTOŚCI
POMIĘDZY 10 (9) A 12 NA SEKUNDĘ (MW)

NATYCHMIAST NASTĄPI ŁAŃCUCHOWE ROZPRZESTRZENIENIE
SIĘ EPIDEMII. BĘDZIE ZALEŻEĆ OD WARUNKÓW
POGODOWYCH. JEDNAK Z WIATREM OD MIEJSCA SKAŻENIA
POWSTANIE STREFA SZYBKIEGO ROZWOJU EPIDEMII.

SZACUNKOWY CZAS OSIĄGNIĘCIA NAJWIĘKSZEGO NASILENIA
SIĘ ZAKAŻEŃ W WYMIENIONEJ STREFIE WYNIESIE 8-10
GODZIN W CIĄGU JEDNEGO TYGODNIA NASTĄPI
ROZPRZESTRZENIENIE SIĘ CHOROBY PO CAŁYM ZACHODNIM
WYBRZEŻU. SZACOWANA LICZBA OFIAR W SAMYM REJONIE
SEATTLE WYNOSI 200000 DO 250000

ZALECENIA - NATYCHMIASTOWE ROZMIESZCZENIE W
PRZEWIDYWANEJ STREFIE SZYBKIEGO ROZWOJU EPIDEMII
DRUŻYN SWAT W CELU OSIĄGNIĘCIA 4 POZIOMU ODKAŻENIA
WYMUSZONA PRZEZ POLICJĘ EWAKUACJA WZDŁUŻ TRAS
OPRACOWANYCH NA PODSTAWIE KIERUNKU I SIŁUY WIATRU,
ZMASOWANY PRZERZUT LOTNICZY WSZYSTKIMI MOŻLIWYMI

ŚRODKAMI SPRZĘTU DO IDIZOLOWANIA ORAZ ODKAŻANIA W STREFIE SZYBKIEGO ROZWOJU EPIDEMII BUDOWA PAWILONU DO ODKAŻANIA W CENTRALNYCH PUNKTACH STREFY. PRZEJĘCIE LOKALNYCH SZPITALI I WSZYSTKICH INNYCH PLACÓWEK MEDYCZNYCH WRAZ Z WETERYNARYJNYMI, oraz....

Kelli nie była już w stanie czytać ani słowa więcej. Odwróciła się i odeszła do okna. Na zewnątrz rozproszone, słabe światło słoneczne odbijało się od wody w basenie fontanny. Drzewa kołysały się łagodnie na wzmagającym się wietrze.

Gilhammer podszedł do Pickett, objął ją i przytulił.

- Nic mu się nie stało, Kel - powiedział łagodnie. - Nikomu z nas nic się nie stanie.

Kelli odwróciła się i popatrzyła mu w oczy:

- Wierzysz w to po tym, co właśnie przeczytaliśmy? - rzuciła.

- Muszę - odparł Troy.

Ruszyli razem z powrotem do komputerów. Pickett przystanęła jednak przy drukarce wypluwającej przesłane przez USAMRIID dane. Podniosła kartkę, przesunęła po niej wzrokiem od początku i akurat kiedy dotarła do miejsca, gdzie skończyła czytać z ekranu, telefon zadzwonił znowu.

Patrzyła na aparat, a jej serce przystanęło na chwilę. Następny akapit informował o czasie, jaki miał upłynąć od uruchomienia zapalnika bomby do uzyskania maksymalnego stężenia bakterii i eksplozji ładunku wybuchowego.

Telefon dzwonił. Kelli zamrugła oczami i podbiegła do aparatu.

- Mat? - krzyknęła.

W słuchawce odezwał się zdyszany głos Marquette'a.

- Bomba ma wybuchnąć w Space Needle!

Trzy minuty wcześniej Stone dotarł do bramy numer cztery Seattle Center. Skręcił tam z ulicy Broad, zatrzymał się przy szlabanie, wrzucił monetę do automatu, wyciągnął bilet i wjechał do środka. Siedzący w swojej budce młody parkingowy wychylił się i popatrzył na strzaskaną tylną szybę pontiaca. Wzruszył ramionami i wrócił do oglądania „Playboya”.

Jack myślał teraz tylko o swoim celu. Skoncentrował się na nim maksymalnie niczym sportowiec, który za chwilę ma skoczyć wzwyż. Nie zdawał sobie w ogóle sprawy, że Marquette go ścigał. Gdyby nawet wiedział, niewiele by to zmieniło. Kule, które trafiły w szybę i bagażnik samochodu spowodowały tylko że jeszcze bardziej skupił się na prowadzeniu samochodu.

Na tym etapie w akcji nie biorą już udziału pionki, pomyślał Stone z dziką radością. Odpadły te wszystkie głupki, bohaterowie drugoplanowi, których był

215

zmuszony włączyć w swój złożony plan. Tylko GUS Fettis był mu równy, cała reszta to klowni, którzy tylko partaczyli robotę, powodując kolejne wpadki.

Teraz wszystko spoczywało w rękach Jacka. Nic i nikt nie przeszkodzi mu w zakończeniu całej akcji.

Parking był pustawy. Stone machnął ręką w stronę parkingowego, pokazując mu, że nie potrzebuje jego usług. Pojechał w miejsce położone około stu metrów od Space Needle i tam zatrzymał samochód. Strzelista

wieża wyrastała z południowo-wschodniego końca Seattle Center. Wokół mieszczących się na placu sklepów kręciło się sporo turystów. Inni stali z zadartymi głowami i patrzyli na wspaniałą, dwustumetrową budowlę. W szerokich oknach restauracji „Skyline” na drugim piętrze centrum odbijało się szare niebo, tworząc wrażenie, że są pokryte metalową folią.

Jack wyjął szybko z walizeczki pozostałe elementy bomby. Wysunął igłę z modułu lasera i komputera i wsadził ją w kulę. Rozległ się cichy syk - podciśnienie wewnątrz kuli zapewniło trwałe i szczelne połączenie obu elementów. W taki sam sposób Stone dołączył moduł z ładunkiem wybuchowym.

Sprawdził włącznik sterowanego komputerem zapalnika. Pod nim znajdowały się dwie świecące diody - biała i zielona. Biała świeciła już, wskazując, że miniaturowy komputer bomby uruchomił się. Zielona zabłyśnie, gdy Jack uruchomi zapalnik.

Wyciągnął pasek ze spodni, owinał nim kulę i zacisnął. Schował zmontowaną bombę z powrotem do sportowej torby Marquette'a i wysiadł z samochodu.

Przy kiosku z biletami stała krótka kolejka - dwóch Chińczyków o zaczerwienionych twarzach i starsza pani z małym chłopcem. Miała bielutkie jak śnieg włosy i plaster lekarski na nosie. Popatrzyła na wilgotne, utyłane spodnie Stone'a i uśmiechnąwszy się szeroko, zażartowała:

- Znowu bawisz się w błocie, mój chłopcze?

Jack wbił w nią kamienne spojrzenie. Uśmiech starszej pani zniknął, odwróciła się.

Jechała ze Stone'em i kilkunastoma innymi ludźmi windą. O tej porze pracował tylko jeden z dźwigów; otwarte drzwi pozostałych zagrodzone były żółtymi taśmami. Niektórzy z pasażerów zwrócili uwagę na brudne ubranie Jacka. Zerkali na nie kątem oka, jak gdyby wyczuwając niebezpieczną energię, która go otaczała.

Winda drgnęła niemal niezauważalnie i zaczęła bezgłośnie sunąć w górę. Przez szyby widać było mijany wiadukt kolejki jednoszynowej; później, gdy winda wyraźnie przyspieszyła, oczom pasażerów ukazały się drzewa Fun Forest i ściany stadionu Memoriał. Perspektywa zmieniała się, poszerzając z każdą chwilą.

W końcu jadący windą mogli już zajrzeć od góry do wnętrza stadionu, zobaczyć za nim kompleks otaczających Center House ogrodów, a także wielką

216

płaszczyznę dachu Key Arena, gdzie grali Sonics - pierwszoligowa drużyna futbolowa z Seattle.

Starsza pani zawołała z przestraczem i podziwem:

- Mój Boże, my latamy!

Towarzyszący jej chłopiec skrzywił się i mruknął zawstydzony:

- Babciu, przestań...! - Wszyscy zachichotali, wszyscy oprócz Stone'a, który patrzył prosto przed siebie. Przyciskając do brzucha obiema rękami torbę z bombą, czuł jej twardą, kulistą powierzchnię.

Wysoko w górze, w restauracji „Emerald Suite”, Ballard nachylił się do Comella i szepnął:

- Co się dzieje? Zauważyłeś, że dziennikarze wychodzą? Cornell przytaknął.

- To wszystko lokalni reporterzy - oznajmił. - Musiało się stać coś bardzo ważnego, i to w ciągu ostatniej półgodziny.

- Wyjdź i zorientuj się, o co chodzi - poprosił przyjaciela Ballard.

- Dobra. - Cornell wstał. - Cholera, że też musiało się to zdarzyć akurat dzisiaj - skomentował na odchodnym.

Do Ballarda podszedł mężczyzna o wyglądzie naukowca, piszący do „Scientific American”, i odezwał się:

- Proszę pana, czy mogę o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Jaki jest pana stosunek do podejmowanych ostatnio przez rząd prób ocenzurowania Internetu?

W tym samym momencie siedem metrów wyżej, na platformie widokowej, młody mężczyzna podniósł trzyletnią córeczkę do lornety numer osiem.

Dziecko przez moment walczyło z gumową osłoną okularów, w końcu wyrzuciło przez prawy z nich.

- Widzisz, jakie ogromne miasto, malutka? - zapytał tata. - A tam, zobacz, jakie wielkie łódki!

Dziewczynka zachichotała.

Stopy Marquette'a uderzały w chodnik lekko, miarowo. Dotarł do Broad i skręcił nią w lewo. Tutaj samochody jechały z normalną prędkością. Piesi uskakiwali na boki na widok rozpędzonego potężnego mężczyzny o szalonym spojrzeniu i umazanej błotem twarzy. Ktoś rzucił w jego stronę ze złością:

- Uważaj, człowieku!

217

Trochę na południe, po drugiej stronie ulicy, wznosiła się wieża Space

Needle, odcinając smukłą sylwetką od szarych chmur. Zanosiło się na deszcz. Za wieżą widać było śródmieście Seattle.

Mart nie odrywał od niej wzroku od chwili, kiedy zaczął biec. Dostawał już zadyszki; jednocześnie próbował wystukać na telefonie komórkowym numer laboratorium Kelli. Podczas wypadku telefon musiał uderzyć w coś klawiszem, bo rozłączył się. Nagle Marquette usłyszał znowu głos Kelli. Krzyknął do telefonu, a Pickett odpowiedziała:

- Powtórz. Powtórz! Bardzo słabo cię słyszę!

- Space Needle! - wrzasnął zasapany. - Ten sukinsyn pojechał z bombą do Space Needle!

Usłyszał, że Kelli woła do kogoś, podając cel złoczyńcy.

- Gdzie .. .steś? - zapytała. Telefon przerywał, chyba coś się w nim zepsuło od uderzenia.

- Na Broad! Wyślij tu policję! - krzyknął Mart w odpowiedzi.

- Właśnie to robimy...

- Co przyszło z CKE?

- Matt, to okropne! Zginą setki tysięcy...

Zmroziło go pomimo całego gorąca, jakie odczuwał. Setki tysięcy?! Ze szczytu wysokiej Space Needle zaraza szybko rozprzestrzeni się w powietrzu na wielkim obszarze.

- Jak się rozbraja tę bombę?! - zawołał, przeskakując nad reperowaną częścią chodnika. Telefon odsunął mu się na chwilę od ucha.

Przebiegł już dwie przecznice. Znajdował się na wysokości południowo--wschodniego krańca Seattle Center. Zerknął w prawo i wbiegł na jezdnię.

- Co?! - krzyczała Kelli. - Nie słyszę!

- Jak się rozbraja bombę?! - powtórzył.

- Bakterie giną wystawione na światło słoneczne! Ro.. .miesz? Jasne światło. I od fal elektroma...

Kątem oka Matt zobaczył zielonosrebrną masę samochodu i przerażoną twarz kierowcy za szybą. Zapiszczały opony. Marquette instynktownie rzucił się w lewo i skoczył, chcąc umknąć rozpędzonemu jeszcze pojazdowi.

Samochód uderzył go w prawe udo. Matt poczuł nagły, ostry ból w nodze. Przeleciał nad osłoną chłodnicy i spadł na maskę pojazdu. Z rozpędu wjechał po szybie na dach, a potem znalazł się za pojazdem, lądując na rękach i kolanach.

Wokół hamowały z piskiem samochody. Rozległ się metaliczny brzęk, potem drugi. Zza auta, które potrąciło Matta, wybiegł jakiś mężczyzna o pobladłej twarzy.

- O Jezu, o Jezu! - powtarzał w szoku. Próbował pomóc Marquette'owi wstać.

_ 218

Matt odepchnął go jednak i sam skoczył na równe nogi. Prawa była cała odrętwiała. Podniósł z asfaltu telefon i ruszył dalej, na drugą stronę ulicy. Utykał, ciągnąc za sobą niezdarnie prawą stopę.

Usłyszał w telefonie krzyk Kelli. Zbliżył mikrofon do ust i zawołał:

-Powtórz! Cholera jasna, powtórz!

- Nic ci się nie stało?! - krzyczała Pickett. - Boże, czy jesteś cały?!

Znalazłszy się wreszcie po drugiej stronie Broad, Matt skręcił ku bramie numer cztery Seattle Center. Młody chłopak z budki znowu przerwał zajmującą lekturę „Playboya” i popatrzył zdziwiony za utykającym mężczyzną.

- Powiedz, co mam zrobić z bombą! - domagał się Marquette. W telefonie rozległy się jednak trzaski, kiedy mijał metalowy daszek wystający z nadbudki.

- ...bomba zakończy sekwencję zapłonu... - mówiła coś Kelli.

- Powtórz jeszcze raz! - przerwał. Ruszył przez parking. Biegł teraz szybko, mimo że zaczynało go boleć coraz bardziej w piersi, a prawa noga była nadal częściowo zdrtwiała.

Teraz usłyszał wyraźnie głos Kelli:

- Po uruchomieniu bomba zakończy sekwencję zapłonu dokładnie po sześciu minutach i wtedy wybuchnie. Tylko sześć minut!!!

- Jak mam to powstrzymać?! - dopytywał się Matt.

- Po uruchomieniu nie dasię.. .trzymać zapło... - Znowu zatrzęszczało. Wielka masa stali znajdującej się w konstrukcji wieży zakłócała sygnał. - Musisz...

- Cholera! - krzyczał Marquette. - Powtórz jeszcze raz!

- ...do zamkniętej przestrzeni, na tyle mocn... nie ma innego spo... - Kelli zamilkła na dobre.

Winda osiągnęła poziom platformy obserwacyjnej i jej szklane drzwi rozsunęły się. Stone wysiadł jako pierwszy. Przystanął na moment, żeby zorientować się, w którą stronę ma iść. Potem skoczył na schodki prowadzące na otwartą platformę.

Wiało. Rozpędzone powietrze gwizdało cicho na barierce. Była wysoka i zaginała się u góry do wewnątrz niczym płot więzienny.

Na platformie było niewielu ludzi. Wiatr szarpał ich włosami i ubraniami. Niósł zapach morza i deszczu, zmieszany z silnym zapachem żywicy z sosnowych lasów.

Jack podszedł do najbliższej lornety. Była oznaczona numerem pięć.

Ruszył wokół platformy, sprawdzając numery, aż dotarł do tej, która nosiła numer osiem. Korzystał z niej jakiś mężczyzna z malutką dziewczynką.

Oglądał miasto, a dziecko wołało radośnie:

-Łódki! Łódki!

219

Stone popatrzył na zegarek. Była dziewiąta czterdzieści trzy.

Stanął obok lornety i wyjrzał przez barierkę na zewnątrz. Dawno temu, w Boise, studiował rysunki architektoniczne zwieńczenia Space Needle, w szczególności schematy górnej części systemu wentylacyjnego wieży.

Teraz odnalazł wzrokiem otwór zasysający głównego przewodu.

Znajdował się dokładnie w miejscu, które wskazywały rysunki.

Jack wiedział, że ten otwór połączono z głównym zbiornikiem powietrza systemu wentylacyjnego, z którego tłoczone jest ono do całej sieci przewodów przez zawory zwrotne. Kiedy bomba wybuchnie, fala uderzeniowa zniszczy gumowe uszczelki zaworów. Skażone węglikiem powietrze o wysokim ciśnieniu zostanie wtłoczone do systemu i w końcu zacznie wydostawać się wewnątrz wieży otworami wentylacyjnymi.

Mężczyzna z dzieckiem odeszli w końcu od lornety i zniknęli za rogiem platformy. Teraz Stone znajdował się sam.

Rozsunął torbę, włożył do niej rękę, dotknął bomby i ścisnął ją.

Przez jeden krótki moment zawahał się. Jakiś fragment jego świadomości sprzeciwiał się temu zamiarowi. Sumienie. Poczuł nagły, niemal obezwładniający smutek.

Stał tak, nieruchomo, ogarnięty niespodziewanym uczuciem. Wiatr szumiał dookoła, powietrze pachniało oceanem, a ogromne szare, zachmurzone niebo rozciągało się ponad nim jak kilka warstw sięgającego

horyzontu stopionego ołowiu...

Dawno temu, kiedy wpadli z Fettisem na pomysł użycia bomby biologicznej z węglikiem, także się wahali. Była to zwykła ludzka reakcja. Przerazili się — tak jak Jack teraz się przeraził — niekontrolowanego rozprzestrzenienia się skażenia i wybuchu epidemii. Co będzie, jeśli skażone powietrze wydostanie się na miasto...? — myślał.

Wtedy postanowili użyć konwencjonalnej, potężnej bomby. Lecz plan był niedoskonały. Niezależnie od tego, jak silny i jak dobrze umieszczony zostanie konwencjonalny ładunek wybuchowy, zawsze istnieje możliwość, że upatrzone ofiary przejdą akurat w inne miejsce i przeżyją eksplozję.

Tylko węglik zabije wszystkich jednym oddechem śmierci.

Stone i Fettis, podjąwszy decyzję, spróbowali ustalić racjonalne parametry bomby i dobrali takie, przy których nabrali przekonania, że skażenie nie może się rozprzestrzenić. Powietrze niosące bakterie będzie wessane do zamkniętej restauracji „Emerald Suite” i pozostanie tam, w jej atmosferze, charakteryzującej się minimalnym podciśnieniem. No, być może dosłownie parę bakterii wydostanie się z wiatrem na miasto i spowoduje kilka ofiar śmiertelnych. Trudno. Każda bitwa niesie ze sobą ofiary. Jack stał teraz, powstrzymywany przez wątpliwości. Jednak jego umysł sprzeciwił się im i stopniowo powróciła poprzednia wściekłość i koncentracja.

Zabij ich! - pomyślał.

220

Dłoń Stone'a zacisnęła się na bombie i wyjęła ją z torby. Złapał drugą ręką za koniec paska i zręcznie przełożył bombę przez pręty.

Uruchomił zapalnik.

Zielona dioda zaświeciła.

Puścił bombę tak, że zawisła na pętli paska. Nakierował ją i puścił.

Wpadła do otworu wentylacyjnego, uderzyła o dno i potoczyła się odrobinę, zatrzymując na osłonie filtra. Koniec paska wystawał z krawędzi otworu.

Jack popatrzył na widoczną częściowo bombę po raz ostatni, odwrócił się na pięcie i z bijącym gwałtownie sercem pobiegł z powrotem do windy.

21

Czas do momentu eksplozji: pięć minut i pięćdziesiąt sześć sekund.

Jedną mikrosekundę po tym, jak Stone uruchomił komputer zapalnika, ultrafioletowy laser bomby, zasilany z baterii chlorowo-arsenowej dużej mocy, zaczął wysyłać krótkie impulsy o dużej częstotliwości, za pośrednictwem swojej przypominającej igłę końcówki, do umieszczonej w centrum kuli siatki krystalicznej. Kryształki jodu zaczęły świecić na rubinowe, rozszczepiając ultrafiolet na dobrane wiązki podczerwieni. Wnętrze sfery, w którym panowało wysokie podciśnienie, zaczęło się nagrzewać.

Cienka warstwa pokrywająca wewnętrzną powierzchnię sfery zaczęła się topić i parować, tworząc bąble. Była to warstewka substancji odżywczej, pod którą znajdowały się miliardy uśpionych bakterii węgliką. Zostały natychmiast pobudzone do życia intensywnym ciepłem.

Jednak z powodu zbyt wysokiej temperatury mogłyby wyginąć. Aby do tego nie dopuścić, enzymy rekombinacyjne bakterii zaczęły szybko tworzyć nową, zmutowaną formę węgliką, zdolną oddalić się swobodnie od źródła ciepła.

Odrywające się, zmutowane bakterie pozbijały się w grupy, które

następnie zaczęły przemieszczać się po stopionej odżywce, namnażając się gwałtownie.

Tymczasem wyzwolone przez laser ciepło uruchomiło również zegar zapalnika części bomby zawierającej ładunek wybuchowy. Nastawiony był z góry na 360 sekund. Detonacja miała nastąpić w chwili, kiedy stężenie zmuto-wanych bakterii we wnętrzu kuli będzie największe...

Dokładnie o dziewiętej czterdzieści pięć stacja radiowa KERA przerwała swój program specjalnym biuletynem następującej treści:

221

„Wiarygodne źródło rządowe podało przed chwilą, że prawdopodobnie gdzieś na terenie miasta Seattle znajduje się podłożona przez terrorystę bomba biologiczna.

Nasze próby skontaktowania się z burmistrzem Kerberrym i innymi przedstawicielami władz miasta w celu uzyskania potwierdzenia bądź zaprzeczenia tej informacji okazały się bezowocne. Jednak wiadomo nam, że w ratuszui innych miejskich instytucjach odbywają się tej chwili zwołane w trybie natychmiastowym narady.

Nie mogliśmy się także porozumieć z gubernatorem stanu DeJohnem. Jeden z pracowników jego biura żywo zaprzeczył naszym podejrzeniom. Przyznał wprawdzie, że podejmowane są pewne działania, jednak oznajmił, że to tylko zaplanowane ćwiczenia w stosowaniu Waszyngtońskiego Protokołu Klęski. Próbowaliśmy skontaktować się z biurem czuwającym nad wcielaniem w życie WPK, jednak nie odbierano tam telefonów.

Wiarygodne źródło, o którym była mowa na początku, twierdzi, że władze miasta są przekonane, iż chodzi o bombę biologiczną z bakteriami bac-

cillius anthracis, czyli wąglika, wyjątkowo groźnej choroby zakaźnej.

Specjaliści z dziedziny medycyny twierdzą, że...".

W całym rejonie cieśniny Puget ludzie w jednej chwili przzerwali wykonywane czynności i wpatrywali się z niedowierzaniem w odbiorniki radiowe. Bomba biologiczna u nas? Terrorysty? Czy to może być prawda? A jeśli tak, to gdzie dokładnie jest ta bomba? Na fali strachu, jaka ogarnęła kraj po nie tak dawnych zamachach bombowych w Oklahoma City i Nowym Jorku, to, co dawniej wydawałoby się nie do wiary, zaczynało być postrzegane jako możliwe.

W minutę po komunikacie stacji KERA centrale telefoniczne Seattle odnotowały natychmiastowe rekordowe nasilenie ilości wybranych połączeń. Wiadomość rozchodziła się pośród mieszkańców niczym fala. Już po chwili pojawiły się pierwsze oznaki masowej paniki, i to nie tylko w samym Seattle, ale także na odrębnych administracyjnie przedmieściach - w Bellevue, Renton, Kirkland. Ludzie zbierali się w grupki, podekscytowani, i szeptali między sobą, szukając wsparcia we wzajemnym kontakcie i nie wiedząc, co robić...

Stone jeszcze nigdy w życiu nie doznał tak intensywnego poczucia triumfu. Euforia ogarniała jego świadomość niczym jaskrawe słońce, opromieniające go radością i chwałą.

Była jednak krótkotrwała.

Kiedy dopadł do windy, jej drzwi były zamknięte. Zatrzymał się i z niepokojem popatrzył na zegarek. Stojący przed drzwiami mężczyzna odwrócił się i zobaczywszy Jacka, powiedział z uśmiechem:

- Właśnie nam uciekła. Poczekamy ze trzy-cztery minuty. "

Trzy-cztery minuty?!

Nie, w momencie wybuchu bomby zdecydowanie muszę znajdować się znacznie poniżej tego poziomu! - myślał Stone. Zerknął w prawo.

Znajdowały się tam drzwi z wymalowanym przy pomocy szablonu napisem: „Główna klatka schodowa”. Jack skoczył ku nim, szarpnął za uchwyt i po chwili zbiegał już ze schodów.

Klatka schodowa nie była pomalowana; pachniała zimnym, gołym betonem. Na każdym półpiętrze znajdowało się duże okno. Szyby były lekko wypukłe, co powodowało, że panoramiczny widok miasta powiększał się, a szare światło dnia padało na podłogę interesującym, geometrycznym kształtem.

Stone pędził w dół, przeskakując po cztery stopnie naraz. Zakręcał gwałtownie wokół poręczy na półpiętrach, pomagając sobie ręką. Serce waliło mu jak oszalałe; był coraz bardziej zdesperowany, na skraju paniki. LIngram wiszący w kaburze pod płaszczem obijał mu się o ramię i tułów, uderzając mocno z każdym krokiem.

Telefon był niemal bezużyteczny, trzeszcząc niczym ognisko na silnym wietrze. Od czasu do czasu niespokojny głos Kelli odzywał się czysto, by po chwili zaniknąć lub stłumić się, jak gdyby krzyczała z odległego pokoju.

Nagle dało się słyszeć wycie syren, dobiegających gdzieś pomiędzy drzew i budynków.

Marquette biegł, sapiąc. Czuł w nodze uderzenia bólu. Dziwnie odbierał kontakt prawej stopy z podłożem, jak gdyby jego noga była częściowo pogrążona we śnie, a stopa odłączona od reszty ciała. Rozglądał się nerwowo po parkingu w poszukiwaniu trans ama, ale nie widział go.

Dziewczyna z kiosku z biletami popatrzyła za nim, otwierając usta. Dotarł do chodzących powoli wokół podstawy wieży turystów. Ludzie spoglądali z przerażeniem na biegnącego nieco niezdarnie mężczyznę o umorusanej twarzy i dzikim spojrzeniu, ubranego w postrzelaną kamizelkę kuloodporną.

Zobaczył drzwi windy. Czekają przed nimi z piętnaście czy dwadzieścia osób. Skoczył w stronę drugiej, ale zauważył rozciągniętą w poprzek żółtą taśmę.

Odwrócił się więc i skierował do schodów. Szarpnął za drzwi, wpadł na klatkę schodową i zaczął się wspinać, unosząc niezdarnie prawą nogę, Czuł ostry ból, ale wyrzucił go z umysłu i wchodził na wielką wieżę, pomagając sobie prawą ręką, którą łapał się poręczy.

Dotarł do pierwszego półpiętra. Usłyszał nad sobą kobiece głosy. W szybie klatki schodowej rozbrzmiał stłumiony śmiech. Chwilę później zobaczył dwie ładne dziewczyny w niebieskich kombinezonach narciarskich.

Zatrzymały się, przestraszone jego widokiem, a on poszedł obok, dysząc z wysiłku.

Minął drugie piętro, na którym znajdowała się restauracja „Skyline”, i parł dalej. Na dziesiątym półpiętrze musiał chwilę odpocząć, gdyż jego płuca nie dawały już rady. Pot lał mu się po twarzy, w uszach dzwoniło.

223

Sześć minut! - pomyślał znowu.

Myśl ta skłoniła go szybko do ruszenia dalej. Na piętnastym półpiętrze zatrzymał się po raz drugi. Powietrze gwizdało mu w nozdrzach, donośne sapanie odbijało się od betonowych ścian.

Usłyszał nad sobą silne, dosyć rzadkie uderzenia stóp w schodki. Ktoś

pedził z góry, zeskakując z paru stopni naraz. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał, czując, jak tłucze się jego serce. Zesztywniał.

Sięgnął do kolby browninga. Nie wyjmując broni zza paska, przycisnął się do ściany i nasłuchiwał coraz głośniejszych uderzeń nóg. W końcu, trzy metry powyżej niego, na poręczy pojawiła się ręka, a za nią wypadł na pół-piętro znany Mattowi mężczyzna o końskiej twarzy.

Stanął jak wryty, zobaczywszy Marquette'a, i uderzył z rozpędu w ścianę. Na ułamek sekundy oczy dwóch mężczyzn spotkały się. Bandyta sięgnął ręką za połę kurtki, odsłaniając długą, czarną kaburę. Zaczął wyciągać broń.

Mart także unosił już swojego browninga. Nie zabijaj go! - myślał jednak. Tylko on wie o bombie!

Jednak długi, zakończony tłumikiem pistolet maszynowy terrorysty wysunął się z kabury do końca. Mężczyzna zaczął unosić rękę, mrużąc oczy i zaciskając usta, jak gdyby już padały strzały.

-Nie! - wrzasnął Marquette, ściskając pewnie broń. Jednak wróg nie zatrzymywał się. Tłumik unosił się coraz wyżej i wyżej...

Mart wystrzelił dwukrotnie, czując w dłoni odrzut pistoletu. W zamkniętej przestrzeni strzały huknęły niczym armatnie.

Obie kule uderzyły bandytę w pierś, obracając go i odrzucając do tyłu; jego palec zacisnął się na spuście, a z broni dobyła się sekwencja złowieszczych syków. Seria kul wbiła się w ścianę, przecinając powietrze ponad głową Marquette'a. Jedna kula strzaskała okno. Mężczyzna o końskiej twarzy poleciał na schody, spadając z nich twarzą w dół; wyglądało to, jak gdyby nagle uszło z niego powietrze.

Mart skoczył ku niemu, złapał za kurtkę i uniósł głowę. Zwisiała

bezwładnie. Oczy wciąż płonęły, patrząc na Marquette'a spokojnie.

- Gdzie jest bomba?! - wrzasnął Mart prosto w końską twarz. - Gdzie ją podłożyłeś, sukinsynu?!

Mężczyzna jednak nie odpowiedział. Tylko po jego rozpalonym spojrzeniu można było poznać, że tli się w nim jeszcze życie. Wkrótce powieki zatrzepotały i umarł.

Marquette straszliwie przeklął i uniósł ciało. Patrzył przez chwilę w martwą twarz, rycząc jak zwierzę. Na jego dłoń spadła kropla krwi i ściekła, pozostawiając ciemnoczerwony ślad pośród włosów na nadgarstku.

Matt puścił bezwładnie ciało, przeskoczył ponad nim i zaczął znowu wspinać się po schodach.

224

Cztery minuty i czterdzieści sześć sekund.

W rubinowym świetle wewnątrz kuli wirowały pośród odżywki zaskakująco piękne fraktale, luki i całe spirale, splecione ośmiokąty i wielościany. Opalizowały na szkarłatne. Z wewnętrznej powierzchni odrywały się tymczasem przypominające dym masy zmutowanych bakterii węglika...

Na mównicy stanął jeden z członków zarządu PrimeData, Była dokładnie dziewięta pięćdziesiąt jeden. Miał skupić uwagę dziennikarzy przez minutę czy dwie, a potem przekazać pałeczkę Cornellowi, który z kolei

zapowie Ballarda. Wszyscy pozostali na sali reporterzy zajęli miejsca.

Dyrektor zaczął średniej jakości dowcipem. Zebrani zaśmieli się z grzeczności.

Ballard podniósł do ust szklanę wody mineralnej. Popatrzył nad jej krawędzią na wracającego Comella, który był wyraźnie nachmurzony. W dalszej części restauracji kelnerki zebrały się przy oknie i wyglądały na miasto.

Cornell nachylił się do Ballarda i szepnął:

- Nie uwierzysz. Podobno w radiu podali, że terroryści podłożyli w mieście bombę.

- Coś takiego... - mruknął William.

- To musi być głupi dowcip - ocenił Cornell. - Ktoś próbuje zagłuszyć wypuszczenie przez nas STAMINY.

Dziennikarze zaczęli szeptać pomiędzy sobą.

Ballard obrócił się i popatrzył na zebrane przy oknach kelnerki.

- Czemu one się tak przyglądają? - zapytał.

Zanim Cornell miał szansę cokolwiek odpowiedzieć, Ballard wstał i sam ruszył do okna.

„Restauracja obróciła się akurat tak, że okna głównej sali wychodziły na masyw Mount Rainier. Ogromny wulkan był pokryty śniegiem, a poszarpane brzegi krateru czerniły się, wystając niemal pionowo ponad biały całun. W dole widać było samochody zjeżdżające na krawężniki i ludzi zbiegających siew małe grupki.

Ballardowi wydało się, że słyszy ciche wycie syren, choć mogły to być zaledwie podmuchy wiatru. Popatrzył na prawo. W Alei Mercer, odległej trzy przecznice od wieży, ruch ustał zupełnie. Tu i tam migały czerwone lampy na dachach wozów policyjnych, które utkwily w korkach.

Marquette ledwie zdołał dotrzeć na platformę obserwacyjną na najwyższym piętrze wieży. Padł na kolana i klęczał tak, czując palenie w piersiach. Pot szczypał go w oczy, czuł łupanie w głowie.

Celowo ominął leżący parę metrów niżej poziom restauracji, przeczuwając, że terrorysta o końskiej twarzy podłożył bombę na otwartej przestrzeni platformy, gdzie mógł rozsiać węglík w powietrzu ponad miastem.

15 - Oddech śmierci

225

Mart zebrał się w sobie i wstał. Złapał za uchwyt drzwi i znalazł się w pomieszczeniu dla turystów. Było zupełnie puste — nikt nie siedział przy biurku informacji, nikt nie oglądał wystawy w gablotach.

Marquette wyjrzał na zewnątrz. Na platformie znajdowali się ludzie. Niektórzy z nich byli pracownikami Space Needle - mieli na sobie charakterystyczne szare ubrania. Wszyscy wyglądali na miasto i pokazywali palcami to tu, to tam. Podbiegł do krótkich schodków, wspiął się po nich i wypadł na dwór.

Uderzył w niego lodowato zimny podmuch wiatru. Powietrze pachniało deszczem i ozonem zwiastującym burzę. Matt ruszył wokół platformy, poruszając się w lewo. Rozglądał się za błyskiem wypolerowanej kuli. Jego wzrok wędrował od tylnej ściany do balustrady, przesuwając się po stalowej powierzchni platformy i po prętach wysokiej barierki. Przystanął, żeby popatrzeć w dół, pomiędzy elementy konstrukcji.

Nic.

Szedł dalej.

Minął lornetę. Potem drugą. Zaraz za nią stał łysiejący mężczyzna i dwie

kobiety. Mężczyzna oparł się o barierkę, łapiąc za pręty niczym wyglądający z celi więzień. Jasne włosy kobiet trzepotały na wietrze.

- Patrzcie! - zawołał mężczyzna. - Dookoła wieży roi się od policji!

- Och, Norman, boję się! - odparła jedna z kobiet. - Może lepiej zjedźmy na dół...!

Mężczyzna roześmiał się i skomentował:

- Coś ty, chcesz stracić miejsca na pierwszym balkonie?

Nawet nie zauważyli przebiegającego koło nich Marquette'a.

Minął kolejną lornetę. W jego głowie kłębiły się setki okropnych myśli. W każdej chwili spodziewał się eksplozji. Niezbyt głośnego, głuchego uderzenia z jakiegoś załomu, przypominającego odgłos kotła orkiestrowego, a potem ogarniającej go chmurki...

Odgonił to wyobrażenie siłą woli.

Nagle zatrzymał się. Obok następnej lornety przy balustradzie leżał jakiś przedmiot. Ruszył biegiem w jego kierunku, mrużąc oczy, żeby zobaczyć, co to takiego. To była jego sportowa torba...

Trzy minuty, trzydzieści dziewięć sekund.

Laser przestał wysyłać impulsy. Siateczka kryształów świeciła jeszcze przez kilka sekund, rozgrzana i napromieniowana. W końcu zgasła stopniowo i wewnątrz kuli ogarnęła całkowita ciemność.

W środku sfery było teraz tak gęsto od zmutowanych bakterii węglika, że to, co z początku wyglądało jak dym, teraz przypominało plazmę. Mimo to pośród stopionej odżywki ciągle następowała wymiana DNA pomiędzy bak-

226

teriami. Wszystko działo się w mroku i ciszy. Tylko zegar zapalnika

pulsował 'cichutko...

Koniec paska trzepotał na wietrze, uderzając od czasu do czasu w jeden ze stalowych kątowników tworzących obramowanie otworu wentylacyjnego.

Marquette gapił się na niego przez moment.

Zobaczył fragment bomby. Poruszała się odrobinę pod wpływem wiatru.

Poczuł gęsią skórę na całym ciele.

Po chwili Matt wspinał się już po prętach barierki, zaginających się u góry do wewnątrz platformy. Wciągał się na rękach, trzymając telefon komórkowy w zębach. Pręty nie wchodziły w ścianę - pozostawał wolny pierścień o szerokości około metra. Marquette przeszedł górą na drugą stronę i zaczął schodzić po zewnętrznej stronie barierki.

Jakaś kobieta wydała stłumiony okrzyk i zawołała:

- Patrzcie! Ten człowiek chce popełnić samobójstwo! Jeden z mężczyzn krzyknął:

- Niech pan tego nie robi!

Matt opuścił się tymczasem na rękach na poziom platformy i stanął na jednej z podtrzymujących ją belek. Czuł na sobie podmuchy wiatru świszczącego pomiędzy leżącymi poniżej ażurowymi elementami konstrukcji. Nawet dźwigar, na którym stał, zdawał się drzeć pod naporem powietrza.

Marquette opuścił się odrobinę niżej, objął nogami kolejną stalową belkę, wychylił się i sięgnął po bombę. Pochwycił ją palcami. Kula była ciepła. Podniósł ją, nie mogąc oderwać wzroku od błyszczącej powierzchni.

- O Jezus, on ma bombę! - zawołał z góry męski głos.

Wystraszony Matt podniósł odruchowo wzrok. To łysy mężczyzna o imieniu Norman spoglądał na niego z wyrazem okropnego przerażenia na

twarzy. Po chwili już go nie było.

- Bomba!!! - rozległ się okrzyk.

Samo słowo zabrzmiało niczym eksplozja. Ludzie na platformie zamarli, a potem rzucili się w panice do ucieczki, wpadając na siebie i przewracając się. Przed drzwiami windy zaczęła się gwałtowna przepychanka. Były zamknięte, więc zebrani zaczęli wołać i bić w nie pięściami.

Inni rzucili się do schodów. Przy drzwiach na klatkę schodową natychmiast utworzył się zator. Paru zdesperowanych mężczyzn pobiło się o miejsce, a jedna z kobiet zemdliała. Ktoś nadepnął jej prosto na twarz. Kilka sekund później jeden z pierwszych zbiegających minął poziom restauracji i wrzasnął, że na platformie jest człowiek z bombą. W eleganckim lokalu nastąpiła cisza, a potem wszyscy rzucili się do windy i schodów.

Dziennikarze zgromadzeni w „Emerald Suite” nie słyszeli dobrze, ale powstawali ze swoich miejsc, spoglądając po sobie. W końcu rozróżnili wykrzykiwane słowa. Pobledli,

227

W jednej chwili oni także rzucili się do drzwi, zupełnie jakby ktoś dał sygnał z pistoletu startowego. Przewracali krzesła i drinki na stolikach. Ktoś został pchnięty na szwedzki stół i lodowa ozdoba spadła z hukiem na dywan wraz z talerzami, kwiatami i sztućcami.

Ballard i Cornell, którzy wciąż stali przy oknie, także byli zaszokowani. Jednak ich strach połączony był ze zrozumieniem. Jak wszyscy bogaci i wpływowi ludzie, Ballard od lat żył ze świadomością tego, że ktoś może porwać lub zamordować jego lub bliskich mu ludzi. Teraz zrozumiał, że ktoś właśnie próbuje go zabić i bardzo prawdopodobne, że za moment mu

się to uda.

Zerwał się do biegu przez salę, przeskakując zwinnie ponad przewróconymi krzesłami. W połowie drogi zatrzymał się i odwrócił.

Cornell został przy oknie, sparaliżowany strachem.

Ballard zawrócił i pobiegł z powrotem do przyjaciela i współpracownika.

Złapał prezesa PrimeData za ramiona i potrząsnął nim.

- Rusz się, Jeny! - krzyknął mu w twarz. - Cholera jasna, szybciej!

Musimy stąd wiać! - Ruszył z powrotem ku wyjściu, ciągnąc za sobą Cornella, który sam nie wiedział, co się z nim dzieje.

Detektyw Dwa Łosie siedział z opuszczonym niemal na oczy kapeluszem w prawym fotelu radiowozu. Porucznik Walters prowadził pewną, doświadczoną ręką, pędząc Aleją Mercer.

Od chwili wyjazdu z parku Waszyngtona dwaj oficerowie pozostawali w kontakcie z dyspozytorką numer czternaście, która na bieżąco przekazywała im policyjne ogłoszenia i informacje przesyłane z uniwersytetu przez Kelli Pickett. Kiedy powiedziała, że Marquette przekazał, iż terrorysta zmierza z bombą do Space Needle, porucznicy wymienili zaniepokojone, ponure spojrzenia.

Zaraz potem nadszedł raport z USAMRIID o węgliku, stopniu jego szybkim rozprzestrzenianiu się zakażenia i o przewidywanej olbrzymiej liczbie ofiar. Dyspozytorka aż się zakrztusiła, czytając.

John zdjął kowbojski kapelusz, podrapał się nerwowo w głowę i założył kapelusz z powrotem.

Walters mruknął przez zaciśnięte zęby:

- Cholera, „Wielki Johnie”, wpakowaliśmy się w nielichą kabałę...!

Poza informacjami z uniwersytetu do uszu poruczników dochodziły także

radiowe rozmowy dyspozytorek i policjantów z poszczególnych radiowozów. Wyglądało na to, że miasto ogarnęło jedno wielkie szaleństwo. Obywatele dzwonili bez przerwy na policję, zdesperowani zatrzymywali patrolujących ulice funkcjonariuszy i zadawali im trudne pytania. Rozprzestrzeniła się masowa histeria.

- Jakim sposobem to wyszło na światło dzienne?! - warknął w którymś momencie Dwa Łosie. Walters wyprzedzał właśnie jakiś samochód.

228

- To przecież oczywiste! - huknął swoim potężnym głosem. - Jakiś cholerny urzędas puścił parę z gęby!

Wkrótce dowiedzieli się przez radio, że wiadomość o bombie biologicznej podała jako pierwsza komercyjna stacja KERA, która powołała się na wiarygodne źródło rządowe.

Wzburzony Walters trzasnął otwartymi dłońmi w kierownicę.

- Widzisz? Mówiłem ci! - rzucił. - Zarąbałbym tego sukinsyna!

Musiał gwałtownie zwolnić, natrafiwszy na korek spowodowany wypadkiem. Na skraju jezdni stał miejski autobus. Obok kręciło się kilku policjantów, przechodniów i kierowców. Korek utworzył się z obu stron wypadku.

Walters rzucił przekleństwo i zawrócił z piskiem opon. Przejechał na przeciwległy pas ruchu i podążył z powrotem na wschód. Dotarłszy do Alei West-lake, skręcił w nią w prawo. Przemknął koło Harrison, a potem skręcił jeszcze raz w prawo w Thomas. Porucznicy znowu znaleźli się naprzeciw Space Needle.

Dwa Łosie kołysał się wraz z szarpaniem samochodu i wyglądał przez szybę. Ludzie machali z podnieceniem ku zbliżającemu się radiowozowi,

ale Walters mijał ich pędem i gnał dalej.

Przez ostatnie trzy minuty John nabrał złego przeczucia. Pomyślał, że przybędą na miejsce za późno, oni i wszyscy inni. Już rozpoczął się nieodwracalny proces masowej zagłady. Jakiś głęboko ukryty w jego świadomości indiański instynkt mówił mu, że jedyną rzeczą, jaką będą w stanie teraz zrobić, będzie bezradne przyglądanie się potężniejącemu wciąż chaosowi.

A co z Marquette'em? Gdzie jest? - myślał Dwa Łosie. Czy może powstrzymać wybuch bomby? Czy wie, jak to zrobić? A jeśli tak, to czy starczy mu czasu? I odwagi?

Wieża była odległa jeszcze o trzy przecznice. Wyrastała z długiej perspektywy ulicy Thomas, górując nad stojącymi po obu jej stronach budynkami. Za nią widać było szarobiałe smugi deszczu nad cieśniną. Zbliżały się, gnane wiatrem, który nadawał im ukośny kierunek. John przyglądał im się chwilę, a potem zwrócił uwagę na platformę wieży.

- Jezu, patrz! - wykrzyknął nagle, rzucając się naprzód

- Co? Gdzie? - odpowiedział błyskawicznie Walters.

-Na szczycie Needle! Ktoś przelazi nad barierką. Walters pochylił głowę i zmrużył oczy. Rzeczywiście, zobaczył na barierce coś malutkiego, co mogło być człowiekiem.

- Cholera jasna, to ten terrorysta! - jęknął. - Podkłada bombę...! Dwa Łosie gapił się przez szybę, wyężając wzrok. Próbował ustalić, kto jest tą pełznącą po barierce osobą; nie był jednak w stanie z powodu odległości.

- Musimy spróbować postrzelić go z ziemi! - krzyknął Walters. - Czy jesteśmy w stanie szybko dotrzeć w pobliże?

John pokręcił tylko ze smutkiem głową. Nagle drgnął i zawołał:

- Czekaj, ten facet to może być Marquette!

Za nimi wypadł z Alei Dexter inny radiowóz na sygnale.

Dwa Łosie patrzył na maleńką postać na szczycie wieży, myśląc z nadzieją i desperacją: „Marquette, czy to ty? Jeśli tak, zrób to człowieku. Boże, rozbrój tę bombę...!”.

Matt zeszywniał.

Strach obezwładnił go na moment. Siedział na stalowej belce zawieszanej ponad miastem i gapił się na trzymany w dłoni przedmiot, jednocześnie wgrzyzając się zębami w plastikową obudowę telefonu komórkowego.

Sekundy zdawały się wydłużać w jedną o nieokreślonym czasie trwania.

Marquette był pewien, że bomba za moment wybuchnie mu prosto w twarz. Usłyszał własny jęk. Wszystkie jego myśli stłumiło przytłaczające pragnienie odrzucenia od siebie tej strasznej rzeczy jak najdalej.

Nie wybuchła jednak.

W desperackiej próbie odzyskania kontroli Matt popatrzył w dół. Maleńkie postaci ludzi, pozbierane w grupki, patrzyły w górę na niego. Dalej, za kompleksem Seattle Center, widać było zbliżające się ze wszystkich stron czerwone, błyskające światła radiowozów. Słyszać było ich wyjące chórem syreny.

Zobaczył, że pierwszy z policyjnych samochodów przejeżdża przez bramę centrum, znikając na moment pod daszkiem, a potem pędzi przez parking.

Odgłos jego syreny doleciał Marquette'a wyraźniej, a potem urwał się.

Są tu, pomyślał. Podniósł wzrok z powrotem na bombę. Na wpół świadomie postanowił otworzyć palce i pozwolić błyszczącej „kuli spaść.

Nie potrafię tego zrobić, myślał. Niech oni się tym zajmą.

Jego palce nie posłuchały jednak rozkazu.

Do jego świadomości dotarło tymczasem leciutkie drzenie ściskanego w zębach telefonu. Przypomniawszy sobie o nim, wyrwał go z ust wolną ręką i przykładając go do ucha, krzyknął:

- Kelli!!! O Boże, Boże, wróć!!!

Jednak odpowiedział mu tylko nieprzerwany trzask.

Nagle uderzył go tak silny podmuch wiatru, że omal nie spadł.

Przytrzymał się ręką spanikowany. Usiłował złapać się belki, ale komórka wypadła mu z dłoni.

Popatrzył za nią bezradnie, jak spada szybko, obracając się w locie.

Stojący w dole ludzie rozpierzchli się. Z góry wyglądało to jak krąg na powierzchni wody, który rozchodzi się po rzuceniu kamienia.

Radiowóz zahamował tymczasem koło kiosku z biletami. Wyskoczyło z niego dwóch mężczyzn, ruszając biegiem ku wieży. Telefon rozprysnął się o beton.

230

Minuta i czterdzieści sekund.

Zbliżał się moment największego stężenia oparów bakterii. Ilość zmuto- wanych organizmów stała się już tak wielka, że zaczęła się ogrzewać sama. Bakterie wydzielały tyle ciepła, że tworzyły się bąble gazów, które natychmiast znikwały. Stopniowy wzrost temperatury we wnętrzu kuli przyspieszył jeszcze proces namnażania się bakterii wewnątrz odżywki...

Porucznik Walters zatrzymał się kilka metrów od miejsca, gdzie roztrzaskał się telefon. Odchylił się mocno do tyłu, napiął mięśnie i uniósł niemal pionowo obie ręce, trzymając w nich chromowany rewolwer typu glock, kaliber 38.

Dwa Łosie, znajdujący się po jego prawej, także wyciągnął broń. Nie podnosił jej jednak, tylko zadarłszy głowę, usiłował rozpoznać zawieszonoego w górze mężczyznę.

Mężczyzna ów popatrzył w dół i John zdołał go zidentyfikować; dostrzegł też trzymany przez niego w dłoni przedmiot.

Dwa Łosie złapał Waltersa za ramię i szarpnął, uniemożliwiając mu oddanie celnych strzałów.

-Nie strzelaj! - krzyknął. - To Marquette! Trzyma w ręku bombę!

Dwaj porucznicy gapili się więc bezradnie w górę. Marquette siedział jednak na belce i nie robił nic. Po kilku sekundach Dwa Łosie puścił się pędem do drzwi wieży. Walters ruszył za nim.

Pognali do wind i utknęli w grupie rozemocjonowanych i rozkrzyczanych ludzi. Nagle otworzyły się z trzaskiem drzwi na klatkę schodową i wypadała z nich kolejna grupa, krzycząc coś o jakimś zabitym.

Drzwi windy zaczęły się tymczasem zamykać.

- Zatrzymajcie drzwi! - wrzasnął Walters. Nikt go jednak nie posłuchał; wszyscy pędzili niemal na oślep przed siebie. Kiedy dwaj policjanci dopadli do windy, zdążyła już ruszyć w górę. Walters kopnął ze złością w zgradzającą mu drogę blachę.

Winda wjedzie na szczyt Space Needle w czterdzieści siedem sekund.

Zatrzyma się tam na pół minuty, a potem znowu zjedzie na dół. Cały proces potrwa razem dwie minuty i trzydzieści cztery sekundy.

Dwa Łosie rzucił się do schodów, ale zatrzymał się i wrócił. Zdał sobie sprawę, że mimo wszystko mądrzej będzie poczekać na windę. Poczuł taki ucisk w żołądku, jak gdyby dostawał skrętu kiszek.

Wyjrzał na zewnątrz. Ulewa docierała właśnie do Seattle Center, szary

front deszczu zbliżał się na jego oczach.

John wbił znowu wzrok w szparę pomiędzy drzwiami windy i czekał, słuchając dławiącego się od przekleństw Waltersa.

231

Dokonał tego deszcz.

Uniesiona wiatrem pierwsza kropla uderzyła Marquette'a ostro w policzek niczym pałaca kuleczka rtęci. Impuls podobny do nagłego ukłucia szpilką powędrował przez system nerwowy Matta do jego mózgu, jak gdyby budząc go z odrętwienia. Poczłł mocniejsze uderzenie serca, a potem gwałtowną furię, która narosła w mgnieniu oka, przeganiając strach. Spojrzał z wściekłością na trzymaną w ręku bombę. Poczłł, że zaczyna pomału robić się gorąca. Gniew wezbrał w nim do ostatecznych granic. Miotając przekleństwa, zaczął zgniatać bombę z całych sił, próbując ją zmiażdżyć.

Nie poddała się ani trochę.

Wtedy zimnym, potężnym strumieniem lunął na Marquette'a deszcz. Rozległ się odgłos uderzającej w metalową konstrukcję wieży ulewy. Przepelniony złością Matt zaczął się koncentrować.

Myśl, człowieku, myśl! - zbeształ się nagle.

Kelli powiedziała coś... Kiedy to było? Ileślam długich sekund temu, zanim znalazł się w tym niezwykłym miejscu.

Światło dzienne - powiedziała, kiedy jej głos zamierał pośród trzasków.

Skąd wziąć jasne światło dnia? Lał deszcz i było prawie ciemno.

Fale elektromagnetyczne - zrozumiał jeszcze wówczas. Jakie fale elektromagnetyczne? Pewnie promieniowanie podobne do słonecznego.

Pomyślał o źródłach fal elektromagnetycznych różnej długości. Promienie

gamma, ultrafiolet, podczerwień, promienie rentgena, fale radiowe.

Ale tutaj? Skąd wziąć...?

Coś przyszło mu nagle do głowy. Podniósł wzrok. Czy to może się udać?

Nie wiedział, bo niby skąd. Ale uczeplił się tej myśli jak rzep. Zaryzykuje, nie ma innego wyjścia. A nuż...?

Podniósł się i przycisnął bombę do ciała. Stalowe belki zrobiły się nagle śliskie. Posługując się jedną ręką podciągnął się ku barierce, a potem zaczął wspinać znowu po prętach niczym pająk. Przekroczył górną krawędź i zeskoczył na platformę.

Sześćdziesiąt sekund...

Opary węgla stały się już wrzącą masą bakterii, tak gęstą, że nie przebiłoby jej światło, nawet gdyby pojawiło się znowu we wnętrzu kuli. Temperatura wciąż wzrastała, podczas gdy bakterie pożerały ostatnie resztki odżywki.

Przez cały czas pracował nieubłaganie maleńki zegar, połączony z elementem zwalniającym wykonaną z włókna węglowego iglicę, zamocowaną do napiętych sprężyn. Iglica w mgnieniu oka wbija się w mały ładunek materiału wybuchowego zwanego PETN, który eksploduje z powodu ciepła wywołanego tarciem i zapali z kolei ładunek piorunianu rtęci...

232

Drzwi windy na poziomie platformy obserwacyjnej otworzyły się. Kilkoro pozostałych wciąż przed nimi ludzi wskoczyło do środka. Dwaj mężczyźni wciągnęli do windy zemdloną kobietę. Wszyscy stłoczyli się przy tylnej ścianie niczym zapędzone do rzeźni bydło.

Jedna z kobiet zobaczyła przez otwarte wciąż drzwi wbiegającego z

zewewnętrznej platformy Marquette'a.

- O Boże, to on! - krzyknęła. - Ten facet z bombą! On trzyma bombę!

-wołała. Ludzie skurczyli się, jak gdyby w ten sposób mogli uciec przed groźnym terrorystą.

Drzwi zamknęły się wreszcie spokojnym, niespiesznym ruchem.

Matt minął tymczasem windę i wypadł na schody. Ktoś upuścił tutaj w panice torebkę i parasolkę. Przez króciutki moment wyteżone do granic zmysły Marquette'a zarejestrowały delikatny, wymyślny wzór wymalowany na materiale damskiej parasolki.

Gnał po schodach, zeskakując po cztery stopnie naraz. Nie odczuwał już żadnego bólu.

Wpadł na poziom restauracji. Czuł na brzuchu ciepło bomby, przenikające przez materiał, z jakiego wykonano kamizelkę przeciwołamkową. Jęknął cicho z przerażenia. Siłą woli odegnał opanowujące znowu jego umysł wątpliwości.

Przebiegł obok biurka recepcjonistki. Pracował na nim wciąż pozostawiony samemu sobie komputer. Migwały wszystkie światełka na małej centralce telefonicznej. Matt skręcił w lewo i pobiegł do otwartych drzwi restauracji.

Dwadzieścia pięć sekund...

Wpadł do luksusowej „Emerald Suite”. Po prawej znajdował się kontuar, za którym siedział zwykle szef obsługi; ściana za nim ozdobiona była wzorem z czarnych i białych trójkątów.

Dalej widać było główną salę, gdzie musiała odbywać się jakaś konferencja - na podłodze walały się krzesła, a koło ściany leżał przewrócony stół. Na pozostałych stolikach wciąż błyszcząły bielą obrusy,

stały kryształowe świeczniki i talerze o złotych obwódkach.

Marquette pognał przed siebie, szukając wzrokiem drzwi do kuchni.

Zobaczył je; obite były miedzią, wytłoczoną w ten sam motyw z trójkątów co poprzednio.

Skoczył ku nim i wpadł do środka.

Siedemnaście sekund...

Kuchnia wyłożona była białymi kafelkami. Przez całą jej długość biegły stoły ze stali nierdzewnej; na wieszakach wisiały patelnie, garnki i inne przy-

233

bory. W tyle znajdowała się ogromna lodówka, a przy ścianach wielkie zlewy, kratki do gotowania na parze, kartony z produktami. Na grillu smażył się jeszcze stek, kompletnie zwęglony. Unoszący się z niego dym usuwały sumiennie pracujące wentylatory.

Marquette przystanął na środku kuchni, rozglądając się w panice. Serce tłukło mu się w piersi tak mocno, że trząsał się cały.

Jego wzrok zatrzymał się. Niedaleko lodówki zobaczył to, czego szukał - niedużą kuchenkę mikrofalową, której używano do podgrzewania sosów. Rzucił się do niej i otworzył drzwiczki. Spróbował wsadzić bombę do kuchenki, ale nie dało się, mikrofalówka była za mała.

Wydał z siebie przejmujący krzyk rozpaczny.

Dwanaście sekund...

Z miejsca, w którym teraz stał, widział, co znajduje się za rogiem ściany. Stały tam obok siebie trzy większe kuchenki mikrofalowe. Jednym susem znalazł się przy nich. Szarpnął drzwiczki najbliższej, wrzucił bombę do środka i zatrzasnął je.

Dziewięć sekund...

Zmrużył oczy, próbując znaleźć pokrętko zegara i przycisk „start”.

Zobaczył jednak tylko srebrzyste cyferki na czarnym tle panelu.

Wycelował więc błyskawicznie palcem w cyferkę „5”, ale nie trafił. Zaklął i wcisnął znowu. Zapaliło się światełko przycisku.

Pięć sekund...

Mart uderzył pięścią w guzik „start”. Nic. Uderzył znowu, tym razem nie tak mocno. Rozległ się cichutki warkot uruchomionej kuchenki.

Trzy sekundy...

Marquette odwrócił się i zaczął biec. Zdawało mu się, że rusza się jak żółw. Jego nogi unosiły się i opadały nieznośnie powoli.

Minął zlew i uniósł ręce do twarzy, jak bokser zasłaniający się przed ciosami przeciwnika. Drzwi kuchni były tuż przed nim. Zebrał się w sobie i uderzył w nie z impetem, wypadając na zewnątrz.

234

Detonacja.

Kuchenka rozleciała się. Odłamki szkła i metalu uderzyły w kafelki glazury i ściany. Całe pomieszczenie natychmiast wypełniło się gęstym, żółtawym dymem, który zaczął się kłębić w prądach powietrza, wywoływanych pracą wyciągów.

Epilog

v.ztery postaci, ubrane w jaskrawopomarańczowe kombinezony przeciwbio-logiczne typu Racal, poruszały się powoli we mgle bakteryjnym nurkowie po dnie morza.

Byli to członkowie drużyny SWAT z Portland. Weszli do samego centrum skażenia - do kuchni Emerald Suite. Wszystko od sufitu do podłogi było

pokryte grubą warstwą bakterii - drobniotkim, żółtawym proszkiem, pachnącym podobnie do soku grapefruitowego. Unosił się z powierzchni, na których spoczywał, przy najdrobniejszym ruchu powietrza.

Jedynym dźwiękiem wewnątrz całej restauracji był delikatny szum silniczków pomp pomagających ludziom oddychać oraz ssaw urządzeń BioCon, przypominających odkurzacze. Długie rury ssące, wijące się po podłodze niczym węże, podłączone były do metrowej wysokości aluminiowych zbiorników.

Drużyna SWAT dotarła do Space Needle w trzydzieści dwie minuty po eksplozji bomby Stone'a na pokładzie śmigłowca Gwardii Narodowej.

Natychmiast uszczelnili całą restaurację, zaklejając drzwi i okna specjalnym plastikiem oraz używaną w wojsku taśmą izolacyjną.

W mniej skażonej części restauracji pozostali członkowie drużyny przeprowadzali testy na obecność i ilość bakterii. Kilka pojemników wypełnionych pobranymi mikroorganizmami wysłano już śmigłowcem do instytutu patologii wydziału medycyny miejscowego uniwersytetu.

Pracownicy instytutu oglądali bakterie węgliką pod mikroskopem elektronowym, żeby określić ich stan biotyczny.

Jak dotąd, dwie godziny po detonacji, wszystkie testy wykazywały, że bakterie węgliką są martwe.

W dole, w mieście, narastała wciąż histeria. Wkrótce po komunikacji stacji KERA rozpoczęła się masowa ucieczka z miasta, a niedługo potem potwo-

237

rzyły się ogromne korki na ulicach Seattle oraz na otaczających je autostradach i szosach. Wszystkie dworce autobusowe i lotniska były

pełne przerażonych ludzi, usiłujących wydostać się jakimś sposobem z miasta.

Szybko okazało się, że policji jest za mało. Gubernator DeJohn wezwał więc na pomoc Gwardię Narodową, która zaczęła właśnie rozmieszczać pierwsze jednostki. Wylądowawszy na lotnisku King Country, DeJohn przemówił w telewizji, żeby uspokoić mieszkańców. Jego słowa odniosły jednak niewielki skutek.

Szpitala i przychodnie w całym mieście znalazły się w stanie podobnym do tego, do jakiego dochodzi podczas wojny. Zostały zaalarmowane i przygotowały się na ewentualność katastrofalnej epidemii. Szybko wypełniły się przerażonymi ludźmi, którzy błagali lub grozili, aby wydać im szczepionkę przeciwko węglikowi.

W paru miejscach wybuchły zamieszki, a wraz z nimi natychmiast rozpoczęło się Kipienie sklepów przez wykorzystujących chwilę przypadkowych złodziei. Wybuchło kilkanaście pożarów. Słychać było także strzały - właściciele próbowali bronić swojego dobytku, swoich domów.

Popołudnie i wieczór będą trudne dla wszystkich mieszkańców miasta, którzy na długo je zapamiętają. Dopiero następnego dnia nastanie w Seattle i na jego przedmieściach jaki taki porządek.

Kelli Pickett przeżywała prawdziwy horror, czekając na wiadomości o Matcie.

Kilka minut po wybuchu bomby do Guggenheim Hali i laboratorium „Kryształowej kuli” wpadło FBI. Agenci stwierdzili, że przejmują kontrolę nad wszystkim - łącznie z naukowcami z zespołu Gilhammera - ze względu na bezpieczeństwo narodowe. Pracujący w parach agenci

przystąpili do przesłuchiwania ludzi.

Nikt jednak nie chciał powiedzieć Kelli, co stało się z Mattem Marquette.

W końcu miała już tego dość. Przesłuchiwana wciąż w pokoju Troya, uniosła ręce i stwierdziła:

- Słuchajcie, nie odpowiem już na żadne pytanie, dopóki nie dowiem się, co się dzieje z Mattem Marquette.

- Nie wolno nam jeszcze tego pani powiedzieć - odpowiedział jeden z agentów.

- To nabieram wody w usta.

- Nie radziłbym tego robić.

Kelli popatrzyła na mężczyznę twardo i odparła:

- Chrzanię pańską radę. Agenci wymienili spojrzenia.

- Jak się nazywa wasz szef? - zapytała Kelli. - Chcę porozmawiać z dowódcą.

238

- Przykro mi, ale... - odpowiedział agent, kręcąc głową. ' - W takim razie chcę porozmawiać z Sullinsem z CKE.

- Proszę pani, w tej chwili...

- Natychmiast!

W końcu jeden z agentów ustąpił i wyszedł. Po czterech minutach zadzwonił telefon Troya. Kelli odebrała.

- Słucham? - rzuciła.

- Panna Pickett? Mówi Sullins.

- Gdzie jest Mart Marquette? - zawołała Kelli do telefonu, - Co się z nim stało?

- Jak to, jeszcze pani nie powiedzieli?

Jeszcze nie powiedzieli! - pomyślała z przerażeniem.

- Nie - odparła.

- Jest w pomieszczeniu biodekontaminacji, koło Space Needle.

- Czy... on nie żyje?

- Żyje - zapewnił pogodnym tonem Sullins.

Był to miód dla serca Kelli.

Dyrektor z CKE zaczął opowiadać jej, co zaszło. Natychmiast po eksplozji bomby Marquette usiłował rozpaczliwie uszczelnić restaurację. Znaleźli go przy tej czynności oficerowie policji, Dwa Łosie i Walters. Natychmiast przystąpili do pomocy. Kiedy przybyła drużyna SWAT, trzech mężczyźni siedzieli już w deszczu na platformie obserwacyjnej, zmęczeni.

- Zostali odkażeni, a następnie dostali silne dawki antybiotyku - ciągnął Sullins. - Na razie wszystkie badania ich tkanek i krwi dają wyniki negatywne. Najwyraźniej Marquette zdołał całkowicie unicestwić bakterie.

- W jaki sposób? - zainteresowała się Kelli.

- Włożył bombę do kuchenki mikrofalowej i włączył promieniowanie.

Nasze analizy pokazują, że promienie zniszczyły ich materiał genetyczny oraz aminokwasy tworzące ściany komórkowe. Bakterie fizycznie porzypadały się. - Specjalista zachichotał. - Zachodzę w głowę, skąd pani chłopak wiedział, co ma zrobić w tej konkretnej sytuacji. Ale dziękuję Bogu, że to zrobił!

- Chcę zobaczyć się z Mattem - oznajmiła Pickett.

- Wie pani, zgodnie z regułami postępowania muszą pozostać odizolowani od świata jeszcze przez dziesięć godzin.

- Ale ja muszę się z nim zobaczyć! Natychmiast! - domagała się Kelli.

Sullins westchnął.

- Rozumiem panią. Wiem. Sprawdzę, może coś da się zrobić.

Dwadzieścia minut później FBI zawiozło Pickett do Seattle Center. Całe centrum, wraz z obszarem ograniczonym przez kilka przecznic z każdej strony, zostało otoczone jednostkami policji i straży pożarnej. Agentów zatrzymywano czterokrotnie, zanim ich samochód dotarł na miejsce.

239

Zawieszoną na wysokości trzydziestu metrów restaurację „Skyline” zamieniono na pomieszczenie dekontaminacji. Także jej drzwi i okna uszczelniono.

Pozabierano stoliki i krzesła z największej sali i poustawiano urządzenia do odkażania. Pracowali przy nich dwaj lekarze i pielęgniarka w zielonych ubraniach i maskach.

Kelli stanęła przed uszczelnionymi, przeszklonymi drzwiami i zajrzała do restauracji. Widziała nawet okna po przeciwległej stronie, po których spływał deszcz.

W rogu, przy stoliku, siedzieli Mart, detektyw Dwa Łosie i Walters.

Ubrani byli teraz w białe kombinezony. Grali w karty, co zaskoczyło Pickett zupełnie. Zastukała w szybę. Trzej mężczyźni podnieśli głowy.

Matt odłożył karty i ruszył do drzwi, utykając.

Dwoje ludzi stało i patrzyło na siebie przez długą chwilę. Kelli poczuła, że w jej oczach wzbierają łzy. Zapragnęła sięgnąć przez szybę, przytulić do siebie Matta i trzymać go tak, słuchając bicia jego serca. Położyła otwartą dłoń na szkle, rozpościerając palce.

Matt uśmiechnął się. Uniósł rękę i oparł dłoń dokładnie naprzeciw dłoni Kelli, palec naprzeciw palca. Było to kontakt bez kontaktu, dotknięcie bez dotknięcia. Wydawało się jednak, że Pickett czuje energię przepływającą

do niej od Matta przez szybę. Marquette powiedział coś, układając usta powoli i wyraźnie. Kelli przyglądała się uważnie.

Matt powiedział:

- Kocham cię.